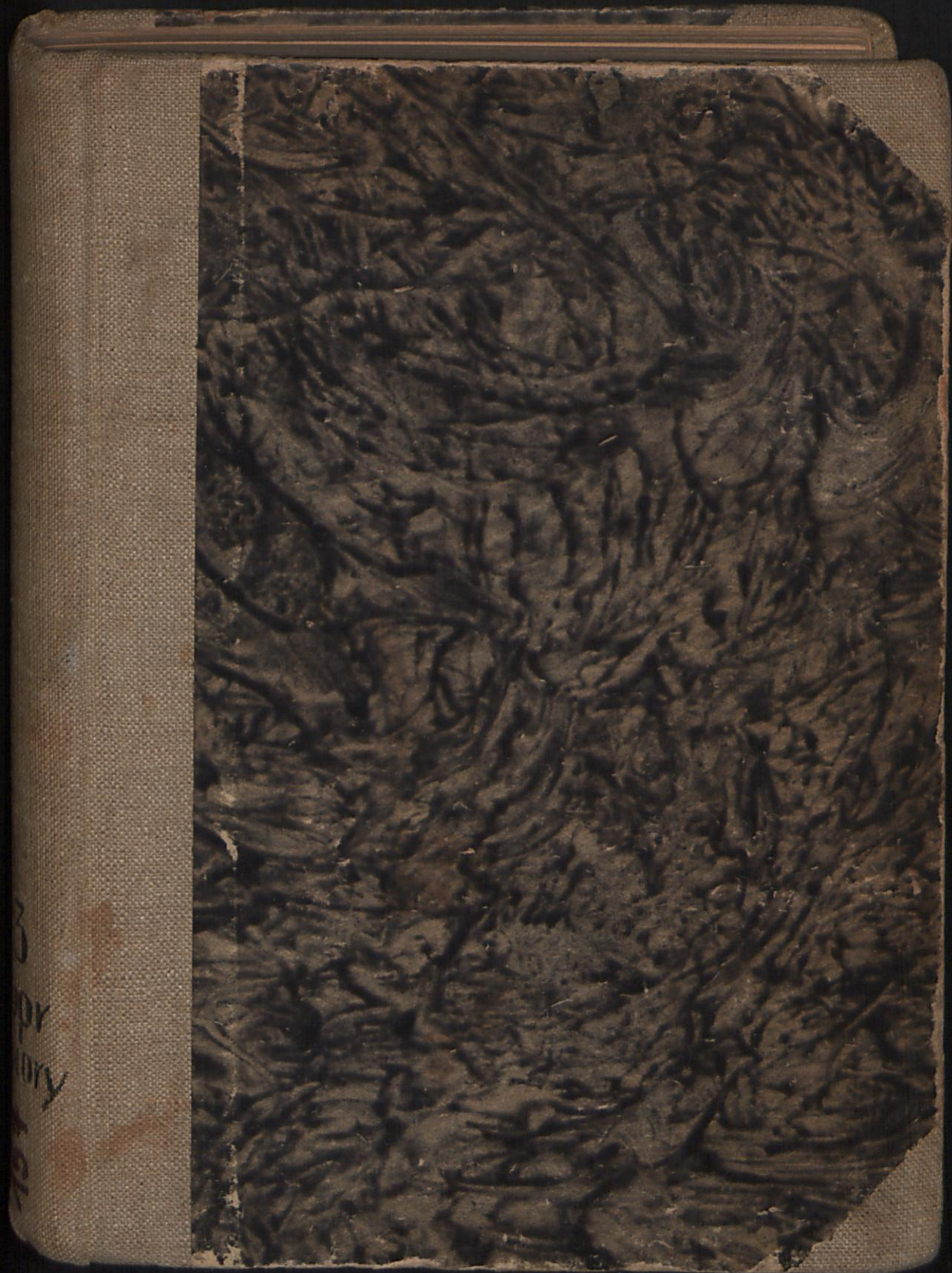
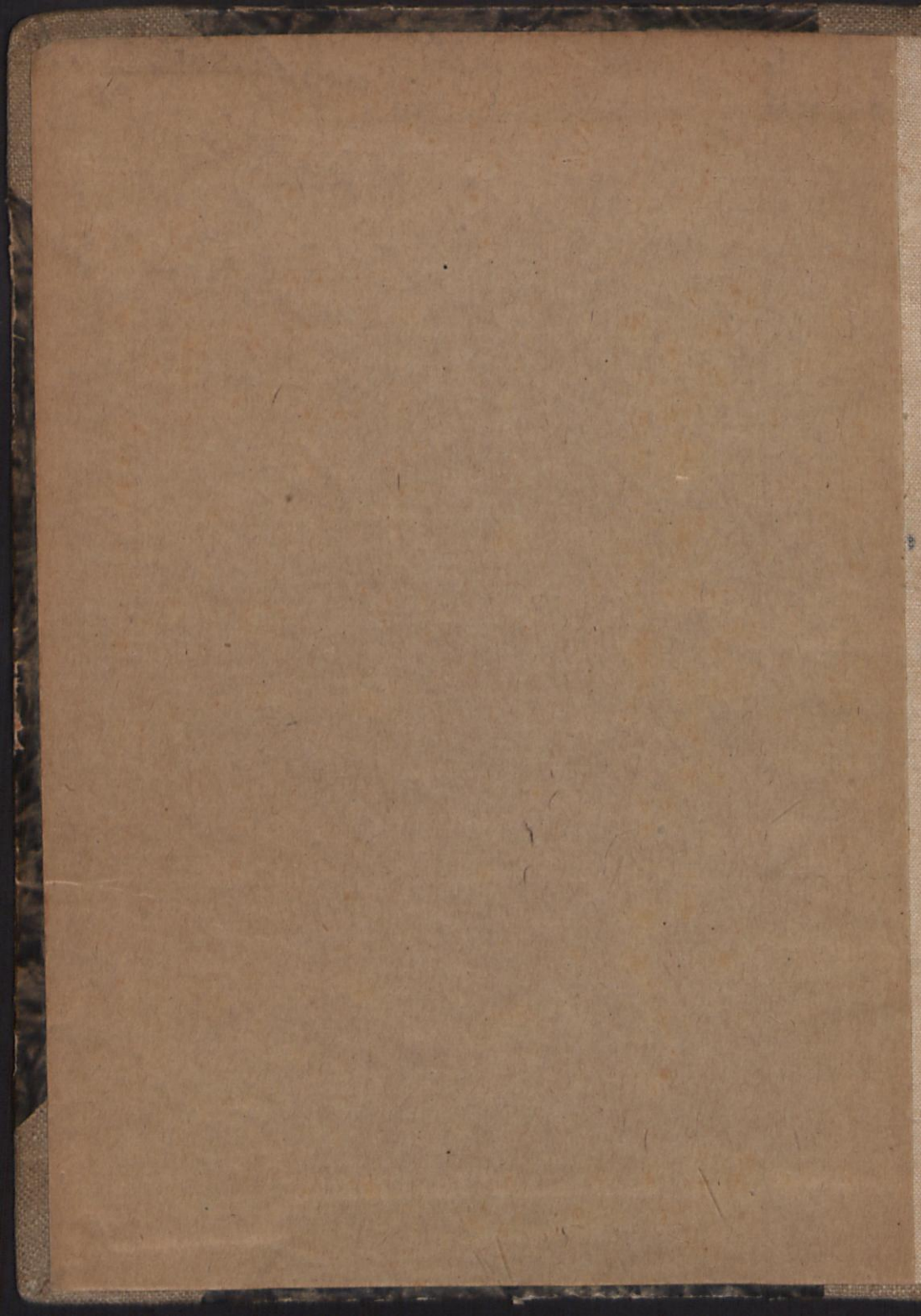
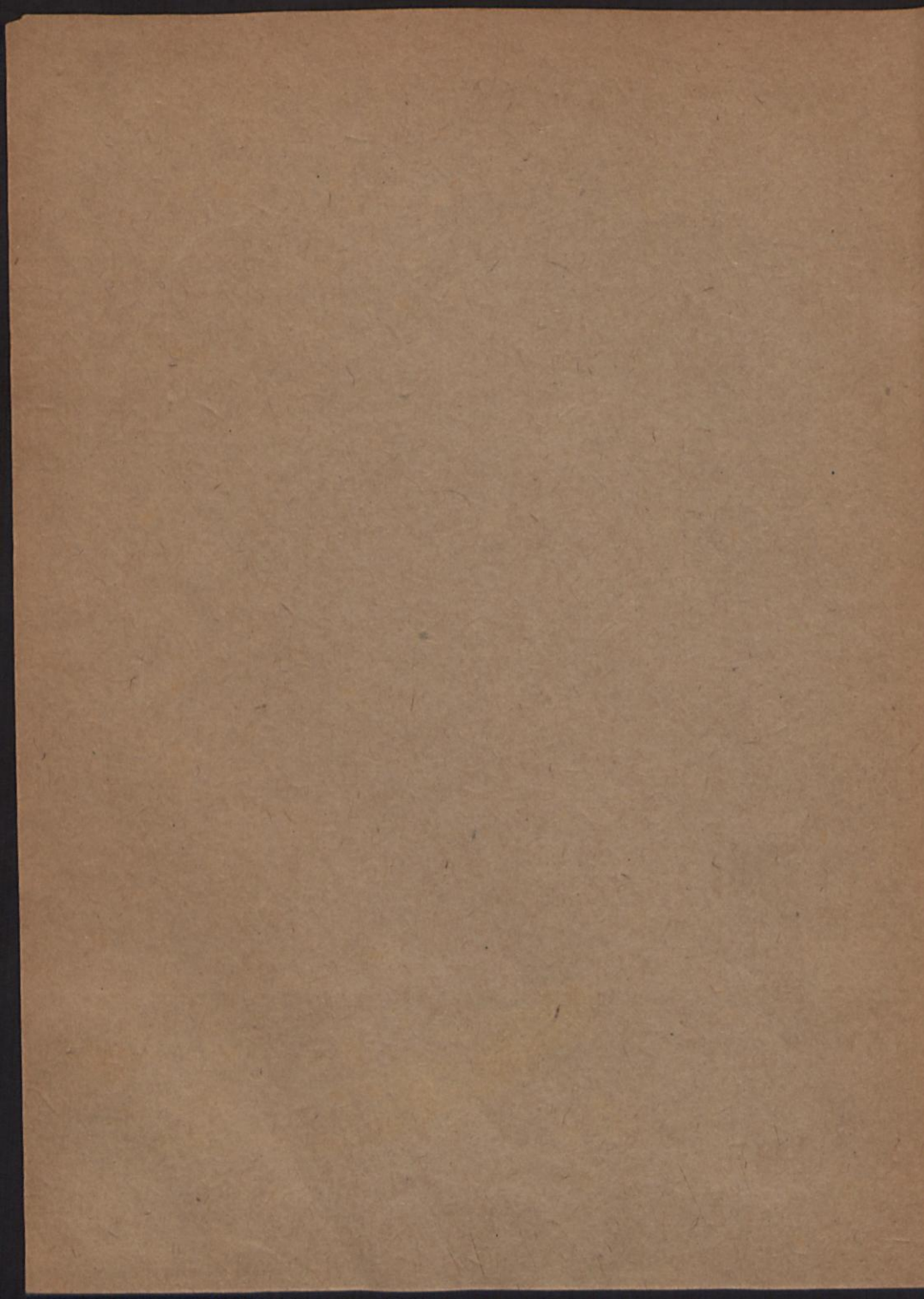






157





KUPRIN
UTWORY WYBRANE

ZŁOTA SERIA
LITERATURY ROSYJSKIEJ

ALEKSANDER KUPRIN
UTWORY WYBRANE

26/2
21.11.51
8.40

ALEKSANDER KUPRIN

UTWORY WYBRANE

TOM PIERWSZY

234



1950

»CZYTELNIK«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

Redaktor
ZIEMOWIT FEDECKI

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

157

Okladkę projektował
Henryk Tomaszewski

8-3 882-3

Kup

złoto

5
h

Księgozbiór BP



10017140

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik”

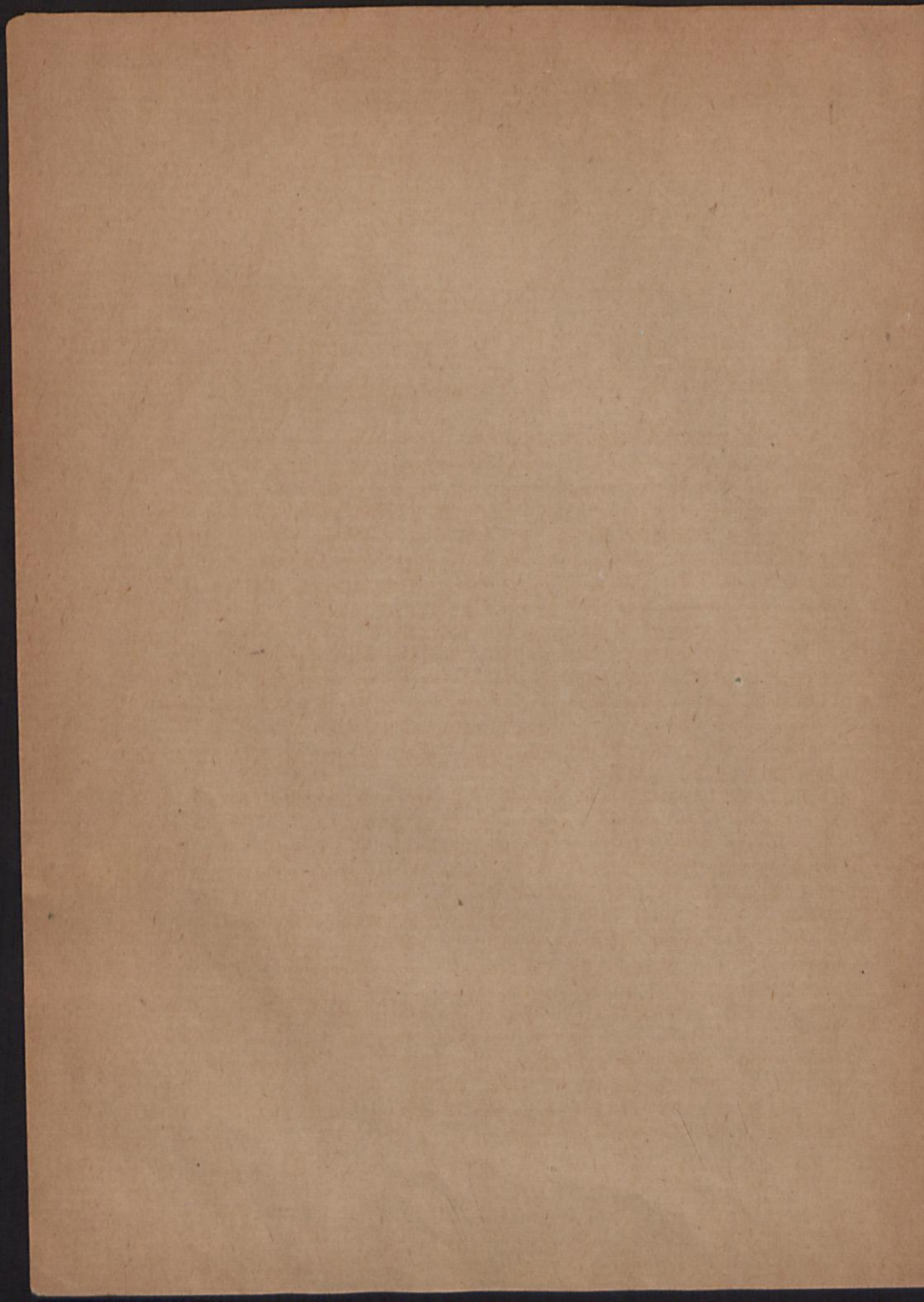
Printed in Poland

Składano i tłoczono w Drukarni Nr 3 „Czytelnika” w Krakowie
Zam. Nr 247. 10. III. 1950. Papier żeb. 61×86 — 80 g. Nakład 25 350
Druk uk. 27. X. 1950

M—1-11695

ALEKSANDER KUPRIN

(1870—1938)



ZYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Aby zdać sobie dokładnie sprawę z roli, jaką odegrała twórczość Kuprina, oraz ustalić jego miejsce w historii literatury rosyjskiej, należy pokrótce omówić układ sił społecznych i stan literatury w Rosji na przełomie XIX i XX w.

Schylek dziewiętnastego wieku w Rosji był okresem gwałtownego rozwoju kapitalizmu, rozbudowy przemysłu i wielkiego liczebnego wzrostu proletariatu. Jednocześnie zaś, pomimo wielu istniejących jeszcze przeżytków feudalnych, kapitalizm rosyjski nosił już wyraźne cechy kapitalizmu imperialistycznego. Te specyficzne warunki musiały znaleźć swe odbicie w świadomości inteligencji rosyjskiej, w nurtujących ją prądach.

Na gruncie schyłkowej ideologii klasy rządzącej powstają takie prądy literackie jak dekadencja i impresjonizm, kryzys zaś burżuazyjnego demokratyzmu pociąga za sobą degradację krytycznego realizmu, który przechodzi w naturalizm. Literatura rosyjska przejawia podobne tendencje jak literatura innych krajów Europy, szczególnie literatura francuska w okresie po upadku Komuny paryskiej.

Jednakże charakterystyczne dla całej ówczesnej literatury prądy umysłowe i literackie — na gruncie rosyjskim nabierały swoistych cech rosyjskich.

Podwójny ucisk — feudalny i kapitalistyczny — ze szczególną siłą zaostrzał przeciwieństwa klasowe. Na początku dwudziestego wieku proletariat stał się samodzielną siłą polityczną, liberalna burżuazja natomiast, uzależniona od caratu przez system protekcyjny i przestraszona postawą proletariatu, wyrzekła się dążeń rewolucyjnych i, zwłaszcza po doświadczeniach rewolucji 1905 r., występowała w sojuszu z carem oraz ziemiaństwem przeciw robotnikom i chłopom, ograniczając się jedynie do łagodnej, „legalnej“ opozycji.

W tej sytuacji rozwój literatury rosyjskiej na przełomie XIX i XX w. poszedł w dwóch kierunkach: część pisarzy otwarcie opowiedziała się przeciw tradycji demokracji i ruchom wolnościowym, wstępując na drogę deformującej rzeczywistość twórczości antyrealistycznej, głosząc kult formy i pogardę dla treści dzieła literackiego. Literatura tego rodzaju nie mogła posiadać i nie posiadała większej wartości poznawczej.

Z drugiej strony — pisarze, których twórczość związana była z ruchem wolnościowym, występowali jako kontynuatorzy wielkich tradycji krytycznego realizmu klasyków XIX w.

W końcu XIX wieku powstało w Moskwie koło literackie „Srieda“ (Środa), grupujące pisarzy realistów o przekonaniach demokratycznych, przedstawicieli krytycznego realizmu w okresie rozkwitu nastrojów dekadentkich i religijno-mistycznych; było ono zjawiskiem wybitnie postępowym.

Jednakże krytyczny realizm owej doby, którego jednym z najwybitniejszych przedstawicieli był Kuprin, różnił się wybitnie od realizmu jego wielkich poprzedników.

Pod koniec XIX w. losy krytycznego realizmu były ściśle związane z dokonującym się procesem odgraniczania się proletariackiego socjalizmu od burżuazyjnej demokracji. Przedstawiciele krytycznego realizmu początku XX w. nie nadążyli za biegiem historii, pozostając w zasięgu ideologii drobno-mieszczkańskiej. Kontynuatorami najlepszych postępowych tradycji literatury rosyjskiej stali się inni pisarze, którzy, jak np. Gorkij czy Serafimowicz, potrafili być wyrazicielami ideologii przodującej obecnie klasy rewolucyjnej — proletariatu, kładąc podwaliny pod nowy prąd w literaturze — realizm socjalistyczny.

Jakkolwiek krytyczny realizm XX wieku nie potrafił rozwinąć tradycji realistów połowy XIX w. i był nawet w pewnym sensie krokiem wstecz w stosunku do ich osiągnięć, nie można mu odmówić wielu wartości pozytywnych. Realistyczny charakter twórczości pisarzy tego kierunku, duża wartość poznawcza ich utworów, krytyczny stosunek do panującego ustroju, hasła humanitaryzmu i sprawiedliwości stanowiły zdecydowany kontrast w porównaniu z nastrojami, jakie wnosił panoszący się wówczas dekadentcki impresjonizm czy też symbolizm. Postępowe, pozytywne wartości demokratycznej literatury krytycznego realizmu ujawniały się tym wyraźniej, im silniej ulegała ona wpływowi ideologii proletariackiej, co uwidoczniło się w okresie narastania rewolucji 1905 r.

Kuprin — jeden z najwybitniejszych przedstawicieli realizmu krytycznego, przejawiał w swojej twórczości wszystkie dodatnie i ujemne cechy tego kierunku.

* * *

Aleksander Kuprin urodził się w r. 1870. Ojciec jego, urzędnik w powiatowym miasteczku guberni penzeńskiej, chciał zapewnić synowi karierę wojskową, toteż Kuprin uczy się początkowo w moskiewskim Korpusie Kadetów, a następnie kończy szkołę junkrów. Jednakże monotonia służby wojskowej, wąski krąg zainteresowań jego kolegów-oficerów i bezmyślny dryl, jaki panował w armii carskiej, powodują, że Kuprin niebawem występuje z wojska. Okres ten znalazł później odbicie w twórczości Kuprina, który poświęcił stosunkom panującym w armii carskiej szereg opowiadań oraz powieść „Pojedynek“.

Po wystąpieniu z wojska Kuprin spędził lat kilka w południowej Rosji, pędząc żywot na wpół tułaczy. Trudne warunki materialne, w jakich się znalazł, zmuszały go do chwytania się różnych zawodów: był tragarzem, aktorem, rybakiem, felietonistą, myśliwym, mierniczym, członkiem chóru cerkiewnego i robotnikiem w fabryce Towarzystwa Rosyjsko-Belgijskiego. Ten okres tułaczki, różnorodność zawodów i środowisk, z jakimi się stykał, różnorodność wreszcie przeżyć i wrażeń dostarczyły Kuprinowi mnóstwa materiału, który wykorzystał w późniejszej twórczości literackiej. Czytelnika, który pobieżnie nawet zapozna się z twórczością Kuprina, uderzy jego ogromna wszechstronność i trafność obserwacji. Kuprin z równą swobodą opisuje więc poleską (*Olesia*), hutę (*Moloch*), stosunki panujące w wojsku (*Pojedynek*), życie rybaków czarnomorskich (*Listrygoni*) czy też środowisko ludzi wyrzuconych poza nawias społeczeństwa — wędrownych muzykantów, cyrkowców, prostytutek.

Jeden z bohaterów powieści *Jama* — Platonow, któremu Kuprin nadał wiele cech autobiograficznych, tak mówi o żądzy nowych wrażeń: „Kieruje mną tylko ogromna pasja życia i nieznośna ciekawość... Chciałbym móc żyć życiem wewnętrznym każdego napotkanego człowieka i patrzeć na świat jego oczami“.

Kuprin, namienny obserwator wszelkich przejawów życia, już w pierwszych swych utworach jest zdecydowanym realistą. Pasja obserwacji, która decyduje o realizmie utworów tego pisarza, o ich wielkiej wartości poznawczej, przetrwała się jednak niekiedy w naturalistyczną szczegółowość opisów. Wnikliwość, z jaką Kuprin umie podpatrywać życie, trafność spostrzeżeń przejawia się już w najwcześniejszych jego felietonach i drobnych opowiadaniach, w których pisarz ukazuje ludzi stojących poza nawiasem społeczeństwa, swoistą egzotykę melin złodziejskich i szulerni. Utworem, który przyniósł mu rozgłos, było napisane w r. 1896 opowiadanie pt. *Moloch* — jedna z pierwszych w literaturze rosyjskiej prób przedstawienia środowiska fabrycznego. Przez usta głównego bohatera wypowiada tu Kuprin ostrą krytykę warunków pracy fabrycznej, w zadziwiająco trafny sposób przedstawia metody walki konkurencyjnej i proces imperialistycznej koncentracji kapitału, chociaż kapitalizm monopolistyczny w Rosji wkraczał dopiero w swe początkowe stadium rozwoju.

Inżynier Bobrow, podobnie jak Kuprin, jest przedstawicielem odłamu demokratycznie nastrojonej inteligencji rosyjskiej, która krytykowała absolutystyczny ustrój, w imię sprawiedliwości społecznej i ideałów humanitaryzmu oburzała się na wyzysk kapitalistyczny, nie decydując się jednak na przyłączenie się do walki robotników oscylowała pomiędzy burżuazją i proletariatem.

Twórczość Kuprina mimo jego nieustalonych i chwiejnych poglądów nosi zawsze charakter demokratyczny. W poprzedzającym rok 1905 okresie narastania fali rewolucyjnej protest Kuprina przeciwko istniejącemu porządkowi społecznemu zaznacza się najsilniej. W cyklu opowiadań z życia woj-

skowego Kuprin piętował martwą formalistykę, dryl, nieludzki stosunek do żołnierzy, tępotę i rozpasanie oficerów. Opowiadanie *Śledztwo* skierowane jest przeciw karom cielesnym i szykanowaniu przedstawicieli mniejszości narodowych. Przeżycia żołnierskie oderwanego od roli chłopą przedstawione są w *Nocnej zmianie*. Powieść *Kad-ci* i opowiadanie *Na przelomie* malują surową i bezmyślną dyscyplinę oraz metody wychowawcze, stosowane w szkołach wojskowych.

Kuprin w tym czasie brał czynny udział w pracach koła literackiego „Srieda”, co w znacznym stopniu przyczyniło się do rozwoju jego talentu. Na zebraniach czytano i krytykowano utwory uczestników Koła.

Gorkij, który z uwagą śledził pracę „Sriedy”, grupował w tym czasie pisarzy realistów wokół wydawnictwa „Znanije” (Wiedza). W roku 1903 Gorkij występuje z inicjatywą wydawania słynnych zeszytów literackich „Znanije”, które składały się początkowo prawie wyłącznie z utworów pisarzy „Sriedy”.

Zeszyty „Znanija” stały się wydarzeniem nie tylko literackim, lecz także ogólnospołecznym. Od roku 1903 do 1913 wyszło ogółem 40 tomów, w których ukazały się wybitne dzieła Gorkiego i pisarzy krytycznego realizmu. Utwory Kuprina zaczęły ukazywać się począwszy od drugiego zeszytu. Również w roku 1903 wydawnictwo „Znanije” przystąpiło do wydania zbioru opowiadań Kuprina.

W r. 1905 w szóstym zeszycie „Znanija” ukazała się powieść Kuprina pt. *Pojedynek* — najlepszy utwór z całego cyklu opowiadań wojskowych. Powieść, pisana w okresie gwałtownego narastania fali rewolucyjnej, porusza szereg palących zagadnień społecznych. Kuprin przyznaje, że wielki wpływ na kształtowanie *Pojedyнку* miał Gorkij. W liście do Gorkiego Kuprin pisze: „Jutro wychodzi szósty zeszyt... Teraz, kiedy już wszystko ukończone, mogę powiedzieć, że to, co jest śmiałe i bujne w mojej powieści, zawdzięcza Wam. Gdybyście wiedzieli, ile się od Was nauczyłem i jak jestem Wam za to wdzięczny”.

Kuprin w *Pojedyнку* opisuje szare, beznadziejne, codzienne życie garnizonu w jednym z prowincjonalnych miasteczek rosyjskich, ukazuje wszystkie negatywne strony armii carskiej — armii, która poniosła niebawem klęskę w wojnie rosyjsko-japońskiej i została użyta do zdławienia rewolucji.

Pojedynek — najlepsza i najbardziej postępową powieść Kuprina — przyniósł autorowi sławę wybitnego pisarza. W burzliwej atmosferze rewolucji czytelnicy przyjmowali z zachwytem ostrą i celną krytykę armii, jednego z filarów caratu. Powodzenie powieści i jej treść zwróciły na Kuprina uwagę władz. O szykanach, jakie spotkały Kuprina, wiemy między innymi z notatki zamieszczonej w gazecie *Dwadcatyj Wiek* („Wiek dwudziesty”): „Pisarz Kuprin, wydany z Sewastopola na podstawie zarządzenia J. N. Nieplujewa za publiczne czytanie swego opowiadania pt. *Pojedynek* (chodziło tu o wystąpienie Kuprina podczas wieczoru dobroczynnego w celu pomocy organizacjom rewo-

lucyjnym*), został obecnie postawiony w stan oskarżenia przez admirała Czuchnina pod zarzutem oszczerstwa w prasie. Skarga jest związana z korespondencją w „Nowej Żiznia” z dnia 1 grudnia na temat listopadowych wypadków w Sewastopolu*. (W korespondencji tej Kuprin opisał bestialskie zgniecenie przez admirała Czuchnina powstania na krążowniku „Oczakow“).

Postępowe stanowisko autora jest widoczne w tych partiach powieści, w których krytykuje on istniejący ustrój, natomiast tam, gdzie zastanawia się nad sposobami zaradzenia złu, gdzie chodzi o pozytywny program społeczny, o prognozę historyczną, Kuprin nie potrafił wyjść poza ciasny krąg humanitaryzmu i utopijnych ogólników, jakimi operował krytyczny realizm XX w.

Drobnomieszczański światopogląd, a szczególnie niechęć do polityki połączona z estetyzującym stosunkiem do życia sprawiły, że Kuprin z chwilą wybuchu rewolucji 1905 r. nie zrozumiał jej charakteru, nie wziął udziału w walce i nie zbliżył się do żadnej organizacji rewolucyjnej. Rewolucja, jej przebieg, nie znajduje odbicia w żadnym z ówczesnych utworów pisarza z wyjątkiem opowiadania *Gambrinus*. Ale ten krótki fragment nie pozostawia żadnych wątpliwości co do stosunku Kuprina do rewolucji: „Nadeszły jakieś jasne, święte, pełne radości dni, których blask opromienił nawet podziemia piwiarni »Gambrinus«. Przychodzili studenci, robotnicy, przychodziły młode, ładne dziewczęta. Ludzie, z płonącymi oczami, wchodziłi na beczki i przemawiali. Nie wszystko w tych słowach było zrozumiałe, ale serce dygotało i otwierało się na ich przyjęcie od tej płomiennej nadziei i wielkiej miłości, które w nich brzmiały“.

To gorące pragnienie lepszego życia dźwięczy w wielu utworach Kuprina. Kuprin wierzył w człowieka, w jego wrodzoną dobroć, daleki był od dekadentkich nastrojów pisarzy-symbolistów i w wielu utworach podkreślał swój pozytywny stosunek do życia.

Nienawidził zwłaszcza mieszczańskiego zadowolenia z dostatniego życia filistrów. Pociągają go bohaterowie, którzy muszą walczyć o byt w ciężkim trudzie i ciągłym ryzyku, odpychani przez „kulturalne społeczeństwo“.

Ten motyw niepokoju, nieprzystosowania do życia w społeczeństwie kapitalistycznym, występujący w wielu utworach Kuprina, ma jeszcze inny aspekt. Pisarz w swoich opowiadaniach przedstawia życie „szarego człowieka“. Społeczeństwo burżuazyjne jest sprawcą zwyrodnienia ludzi, ich duchowego niewolnictwa, służalczości, przyczynia się do zohydzenia i dewaluacji wielkich uczuć ludzkich. W przeciwieństwie do zwyrodnienia i pustki wewnętrznej ludzi z „wyższych sfer“ „szary człowiek“ Kuprina — wędrowny muzykant, cyrkowiec, prostytutka czy drobny urzędnik — człowiek nieszczęśliwy, uciśniony, zachowuje jednak zdolność do prawdziwych uczuć ludzkich, okazuje się szlachetnym, potrafi wzniośle kochać. Takim jest np. Saszka w *Gambri-*

* Przypisek autora niniejszego Wstępu.

nusie lub drobny urzędniczyna, który kłamstwem pokrywa niepowodzenie, aby nie mieć szczęścia matce (*Święte kłamstwo*). W swoich „szarych ludziach“ ukazuje najczęściej Kuprin biernych, ofiarnych dobroczyńców.

W okresie po zgnieceniu rewolucji 1905 r. akcenty społeczne w utworach Kuprina ustępują miejsca zagadnieniom etycznym i psychologicznym. Pisarz, który przestał w tym czasie drukować swe utwory w prowadzonym przez Gorkiego „Znaniju“, przeszedł do „Szypownika“ (Głóg) i „Ziemli“ (Ziemi). Ówczesne jego opowiadania wskazują, że Kuprin, zawiedziony w swych nadziejach po porażce rewolucji, wycofał się na pozycje czysto estetyczne.

W okresie szalejącej reakcji stołypinowskiej znaczna część opozycyjnie nastrojonej inteligencji przeszła do obozu przeciwników rewolucji. Historia WKP (b) w ten sposób charakteryzuje ten proces w dziedzinie literatury: „Ofensywa kontrrewolucji rozwijała się również na froncie ideologicznym. Pojawiła się cała zgraja modnych pisarzy, którzy „krytykowali“ i „gromili“ marksizm, obrzucali rewolucję błotem, sztydziłi z niej, wychwalali zdradę, wychwalali rozpustę płciową pod pozorem „kultu jaźni“*. Stanowisko Kuprina było zupełnie inne. Pomimo wielu swych błędów i chwiejności ideologicznej Kuprin nie tylko nie występował przeciw rewolucji, lecz, przeciwnie, dał szereg opowiadań, w których przedstawia krwawe pacyfikacje i terror policyjny (*Wesele*, *Sny*, *Majaczenie*, *Obraza*, *Morderca*). W opowiadaniu *Majaczenie* oficer upija żołnierzy, aby przygotować ich do rozprawy z ludnością. Opowiadanie *Morderca* — to obraz wspomnień o okropnościach dławienia rewolucji. W opowiadaniu *Obraza* zawodowi złodzieje proszą, aby nie mieszać ich z uczestnikami pogromu. Utwory te przepojone są poczuciem godności ludzkiej i humanitaryzmem.

Przygnębienie, jakie opanowało Kuprina po zdławieniu rewolucji, znalazło wyraz w sceptycyzmie filozoficznym pisarza. W opowiadaniach *Wieczorny gość*, *Straszna chwila*, *Szczęśliwa karta*, *Kaprys*, *Zgnilizna*, *Samotność* występują takie motywy, jak zagadnienie niepoznawalności życia, potęga przypadku, który rządzi losami ludzi, osamotnienie i izolacja jednostki.

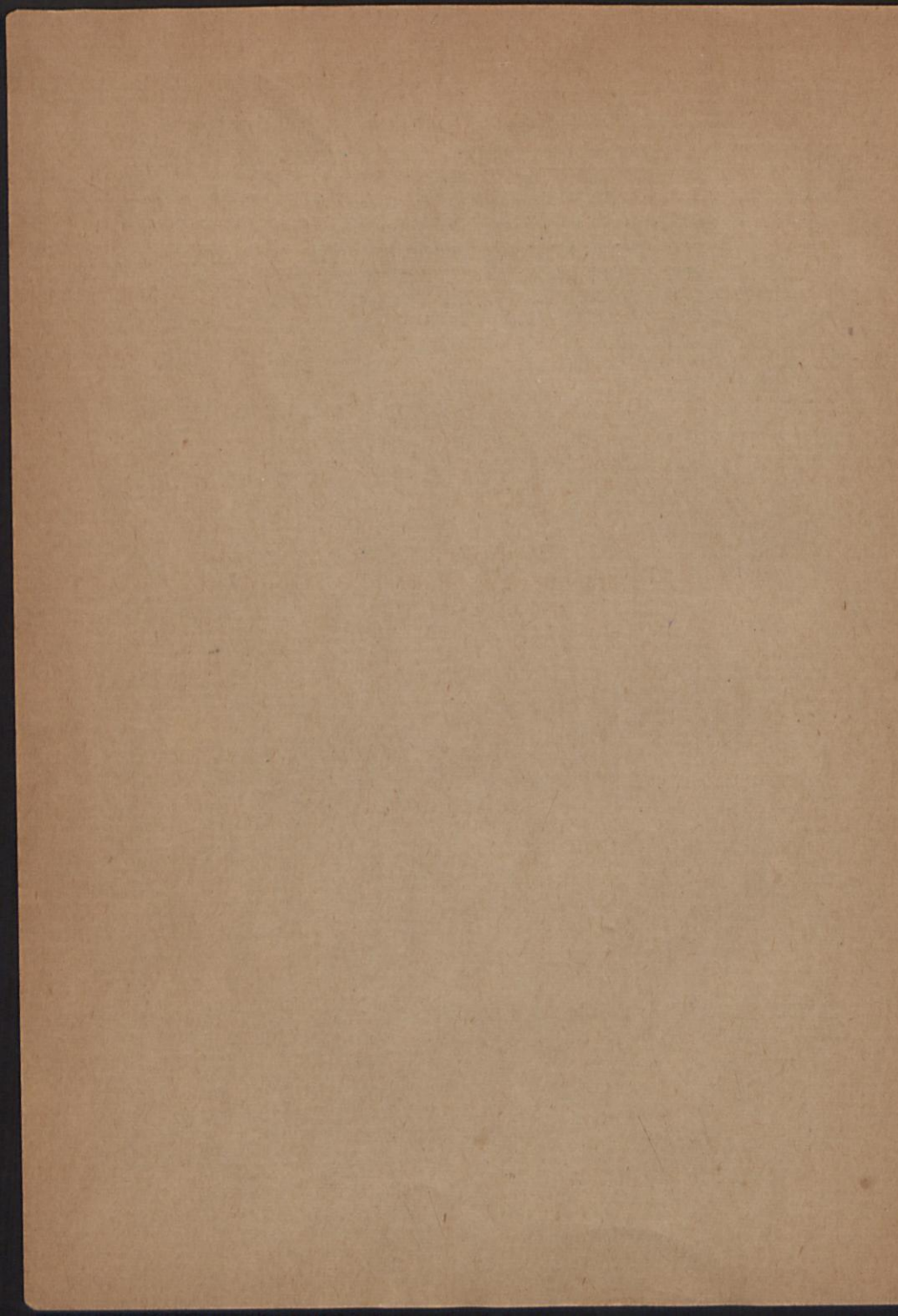
W r. 1909 Kuprin postanowił napisać wielką powieść z życia prostytutek. Pierwsza część powieści *Jama* wyszła tegoż roku w redagowanym przez Arcybaszewa piśmie „Ziemia“. Druga część ukazała się dopiero w sześć lat później — w r. 1915. Książka, mimo że wywołała dość dużą sensację ze względu na temat, była jednym z najsłabszych utworów pisarza. Stanowi ona sentymentalną apoteozę prostytutki. Brak analizy przyczyn społecznych prostytucji, naturalistyczne opisy i nagromadzenie szczegółów osłabia siłę protestu przeciw zjawisku prostytucji, jakim miała być powieść w zamierzeniu autora.

W przededniu Rewolucji Październikowej pisarze krytycznego realizmu, którzy nie związali swych losów z ruchem robotniczym, przeżywali głęboki kryzys. Kuprin wobec toczącej się wojny zapomniał o swoim antymilitary-

* Historia W K P (b) krótki kurs. Wyd. Moskwa 1940, w jęz. polskim.

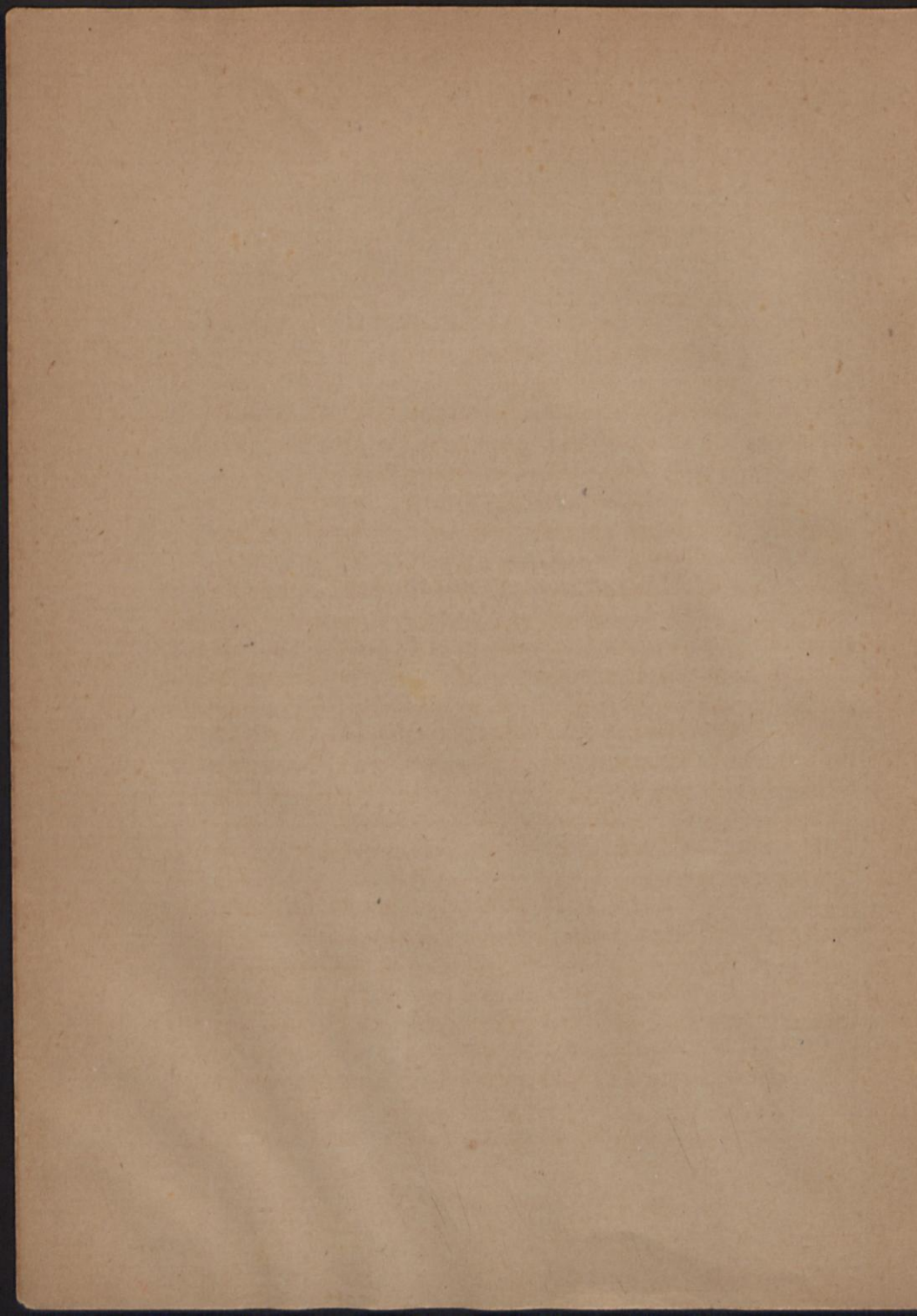
stycznym stanowisku i, zdeorientowany politycznie, wrogo odnosił się do głoszonego przez bolszewików hasła zamiany wojny imperialistycznej w wojnę domową. Po Rewolucji Październikowej pisarz opuszcza ojczyznę i udaje się na emigrację. Jednakże po latach dobrowolnego wygnania, obserwując zwyrodnienie i upadek moralny emigracji, Kuprin dochodzi do wniosku, że: „pracować dla Rosji można tylko w kraju, toteż obowiązkiem każdego szczerego patrioty jest wrócić do ojczyzny“. Pisarz wraca do Związku Radzieckiego w maju 1937 r. jako schorowany starzec.

W rok później — w r. 1938 — Kuprin umiera.



OLESIA

Tłumaczył
ZIEMOWIT FEDECKI



Mój sługa, kucharz i towarzysz polowania — gajowy Jarmola — wszedł do pokoju uginając się pod wiązką drzewa, rzucił ją z hałasem na podłogę i chuchnął w zmarznięte palce.

— Uch, panyczu, jaki wiatr na dworze — powiedział kucając przed drzwiczkami piecyka. — Trzeba dobrze napalić w „grubce”. Zapaleczkę, panyczu.

— A więc nie pójdziemy jutro na zające? Jak myślisz, Jarmola?

— Nie... nie można... słyszy panycz, jaka zawierucha. Zając teraz leży sobie i ani mru-mru... Jutro nawet śladów nie zobaczymy.

Zrządzeniem losu znalazłem się na całe sześć miesięcy w zapadłej wsi guberni wołyńskiej, na krańcach Polesia, gdzie polowanie było jedyną moją rozrywką i przyjemnością. Muszę przyznać, że gdy zaproponowano mi wyjazd na wieś, nie myślałem wcale, że będę się tak okropnie nudził. Wyjechałem nawet z radością. „Polesie... ustronie... dzika przyroda... prostota obyczajów... pierwotne natury... — myślałem siedząc w wagonie — zupełnie nie znany mi naród o swoistych zwyczajach i oryginalnym języku... i jakie, zapewne, bogactwo poetycznych podań, baśni i pieśni!” A właśnie w tym czasie (jeśli już opowiadać wszystko) zdążyłem ogłosić drukiem w pewnej malej gazecie opowiadanie, w którym były dwa morderstwa oraz jedno samobójstwo, i w teorii zdawałem sobie sprawę, że obserwowanie obyczajów jest dla pisarzy rzeczą pożyteczną.

Jednak... albo chłopci z Pieriebrodu odznaczałi się wyjątkową mrucliwością, albo ja nie umiałem wziąć się do rzeczy — stousunki nasze ograniczały się wyłącznie do tego, że chłopci na mój

widok już z daleka zdejmowali czapki a przechodząc koło mnie — ponuro mówili: *Haj Bih*, co miało oznaczać: „Boże dopomóż“. Gdy próbowałem wdać się z nimi w pogawędkę, patrzyli na mnie ze zdziwieniem, nie chcieli rozumieć najprostszych pytań i co chwila schylali się do całowania rąk — stary obyczaj, pochodzący jeszcze z czasów pańszczyźnianych.

Wszystkie książki, które wziąłem z sobą, wkrótce przeczytałem od deski do deski. Z nudów — chociaż już z góry wiedziałem, że nie znajdę w tym przyjemności — próbowałem pozawierać znajomości z przedstawicielami miejscowej inteligencji w osobach księdza i „pana organisty“, którzy mieszkali o piętnaście kilometrów ode mnie, a także z miejscowym „uradnikiem“ oraz oficjalistą z sąsiedniego majątku, podoficerem w stanie spoczynku. Usiłowania moje spaliły jednak na panewce.

Z kolei wziąłem się do leczenia mieszkańców Pieriebrodu. Miałem do swej dyspozycji rycynę, karbol, kwas borny i jodynę. Jednak, poza skąpym zasobem wiedzy medycznej, stanęła mi na przeszkodzie całkowita niemożność stawiania diagnozy, ponieważ symptomy choroby u wszystkich moich pacjentów były zawsze jednakowe: „Boli w krzyżach“ — mówili. Albo: „Ani pić, ani jeść nie mogę“.

Przychodzi do mnie na przykład stara baba. Uciera z zakłopotaniem nos wskazującym palcem prawej ręki, wyjmując zza pazuchy dwa jaja, ukazując mi na chwilę brunatną skórę ciała, i kładzie jaja na stół... Potem zaczyna się chwytnie rąk w celu złożenia na nich pocałunku. Chowam ręce i perswaduję staruszcze: „Nie trzeba, babciu... przestań... nie jestem popem... nie wypada mi cię całować... Co cię boli?“

— W krzyżach mnie boli, panyczku, akuratnie w samych krzyżach. Już ani pić, ani jeść nie mogę.

— Dawno cię boli?

— A bo ja wiem? — odpowiada baba pytaniem na pytanie. — Pali mnie wciąż bez przestanku. Ani pić, ani jeść nie mogę.

Mimo wysiłków, bardziej określonych objawów choroby nie daje się w żaden sposób ustalić.

— Niech się pan nie martwi — poradził mi pewnego razu

oficjalista dworski — sami się wyleczą... Zasznie jak na psie. Ja, muszę panu powiedzieć, mam dla nich tylko jedno lekarstwo — amoniak. Przychodzi do mnie chłop. „Czego chcesz? — Chory — powiada... Natychmiast pakuję mu pod nos buteleczkę z amoniakiem. — Wąchaj!... — Wącha... — Jeszcze powąchaj... mocniej... — Wącha... — No co, łzej ci? — Jakby trochę łzej... — No, to idź sobie z Panem Bogiem.“

Poza tym całowanie rąk budziło we mnie uczucie wstrętu. (Byli i tacy, którzy od razu padali do nóg i ze wszystkich sił starali się całować moje buty). Nie był to bynajmniej odruch wdzięcznego serca, lecz po prostu ohydny zwyczaj, zaszczerpiiony w czasach niewolnictwa i przemocy. Zadziwiało mnie tylko, z jaką niewzruszoną powagą oficjalista dworski i „urządnik“ pchają chłopom pod nos swe wielkie, czerwone łapska.

Pozostało mi tylko polowanie. Jednak w końcu stycznia pogoda tak się zepsuła, że polować zupełnie nie było można. We dnie szalał okropny wichur, w nocy śnieg pokrywał się skorupą lodową, po której zając przebiegał nie zostawiając śladów. Siedząc w domu i przysłuchując się zawodzeniom wiatru nudziłem się straszliwie. Nic dziwnego, że skwapliwie oddałem się tak niewinnej rozrywce jak nauczanie czytania i pisanja gajowego Jarmoły.

Zaczęło się to zresztą dosyć oryginalnie. Pewnego razu pisałem list i nagle poczułem, że ktoś stoi za moimi plecami. Odwróciłem się i ujrzałem Jarmołę, który, jak zwykle, cichuteńko wszedł do pokoju w swych miękkich łapciach.

— Czego chcesz, Jarmołę? — zapytałem.

— Ot, patrzę sobie, jak panyecz pisze. Żebym ja tak mógł... Nie, nie... nie tak jak panyecz. Choćby tylko familię...

— Na co ci to? — zapytałem zdziwiony.

Trzeba wiedzieć, że Jarmołę uważany był za najbiedniejszego i najbardziej leniwego chłopca w Pieriebrodzie; całą swoją pensję gajowego i dochód z gospodarki przepija; tak marnych wołów jak u niego nie ma w całej okolicy. Moim zdaniem, komu jak komu, ale Jarmole uniejętność czytania i pisanja nie mogła się przydać w żadnym wypadku.

Raz jeszcze spytałem z powątpiewaniem:

— Co ci z tego przyjdzie, że będziesz umiał napisać swoje nazwisko?

— A, bo widzi panyecz, takie sprawy — odpowiedział Jarmola wyjątkowo łagodnie — ani jednego piśmiennego nie ma we wsi. Kiedy jaką papirę przyniosą, żeby podpisać, czy w gminie sprawa się zdarzy, czy co... nikt nie może... Soltys stawia tylko pieczęć, a sam nie wie, co na niej wydrukowane... Przydałoby się wszystkim, żeby choć jeden umiał się podpisać.

Taka dbałość ze strony Jarmoly — znanego kłusownika i beztroskiego włóczęgi, z którego zdaniem ani myślało się liczyć zebranie gromadzkie — taka dbałość o interesy jego rodzimej wioski dziwnie mnie wzruszyła. Pierwszy zaproponowałem mu udzielanie lekcji. Cóż to była za ciężka praca — te moje próby nauczania go czytania i pisania ze zrozumieniem. Jarmola, który znał doskonale każdą ścieżynę w lesie, niemal każde drzewo, nie błdził ani we dnie, ani w nocy w największych gestwinach i rozróżniał po śladach wszystkie miejscowe wilki, lisy i zające — ten sam Jarmola w żaden sposób nie mógł sobie uzmysłowić, dlaczego na przykład litery „m“ i „a“ dają razem „ma“. Zazwyczaj Jarmola mordował się nad takim problemem przynajmniej dziesięć minut albo i więcej. Na jego ciemnej, suchej twarzy z zapadniętymi oczyma, ledwie widocznej spoza czarnej, szorstkiej brody i sumiastych wąsów, malował się wówczas wyraz najwyższego wysiłku umysłowego.

— Jarmola, powiedz — „ma“. Powiedz po prostu „ma“ — nalegałem. — Nie patrz na papier, tylko na mnie, o tak. No, powiedz — „ma“...

Jarmola wzdychał wtedy głęboko, kładł na stół paleczkę do wskazywania i mawiał ze smutkiem, lecz stanowczo:

— Nie... nie mogę...

— Dlaczego nie możesz. Przecież to takie łatwe. Powiedz po prostu — „ma“, tak jak ja to mówię.

— Nie... nie mogę, panyczu... zapomniałem...

Wszystkie metody, chwyt i przykłady rozbijały się o tę potworną niepojętność. Jednak pęd Jarmoly do wiedzy bynajmniej nie słabnął.

— Mnie samo nazwisko starczy — prosił nieśmiało — niczego więcej nie trzeba. Tylko nazwisko: Jarmola Poprużuk — i koniec.

Porzuciwszy ostatecznie myśl o czytaniu i pisaniu ze zrozumieniem, zacząłem uczyć go podpisywać się mechanicznie. Ku memu wielkiemu zdziwieniu sposób ten okazał się dla Jarmoly najbardziej dostępny i już przy końcu drugiego miesiąca nauki prawie opanowaliśmy nazwisko; imię — dla uproszczenia sprawy — postanowiliśmy całkiem pominąć.

Wieczorami, po napaleniu w piecach, Jarmola z niecierpliwością oczekiwał, aż go zawołam.

— No, Jarmola, chodź się uczyć — mawiałem zazwyczaj.

Jarmola boczkiem zbliżał się do stołu, siadał, opierał się na nim łokciami, wsuwał w swe czarne, zgrabiałe, nie zginające się palce pióro i unosząc brwi pytał:

— Pisać?

— Pisz.

Jarmola dosyć pewnie kreślił pierwszą literę — „P“ (litera ta nazywała się u nas „palka z kółkiem“); potem spoglądał na mnie z niemym pytaniem.

— Dlaczego nie piszesz? Zapomniałeś?

— Zapomniałem... — kiwał głową zafrasowany Jarmola.

— Widzisz, jaki ty jesteś! No, postaw koło.

— A — a! Koło, koło! Wiem... — ożywał się Jarmola i starannie rysował na papierze figurę bardzo przypominającą swymi zarysami Morze Kaspijskie. Po ukończeniu tego dzieła, przez pewien czas w milczeniu podziwiał je, pochylał głowę to w lewo, to w prawo, mrużąc oczy.

— Dlaczego przestałeś? Pisz dalej.

— Poczekaj trochę, panyczku... zaraz.

Rozmyślał jeszcze ze dwie minuty, a potem nieśmiało zapytywał:

— Tak jak pierwsza?

— Tak samo. Pisz.

W ten sposób, powoli, doszliśmy do ostatniej litery — „k“, nazwanej przez nas „palką z przystawionym do boku daszkiem“.

— A co myślisz, panyczu — mówił czasami Jarmola spoglądając z miłością i dumą na ukończoną dopiero co pracę — żeby tak mnie pouczyć się jeszcze z pięć albo sześć miesięcy, ja by już dobrze umiał. Jak panycz powiesz?

II

Jarmola przysiadł na piętach przed drzwiczkami pieca i grzebał w węglach, ja zaś chodziłem po pokoju z kąta w kąt. Ogromny dwór składał się z dwunastu pokoi, z których zajmowałem tylko jeden, dawny salonik. W pozostałych, zamkniętych na klucz pokojach bezwładnie i uroczyście pleśniały nie ruszane nigdy z miejsca, stare, obite jedwabiem meble, dziwaczne brązy i portrety z XVIII wieku.

Za ścianami domu wściekał się wicher, jak stary, zziębnięty diabeł. W jego wyciu słychać było dziki śmiech, pisk i jęki. Pod wieczór zadymka rozpętała się na dobre. Jak gdyby czyjeś niewidoczne ręce miotaly ze złością w szyby garściami drobnego, suchego śniegu... Las, rosnący opodal, skarżył się i huczał nieustannie, glucho, grożąc komuś z ukrycia...

Wiatr wciskał się do pustych pokoiów i wyjących kominów; stary dwór, roztrzęsiony, podziurawiony na wylot, leżący niemal w ruinie — napelniał się nagle dziwnymi głosami, którym przysłuchiwałem się z mimowolną trwogą. Oto ktoś westchnął wyraźnie w białej sali — głęboko, ze smutkiem, jakby mu tchu zabrakło. Oto drgnęły i zaskrzypiały przegniłe deski pod czyimiś dalekimi, ciężkimi i bezdźwięcznymi krokami. Po chwili wydaje mi się, że tuż obok mego pokoju, w korytarzu, ktoś ostrożnie i uparcie naciska kłankę u drzwi, a potem w nagłym przystępie szaleństwa miota się po całym domu, wściekle szarpiąc wszystkimi drzwiami i okiennicami, lub zaszywa się w komin i piszczy żałośnie, natrętnie i nieustannie, to podnosząc głos do coraz wyższego i cieńszego, jęklivego pisku, to zniżając go do zwierzęcego ryku. Czasami straszny ten gość wdierał się również i do mego pokoju, przebiegał nagle, zimnym dreszczem po moich plecach

i chybał plomieniem lampy, rzucającej mgliste światło spod papierowego, opalonego, zielonego abażuru.

Ogarnął mnie dziwny, nieokreślony niepokój. Oto — myślałem sobie — w głuchą, ponurą noc zimową podczas zawieruchy siedzę w zmurszałym domu, na wsi zagubionej w lasach i zapach śnieżnych, o setki kilometrów od życia miejskiego, od towarzystwa, od śmiechu kobiet, od ludzkiej mowy... Wydawało mi się, że lata całe będzie się wlec ten burzliwy, straszny wieczór — aż do samej śmierci, i że ciągle tak samo zawodzić będzie za oknami wiatr, tak samo mgliście świecić będzie lampa pod nędznym, zielonym abażurem, tak samo niespokojnie chodzić będę tam i z powrotem po swym pokoju, tak samo siedzieć będzie koło pieca milczący, skupiony Jarmola — dziwaczna i obca mi istota, obojętna na wszystko na świecie: i na to, że jego rodzina nie ma co do garnka włożyć, i na poświsty wiatru, i na mój nieokreślony, nękający smutek. Poczulem nagle nieodparte pragnienie przetrwania tej męczącej ciszy, choćby tylko dźwiękiem ludzkiego głosu, i zapytałem:

— Jak myślisz, Jarmola, dlaczego dzisiaj taki wiatr?

— Wiatr? — odezwał się Jarmola, leniwie podnosząc głowę. — A bo panyecz nie wie?

— Pewnie, że nie wiem. Skądże mogę wiedzieć?

— Naprawdę nie wie? — ożywił się nagle Jarmola. — To ja panyczowi powiem — ciągnął dalej z tajemniczą nutką w głosie — to ja panyczowi powiem: czy wiedźmaka narodziła się, czy czort wesele sprawia.

— Wiedźmaka — to czarownica po waszemu?

— A tak, tak... czarownica.

Zacząłem skwapliwie nagabywać Jarmolę. „Kto wie — pomyślałem sobie — może teraz uda mi się wyciągnąć z niego jakąś ciekawą historię o czarach, zakopanych skarbach lub wilkołakach?...“

— No, a tu u was, na Polesiu, są wiedźmy? — zapytałem.

— Nie wiem... Może są... — odparł Jarmola z poprzednią obojętnością i znowu pochylił się nad piecem. — Starzy ludzie mówią, że były kiedyś... Może i nieprawda...

Od razu ogarnęło mnie uczucie rozczarowania. Charakterystyczną cechą Jarmoły była uporczywa niechęć do rozmowy, dlatego też straciłem wszelką nadzieję, że uda mi się coś z niego wydobyć na temat, który mnie interesuje. Jednakże, ku memu zdziwieniu, gajowy odezwał się nagle leniwym i niedbałym głosem, zwracając się jak gdyby nie do mnie, lecz do huczącego pieca:

— Była u nas z pięć lat temu taka wiedźma... Tylko że chłopcy ją z siola przepędzili!

— Dokąd ją przepędzili?

— Dokąd!... Wiadomo, do lasu... Dokąd mogli przepędzić? I chatę jej rozwalili, żeby z tego przekłętą kubłą¹ i drzazgi nie zostało... A ją samą wyprowadzili za siolo i dali po karku.

— A za co ją wygnali?

— Dużo szkody narobiła: klóciła się ze wszystkimi, ziele trując gotowała, węzłki na życie wiązała... Jeden raz prosiła u naszej młodocy, żeby jej dała złotówkę. Ta mówi: „Nie mam złotówki, odczep się. — No, dobrze — powiada — popamiętasz to sobie, jak mi złotówki nie chciałaś dać...” I co panycz myśli: od tej pory dziecko młodocy zaczęło chorować. Chorowało, chorowało i całkiem umarło. Wtenczas to chłopcy i przegnali tę wiedźmakę, żeby jej oczy na wierzch powylazily!

— No, a gdzie teraz ta wiedźmaka? — wypytywałem go w dalszym ciągu.

— Wiedźmaka? — Jarmoła swoim zwyczajem z wolna powtórzył pytanie. — A bo ja wiem?

— A czy w Pieriebrodzie nie ma nikogo z jej krewnych?

— Nie, nie ma. Cudza ona była, chyba z kacapów albo z Cyganów... Jeszcze małym chłopczykiem byłem, kiedy przyszła do nas na siolo. I dziewczynka z nią była: córka czy wnuczka... Obie przegnali...

— A czy teraz nikt do nich nie chodzi wróżby posłuchać lub po ziele jakieś?

— Baby latają — pogardliwie rzucił Jarmoła.

— Aha! Więc wiadomo, gdzie mieszka?

¹ Kublęm nazywają na Polesiu — gniazdo, siedlisko.

— Ja tam nie wiem... Ludzie mówią, że gdzieś koło Bisowego Kuta. Zna panycz to błoto, jak przejść irinowski trakt. Właśnie w tym błocie siedzi, trasca¹ jej mać.

„O jakieś dziesięć kilometrów od tego domu mieszka wiedźma... żywa, poleska wiedźma z prawdziwego zdarzenia“. Myśl ta od razu poruszyła mnie i zainteresowała.

— Słuchaj, Jarmola — zwróciłem się do gajowego — w jaki sposób mógłbym poznać tę wiedźmę?

— Tfu! — splunął z oburzeniem Jarmola. — Tylko takiego szczęścia panyczowi brakowało.

— Szczęścia czy nieszczęścia, ale pójdę do niej na pewno. Jak tylko się trochę ociepli, od razu ruszam w drogę. Ty mnie, rzecz prosta, zaprowadzisz?

Te ostatnie słowa tak oszołomiły Jarmolę, że aż się zerwał na równe nogi.

— Ja?! — krzyknął z oburzeniem. — Za nic na świecie! Żeby tam nie wiem co, nie pójdę.

— Głupstwa pleciesz, pójdziesz...

— Nie, panyczu, nie pójdę... za nic nie pójdę... Żebym ja?!... — krzyknął w nowym przystępie oburzenia. — Żeby ja poszedł do wiedźmaczego kubła! Niech Bóg broni. I panyczowi nie radzę.

— Jak sobie chcesz... a ja pójdę. Bardzom ciekaw, jak też ona wygląda.

— Nic ciekawego — burknął Jarmola i trzasnął ze złością drzwiczkami pieca.

Po upływie godziny, gdy gajowy, zabrawszy samowar ze stołu, wypił herbatę w przedpokoju i zbierał się do domu, zapytałem go jeszcze:

— A jak się nazywa ta wiedźma?

— Manujlicha — opryskliwie i pośpiesznie odpowiedział Jarmola.

Chociaż gajowy nigdy nie zdradzał swych uczuć, jednak, zdaje się, był do mnie przywiązany; źródłem przywiązania była jednako u obu namiętność myśliwska, mój bezpośredni stosunek do niego, pomoc, którą okazywałem od czasu do czasu jego wiecznie

¹ Przekleństwo białoruskie; „trasca“ — zimnica.

głodującej rodzinie, a przede wszystkim ta okoliczność, że nigdy nie karcilem go za pijaństwo, czego Jarmola nie znośli. Dlatego też moje postanowienie ujrzenia wiedźmy wprowało go w ponury nastrój, który uzewnętrznił się przyspieszonym sapaniem, kopnięciem z całej siły psa — Rabczyka, po wyjściu na ganek. Rabczyk zaskowyczał żałośnie i uskoczył w bok, jednak natychmiast pobiegł za Jarmolą, skomląc bez przerwy.

III

Po dwóch dniach ocieplilo się. Pewnego razu, wczesnym rankiem, Jarmola wszedł do mego pokoju i oświadczył obojętnie:

— Trzeba fuzje oczyścić, panyczu.

— Co się stało? — zapytałem przeciągając się pod kołdrą.

— Zajac w nocy silnie chodził: śladów dużo. Pójdziemy na ponowę do dworskiego lasu?

Wiedziałem, że Jarmola rwie się do polowania i że jedynie ukrywa namiętną żądzę myśliwską pod maską wymuszonej obojętności. Tak było w istocie. W przedpokoju stała już w kącie jego jednorurka, przed którą ani jednemu bekasowi nie udało się umknąć, pomimo że nasada lufy upstrzona była licznymi cynowymi łatami, nałożonymi w miejscach, gdzie rdza i gazy prochowe przeżarły żelazo.

Od razu po wejściu w las trafiliśmy na świeży ślad zajęczy: dwie łapki obok siebie i dwie z tyłu, jedna za drugą. Zajac wyszedł na drogę, przebiegł po niej z paręset metrów i ogromnym susem skoczył z drogi do sosnowego młodniaka.

— No, teraz będziemy mu zachodzić — powiedział Jarmola. — Jak dał stąd łamańca, tak tu i położy się. Niech panycz idzie... — Zamyślił się, miarkując po sobie tylko wiadomych znakach, dokąd mamy się udać...

— Niech panycz idzie do starej karczmy. Ja obejdę go od Zamłynu. Jak tylko go pies wypędzi, krzyknę panyczowi.

W tej samej chwili zniknął, jakby dał nurka w gęstwinę niewysokich zarośli. Natężyłem słuch. Najmniejszy szelest nie

zdradził jego kłusowniczego kroku, żadna gałązka nie skrzypnęła pod jego nogami, obutymi w „postoły“¹.

Nie śpiesząc się dotarłem do starej karczmy — nie zamieszkałej, zmurzalej chaty — i stanąłem na skraju sosnowego lasu pod potężną, wysokopienną sosną. Było tak cicho, jak bywa tylko w lesie zimą, w bezwietrzny dzień. Kiście śniegu zwisające z gałęzi pochylały je ku dołowi, nadając im świąteczny i surowy wygląd. Od czasu do czasu spadała z wierzchołka cieniutka gałązka i nadzwyczaj wyraźnie słychać było, jak z lekkim trzaskiem zawadzała w locie o inne gałązki. Śnieg mienił się różowymi barwami w słońcu i błękitniał w cieniu. Wziął mnie w swe posiadanie cichy czar tego uroczystego, chłodnego milczenia i wydawało mi się, że czuję, jak powoli i bezszelestnie przechodzi koło mnie czas...

Nagle daleko, w samej gęstwinie, rozległo się ujadanie Rabczyka — charakterystyczne ujadanie psa idącego za zwierzyną, cienkie, rozedrgane i nerwowe, przechodzące niemal w skowyt. Jednocześnie usłyszałem głos Jarmola, który w zapamiętaniu wrzeszczał za Rabczykiem: „U-byj! U-byj“, pierwszą sylabę — przeciągłym, ostrym falsetem, drugą — urywanym basem (dopiero po upływie długiego czasu dowiedziałem się, że ten poleski okrzyk myśliwski pochodzi od czasownika „ubić“).

Wydawało mi się, sądząc po kierunku, z którego dobiegało ujadanie, że pogoń odbywa się na lewo ode mnie. Przeciąłem śpiesznie polankę chcąc zabiec drogę zwierzynie. Nie zrobiłem jednak nawet dwudziestu kroków, gdy duży, szary zając wyskoczył zza pnia i, jak gdyby nie śpiesząc się, stuliwszy długie uszy, wysokimi, powolnymi susami przesadził drogę i skrył się w młodniaku. Tuż za nim wyskoczył pędzący Rabczyk. Ujrawszy mnie machnął z lekka ogonem, chwycił zębami nieco śniegu i pognął znów za zającem.

Jarmola wynurzył się nagle z gęstwiny równie cicho, jak przedtem był zniknął.

— Dlaczego panyecz nie zaszedł mu drogi? — krzyknął cmo-kając z wyrzutem językiem.

¹ Obuwie z nie wyprawionej skóry.

— Przecież za daleko było... ze dwieście kroków.

Widząc moje zmieszanie Jarmola zmiękł.

— Tó nic... Nie ucieknie nam. Niech panycz idzie na irinowski trakt — zaraz tam wyskoczy.

Poszedłem we wskazanym kierunku i już po dwóch minutach usłyszałem, że pies goni zająca gdzieś opodal.

Porwany zapalem łowieckim, trzymając dubeltówkę przed sobą, pobiegłem na przełaj przez gęstwinę, łamiąc po drodze gałęzie i nie zwracając uwagi na dotkliwe ich uderzenia. Biegłem tak dość długo i już brakło mi tchu, gdy ujadanie nagle urwało się. Zwolniłem kroku. Zdawało mi się, że jeśli będę iść wprost przed siebie, to na pewno spotkam się z Jarmolą na irinowskim szlaku. Niebawem jednak przekonałem się, że podczas biegu, omijając pnie i krzaki, nie myślałem zupełnie o kierunku i w rezultacie — zabłądziłem. Zacząłem wówczas nawoływać Jarmolę. Gajowy nie odpowiadał.

Tymczasem machinalnie szedłem wciąż prosto przed siebie. Las zaczął się nieco przerzedzać, grunt powoli opadał, pojawiły się kępy. Odciski butów na śniegu szybko ciemniały i napępniały się wodą. Kilka razy już zapadałem po kolana. Musiałem przeskakiwać z kępy na kępę; pokrywał je gęsty, brunatny mech, w którym nogi tonęły jak w puszystym dywanie.

Zarośla skończyły się niebawem. Znalazłem się nad obszernym, okrągłym trzęsawiskiem, z lekka przyprószonym śniegiem, spod którego wyglądały pojedyncze kępy. Na przeciwległym krańcu błota, między drzewami, bieląły ściany jakiejś chaty. „Irinowska leśniczówka zapewne — pomyślałem. — Trzeba by wstąpić i spytać o drogę“. Przedostanie się do chaty nie było jednak takie łatwe. Co chwila zapadałem po kolana w błoto. Przemoczyłem buty, które przy każdym kroku głośnie chlupały, i z wielkim wysiłkiem ciągnąłem nogi za sobą.

Wybrnąłem wreszcie z trzęsawiska i wdrapałem się na mały pagórek, skąd widać było doskonale chatę. Nie była to zresztą chata, raczej chatka na kurzej nózce — jak w bajce. Nie miała fundamentów, lecz opierała się na palach, widocznie ze względu na powódzie, które zatapiały wiosną cały las irinowski. Jedna

ze ścian osiadła z biegiem czasu i dlatego domek jak gdyby okulał i wyglądał smutnie. W oknach brakowało paru szyb; miejsce ich zajęły jakieś brudne szmaty, sterczące na zewnątrz.

Nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi. W chacie było bardzo ciemno, a ponieważ przedtem wpatrywałem się długo w śnieg, przed oczyma ujrzałem tylko fioletowe plamy. Przez dobrą chwilę nie mogłem zorientować się, czy ktoś jest w chacie.

— Ej, dobrzy ludzie, czy jest kto w domu? — zapytałem głośno.

Coś poruszyło się koło pieca. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem staruchę siedzącą na podłodze przed olbrzymią kupą kurzego pierza. Starucha brała po kolei każde pióro do rąk, zdierała puch i kładła go do koszyka, a trzonki odrzucała na ziemię.

„Przecież to Manujlicha — irinowska wiedźma“ — wpadło mi na myśl, gdy przyjrzałem się jej dokładniej. Wszystkie rysy Baby Jagi, znane z baśni ludowej, znalazły tu swe ucieleśnienie: chude, wpadnięte policzki przechodziły u dołu w ostry, długi, zwiedły podbródek, stykający się prawie ze zwisającym w dół nosem; bezzębne, zapadłe usta poruszały się nieustannie, jak gdyby przeżuwać jakiś pokarm; wyblakłe, niegdyś niebieskie oczy, zimne, okrągłe i wypukłe, o bardzo wąskich, czerwonych powiekach, patrzyły na świat jak oczy niezwyklego, złowieszczonego ptaka.

— Jak się masz, babciu! — powiedziałem możliwie najuprzejmiej. — Czy nie nazywasz się przypadkiem Manujlicha?

W odpowiedzi z piersi staruchy wydobył się jakiś belkot i rżenie, po czym z jej bezzębnych, mamroczących ust wydostały się dziwaczne dźwięki, przypominające chwilami krakanie tracącej oddech starej wrony, to znów przechodzące w ochryply, urywany falset.

— Kiedyś dobrzy ludzie może i nazywali mnie Manujlichą... A teraz nazywają Zaranką, a wolają cyranką. A ty czego chcesz? — spytała niezyczliwie, nie przerywając swego jednostajnego zajęcia.

— Widzisz, babciu, zablądziłem. Czy nie znajdzie się dla mnie trochę mleka?

— Nie ma mleka — ze złością odburknęła starucha. — Wielu was po lesie chodzi... Nie nakarmisz wszystkich, nie napoisz...

— Aleś ty, babciu, niegościnna...

— Twoja prawda, dobrodzieju: całkiem niegościnna jestem. Ptasiego mleka dla was nie trzymamy. Zmęczony jesteś — posiedź sobie, z chaty nikt cię nie wypędza. Wiesz, jak przysłowie powiada: „Daj kurze grzędę — ona: wyżej siędę“. Sam rozumiesz...

Te wyrażenia upewniły mnie od razu, że starucha nie pochodzi z tych stron: na Polesiu nie lubią i nie potrafią ocenić tego daru wymowy, który posiada zawołany gawędziarz — mieszkaniec północnej Rosji, sypiący jak z rękawa ciętymi słówkami i przysłowiami.

Tymczasem starucha, nie odrywając się od pracy, mamrotała coś pod nosem, coraz ciszej wszakże i niewyraźniej. Zrozumiałem z tego zaledwie kilka słów, nie powiązanych ze sobą: „Babka Manujlicha, ot tobie masz... A co za jeden — nie wiadomo... Wierci się taki jak sroka, na miejscu usiedzieć nie może...“

Przysłuchiwałem się temu przez pewien czas w milczeniu i nagle myśl, że mam przed sobą obłąkaną, wzbudziła we mnie strach połączony ze wstrętem.

Tymczasem zdążyłem już rozejrzeć się po izbie. Znaczną jej część zajmował wielki, popękany piec. W kącie, na ścianie, nie było świętych obrazów. Nie było także portretów nie znanych nikomu generałów ani pospolitych myśliwych o zielonych wąsach, w towarzystwie fioletowych psów. Zamiast nich wisiały pęczki zasuszonych ziół, wiązki pomarszczonych korzonków i naczynia kuchenne. Sowy ani czarnego kota nie zauważyłem, natomiast dwa duże, pstre szpaki przypatrywały mi się z pieca ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Babciu, a wody przynajmniej można się napić? — zapytałem podnosząc głos.

— Tam w kadzi — kiwnęła głową stara.

Woda cuchnęła błotną stęchlizną. Podziękowałem starej (nie zwróciła na to najmniejszej uwagi) i spytałem, jak wydostać się na trakt.

Manujlicha podniosła nagle głowę, przyjrzała mi się uważnie swymi ptasimi, zimnymi oczami i pośpiesznie wymamrotała:

— Idź, idź... idź, molojczy, swoją drogą. Nie masz tu nic do

roboty... Dobry gość długo nie siedzi z podarkiem... Idź już stąd, ojczulku...

Nic mi innego już nie pozostawało jak tylko odejść. Zbierałem się już do wyjścia, gdy wtem przyszło mi na myśl, żeby uciec się do ostatecznego środka, mogącego udobruchać staruchę. Wyjąłem z kieszeni nową srebrną monetę i pokazałem ją Manujlisze. Nie zawiodłem się. Na widok pieniędzy stara poruszyła się otwierając szerzej oczy i wyciągnęła po pieniądz haczykowate, obrzmiałe i drżące palce.

— E, co to, to nie, babciu Manujlichu, za darmo nie dostaniesz — drażniłem się z nią, chowając monetę. — Musisz mi powróżyć.

Brunatna, zmarszczona twarz czarownicy wykrzywiła się z niezadowolenia. Wahala się widocznie i, niezdecydowana, spoglądała na moją pięść, w której zacisnąłem pieniądz. Chciwość jednak zwyciężyła.

— To już lepiej idź sobie — wymamrotała wstając z wysiłkiem z podłogi. — Nikomu teraz nie wróżę, gołąbku... Zapomniałam... Zestarzałam się, oczy nie widzą. Chyba że tylko tobie.

Opierając się o ścianę i dygocąc przy każdym kroku całym ciałem, zbliżyła się do stołu, wyjęła steraną talię rozpęczniałych, brudnych kart, potasowała je i położyła przede mną.

— Przelóż no... lewą rączką przelóż... Od serca...

Splunęła na palce i zaczęła mi kłaść kabale. Karty padały na stół, wydając taki dźwięk, jak gdyby były ulepione z ciasta, i układały się w regularną ośmioramienną gwiazdę. Gdy ostatnia karta upadła zewnętrzną stroną na króla, Manujlicha wyciągnęła do mnie rękę:

— Pozłocić trzeba, jasny panie... Szczęśliwy będziesz, bogaty będziesz... — zaśpiewała jak najprawdziwsza, żebrząca Cyganka.

Dałem jej przygotowany pieniądz. Starucha malpim ruchem schowała go do ust.

— Duży majątek cię czeka po długiej podróży — zaczęła utartą formułą. — Spotkasz damę dzwonkową i będziesz miał przyjemną rozmowę w rządowym domu. W krótkim czasie otrzymasz wiadomość od króla żołędno. Wypadają ci jakieś kłopoty, a potem

znowu otrzymasz niewielkie pieniądze. Będiesz w dużej kompanii, będziesz pijany... Nie na umór, ale zawsze jakaś tam pijatyka. Czeką cię długie życie. Jeżeli nie umrzesz w sześćdziesiątym siódmym roku, to...

Nagle przerwała, podniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. I ja nadstawiłem uszu. Jakiś świeży i dźwięczny kobiecy głos śpiewał, zbliżając się do chaty. Poznałem od razu słowa melodyjnej ukraińskiej piosenki:

*Oj, czy cwił, czy ni cwił
Kałynońku lomył.
Oj, czy son, czy ne son
Hołowońku klonył.*

— No, idź już sobie, gołąbku — zakrzętała się z niepokojem starucha odsuwając mnie ręką od stołu. — Po co masz cudze progi obijać. Nic tu po tobie...

Chwyciła nawet za rękaw kurtki i pociągnęła mnie ku drzwiom. Na twarzy malował się wyraz zwierzęcego strachu.

Głos śpiewający piosenkę zamilkł nagle tuż koło chaty, szcęknęła żelazna klamka i w energicznie otwartych drzwiach ukazała się rośla, roześmiana dziewczyna. Ostrożnie podtrzymywała oburącz pasiasty fartuszek, z którego wyglądały trzy maleńkie ptasie główki o czerwonych szyjkach i czarnych, błyszczących oczkach.

— Popatrz, babuniu, znowu zięby przyplątały się do mnie — zawołała ze śmiechem — zobacz, jakie pocieszne... Głodniuteńkie. A właśnie, jak na złość, nie miałam chleba ze sobą.

Ujrzawszy mnie urwała w pół słowa i zarumieniła się po same uszy. Z wyrazem niezadowolenia ściągnęła wąskie, czarne brwi i spojrzała pytająco na staruchę.

— Widzisz, jakiś pan przyszedł... Pyta o drogę — wyjaśniła starucha. — No, ojczulku — zwróciła się do mnie stanowczym tonem — dość już baki zbijać. Napileś się wody, porozmawiałeś — komu w drogę, temu czas. My tobie nie kompania...

— Słuchaj, moja miła — zwróciłem się do dziewczyny. —

Wskaż mi, proszę, drogę na irinowski trakt, bo inaczej na wieki ugrzęznę w waszym błocie.

Na dziewczynę podziałal widocznie ton grzecznej prośby, jakim wypowiedziane zostały te słowa, gdyż usadowiła zięby na piecu obok szpaków, rzuciła na ławę zdjętą przed chwilą świtkę i milcząc wyszła z chaty.

Udałem się za nią.

— Czy wszystkie twoje ptaki są oswojone? — zapytałem doganiając dziewczynę.

— Oswojone — odparła krótko, nie patrząc nawet na mnie. — Widzi pan — powiedziała zatrzymując się u płotu — o, tamtą ścieżkę, między sosnami. Widzi pan?

— Widzę...

— Niech pan idzie nią prosto i prosto. Jak pan dojdzie do pnia dębowego, trzeba skrócić na lewo, a potem prosto już lasem i zaraz będzie irinowski trakt.

Podczas gdy dziewczyna wskazywała mi ręką kierunek, przysglądałem się jej z mimowolnym zachwytem. Nie przypominała ona w niczym miejscowych „diwczat“, których twarze, owinięte w szkaradne chustki, przykrywające u góry czoło, a u dołu usta i podbródek, mają tak jednakowy, wystraszone wyraz. Moja nieznajoma, wysoka brunetka lat dwudziestu — do dwudziestu pięciu, ubrana była swobodnie i z wdziękiem. Obszerna, biała koszula okrywała młodą, zdrową pierś. Swoiste piękno jej twarzy pozostawiało w pamięci niezatarte wrażenie, jednak przyzwyczaić się choćby do niej lub opisać ją było rzeczą trudną. Powab jej tkwił w dużych, błyszczących, ciemnych oczach, którym wąskie, załamane pośrodku brwi nadawały ledwo dostrzegalny wyraz figlarności, naiwności a zarazem despotyzmu, w smagloróżowej cerze i w kapryśnym wygięciu warg, z których dolna, nieco pełniejsza, wysuwała się ku przodowi.

— Nie boicie się mieszkać same w takiej głuszy? — spytałem przystając u opłotka.

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

— A czego się bać? Wilki tu nie przychodzą.

— Czy tylko wilki są straszne na świecie... Śniegiem was może

zasypać, pożar może się zdarzyć... Albo jeszcze coś innego. Same tu jesteście, nikt wam nie pomoże.

— I chwała Bogu! — machnęła lekceważąco ręką. — Żeby nam z babcią dali święty spokój, toby lepiej było, a tak...

— A tak, to co?

— Kto za dużo wie, ten prędko się starzeje — przecięła dziewczyna. — A pan kto taki? — spytała niespokojnie.

Domyśliłem się, że starucha i nieznajoma ślicznotka obawiają się jakichś szykan ze strony władzy, i nie omieszkalem jej uspokoić.

— Nie masz się co mnie obawiać. Nie jestem ani wójtem, ani pisarzem, ani z akcyzy, słowem — żadna władza.

— A nie kłamie pan czasem?

— Daję ci słowo honoru, że jestem tu całkiem obcy. Przyjechałem na parę miesięcy, a potem pojedę sobie. Jeśli chcesz, to nawet nie powiem nikomu, że byłem tutaj i widziałem was. Wierzysz mi?

Twarz dziewczyny rozjaśniła się nieco.

— No, jeśli pan nie łże, to widocznie prawdę mówi. A pan, czy słyszał kiedy o nas, czy sam zaszedł?

— Sam nie wiem, jakby ci tu powiedzieć... Coś tam o was, powiedzmy, słyszałem i nawet chciałem zobaczyć przy okazji, ale dziś trafiłem przypadkowo, zablądziłem... No, a teraz powiedz mi, dlaczego boicie się ludzi? Krzywdzą was?

Dziewczyna spojrzała na mnie badawczo i z niedowierzaniem. Miałem jednak czyste sumienie i wytrzymałem jej spojrzenie bez drgnienia powiek. Wówczas zaczęła mówić z rosnącym podnieceniem:

— Źle nam się od nich dzieje... Z prostymi ludźmi jeszcze pół biedy, ale za to władza... Przyjedzie urzędnik — ciągnie co się da, przyjedzie stanowy — tak samo. A jeszcze nim weźmie, babkę sponiewiera: ty wiédźmo jedna, krzyczy, diabli pomocię, katorżnico... Ech! Co tu dużo mówić!

— A ciebie nie ruszają? — wyrwało mi się nieostrożne pytanie.

— Nie ruszają... Raz mierniczy jakiś polazł do mnie... Poglaskać mu się zachciało... To tak go poglaskałam, że i dziś chyba pamięta.

W tych drwiących a zarazem dumnych słowach zabrzmiała taka

pewność siebie, że pomyślałem mimo woli: „Nie darmo wyrosłaś wśród poleskiej puszczy — nie ma z tobą żartów, jak widać“.

— Czy my kogo ruszamy! — ciągnęła nabierając do mnie coraz większego zaufania. — Ludzie nam niepotrzebni. Tylko raz w roku pójdę do miasteczka po mydło i sól... I po herbatę dla babci — żyć bez niej nie może. A tak, to nikogo nie chcemy widzieć.

— Widzę, żeście z babcią naprawdę niezycziwe dla ludzi... Czy ja będę mógł przyjść kiedyś na chwilkę?

Dziewczyna uśmiechnęła się i jakoś dziwnie i nieoczekiwanie zmieniła się jej piękna twarz! Poprzednia surowość zniknęła bez śladu, miejsce jej zajął wyraz dziecinnej nieśmiałości.

— Co pan u nas będzie robił? Nudno u nas... Cóż, proszę przychodzić, jeśli z pana naprawdę dobry człowiek. Tylko, ot co... Jeśli pan trafi kiedy do nas, to już lepiej bez strzelby...

— Boisz się?

— Czego mam się bać? Niczego się nie boję — w głosie zabrzmiała znów głęboka pewność swej siły. — Tylko nie lubię tego. Po co zabijać ptaszki albo i zające. Nikogo nie krzywdzą, a żyć chcą tak jak ludzie. Lubię je: takie to maleńkie, głupie takie... No, ale do widzenia, panie... — poruszyła się nagle — nie wiem nawet, jak panu z imienia... Boję się, że babcia krzyczeć będzie.

Lekko i szybko pobiegła w kierunku chaty, pochylając głowę i przytrzymując rękami włosy od wiatru.

— Poczekaj, poczekaj — krzyknąłem. — Jak się nazywasz? Zawrzyjmy znajomość jak należy.

Dziewczyna przystanęła na chwilę i odwróciła się ku mnie.

— Alona mi na imię... Po tutejszemu — Olesia.

Zarzuciłem dubeltówkę na ramię i poszedłem we wskazanym kierunku. Wszedłszy na niewielki pagórek, skąd zaczynała się wąska, ledwo widoczna ścieżka leśna, obejrzałem się. Czerwona spódnica Olesi, trzepocząca z lekka na wietrze, widniała jeszcze na ganeczku, odcinając się jaskrawą plamą od oślepiająco białego, jednostajnego tła śniegu.

W godzinę po mnie przyszedł do domu Jarmoła. Żywiąc, jak

zwykle, niechęć do częściej gadaniny, nie spytał mnie nawet słowem, gdzie i jak zblądziłem. Rzekł tylko, jak gdyby mimochodem:

— Tam... zającą przyniosłem na kuchnię... Smażyć będziemy, czy pośle panycz komu?

— A czy wiesz, Jarmola, gdzie byłem dzisiaj? — zapytałem wyobrażając sobie zawczasu zdziwienie gajowego.

— Dlaczego mam nie wiedzieć? — opryskliwie mruknął Jarmola. — Wiadomo, do wiedźmaków panycz chodził...

— Skąd wiesz?

— Dlaczego mam nie wiedzieć? Słyszę, że panycz głosu nie podaje, to wróciłem na ślad... Ech, panyczu — dodał ze złością i wyrzutem. — Brzydko, żeby panycz takimi sprawami się zajmował... Grzech!...

IV

Wiosna owego roku nastąpiła wcześniej, bez kaprysów i — jak zwykle na Polesiu — nieoczekiwanie. Wzdłuż wiejskich ulic spływała burzliwie woda tworząc brunatne strumyki, pieniądze się gniewnie u napotkanych kamieni i kręcące porwane prądem wióry i gęsie pierze; w olbrzymich kałużach odbijało się niebo i płynące na nim okrągłe, wirujące jak gdyby, obłoki; ze strzech gęsto spadały dźwięczne krople. Wróble, które stadami oblepiały przydrożne łożyny, krzyczały tak głośno i z takim podnieceniem, że niczego nie było słyhać w tym rozgardiaszu. Wszędzie czuło się radosną, pośpieszną żądzę życia.

Śnieg stał i tylko w parowach i cienistych laskach leżał jeszcze brudnymi, kruchymi płatami. Spod śniegu wyglądała obnażona, mokra, ciepła ziemia, która odpoczęła podczas zimy, a teraz nabrzmiwała świeżymi sokami i żądzą nowego macierzyństwa. Nad czarnymi niwami unosił się lekki opar, który przesycił powietrze zapachem odtajalej ziemi — tą świeżą, potężną i upajającą wonią wiosny, którą nawet w mieście można od razu poznać wśród wielu innych zapachów. Wydawało mi się, że jednocześnie z tym aromatem napęnia mą duszę wiosenna tęskno-

ta, słodka i trwoźna, pełna niespokojnych oczekiwań i mglistych przeczuć — poetycka tęsknota, która wszystkim kobietom dodaje uroku w oczach mężczyzn i zabarwiona jest zawsze uczuciem żalu po minionych wiosnach. Noce były coraz cieplejsze; w ich gęstym, wilgotnym mroku dawała się wyczuć niewidzialna, gorączkowa, twórcza praca natury...

Podczas tych wiosennych dni nie przestawałem myśleć o Olesi. Lubilem kłaść się samotnie, przymykać oczy, by skupić się bardziej i wywołać w pamięci jej surowe, to znów figlarne, to wreszcie jaśniejące czułym uśmiechem oblicze, jej młode ciało, które wyrosło w bezkresnych obszarach starego lasu jak wysmukła i prężna młoda sosna, jej świeży głos rozbrzmiewający nieoczekiwanie niskimi, aksamitnymi tonami...

„We wszystkich jej ruchach, we wszystkich odezvaniach — myślałem — jest coś szlachetnego (w najlepszym znaczeniu tego dość oklepanego wyrażenia), jakiś wrodzony, wytworny umiar...” Pociągał mnie także w Olesi otaczający ją nimb tajemniczości, słuchy o uprawianych przez nią czarodziejskich praktykach, to, że mieszka w leśnym uroczysku, wśród bagien, a zwłaszcza duma i wiara w swe siły, którą wyczułem w nielicznych skierowanych do mnie słowach.

Nic też dziwnego, że gdy tylko obeschły nieco leśne ścieżki, udałem się do chatki na kurzej nóżce. Na wypadek gdyby zaszła konieczność udobruchania gderliwej staruchy, wziąłem z sobą pół funta herbaty i kilka garści cukru w kawałkach.

Zastąłem obie kobiety w domu. Stara krzątała się koło buchającego żarem pieca, a Olesia, siedząc na wysokiej ławeczce, przędła len; na odgłos otwieranych drzwi odwróciła się, nic urwała się jej w palcach i wrzecziono potoczyło po podłodze.

Starucha mierzyła mnie przez chwilę przenikliwym i złym wzrokiem, marszcząc się i zasłaniając twarz dłonią od gorąca buchającego z pieca.

— Jak się masz, babciu! — powiedziałem donośnym, raźnym głosem. — Nie poznałaś mnie chyba? Pamiętasz, przychodziłem w zeszłym miesiącu i pytałem o drogę? Wróżyłaś mi wtedy.

— Nic nie pamiętam, ojezulku — odburknęła starucha potrzą-

sając z niezadowoleniem głową — nic nie pamiętam. I czegoś ty tu u nas zapomniał — nijak nie rozumiem. My tobie nie kompania. Ludzie z nas prości, zwyczajni... Nie masz tu nic do roboty. Las wielki: miejsca starczy dla wszystkich... ot — co...

Oszołomiony tak nieuprzejmym przyjęciem, stropilem się zupełnie i znalazłem się w takiej głupiej sytuacji, kiedy nie wiadomo, co począć: czy zbyć wszystko żartem, czy rozgniewać się, czy też obrócić się na pięcie i odejść bez słowa. Mimo woli spojrziałem bezradnie na Olesię, która uśmiechnęła się lekko, z odcieniem delikatnej ironii, wstała od kołowrotka i podeszła do starej.

— Nie bój się, babciu — powiedziała pojednawczo — to dobry człowiek, nie zrobi nam nic złego. Niech pan siada, jeśli łaska — dodała wskazując mi gestem ławę pod oknem i nie zwracając uwagi na gderanie starej.

Ośmielony okazaną mi życzliwością, postanowiłem uciec się do decydującego argumentu.

— Jakaś ty gniewna, babciu... Gość jeszcze na progu, a ty już przeklinasz. A ja gościniec tobie przyniosłem — powiedziałem wydostając zawiniątko z torby myśliwskiej.

Stara rzuciła bystrym okiem na zawiniątko, lecz natychmiast odwróciła się znów do pieca.

— Nie potrzeba mi żadnych twoich gościńców — odburknęła grzebiąc ze złością pogrzebaczem w piecu. — Znamy takich gości. Z początku choć do rany przyłóż, a potem... A co tam przyniosłeś? — spytała odwracając się nagle.

Natychmiast wręczyłem jej herbatę i cukier. Ułagodziło to nieco starą, która wprawdzie burczała dalej pod nosem, jednak w bardziej pojednawczym tonie.

Olesia zabrała się znów do przedzenia, a ja ulokowałem się koło niej na niskiej, krótkiej i nieco koślawej ławeczce. Olesia lewą ręką przedła szybko białą, miękką jak jedwab kądziel, prawą zaś wprawiała w ruch wrzeciono, pozwalając mu opadać prawie do samej ziemi, by pochwycić je zręcznie i znów zmusić do obracania się. Robota ta, tak prosta na pierwszy rzut oka, w istocie jednak wymagająca olbrzymiej biegłości i długoletniej wprawy, szła jej jak z płatka. Wzrok mój zatrzymał się mimo

woli na tych rękach; stwardniałe i popękane od pracy, były jednak drobne i tak kształtne, że mogłaby ich pozazdrościć niejedna panna z dobrego domu.

— A przecie nie powiedział mi pan, że babcia panu wróżyła — odezwiała się Olesia. Widząc, że z niepokojem obejrzałem się, dodała: — To nic, babcia głuchawa, nie dosłyszysz. Ona tylko mój głos dobrze rozumie.

— Tak, wróżyła. A co?

— Ja tak sobie... Pytam tylko... A pan wierzy? — spojrzała na mnie ukradkiem.

— W co? W to, co twoja babka wywróżyła mi, czy w ogóle?

— Nie, w ogóle...

— Jakby tu powiedzieć, raczej nie wierzę, a zresztą, kto wie? Bywają, jak mówią, wypadki... Nawet w mądrych książkach o tym piszą. Ale w to, co twoja babka mówiła — wcale nie wierzę. Tak to każda wiejska baba potrafi wróżyć.

Olesia uśmiechnęła się.

— To prawda, źle teraz wróży. Zestarzała się i do tego boi się bardzo. A co panu w kartach wypadło?

— Nic ciekawego. Już nawet nie pamiętam. To, co zwykle: daleka droga, rozmowa w rządowym domu, żółedna dama, sercowe sprawy... Naprawdę, nie pamiętam.

— Tak, tak, zła z niej teraz wróżka. Zapomniała wszystkiego na starość. To już nie dla niej. Boi się zresztą. Chyba że pieniądze zobaczy, to jeszcze powróży.

— Czego się boi?

— Wiadomo czego — władzy się boi... Uriadnik, jak przyjedzie, to zawsze grozi: „Ja, powiada, w każdej chwili mogę ciebie sprzątnąć. Wiesz, powiada, co takim jak ty za czarodziejstwo się należy? Zesłanie na katorgę, bez terminu, na Wyspę Sokolą“. Jak pan myśli, on prawdę mówi, czy kłamie?

— Nie, tak zupełnie to już nie kłamie; za te rzeczy naprawdę grozi jakaś kara, tylko znów nie taka straszna... No, a ty, Olesiu, umiesz wróżyć?

Olesia jak gdyby zmieszała się, trwało to jednak tylko chwilę.

— Wrózę... Ale nie za pieniądze — dodała z pośpiechem.

— To może i mnie położysz kabałę?
— Nie — odpowiedziała cicho i stanowczo, potrzásając głową.
— Dlaczego nie chcesz? Jeśli nie teraz, to kiedyś w przyszłości...
Wydaje mi się dlaczegoś, że powiesz prawdę...
— Nie. Nie będę. Za nic na świecie nie będę.
— Wiesz, Olesiu, że to już nieładnie. Przez wzgląd na naszą znajomość nie możesz odmówić. Dlaczego nie chcesz się zgodzić?
— Dlatego, że już kładłam dla pana karty — drugi raz nie można.

— Nie można? Dlaczego? Nie rozumiem tego...
— Nie, nie można... nie można... — wyszeptwała z zabobonnym strachem. — Losu nie można dwa razy doświadczać... Nie godzi się... Los nie lubi, żeby go pytać. Dlatego wszystkie wróżki są nieszczęśliwe.

Chciałem odpowiedzieć Olesi żartem, lecz nie mogłem: w jej słowach było tyle szczerzego przekonania, że nawet, gdy wspominając o losie spojrziała z dziwnym lękiem na drzwi, mimowolnie zrobiłem to samo.

— Niech i tak będzie. Jeśli już nie chcesz mi powróżyć, to opowiedz przynajmniej, co ci wyszło w kartach? — prosiłem.

Olesia odrzuciła nagle wrzeciono i dotknęła mej ręki.

— Nie... Lepiej nie trzeba — powiedziała wznosząc ku mnie oczy błagalnie i po dziecinnemu. — Niech pan nie prosi... Niedobrze panu wyszło w kartach... Nie trzeba prosić.

Nalegałem w dalszym ciągu. Chociaż nie mogłem zrozumieć, czy jej odmowa i tajemnicze aluzje do losu były tylko wypróbowanym manewrem wróżbiarskim, czy też dziewczyna wierzyła rzeczywiście w to, co mówi, jednak poczułem się jakoś nieswojo i ogarnął mnie dziwny niepokój.

— Niech już będzie — zgodziła się w końcu Olesia. — Tylko proszę pamiętać: jeśli coś się nie spodoba — nie trzeba się obrażać.

A wyszło ot co: człowiek z pana słaby, choć dobry, ale dobroć ta nie z serca płynie. Słowa pan dotrzymać nie umie. Nad innymi lubi górą być, ale sam, choć nie chce, musi ich słuchać. Do kieliszka pan zagląda, a także... Jak mówić, to już wszystko po porządku... Do dziewcząt się pali i dużo nieszczęść przez to go

w życiu spotka... O pieniądze nie dba i robić ich nie umie — bogatym pan nie będzie... Mówić dalej...

— Mów, mów! Mów wszystko, co wiesz!

— Dalej wyszło, że życie będzie pan miał niewesołe. Nikogo sercem nie pokocha, bo serce ma zimne, leniwe, a kto pana pokocha — nie będzie szczęśliwy. Nigdy się pan nie ożeni, a tak i kawalerem umrze. Wielkich radości w życiu nie będzie miał, a dużo utrapień i zgryzot... Przyjdzie taki czas, że zechce pan z własnej ręki zginąć... Będzie taka jedna sprawa... Ale odwagi zbraknie. I tak przecierpi... W wielką biedę pan wpadnie, ale pod koniec życia los się odwróci przez śmierć jakiegoś bliskiego człowieka, i całkiem dla pana niespodziewanie. Tylko na to wszystko długo jeszcze czekać, a ot już, w tym roku... Nie wiem, kiedy akuratnie — karty mówią, że bardzo prędko... Może nawet w tym miesiącu...

— Co się zdarzy w tym roku? — spytałem, gdy Olesia znów utknęła na półsłówku.

— Boję się nawet mówić dalej. Wychodzi panu wielka miłość od damy żołądnej. Nie mogę zgadnąć, czy panna ona, czy zamężna, a tylko wiem, że z czarnymi włosami...

Mimo woli rzuciłem spojrzenie na głowę Olesi.

— Czemu się pan przygląda? — zaczerwieniła się nagle dziewczyna czując wzrok mój na sobie i z kobiecą przenikliwością odgadując myśli. — Tak, takie jak ja — ciągnęła poprawiając machinalnie włosy i rumieniąc się coraz bardziej.

— A więc powiadasz, że wielka miłość żołądna? — zażartowałem.

— Niech pan się nie śmieje, nie trzeba się śmiać — poważnie, niemal srogo zwróciła mi uwagę Olesia. — Szczerą prawdę panu mówię.

— No, dobrze, nie będę już, nie będę. Cóż dalej?

— Dalej... Oj! Żle wychodzi tej damie żołądnej, gorzej niż śmierć. Wstyd wielki przez pana ją czeka, taki, że całe życie pamiętać będzie, długi smutek jej wychodzi... A panu w jej planecie nic złego się nie zdarzy.

— Posłuchaj, Olesiu, a może karty cię oszukały? Po cóż mam robić tyle przykrości żołądnej damie? Jestem człowiekiem spo-

kojnym, skromnym, a ty takie okropności o mnie wygadujesz.

— Tego już nie wiem. Tak i wyszło, że nie sam pan to zrobi — nie z umysłu, znaczy się, a tylko przez pana cała bieda spadnie... Wtedy dopiero moje słowa spełnią się i wspomni pan o mnie.

— I tego wszystkiego z kart się dowiedziałś, Olesiu?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili, niechętnie i wymijająco:

— Karty... Ja bez kart też mogę się wiele dowiedzieć, choćby z twarzy. Jeśli jakiemu człowiekowi, na przykład, w krótkim czasie zła śmierć sądzona — od razu z twarzy przeczytam; nawet rozmawiać z nim nie potrzebuję.

— Cóż takiego widzisz na jego twarzy?

— Sama nie wiem. Straszno raptem mi się robi, jakby on już nieżywy przede mną stał. Choć babci zapytaj się pan, ona przyświadczy, że nie kłamię. Trofim, młynarz, w pozaprzyszłym roku u siebie we młynie powiesił się, a ja go na dwa dni przedtem widziałam i zaraz babce mówię: „Zobaczysz, babusiu, że Trofim rychłą śmiercią umrze“. Tak i wyszło. A w ostatnie zapusty zaszedł do nas koniokrad Jaszka, prosił babkę, żeby mu powróżyła. Babka położyła karty, zaczęła wróżyć. A on żartuje i pyta się: „Ty mi, babciu, powiedz, jaką śmiercią zginę“. A sam się śmieje. Ja, jak spojrzałam na niego, z miejsca nie mogę się ruszyć: widzę, Jaszka siedzi, a twarz jak u trupa, zielona. Oczy zamknięte, usta czarne... Potem, za tydzień słyszymy, że Jaskę chłopie złapali, kiedy im konie chciał wyprowadzić... Całą noc go bili... Ludzie u nas źli, litości nie mają... W piąty gwoździe mu powbijali, wszystkie żebra kołami połamali, tak że rankiem umarł.

— A dlaczego mu nie powiedziałaś, że czeka go nieszczęście?

— Po co mówić? — zaoponowała Olesia. — Co komu losem sązione, od tego nie ucieknie. Jaszka tylko martwiłby się nadaremnie pod koniec życia... Mnie samej hadko na duszy, że tak naprzód widzę — patrzeć na siebie nie mogę... Ale co robić? Taki już mój los. Babka, kiedy młodsza była, też śmierć poznała, i moja matka, i babki matka też — to nie z naszej woli... we krwi to mamy...

Olesia przestała prząść, pochyliła głowę i siedziała położywszy ręce na kolana. W jej oczach, o rozszerzonych źrenicach, wpatrzonych nieruchomo w przestrzeń, malował się jakiś niepojęty strach, poddanie się nadprzyrodzonym siłom i wiedzy tajemnej, w których mocy znajdowała się jej dusza.

V

Tymczasem stara nakryła stół czystym, wyszywany ręcznikiem i postawiła na nim dymiący garnek.

— Chodź wieczerać, Olesiu — zawołała wnuczkę i po krótkim wahaniu dodała: — Może i pan z nami posili się... tylko że jedzenie niesmaczne, zup nie gotujemy, po prostu krupniczek polowy...

Nie można powiedzieć, żeby zaproszenie to miało coś wspólnego z naleganiem, ale Olesia poprosiła mnie z taką miłą prostotą i z tak uprzejmym uśmiechem, że chcąc nie chcąc siadłem do stołu. Olesia nalała mi pełny talerz krupniku — a właściwie rosółu na kurze, z kaszą gryczaną, słoniną, kartoflami i cebulą. Ani babka, ani wnuczka nie przeżegnały się siadając do stołu. Podczas kolacji obserwowałem uważnie obie kobiety, ponieważ według mego głębokiego przekonania, które zachowałem po dziś dzień, charakter człowieka nigdy nie uwidacznia się tak wyraźnie jak podczas jedzenia. Stara połykała krupnik z pośpieszną chciwością, głośno mlaskając i pakując do ust tak wielkie kęsy chleba, że na jej zwiótczanych policzkach powstawały duże guzy, poruszające się z miejsca na miejsce. Olesia natomiast nawet w sobie jedzenia przejawiała jakąś wrodzoną delikatność.

W godzinę po kolacji pożegnałem się z gospodyniami chatki na kurzej nóżce.

— Odprowadzę pana trochę, chce pan? — zaproponowała Olesia.

— Cóż ty za odprowadzania wymyśliłaś? — gniewnie mruknęła starucha. — Nie możesz usiedzieć na miejscu!

Olesia jednak narzuciła już na głowę czerwoną kaszmirową

chustkę i, nagle podbiegłszy do babki, uściśnęła ją i głośno pocałowała.

— Babciu kochana, droga, złota... ja tylko na chwilę i — zaraz z powrotem.

— No, dobrze już, dobrze, frygo jedna — broniła się słabo przed pieszczotami stara. — Niech pan źle o niej nie myśli; jeszcze to takie głupie.

Idąc wąską ścieżką, wyszliśmy na drogę leśną, czarną od błota, wydeptaną kopytami i pokrytą bruzdami kolein napęcznionych wodą, w której odbijał się pożar wieczornej zorzy. Szliśmy skrajem drogi, usypanym brunatnymi zeszłorocznymi liśćmi, które nie zdążyły jeszcze obeschnąć po uwolnieniu się od śniegu. W tej martwej żółciźnie gdzieś tam tylko podnosiły liliowe główki duże sasanki — najwcześniejsze kwiaty na Polesiu.

— Posłuchaj, Olesiu — zacząłem — chciałbym bardzo zapytać cię o coś, ale boję się, że pogniewasz się na mnie... Powiedz mi, czy to prawda, co ludzie mówią, że twoja babka jest... jakby tu powiedzieć?...

— Czarownica? — spokojnie pomogła mi Olesia.

— Nie... Nie czarownica... — zmieszałem się. — A zresztą tak — czarownica. Dlaczegożby nie miała znać jakichś ziół, lekarstw czy zamawiań?... Jeśli ci ta rozmowa sprawia przykrość, możesz nie odpowiadać.

— Nie, dlaczego — odparła prosto — nie ma tu nic nieprzyjemnego. Babka naprawdę jest czarownicą, tyle tylko, że już zestarzała się i nie potrafi tego co przedtem.

— A co przedtem umiała? — zaciekawilem się.

— Różne rzeczy. Leczyć umiała, na zęby pomagała, uroki odczyniała, zamawiała, jak kogo wściekły pies ukąsił czy żmija, skarby odszukiwała... wszystkiego nie przeliczysz.

— Wiesz co, Olesiu... Wybacz mi, ale ja temu wszystkiemu nie wierzę. Powiedz mi otwarcie, przed nikim cię nie wydam: przecież to tylko sztuczki, żeby ludzi okpiwać.

Olesia wzruszyła ramionami.

— Niech pan myśli co chce. Pewnie, że babę ze wsi oszukać to nic trudnego, ale pana bym nie oszukiwała.

— A więc wierzysz w czary?

— Jak mogę nie wierzyć? Przecież w naszym rodzie czary... Sama dużo rzeczy umiem.

— Olesiu, moja kochana... Gdybyś tylko wiedziała, jaki jestem tego ciekaw. Naprawdę nic mi nie pokażesz?

— Ależ dlaczego, pokażę, jeśli pan chce — zgodziła się chętnie Olesia. — Teraz pan sobie życzy?

— Tak, jeśli można, teraz.

— A bać się pan nie będzie?

— Co za głupstwa. W nocy to bym się może bał, ale jeszcze jasno na dworze.

— Dobrze. Niech pan da rękę.

Wyciągnąłem posłusznie rękę. Olesia szybko odwinęła rękaw mego palt, wyjęła spinę z rękawa koszuli, następnie wydobyła ze swej kieszeni mały fiński nożyk i wyciągnęła go ze skórzanej pochwy.

— Co chcesz robić? — spytałem czując, że ogarnia mnie strach dosyć podłego gatunku.

— Zaraz... Przecież pan powiedział, że nie będzie się bać.

Ręka jej wykonała nagle lekki, niedostrzegalny ruch i poczułem na swej ręce, nieco powyżej tego miejsca, gdzie bada się puls, przenikliwe dotknięcie ostrza. Wzdłuż całej szerokości cięcia ukazała się natychmiast krew, poląła się po ręce i zaczęła ciurkiem kapać na ziemię. Ledwo powstrzymałem się od krzyku, i zdaje się, że zbladłem.

— Nie ma się czego bać, nie umrze pan z tego — uśmiechnęła się Olesia.

Ścisnęła mocno moją rękę powyżej rany i, pochylając się nad nią, zaczęła prędko coś szeptać. Poczułem na skórze ciepło jej przerywanego oddechu. Gdy Olesia wyprostowała się i rozluźniła uścisk palców, na miejscu rany widać było tylko zaczerwienione draśnięcie.

— No, co? Starczy? — zapytała z figlarnym uśmiechem, chwytając swój nożyk. — Chce pan jeszcze?

— Oczywiście. Tylko, jeśli można prosić, żeby nie było tak straszne i bez rozlewu krwi.

— Co by tu panu pokazać? — zamyśliła się Olesia. — No, choćby to: niech pan idzie przede mną drogą... Tylko nie wolno się odwracać.

— A to nie będzie straszne? — spytałem, starając się ukryć pod beztroskim uśmiechem trwożne oczekiwanie nieprzyjemnej niespodzianki.

— Nie, nie... Głupstwo... Niech pan idzie.

Poszedłem przed siebie, bardzo zadowolony doświadczeniem, czując za plecami wytężone spojrzenie Olesi. Nie przeszedłem nawet dwudziestu kroków, gdy potknąłem się na równej drodze i upadłem.

— Niech pan idzie dalej! — krzyknęła Olesia. — Nie odwracać się! Do wesela się zagoi... Trzeba się mocniej ziemi trzymać, kiedy pan będzie padać.

Poszedłem dalej. Jeszcze dziesięć kroków i znów wywróciłem się jak długi.

Olesia roześmiała się głośno i klasnęła w dłoń.

— No, co? Zadowolony pan? — krzyknęła rozbawiona. — Wierzy pan teraz. Nic strasznego się nie stało. Poleciał pan na ziemię, a nie do nieba.

— Jak to zrobiłaś? — spytałem zdziwiony, strzepując z ubrania liście i żdźbła trawy. — Tajemnica?

— Jaka tam znów tajemnica. Z przyjemnością panu opowiem. Boję się tylko, że pan nie zrozumie... Nie potrafię wytłumaczyć...

Rzeczywiście, nie rozumiałem jej całkowicie. Jednakże, jeśli się nie mylę, ciekawa ta sztuczka polegała na tym, że dziewczyna, idąc za mną krok za krokiem i wpatrując się we mnie bez przerwy, starała się jednocześnie naśladować każdy, najmniejszy nawet mój ruch. Jeśli można się tak wyrazić, utożsamiała się ze mną. Po przejściu w ten sposób kilku kroków Olesia starała się wyobrazić sobie w pewnej odległości przede mną sznur, przeciągnięty w poprzek drogi na wysokości kilkudziesięciu centymetrów. W chwili gdy moja noga powinna była zetknąć się z owym fikcyjnym sznurem, Olesia wykonywała ruch symulujący upadek i wówczas, według jej słów, najsilniejszy nawet człowiek niezawodnie przewracał się... Dopiero po wielu latach przypomniałem sobie zagmat-

wane tłumaczenie Olesi, gdy przeczytałem sprawozdanie profesora Charcot o doświadczeniach przeprowadzonych przez niego z dwiema pacjentkami szpitala Salpêtriêre, zawodowymi czarownicami, cierpiącymi na histerię. Byłem bardzo zdziwiony dowiedziawszy się, że wiejskie czarownice we Francji uciekały się w podobnych wypadkach do tych samych metod, którymi posługiwała się piękna wiedźma poleska.

— O! Ja jeszcze dużo rzeczy umiem — oświadczyła z wielką pewnością siebie Olesia. — Na przykład, mogę napędzić panu stracha.

— A to co znowu?

— Zrobię tak, że pan uczuje strach. Siedzi pan sobie wieczorem, na przykład u siebie w pokoju, i nagle ni z tego, ni z owego przyjdzie taki strach, że zadrży pan i nie będzie śmiać się obejrzeć. Tylko muszę wiedzieć, gdzie pan mieszka, i zobaczyć przedtem pański pokój.

— No, to już całkiem proste — wyraziłem powątpiewanie. — Przyjdziesz, postukasz w okno albo krzykniesz coś.

— Nie, wcale nie przyjdę... Będę wtenczas w lesie, nawet z chaty nie wyjdę... Będę tylko siedzieć i myśleć ciągle, że idę sobie ulicą, wchodzę do pańskiego domu... Pan tam siedzi... ot, choćby przy stole... ja skradam się po cichutku z tyłu... pan mnie nie słyszy... chwytam pana rękami za ramię i zaczynam ścisnąć... coraz silniej, silniej, silniej... a sama patrzę na pana... o tak — proszę spojrzeć...

Marszcząc swe wąskie brwi, spojrzała mi wprost w oczy groźnym i przyciągającym wzrokiem. Źrenice jej rozszerzyły się i pociemniały. Przyszła mi w tej chwili na myśl głowa Meduzy, praca nie pamiętam już jakiego malarza, którą widziałem w galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Pod tym uporczywym, dziwnym spojrzeniem owładnął mną strach, lodowaty strach przed siłami nadprzyrodzonymi.

— Dostyc już, Olesiu... starczy — powiedziałem siłąc się na uśmiech. — Znacznie bardziej mi się podobasz, kiedy się śmiesz, masz wtedy taką miłą, dziecinną twarzyczkę.

Poszliśmy dalej. Uświadomiłem sobie nagle, że Olesia w roz-

mowie ze mną posługuje się niezwykle wyrazistymi, a nawet, jak na prostą dziewczynę, wykwintnymi zwrotami i wyrażeniami.

— Wiesz, Olesiu, co mnie bardzo dziwi w tobie? — powiedziałem. — Wyrosłaś w lesie, żywej duszy nie widziałaś... Czytałaś pewnie niewiele.

— Wcale czytać nie umiem.

— Tym bardziej... A mimo to tak ładnie mówisz, niegorzej od najprawdziwszej panienki. Powiedz mi, skąd się to u ciebie wzięło? Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak, rozumiem. To babcia mnie nauczyła... Niech pan nie sądzi o niej z wyglądu. Oj, jaka ona mądra! Jak się do pana przyzwyczai, to może kiedy i rozgada się... Wszystko wie, wszystko na świecie, o co jej nie zapytać. Zestarzała się już co prawda.

— Musiała na dużo rzeczy napatrzeć się w swoim życiu. Skąd pochodzi? Gdzie mieszkała przedtem?

Zdaje się, że pytania te nie podobały się Olesi. Odpowiedziała nie od razu, wymijająco i niechętnie:

— Nie wiem... Zresztą babka nie lubi o tym opowiadać. Jeśli nawet coś powie czasem, to zawsze prosi, żeby zapomnieć i więcej nie wspominać... No, na mnie czas — zaczęła się żegnać Olesia — babka będzie się gniewać. Do widzenia... Przepraszam, nie znam pańskiego imienia.

Przedstawiłem się.

— Iwan Timofiejewicz? Teraz już wszystko w porządku. A więc do widzenia, Iwanie Timofiejewiczu! Niech pan nie gardzi naszą chatą, proszę nas odwiedzać!

Wyciągnąłem do niej rękę na pożegnanie i jej drobna, silna dłoń odpowiedziała mi mocnym i przyjacielskim uściskiem.

VI

Od tego dnia stałem się częstym gościem w chatce na kurzej nóżce. Za każdym razem Olesia witała mnie z właściwym jej umiarem i godnością. Zawsze jednak jakiś mimowolny ruch, którym zdradzała zadowolenie na mój widok, pozwalał mi wniosko-

wać, że cieszy się z odwiedzin. Starucha burczała coś tam pod nosem, jak dawniej, jednak nie okazywała mi jawnej niechęci, niewątpliwie dzięki wstawiennictwu wnuczki; duże znaczenie w pozytywnym dla mnie sensie miały prezenty, które przynosiłem od czasu do czasu: to ciepłą chusteczkę, to słoik konfitur, to wreszcie butelkę nalewki wiśniowej. Między mną i Olesią weszło w zwyczaj, jakby w myśl milczącej obustronnej umowy, że odprowadzała mnie do irinowskiego traktu, gdy wracałem do domu. Podczas przechadzki odbywała się zazwyczaj taka ożywiona i ciekawa rozmowa, że staraliśmy się oboje przedłużyć drogę, idąc jak najwolniejszym krokiem skrajem lasu. Po dojściu do irinowskiego traktu odprowadzałem ją z powrotem jakieś pół kilometra, a oprócz tego przed pożegnaniem długo jeszcze rozmawialiśmy pod pachnącym sklepieniem sosnowych gałęzi.

Olesia oczarowała mnie nie tylko urodą, lecz całą swą osobą, harmonijną, samodzielną, rozmiłowaną w wolności; zadziwiała też rozumem trzeźwym, choć znajdującym się zarazem we władzy odziedziczonych przesądów, naiwnym po dziecięcemu, a jednocześnie nie pozbawionym figlarniej zalotności, właściwej pięknym kobietom. Bez przerwy wypytywała mnie o najrozmaitsze rzeczy i sprawy, które zaprzętały jej pierwotną, bujną wyobraźnię: o państwa i narody, o budowę ziemi i wszechświata, o uczonych ludzi, o wielkie miasta... Wiele rzeczy wydawało się jej czymś zadziwiającym, bajecznym i nieprawdopodobnym. Ponieważ jednak od początku naszej znajomości rozmawiałem z nią zawsze poważnym, szczerym i prostym tonem, Olesia wierzyła chętnie i bez zastrzeżeń wszystkim moim opowiadaniom. Niekiedy, mając trudności z wytłumaczeniem czegoś, nazbyt już moim zdaniem trudnego dla na wpół dzikiego umysłu (czasami były to rzeczy niejasne dla mnie samego), odpowiadałem na jej natarciwe pytania: „Widzisz... Nie będę mógł ci tego powiedzieć... Nie zrozumiesz mnie“.

Olesia zaczynała mnie wówczas błagać:

— Proszę, bardzo proszę, ja postaram się... Niech pan opowiada jak chce... choćby niezrozumiale...

Olesia zmuszała mnie do używania najbardziej dziwacznych

porównań i najzuchwalszych przykładów. Jeśli nie mogłem dobrać odpowiednich wyrażań, pomagała mi gradem niecierpliwych pytań, jakie zadaje się jakale, który zaciął się na jednym słowie. I rzeczywiście, jej giętki, ruchliwy umysł i świeża wyobraźnia triumfowały w końcu nad moją nieporadnością pedagogiczną. Z biegiem czasu doszedłem do przekonania, że — wzięwszy pod uwagę jej środowisko i wychowanie (a raczej brak tego ostatniego) — Olesia posiadała zadziwiające zdolności.

Pewnego razu wspomniałem mimochodem o Petersburgu. Olesia od razu zapalała ciekawością:

— Co to takiego Petersburg? Miasteczko?

— Nie, to nie miasteczko, to największe miasto w Rosji.

— Największe? Największe, jakie tylko jest? A większego od niego nie ma? — dokuczała mi naiwnie.

— Nie ma... Tam najwyższa władza mieszka... wielcy panowie... Wszystkie domy murowane, drewnianych nie znajdziesz!

— Zapewne większe od naszego Stiepania? — z przekonaniem spytała Olesia.

— O, tak... troszeczkę większe... z tysiąc razy. Są takie domy, że w każdym z nich mieszka dwa razy więcej ludzi niż w całym Stiepaniu.

— Ach, mój Boże. Co to za domy? — prawie ze strachem zapytała Olesia.

Uciekłem się, jak zwykle, do porównania.

— Strasznie wielkie domy. Po pięć, sześć, a nawet po siedem pięter. Widzisz tę sosnę?

— Tę największą? Widzę.

— Właśnie takie wysokie. I od góry do dołu nabite ludźmi. Mieszkają ci ludzie w małych komórkach, jak ptaki w klatkach, po dziesięciu w każdej, powietrza im nie starcza. A inni mieszkają na samym dole, pod ziemią, w wilgoci i chłodzie; zdarza się, że przez cały rok słońca u siebie nie widzą.

— Ja bym już za nic nie zamieniła swego lasu na wasze miasto — powiedziała Olesia kręcąc głową. — Nawet jak do Stiepania przyjdę na jarmark, wstręt mnie bierze. Popychają się, krzyczą, przeklinają... Taka mnie tęsknota za lasem ogarnia — że rzuci-

łabym wszystko i biegła gdzie oczy poniosą... Bóg z nim, z tym waszym miastem, za nic w świecie nie chciałabym tam mieszkać...

— No, a gdybyś miała męża z miasta? — zapytałem z lekkim uśmiechem.

Olesia zmarszczyła brwi; delikatne jej nozdrza drgnęły.

— Jeszcze czego! — powiedziała z lekceważeniem. — Nie potrzeba mi żadnego męża.

— Tylko teraz tak mówisz, Olesiu. Prawie wszystkie dziewczęta mówią to samo, a w końcu wychodzą za mąż. Poczekaj: spotkasz kogoś, pokochasz, a wtedy nie tylko do miasta, ale na koniec świata z nim pójdiesz.

— Nie, nie... proszę, niech pan nie mówi o tym — niecierpliwie przerwała mi Olesia. — Po co ta cała rozmowa?

— Jakaś ty śmieszna, Olesiu. Czy sądzisz, że nigdy w życiu nie pokochasz mężczyzny? Taka młoda i ładna dziewczyna jak ty? Na nic wszystkie zarzekania się, gdy krew zacznie się burzyć.

— No, to co z tego — pokocham! — rzucając wyzywające spojrzenie, powiedziała Olesia. — Nikogo nie będę się pytać...

— A więc wyjdiesz za mąż? — zapytałem chcąc ją podrażnić.

— Pan, zdaje się, o cerkwi mówi? — domyśliła się Olesia.

— Rzecz jasna, o cerkwi... Pop zaprowadzi cię przed ołtarz, diakon pieśń weselną zaśpiewa, „wieniec“ włożą ci na głowę...

Olesia przymknęła powieki i, uśmiechając się z lekka, potrząsnęła przecząco głową.

— O, nie!... Może się panu i nie spodoba, co powiem, ale w naszej rodzinie nikt w cerkwi ślubu nie brał: i matka, i babka bez tego przeżyły... Nam nawet wejść do cerkwi nie wolno...

— I to wszystko przez wasze czary?

— Tak, przez nasze czary — spokojnie i poważnie odpowiedziała Olesia. — Jakże będę śmiała pokazać się w cerkwi, jeżeli od samego urodzenia moja dusza jemu zaprzędana.

— Olesiu... Kochana... Wierz mi, że sama się zwodzisz... Przecież to takie niedorzeczne, takie śmieszne, co mówisz.

Na twarzy Olesi odmalował się zauważony już niegdyś przeze mnie dziwny, ponury wyraz całkowitego podporządkowania się swemu tajemniczemu przeznaczeniu.

— Nie, nie... Pan tego nie może zrozumieć, ale ja to czuję... O, tu — przycisnęła mocno rękę do piersi — w duszy czuję. Nasz cały ród przeklęty na wieki wieków. Niech pan sam pomyśli: kto nam pomaga, jeśli nie on? Czy zwykły człowiek może zrobić to, co ja mogę? Cała nasza siła od niego idzie.

I za każdym razem nasza rozmowa kończyła się w podobny sposób, gdy tylko schodziła na ten niezwykle temat. Na próżno wytaczałem wszystkie dostępne dla Olesi dowody, na próżno opowiadałem jej możliwie najprzystępniej o hipnotyzmie, sugestii, o lekarzach-psychiatriach i o indyjskich fakirach, na próżno starałem się objaśnić naukowo pewne jej praktyki, na przykład „zamawianie krwi” po prostu zręcznym uciskiem tętnicy — Olesia, która bez zastrzeżeń zgadzała się ze mną we wszystkim, tu uporczywie odrzucała moje dowody i wyjaśnienia...

— No, dobrze, dobrze, o zamawianiu krwi mogę panu uwierzyć, niech już tak będzie — mówiła zaperzając się i podnosząc głos — a skąd się biorą inne rzeczy? Chce pan, to wszystkie myszy i karaluchy w jeden dzień panu z chaty wyprowadzę? Chce pan, w dwa dni zwykłą wodą najgorszą różę wyleczę, choćby wszyscy pańscy doktorzy nie dali rady? Chce pan, to mogę zrobić tak, że jakiegoś słowa całkiem pan zapomni? A dlaczego sny potrafisz tłumaczyć? A dlaczego przyszłość odgaduję?

Sprzeczki te kończyły się z reguły przykrym milczeniem i obopólnym rozdrażnieniem. Rzeczywiście, ze swym niewielkim zasobem wiedzy nie mogłem znaleźć wytłumaczenia wielu jej ciemnych praktyk. Nie wiem i nie mogę powiedzieć, czy Olesia знаła naprawdę choćby połowę tajemnic, o których mówiła z taką naiwną wiarą, jednak to, czego nieraz byłem świadkiem, utwierdziło mnie w niezłomnym przekonaniu, że posiadała w pewnym stopniu ową nieświadomą, instynktowną, mglistą i zdobytą drogą przypadku, nieznaną wiedzę, która, przekazywana w najgłębszej tajemnicy z pokolenia w pokolenie, zachowuje się wspólnie z dziwnymi i śmiesznymi wierzeniami ciemnego, zamkniętego w sobie ludu.

Mimo gorących sporów na ten temat, łączące nas więzy przyjaźni zacieśniały się z każdym dniem. O miłości żadne z nas nie

wspomniało jeszcze nawet słówkiem, lecz przebywanie razem stało się już potrzebą, i często w chwili milczenia, gdy spojrzenia nasze spotykały się przypadkiem, widziałem, że oczy Olesi wilgotniały i na skroni pulsowała maleńka, niebieska żyłka.

Natomiast moje stosunki z Jarmołą zepsuły się całkowicie. Odwiedziny w chatce na kurzej nóżce i wieczorne przechadzki z Olesią nie były widocznie dla niego tajemnicą: Jarmołą wiedział zawsze z zadziwiającą dokładnością, co się dzieje w jego lesie. Zauważyłem, że od pewnego czasu zaczął mnie unikać. Za każdym razem, gdy wybierałem się do lasu, jego czarne oczy śledziły mnie z wyrzutem i niezadowoleniem, chociaż nigdy nie wyraził głośno swego potępienia. Nasze śmieszne w swej powadze lekcje czytania i pisanie skończyły się raz na zawsze. Nawet jeśli czasami wieczorem wołałem go do nauki, machał tylko ręką.

— Jeszcze co! To próżna sprawa, panyczku — mawiał z leniwym lekceważeniem.

Na polowanie także przestaliśmy chodzić. Gdy zaczynałem rozmowę na ten temat, Jarmołą znajdował zawsze jakiś wykręt: to fuzja się zepsuła, to pies zachorował, to znów sam był zajęty: „Nie ma czasu, panyczku... trzeba dzisiaj»paszni« orać“ — odpowiadał zazwyczaj Jarmołą na moją propozycję, chociaż wiedziałem doskonale, że wcale nie będzie orać „paszni“, natomiast spędzi dzień koło szynku w nadziei na czyjś wątpliwy poczęstunek. Ta milcząca, skryta wrogość zaczynała mi już dokuczać i często myślałem o tym, żeby zrezygnować pod jakimkolwiek pretekstem z usług Jarmoły... Powstrzymywało mnie od tego kroku jedynie uczucie litości dla jego licznej żebraczej rodziny, która bez czterorublowej pensji Jarmoły mogłaby umrzeć z głodu.

VII

Pewnego wieczoru, gdy przyszedłem jak zwykle do chatki na kurzej nóżce, uderzył mnie nastrój wielkiego przygnębienia, w jakim znajdowały się jej mieszkanki. Stara siedziała zgarbiona na posłaniu, trzymała się oburącz za głowę i, kiwając się na

wszystkie strony, mamrotała coś niewyraźnie. Na moje pozdrowienie nie zwróciła najmniejszej uwagi. Olesia przywitała się ze mną przyjaźnie jak zwykle, jednak rozmowa nie kleiła się jakoś. Widać było, że słucha mnie nieuważnie, odpowiadała nie w porę. Jej ładna twarzyczka zachmurzyła się, łatwo dawało się zauważyć, że już od dawna dręczy ją jakieś strapienie.

— Widzę, Olesiu, że wydarzyło się u was coś niedobrego — powiedziałem dotykając ostrożnie jej ręki, opartej o ławkę.

Olesia odwróciła się szybko do okna, jak gdyby ujrzała tam coś ciekawego. Usiłowała być spokojna, lecz mimo woli ściągnęła brwi i mocno przygryzła zębami dolną wargę.

— Nie... cóż takiego niezwykłego mogło się u nas wydarzyć? — odparła głucho. — Wszystko jak było, tak jest.

— Olesiu, dlaczego nie mówisz mi prawdy? To bardzo brzydko z twojej strony... A ja już myślałem, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

— Ależ, naprawdę, nic się nie stało... Ot, tak... nasze kłopoty... głupstwa...

— Nie, Olesiu, to nie są głupstwa. Spójrz no na siebie — jak ty wyglądasz! Ledwo cię można poznać.

— Tak się panu tylko zdaje.

— Bądź ze mną szczerą, Olesiu. Nie wiem, czy będę mógł ci pomóc, ale, być może, dam jakąś radę... Wreszcie, będzie ci po prostu łatwiej, jeśli podzielisz się ze mną zmartwieniem.

— Ale naprawdę, nie warto nawet mówić o tym — przerwała mi ze zniecierpliwieniem Olesia. — Tutaj już nic nam pan nie pomoże.

Wtem do naszej rozmowy przyłączyła się stara z niezwykłą u niej zapalczywością.

— A ty czego się dąsasz, głupia! Rozmawiają z tobą do rzeczy, a ty nosa zadzierasz. Myślisz, że na całym świecie nie ma mądrzejszych od ciebie. Niech mi już pan pozwoli, żebym całą historię po porządku opowiedziała — zwróciła się do mnie. Okazało się, że nieprzyjemności są znacznie większe, niżby się można było domyślać ze słów dumnej Olesi. Poprzedniego dnia do chatki na kurzej nóżce przyjechał miejscowy „urządnik“.

— Z początku usiadł jak należy i kazał dać wódki — opowiadała Manujlich — potem jak zaczął, jak zaczął... „Wynoś się z chaty — powiada — ze wszystkimi twoimi betami. Jeżeli jeszcze raz przyjadę — powiada — i ciebie tu zobaczę, to pamiętaj, że »etapem« stąd wyjedziesz. Z dwoma żołnierzami — powiada — odeślę cię, jedzo przekłeta, do miejsca urodzenia.“ A ja z dalekich stron, panie, z miasta Amczeńska... Teraz tam żywej duszy nie znajdę, co by mnie znała, a i paszporty nasze zupełnie, ale to zupełnie przedawnione, i do tego nie całkiem akuradne. Ach, mój Boże, takie nieszczęście!

— Dlaczego przedtem pozwalał ci tu mieszkać, a teraz dopiero rozmyślił się? — spytałem.

— Zaraz, zaraz... Coś tam pyskował, ale, prawdę powiedziawszy, to nie wszystko zrozumiałam. Tu taka sprawa wychodzi: ta chatka, w której mieszkamy, nie nasza — pańska. Dawniej mieszkaliśmy z Olesią we wsi, aż kiedyś...

— Wiem, wiem, babciu, słyszałem o tym... Chłopi się na was zawzięli...

— Aha, o to się rozchodzi. Ja wtedy u starego dziedzica, u pana Abrosimowa, tę chałupę wyprosiłam. A teraz, mówią, kupił ten las nowy dziedzic i jakieś błota chce suszyć, czy co? Tylko dlatego ja im przeszkadzam?

— Uriadnik mógł łąć jak najęty — zauważyłem. — Zachciało mu się po prostu łapówki i tyle.

— Dawałam, kochany, a jakże. Za nic nie bierze! To ci historia! Już i dwadzieścia pięć rubli asygnatą mu dawałam, nie bierze... Gdzie tam! Tak się na mnie wyzwierzył, że nie wiedziałam, gdzie stoje. A on swoje w kółko powtarza: „Won, won“ — i tyle. Co my teraz pocniemy, sieroty nieszczęsne! Żebyś ty chociaż, dobrodzieju, nam dopomógł. Przemów mu do sumienia; uspokój brzuchacza nienasyconego. Do końca życia będę ci wdzięczna.

— Babciu! — powoli i z wyrzutem powiedziała Olesia.

— Patrzcie ją — babciu — rozzłościła się stara. — Już dwadzieścia pięć lat jestem ci babcią. Co ty sobie myślisz — lepiej z torbami chodzić? Nie słuchaj jej, dobrodzieju. Możesz co zrobić, to zrób, jeśli łaska.

Obiecałem w miarę możliwości zająć się tą sprawą, chociaż, prawdę powiedziawszy, nadziei było mało. Jeśli nasz urzędnik nie chciał „wziąć“, oznaczało to, że sytuacja jest poważna. Tego wieczoru Olesia pożegnała się ze mną oziębło i, wbrew utartemu zwyczajowi, nie poszła mnie odprowadzić. Widziałem, że ambitna dziewczyna gniewa się na mnie i wstydzi się trochę swej płacziwej babki.

VIII

Był szarawy, ciepły poranek. Parę razy padał już krótki, ulewny, dobroczynny deszcz, po którym rośnie w oczach młoda trawa i wydłużają się nowe pędy. Po deszczu zza chmur wyglądało na chwilę słońce; młoda i delikatna jeszcze zieleń bzów, które rosły gęsto w moim ogródku przed domem, kąpała się wówczas w radosnym blasku, głośno i czupurnie krzyczały wróble na pulchnych grządkach ogrodu warzywnego, mocno pachniały kleiste i brunatne, młode listki topoli. Siedziałem przy stole i kreśliłem plan leśnego letniska, gdy do pokoju wszedł Jarmola.

— Jest urzędnik — powiedział ponuro.

Wyleciało mi zupełnie z głowy, że przed dwoma dniami poleciłem gajowemu, aby zawiadomił mnie natychmiast, gdy przyjedzie urzędnik, i w żaden sposób nie mogłem zorientować się od razu, co ma ze mną wspólnego w tej chwili ów przedstawiciel władzy.

— Co takiego? — zapytałem zdumiony.

— Mówię, że urzędnik przyjechał — powtórzył Jarmola tym samym wrogim tonem, którym odzywał się do mnie już od kilku dni. — Tylko co na grobli go widziałem. Jedzie tu.

Na ulicy rozległ się turkot kół. Skoczyłem do okna i otworzyłem je na oścież. Długi i chudy wałach koloru czekolady, z otwisłą dolną wargą i obrażoną mordą, poważnym truchtem ciągnął wysoką i rozklekotaną bryczuszkę, z którą łączyła go zaledwie jedna hołobla — drugą hołoblę zastępował gruby sznur (złe języki w powiecie twierdziły, że urzędnik rozmyślnie zafundował

sobie tak żałosny „pojazd“, aby uniknąć w ten sposób wszelkich niepożądanych komentarzy). Uriadnik powoził osobiście, zajmując całe siedzenie swym potwornym cielskiem, obleczoneym w szary płaszcz z eleganckiego sukna oficerskiego.

— Moje uszanowanie, Eupsychiuszu Afrykanowiczu — krzyknąłem wychylając się z okna.

— A-a, moje uszanowanie! Jak zdrowko? — odezwał się uprzejmie uriadnik swym donośnym i władczym barytonem.

Zatrzymał walacha i, salutując mi wyprostowaną dłonią, przechylił ku mnie swój tułów z nieco ociężałą gracją.

— Niech pan wstąpi na chwilę. Mam do pana małą sprawę.

Uriadnik rozłożył szeroko ręce i potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę! W trakcie pełnienia obowiązków służbowych. Do Wołoszy jadę, do nieboszczyka — topielec, proszę pana.

Znałem jednak słabe strony Eupsychiusza Afrykanowicza i dlatego powiedziałem z udaną obojętnością:

— A to szkoda... Dostałem właśnie z zarządu dóbr hrabiego Worcella kilka buteleczek...

— Nie mogę. Obowiązek służbowy...

— Kupiłem po znajomości u kredensowego. Piastował je w piwnicy, jak dziatki rodzone... Może by pan jednak wstąpił... A pańskiemu konikowi każe dać owsa.

— Ale z pana ziółko, doprawdy — z wyrzutem powiedział uriadnik. — Czy nie wie pan, że służba przede wszystkim?... A co w tych pańskich butelkach? Śliwowica?

— Jaka tam śliwowica — machnąłem ręką. — Starka, ojczulku, ot co!

— Mówiąc prawdę, to już zakąsiliśmy dzisiaj — podrapał się w policzek zafrasowany uriadnik marszcząc przy tym czoło w nieprawdopodobny sposób.

Ciągnąłem dalej spokojnie:

— Nie wiem, czy to prawda, ale kredensowy przysiągł, że starka ma dwieście lat. Pachnie niegorzej od koniaku, a żółta jak najprawdziwszy bursztyn.

— Ech, co pan ze mną wyprawiał — z komiczną rozpaczą zawołał uriadnik — A kto się koniem zaopiekuje?

Miałem istotnie w domu kilka butelek starki, nie tak starej co prawda, jak się chwaliłem, liczyłem jednak na to, że siła sugestii doda jej kilkadziesiąt lat... Poza tym była to rzeczwiście prawdziwa, oszałamiająca starcka domowej fabrykacji, chluba piwnicy zrujnowanego magnata. Eupsychiusz Afrykanowicz, który pochodził z duchownej rodziny, wyprosił u mnie natychmiast jedną butelkę na wypadek, jak się wyraził, mogącego nastąpić przeziębienia. Znalazła się także zakąska godna smakoszków: młoda rzodkiewka ze świeżym, przed chwilą zrobionym masłem.

— No, a jakiego rodzaju będzie pańska sprawa? — zapytał po piątym kieliszku uradnik opierając się wygodnie o poręcz starego fotelu, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Zacząłem mu dokładnie objaśniać, w jak rozpaczliwej sytuacji znalazła się bezradna, biedna staruszka, i delikatnie napomknąłem mimochodem o niepotrzebnej zgola formalistycy. Uradnik słuchał mnie z pochyloną głową, skrupulatnie obierając jędrną, czerwoną rzodkiewkę i chrupiąc ją następnie z apetytem. Co pewien czas nagle podnosił na mnie obojętne, mętne, śmiesznie małe, niebieskie oczy, lecz nie mogłem niczego wyczytać na jego ogromnej, czerwonej fizjonomii: ani współczucia, ani niechęci. Gdy wreszcie skończyłem, zapytał tylko:

— No więc, czego pan chce ode mnie?

— Jak to czego? — zawołałem w podnieceniu. — Niech pan zrozumie, proszę, ich sytuację. Żyją sobie dwie biedne, bezbronne kobiety...

— A jedna z nich jak pączek różany! — złośliwie wtrącił uradnik.

— Pączek czy nie pączek — to nie ma żadnego znaczenia. Niech pan powie jednak, dlaczego nie chce pan okazać w tym wypadku współczucia? Czy naprawdę musi się pan tak śpieszyć z wysiedleniem? Niech pan chociaż poczeka trochę, dopóki nie pogadam z dziedzicem w tej sprawie. Czym pan ryzykuje, jeśli odłoży się całą sprawę na miesiąc?

— Czym ryzykuje? Jak to?! — zerwał się z krzesła uradnik. — Na litość boską, przecież wszystkim ryzykuje. a zwłaszcza urzę-

dem. Bóg raczy wiedzieć, jaki człowiek z tego pana Iliaszewicza, nowego dziedzica. A może to jakiś intrygant... z takich, wie pan, co to zaraz chwytają za pióro, papier i... gotowy donosik do Petersburga? U nas i tacy bywają!

Usiłowałem uspokoić zdenerwowanego uradnika.

— Daj pan spokój, Eupsychiusz Afrykanowiczu. Nie trzeba przesadzać. O co właściwie chodzi? Ryzyko — ryzykiem, ale wdzięczność zawsze pozostaje wdzięcznością.

— Fiu, fiu-u-u! — gwizdnął przeciągle uradnik i wsunął ręce głęboko do kieszeni spodni. — I to się nazywa wdzięczność! Pan wyobraża sobie, że dla marnych dwudziestu pięciu rubli postawię na jedną kartę całe moje stanowisko? O, nie, grubo się pan pomylił.

— Po co się gorączkować, Eupsychiusz Afrykanowiczu. Nie chodzi tu wcale o wysokość sumy, lecz po prostu... No, mógłby pan choćby z miłości bliźniego...

— Z mi-ło-s-ci bliź-nie-go? — powtórzył uradnik ironicznie, cyzelując każde słowo. — Wybacz pan, ale tych wszystkich bliźnich mam gdzieś!

Uradnik poklepał się energicznie po potężnym, opalonym karku, który opadał mu na kołnierz tłustą, bezwłosą fałdą.

— Zdaje mi się, że tym razem zagalopował się pan za bardzo, Eupsychiusz Afrykanowiczu!

— Ani trochę! „To plaga naszych siól“, jak powiada znakomity bajkopisarz, pan Kryłow. Oto, kim są te damy! Czy raczył pan czytać kiedykolwiek przepiękny utwór jaśnie oświeconego księcia Urusowa pod tytułem „Uradnik policyjny“?

— Nie, jakoś nie wpadło mi to w ręce.

— To wielka szkoda! Przepiękny i wielce umoralniający utwór. Radzę poznać go w wolnej chwili.

— Doskonale, doskonale, z przyjemnością przeczytam. Nie rozumiem jednak, co wspólnego może mieć ta książka z dwiema biednymi kobietami?

— Co ma wspólnego? Bardzo wiele! Punkt pierwszy (Eupsychiusz Afrykanowicz zagiął gruby i włochaty palec wskazujący lewej ręki): „Uradnik czuwa z niesłabnącą uwagą, by wszyscy

uczeszczali do świątyni bożej gorliwie i dobrowolnie..." Pozwoli pan, że zapytam... jak jej tam... Manujlich, zdaje się?... Czy chodzi kiedykolwiek do cerkwi?

Młeczalem, zdziwiony nieoczekiwanym obrotem rozmowy. Uriadnik spojrział na mnie triumfująco i zagiął następny palec.

— Punkt drugi: „Zabrania się powszechnie głoszenia fałszywych proroctw i przepowiedni..." Widzi pan? Następnie idzie punkt trzeci: „Zabrania się, by ktokolwiek podawał się za czarodzieja lub czarnoksiężnika, i wszelkich temu podobnych, oszukańczych praktyk". Co pan na to powie? A jeśli raptem to wszystko wyjdzie na jaw albo władze dowiedzą się od kogoś innego? Kto będzie odpowiadał? — Ja. Kogo przepędzą na cztery wiatry? — Mnie. Widzi pan, w czym sęk?

Uriadnik usiadł z powrotem w fotelu. Wodził roztargnionym wzrokiem po suficie i głośno bębnił palcami po stole.

— A gdybym ja o to pana poprosił, Eupsychiuszu Afrykanowiczu — zacząłem na nowo słodkim głosem. — Oczywiście, obowiązki pańskie są uciążliwe i skomplikowane, ale wiem doskonale, że ma pan takie dobre, złote serce. Cóż by to pana kosztowało, gdyby zechciał pan obiecać, że pozostawi w spokoju te biedne kobiety?

Wzrok uriadnika zatrzymał się nagle ponad moją głową.

— Ale fuzyjkę to ma pan ładną — rzucił niedbale, nie przestając bębnić palcami po stole. — Doskonała fuzyjka. Kiedy przyjechałem do pana ostatnim razem i nie zastałem go w domu, przez dłuższy czas zachwycalem się tą fuzją... Cudowna fuzja!

Odwrociłem się również i popatrzyłem na dubeltówkę.

— Tak, niezła fuzja — pochwaliłem. — Stara robota, fabryki Gastin-Renneta, dopiero w zeszłym roku przerobiłem ją na iglicówkę. Niech pan zwróci uwagę na lufy.

— A jakże, a jakże... właśnie lufami się zachwycam. Wspaniała rzecz... Prawdziwy skarb, można powiedzieć.

Oczy nasze spotkały się i ujrzałem, że w kącikach warg uriadnika pojawił się przelotny, lecz znaczący uśmiezek. Podniosłem się z miejsca, zdjąłem ze ściany fuzję i podeszedłem z nią do Eupsychiusza Afrykanowicza.

— U Czerkiesów — powiedziałem uprzejmie — istnieje bardzo ładny zwyczaj, polegający na tym, że gość otrzymuje w darze to, co pochwali w domu gospodarza. Chociaż nie jesteśmy z panem Czerkiesami. Eupsychiuszu Afrykanowiczu, jednak proszę przyjąć ode mnie tę strzelbę na pamiątkę.

Uriadnik dla zachowania pozorów udął zażenowanie.

— Zlituj się pan, takie cudo! O, nie... to już nazbyt szczodry zwyczaj!

To certowanie się nie trwało jednak długo. Uriadnik przyjął fuzję, ostrożnie oparł ją o kolana i pieczołowicie zaczął ścierać chusteczką do nosa kurz, który osiadł na zamku. Uspokoilem się nieco, widząc, że fuzja przeszła przynajmniej w ręce prawdziwego amatora i znawcy. Niemal w tej samej chwili Eupsychiusz Afrykanowicz wstał z zamiarem odjazdu.

— Sprawy nie czekają, a my tu z panem gadu-gadu — mówił wkładając z głośnym tupaniem kalosze, które w żaden sposób nie chciały wleźć na buty.

— Kiedy będzie pan w naszych stronach, proszę zawitać do mnie.

— No, a co będzie z Manujlichą, wysoka władzo? — przypomniałem delikatnie.

— To się jeszcze zobaczy... — burknął niewyraźnie Eupsychiusz Afrykanowicz. — Jeszcze o coś chciałem pana poprosić... Rzodkiewkę ma pan znakomitą...

— Własną ręką wypielegnowałem.

— Zdziwiająca rzodkiewka! A moja połowica, wie pan, przepada za wszelkimi warzywami. Gdyby pan, jakby to powiedzieć... jeden pęczek.

— Z rozkoszą, Eupsychiuszu Afrykanowiczu. Uważam to za swój obowiązek... Dziś jeszcze prześlę panu cały koszyczek przez umyślnego. Może jednocześnie pozwoli pan maselka. Mam do prawdy wyborne masło.

— Można i masła... — zgodził się łaskawie uriadnik. — A te baby może pan zawiadomić, że na razie ich nie ruszę. Tylko niech pamiętają — podniósł nagle głos — że samym „dziękuję“ się nie wykręca. Życzę panu wszystkiego najlepszego. Jeszcze raz *merci* za prezent i poczęstunek.

Uriadnik po wojskowemu stuknął obcasami i ociężałym krokiem najedzonego, statecznego człowieka ruszył do swego ekwipażu, obok którego stali już z odkrytymi głowami, w pełnych uszanowania pozach, dziesiętnik, sołtys i Jarmola.

IX

Eupsychiusz Afrykanowicz dotrzymał słowa i na pewien czas zostawił mieszkanki leśnej chatki w spokoju. Jednakże moje stosunki z Olesią uległy gwałtownej i dziwnej zmianie. W jej obejściu ze mną nie pozostało ani śladu dawnego zaufania, naiwnej pieśczośliwości i ożywienia, w którym zalotność ładnej dziewczyny tak uroczo przeplatała się z dziecięcą figlarnością. Do naszych rozmów wkradła się jakaś nieokreślona wymuszoność i skrzepowanie... Olesia unikała teraz lękliwie tematów, które przedtem budziły tak wielkie jej zaciekawienie i zdawały się być niewyczerpane.

W mej obecności oddawała się pracy z surową powagą i skupieniem, widziałem jednak często, jak podczas tej pracy ręce jej opadały nagle bezsilnie, a nieruchome spojrzenie skierowywało się w dół, na podłogę.

Jeśli w takiej chwili zawołałem ją po imieniu lub zadałem jakieś pytanie, wzdrygała się i powoli zwracała ku mnie twarz, na której malował się strach i wysilek, aby zrozumieć moje słowa. Czasami odnosiłem wrażenie, że moja obecność przytłacza ją i krępuje, lecz przypuszczenie to nie dawało się pogodzić z olbrzymim zainteresowaniem, jakie zaledwie kilka dni temu wzbudzało w niej każde wypowiedziane przeze mnie zdanie lub zrobione spostrzeżenie... Pozostawało jedynie przypuszczać, że Olesia nie może mi wybaczyć tak godzącej w jej niezależność roli, jaką odegrałem w zatargu z uriadnikiem. Jednakże i ten domysł nie zadowalał mnie: doprawdy, skąd się mogło wziąć u prostej dziewczyny, która wyrosła i wychowała się w lesie, tak przewrażliwione poczucie godności własnej i dumy?

Wszystko to wymagało wyjaśnienia, a Olesia uparcie unikała

wszelkich nadarzających się okazji do szczerzej rozmowy. Nasze wieczorne przechadzki skończyły się. Na próżno co dzień przed odejściem rzucałem na Olesię wymowne i błagalne spojrzenia — udawała, że ich nie rozumie. Niepokoili mnie także obecność starej, mimo iż była głucha.

Niekiedy irytowała mnie własna bezsilność i moc przyzwyczajenia, która ciągnęła mnie co dzień do Olesi. Wtedy nie podejrzewałem nawet, jak subtelne, niedostrzegalne, a zarazem mocne nici uczucia łączyły mnie z tą czarującą i niezrozumiałą dla mnie dziewczyną. Nie myślałem jeszcze o miłości, lecz przeżywałem już ów niespokojny, poprzedzający miłość okres, pełen nieokreślonych niepokoїв i udręki. Gdziekolwiek się znajdowałem, jakiegokolwiek szukałem rozrywki — myśli moje krążyły wokół Olesi, cała moja istota rwała się do niej i na samo wspomnienie o wypowiedzianych przez nią błahych nawet słowach, o jej ruchach i uśmieszach, słodko i trwożnie zamierało mi serce. Nadchodził wieczór, a ja całymi godzinami siedziałem koło niej na niskiej i chwiejnej ławeczce, czując, że robię się coraz bardziej nieśmiały, bezradny i śmieszny.

Pewnego razu spędziłem w ten sposób z Olesią cały dzień. Już z samego rana czułem się niedobrze, chociaż nie mogłem określić, w czym tkwi przyczyna niedomagania. Pod wieczór poczułem się jeszcze gorzej. Głowa zrobiła się ciężka, w uszach szumiało, skronie przewiercały tępy, nieustanny ból, jak gdyby uciskały je czyjeś miękkie, lecz silne dłonie. Usta mi wyschły, ciało ogarnęła leniwa, nużąca słabość. Co chwila przeciągałem się i ziewałem. Oczy bolały, jak gdybym przedtem długo i uporczywie wpatrywał się z bliska w jakiś błyszczący punkt.

Gdy wracałem późnym wieczorem do domu, akurat w połowie drogi zatrzęsł mną nagle gwałtowny paroksyzm dreszczu. Szedłem nie widząc niemal niczego przed sobą, nie orientując się, dokąd idę, i zataczając się jak pijany, podczas gdy zęby moje wybijały szybki i głośny werbel.

* Nie wiem dotychczas, w jaki sposób znalazłem się w domu... Przez sześć dni z rzędu nie odstępowała mnie okropna poleska „zimnica“. We dnie choroba jak gdyby przechodziła i wracałem

do przytomności. Łaziłem wówczas, całkowicie wycieńczony, po pokoju; bolały mnie nogi i co chwila uginały się pod mną. Przy każdym bardziej ożywionym ruchu krew uderzała gorącą falą do głowy i pokrywała ciemnością wszystkie przedmioty przed oczyma. Wieczorem, zazwyczaj około godziny siódmej, jak huragan spadał na mnie atak choroby i spędzałem na posłaniu okropną, długą jak stulecie noc, trzęsąc się z zimna, to znów nie mogąc z gorącą wytrzymać pod prześcieradłem. Gdy zaczynałem drze- mać, dziwaczne i niedorzeczne widziadła opanowywały moją roz- gorączkowaną wyobraźnię. W snach tych było pełno drobnych, mikroskopijnych szczegółów, piętrzących się i łączących ze sobą w absurdalnym natłoku. Wydawało mi się, że rozkładałam jakieś cudaczne, różnokolorowe skrzynki, wydając z dużych skrzyń małe, z małych jeszcze mniejsze, i że w żaden sposób nie mogę przerwać tej nie kończącej się roboty, która już dawno mi ob- mierzła. To znów z oszalamiającą szybkością migały mi przed oczami długie, jaskrawe wstęgi tapet, na których zamiast deseni widziałem zaskakująco wyraźnie girlandy ludzkich twarzy — niekiedy pięknych, dobrych i uśmiechniętych, niekiedy zaś prze- raźliwie wykrzywionych, o wysuniętych językach, wyszczerzo- nych zębach i wywracających się ogromnych białkach. Następnie wdawałem się z Jarmolą w zagmatwaną i skomplikowaną abstrak- cyjną dyskusję. Argumenty, które przytaczaliśmy sobie nawza- jem, stawały się z każdą chwilą coraz bardziej wymyślne i głębokie; poszczególne słowa, a nawet litery nabierały nagle tajemniczego i niezgłębitego znaczenia, a jednocześnie ogarniało mnie coraz sil- niej uczucie wstrętu i strachu przed nieznana, nienaturalną mocą, która wyciąga z mej głowy jeden za drugim pokraczne sofizmaty i nie pozwala na przerwanie od dawna uprzykrzonego sporu.

Był to rwący potok ludzkich i zwierzęcych figur, krajobrazów, przedmiotów najdziwniejszych kolorów i kształtów, zdań i wyrazów, których znaczenie wyczuwałem wszystkimi zmysłami... Jednak — dziwna rzecz — w tym samym czasie widziałem wy- raźnie jasny, regularny krąg świetlny rzucany na sufit przez zieloną lampę z opalonym abażurem. Byłem, nie wiadomo z jakiej racji, przeświadczony, że w tym spokojnym kręgu o niewyraź-

nych zarysach przyczało się milczące, jednostajne, tajemnicze i groźne życie, jeszcze straszniejsze i bardziej przygniatające niż szaleńczy chaos mar sennych.

Potem budziłem się, a raczej uświadamiałem sobie nagle, że nie śpię. Przytomność powracała prawie całkowicie. Zdawałem sobie sprawę, że leżę w łóżku, że jestem chory, że majaczyłem przed chwilą, a mimo to jasny krąg na ciemnym suficie, kryjący w sobie utajoną i złowieszczą groźbę, wciąż jeszcze przejmował mnie strachem. Sięgałem słabą ręką po zegarek, patrzałem nań i z przykrym zdziwieniem przekonywałem się, że nie kończące się pasmo potwornych snów trwało nie więcej niż dwie — trzy minuty. „O, Boże! Kiedy wreszcie zacznie świtać!“ — myślałem z rozpaczą, miotając się na rozgrzanej pościeli i czując, jak ciężki i przerywany własny oddech przepala mi wargi... Po chwili jednak znów ogarniała mnie senność, mózg znowu stawał się igraszką dziwaczного koszmaru i znowu po kilku minutach budziłem się, zdjęty śmiertelnym przerażeniem.

Po sześciu dniach mój silny organizm, z pomocą chininy oraz odwaru z babki, przezwyciężył chorobę. Wstałem z łóżka całkowicie rozbity i ledwie trzymałem się na nogach. Powrót do zdrowia następował jednak bardzo szybko. W głowie, wymęczonej sześciodniowym majaceniem w gorączce, czułem teraz przyjemny spokój i leniwy brak myśli. Zjawił się także wzmoczony apetyt i ciało stawało się silniejsze z godziny na godzinę, wchłaniając każdą swą komórką zdrowie i radość życia. Jednocześnie z nową siłą pociągnęło mnie do lasu, do samotnej, pokrzywionej chatki. Moje nerwy nie były jeszcze w zupełnym porządku i za każdym razem, gdy wywoływałem w pamięci twarz i głos Olesi, ogarniała mnie tak tkliwe rozczulenie, że po prostu chciałem płakać.

X

Po upływie dalszych pięciu dni czułem się na tyle pokrzepiony, że bez najmniejszego zmęczenia doszedłem pieszo do chatki na kurzej nóżce. Serce biło mi trwożnie w piersi, gdy przestąpiłem

próg. Prawie dwa tygodnie nie widziałem Olesi i teraz uświadomiłem sobie ze szczególną jasnością, jak miła mi była i bliska. Trzymając rękę na zasuwie u drzwi, stałem niezdecydowany, z przymkniętymi oczyma, wstrzymując oddech.

Dopiero po dłuższej chwili pchnąłem drzwi...

Wrażenia, jakie odniosłem po wejściu do chatki, nie dadzą się odtworzyć... Czy można zapamiętać słowa wypowiedziane po długiej rozłące w pierwszych chwilach spotkania matki z synem, męża z żoną lub dwojga zakochanych? Są to zazwyczaj najprostsze słowa i zdania, najbardziej utarte zwroty, które stają się nawet śmieszne, jeśli je dokładnie przelejemy na papier. Każde z tych słów jest jednak właściwe i nieskończenie mile, chociażby dlatego, że głos mówiącego jest nam najdroższy na świecie.

Pamiętam, pamiętam niezwykle dokładnie tylko to, że Olesia zwróciła ku mnie wybladłą twarz i że na tej ślicznej, nie znanej mi jak gdyby dotychczas twarzy odmalowały się niemal jednocześnie zdumienie, przestрах i czuły, promienny uśmiech miłości... Stara dreptała koło mnie, mamrocząc coś pod nosem, nie słyszałem jednak jej słów. Głos Olesi zabrzmiał mi w uszach jak najśladźsza muzyka:

— Co się z panem działo? Chorował pan? Och, jaki chudy, biedactwo!

Ze wzruszenia przez dłuższy czas nie mogłem się zdobyć na odpowiedź; staliśmy tak w milczeniu naprzeciw siebie, trzymając się za ręce i patrząc sobie radośnie i głęboko w oczy. Dotychczas jeszcze uważam te sekundy milczenia za najszczęśliwszą chwilę w moim życiu — nigdy, ani przedtem, ani potem, nie czułem tak pełnego i wszechogarniającego zachwytu. Jakże wymowne było spojrzenie ciemnych oczu Olesi! Wyczytałem w nim radość spotkania, wyrzut z powodu mojej długiej nieobecności i gorące wyznanie miłości... czułem, że wraz z tym spojrzeniem Olesia oddaje mi radośnie, bez żadnych zastrzeżeń i wahań, całą swą istotę.

Powolnym ruchem rzęs Olesia wskazała mi Manujlichę — i czar prysnął. Usiedliśmy obok siebie; zaczęła mnie dokładnie i troskli-

wie wypytować o przebieg choroby, o lekarstwa, jakie zażywałem, a także o to, co mówił doktor, który dwa razy przyjeżdżał do mnie z pobliskiego miasteczka. Zmusiła mnie, abym po kilka razy opowiedział jej o doktorze, i za każdym razem dostrzegałem na jej wargach przelotny, ironiczny uśmieszek.

— Ach, gdybym tylko wiedziała, że pan zachorował! — wykrzyknęła ze współczuciem. — Ja bym pana w jeden dzień postawiła na nogi... Czyż można im ufać, jeśli na niczym, ale to na niczym się nie znają? Czemu nie posłał pan po mnie?

Zmieszałem się.

— Widzisz, Olesiu... to wydarzyło się tak nieoczekiwanie... a zresztą, nie chciałem cię niepokoić. W ostatnich czasach byłaś wobec mnie taka dziwna... myślałem, że gniewasz się na mnie albo że ci obrzydłem... Słuchaj, Olesiu — dodałem przyciszonym głosem — musimy z sobą o wielu, wielu rzeczach porozmawiać... ale w cztery oczy... rozumiesz?

Olesia nieznacznie opuściła powieki na znak zgody, potem obejrzała się ze strachem na babkę i szepnęła:

— Tak... sama chciałam... później... trzeba poczekać...

Gdy tylko zaszło słońce, Olesia zaczęła mnie przynaglać do odejścia.

— Niech pan idzie, niech pan idzie prędzej do domu — mówiła ściągając mnie za rękę z ławeczki. — Jeśli teraz wilgoć pana ogarnie — zaraz choroba wróci z powrotem.

— Dokąd to, Olesiu? — zapytała nagle Manujlicha, widząc, że wnuczka pośpiesznie narzuciła na głowę dużą, szarą, wełnianą chustę.

— Pójdę... odprowadzę kawaleczek — odparła Olesia.

Powiedziała to obojętnym tonem, spoglądając w okno, a nie na babkę, lecz w głosie jej zabrzmiała ledwo dostrzegalna nutka rozdrażnienia.

— Pójdziesz jednak? — powtórzyła pytanie stara, akcentując ostatnie słowo.

Olesia spojrzała jej wprost w oczy palającym wzrokiem.

— A pójdę! — odpowiedziała hardo. — Już i tak za dużo się o tym gadało. Moja sprawa, moja pokuta. Sama wiem, co robić.

— Ech, ty! — wykrzyknęła stara ze złością i wyrzutem w głosie.

Chciała jeszcze coś dodać, ale machnęła tylko ręką, pokuszyła do swego kąta i stękając zaczęła się krzątać koło jakiegoś koszyka.

Zrozumiałem, że krótka, burzliwa rozmowa, której przed chwilą byłem świadkiem, jest dalszym ciągiem długiego szeregu kłótni i wzajemnych niesnasek. Zbliżając się z Olesią do lasu zapytałem:

— Twoja babcia nie chce, żebyś chodziła ze mną na spacer? Co?

Olesia z niezadowoleniem wzruszyła ramionami.

— Proszę, niech pan nie zwraca na to uwagi. No tak, nie chce... I co z tego?... Czy nie mogę robić, co mi się żywnie podoba?

Poczułem nagle nieodpartą chęć zrobienia Olesi wymówki za jej niedawną oschłość.

— A więc i poprzednio, zanim zachorowałem, mogłaś przebywać ze mną sam na sam, tylko nie chciałaś... Ach, Olesiu, żebyś wiedziała, jaki ból mi tym sprawiałaś... Tak czekałem każdego wieczoru, tak czekałem, że znowu pójdziesz ze mną na spacer... A ty nie zwracałaś na mnie żadnej uwagi, siedziałaś taka zła i oswiała... O, jak się znęcałaś nade mną, Olesiu!

— Niech pan przestanie, mój drogi... Nie trzeba o tym wspominać — ze skrucną w głosie prosiła Olesia.

— Nie, wcale nie chcę ci tego wypominać — ot, zgadło się o tym... Teraz rozumiem, dlaczego tak było... A przecież z początku — doprawdy, śmiać się chce, gdy sobie przypomnę — myślałem, że obraziłaś się na mnie za uradnika. Bardzo się tym martwiłem. Zdawało mi się, że uważasz mnie za obcego człowieka, od którego nawet zwykłej przyjacielskiej przysługi nie można przyjąć... Ciężko mi było na sercu... Nie podejrzewałem nawet, Olesiu, że to babcia wszystkiemu winna...

Twarz Olesi pokryła się nagle ciemnym rumieńcem.

— To nie babcia!... Sama nie chciałam! — wykrzyknęła czupurnie.

Odwrociłem się ku niej i ujrzałem z boku szlachetny i delikatny profil jej pochylonej twarzy. Dopiero teraz zauważyłem, że Olesia również schudła w ciągu tego czasu i oczy ma mocno podkrążone

siną obwódka. Czując na sobie moje spojrzenie Olesia podniosła ku mnie oczy, natychmiast jednak opuściła je i odwróciła się ze wstydliwym uśmiechem.

— Dlaczego nie chciałaś, Olesiu? Dlaczego? — pytałem drżącym ze wzruszenia głosem, chwytając Olesię za rękę i zmuszając ją, by przystała.

Znajdowaliśmy się właśnie na samym środku długiej, wąskiej i prostej jak strzała przesieki leśnej. Wysokie, wysmukłe sosny otaczały nas z obydwu stron, tworząc olbrzymi, biegnący w dal korytarz pod sklepieniem splecionych ze sobą pachnących gałęzi. Nagie pnie drzew kapwały się w krwawych odbłaskach dogorywającego zachodu słońca.

— Dlaczego, Olesiu? Dlaczego? — szeptałem bez przerwy, coraz silniej ściskając jej rękę.

— Nie mogłam... Bałam się — odpowiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem Olesia. — Myślałam, że można uniknąć swego losu... A teraz... teraz...

Olesia chwyciła ustami powietrze, jak gdyby zabrakło jej tchu, i naraz ręce jej nagłym ruchem objęły mnie mocno za szyję, a wargi słodko ogrzała jej śpieszny i drżący szept:

— Teraz mi wszystko jedno, wszystko jedno!... Dlatego że kocham ciebie, mój najdroższy, szczęście moje!

Tuliła się do mnie coraz mocniej; czulem, jak drżało w mych ramionach jej silne, gorące ciało, jak szybko biło tuż przy mojej piersi jej serce. Jej namiętne pocałunki uderzyły mi do słabej po chorobie głowy jak oszałamiający trunek. Zaczynałem tracić panowanie nad sobą.

— Olesiu, na Boga, nie trzeba... Zostaw mnie — mówiłem starając się rozewrzeć jej ręce. — Teraz i ja się boję... Boję się samego siebie... Puść mnie, Olesiu.

Podniosła ku mnie swą twarz, którą rozjaśniał marzący, delikatny uśmiech.

— Nie bój się, kochany — powiedziała z niewysłowioną pieszczotą i stanowczością w głosie. — Nie usłyszysz ode mnie wyrzutów, o nikogo nie będę zazdrosna... Powiedz tylko, czy kochasz?

— Kocham, Olesiu. Kocham cię od dawna... Bardzo cię ko-

cham... Ale nie całuj mnie więcej... Słabnę, w głowie mi się kręci, nie ręczę za siebie...

Jej wargi znów przywarły do moich warg w długim i boleśnie słodkim pocałunku; raczej odgadłem, niż usłyszałem jej słowa:

— Nie się nie bój i nie myśl o niczym... Dzisiaj nasz dzień i nikt go nam nie odbierze...

Cała ta noc przeistoczyła się w czarodziejską, cudowną baśń. Wszedł księżyc; jego poświata tajemniczo i fantastycznie rozświetliła las, kładąc się w mroku bladoniebieskawymi plamami na powykrzywiane pnie drzew, wygięte sęki i na miękkie jak dywan pluszowy mech. Wysmukłe pnie brzoź bielily się jaskrawo i wyraziście, a ich rzadkie listowie pokryte było, zda się, srebrzystym, przeźroczystym welonem. Miejscami światło nie docierało zupełnie pod wysokie podcienie sosnowych gałęzi. Panował tam zupełny, nieprzenikniony mrok i tylko czasami w samym środku ciemności prześlizgujący się, nie wiadomo skąd, promień oświetlał wyraźnie długi rząd drzew i rozpościerał się na ziemi wąską, prościutką dróżką — tak jasną i uroczą, jak gdyby przybrały ją elfy dla uroczystego orszaku Oberona i Tytanii. Szliśmy w milczeniu i wszystko dokoła wydawało się nam bajką, która stała się rzeczywistością. Milczeliśmy, przytłoczeni bezmiarem szczęścia i posępną ciszą lasu.

— Kochanie, zapomniałam całkiem, że musisz się śpieszyć do domu — spostrzegła się Olesia. — Jaka wstrętna jestem! Niedawno wyzdrowiałeś, a ja ciebie tak długo w lesie trzymam.

Objąłem ją i, odgarniając chustkę z jej ciemnych, gęstych włosów, szepnąłem cicho do ucha:

— Nie żałujesz, Olesiu! Nie martwisz się?

Olesia potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie... Cokolwiek by się stało, nie będę żałować. Tak mi dobrze...

— A czy koniecznie musi się coś stać?

W oczach dziewczyny błysnął znany mi już wyraz mistycznego lęku.

— O, tak, na pewno... Pamiętasz, jak ci mówiłam o damie

żołędnej? Przecież ta dama żółędna to ja, ze mną się stanie nieszczęście. Tak karty powiedziały. Wiesz, chciałam już ciebie prosić, żebyś całkiem przestał do nas przychodzić. A ty zachorowałeś właśnie i prawie przez pół miesiąca ciebie nie widziałam... I taka mnie chwyciła tęsknota, taki smutek, że już bym wszystko na świecie oddała, żeby tylko z tobą razem choć przez chwilę pobyc... Pomyślałam sobie wtedy: niech się dzieje co chce, ale swojej radości nikomu nie oddam...

— To prawda, Olesiu. Ze mną też tak było — powiedziałem, lekko dotykając wargami jej skroni. — Nie wiedziałem, że ciebie kocham, dopóki nie rozstałem się z tobą. Ktoś mądrze powiedział, że rozłąka jest dla miłości tym, czym wiatr dla ognia: przelotną miłość gasi, a prawdziwą rozpala jeszcze silniej.

— Jak powiedziałeś? Powtórz, powtórz jeszcze raz, bardzo cię proszę — zaciekała się Olesia.

Powtórzyłem tę, nie wiadomo czyją, sentencję. Olesia zamyśliła się i dostrzegłem z ruchu jej warg, że powtarza moje słowa.

Wpatrywałem się w jej bladą, odchyloną do tyłu twarz, w jej duże, czarne oczy, w których lśniły odbłyśki światła księżycowego — i nagle mgliste przeczucie bliskiego, nieoczekiwanego nieszczęścia wśliznęło się do mego serca.

XI

Czarowna baśń naszej miłości trwała niemal przez cały miesiąc; po dziś dzień uroczą postać Olesi żyje w mojej pamięci, tak jak żyją w niej dotychczas rosiste, pachnące konwaliami i miodem, płonące zorze wieczorne, tchnące orzeźwiającą wilgocia, i rozbrzmiewające ptasim świergotem poranki, i owe upalne, parne i rozleniwiające dni czerwcowe... Nuda, zmęczenie ani odwieczne zamilowanie do włóczędzy nie miały do mnie w tym czasie dostępu. Jak bożek pogański lub jak młode silne zwierzę, rozkoszowałem się światłem, ciepłem, świadomą radością życia i spokojną, zdrową, zmysłową miłością.

Stara Manujlicha po moim wyzdrowieniu stała się nieznosnie

gderliwa, rozmawiała ze mną z nieukrywaną nienawiścią i gdy siedziałem w chacie, z taką złością przesuwiała garnki w piecu, że postanowiliśmy z Olesią spotykać się w lesie... Majestatyczna zieleń lasu służyła za schronienie naszej nie zamąconej niczym miłości.

Każdego dnia z rosnącym zdziwieniem przekonywałem się, że Olesia, która wychowywała się w lesie i nie umiała nawet czytać, w wielu wypadkach wykazywała subtelność i niezwykły, wrodzony takt. W miłości — w bezpośrednim znaczeniu tego słowa — istnieją zawsze odrażające strony, które przyczyniają wiele udręki i wstydu naturom artystycznym i nerwowym. Olesia jednak umiała unikać ich z tak naiwną prostotą, że ani jedna cyniczna myśl lub porównanie nie skaląły naszego stosunku.

Tymczasem zbliżał się dzień mego odjazdu. Właściwie mówiąc, moje obowiązki służbowe w Pieriebrodzie dawno się już skończyły i rozmyślnie odkładałem z dnia na dzień datę powrotu do miasta. Nie mówiłem jeszcze o tym z Olesią i ze strachem wyobrażałem sobie, jak przyjmie wiadomość o konieczności wyjazdu. W ogóle znalazłem się w ciężkiej sytuacji. Przyzwyczajenie zapuściło zbyt głębokie korzenie. Musiałem codziennie widzieć Olesię, słyszeć jej melodyjny głos i dźwięczny śmiech, rozkoszować się urokiem jej pieścizot — było to dla mnie więcej niż konieczne. Jeśli czasem niepogoda nie pozwalała nam na spotkanie, miałem takie wrażenie, jak gdybym poniósł jakąś niepowetowaną stratę, jak gdyby pozbawiono mnie czegoś najistotniejszego i najważniejszego w życiu. Wszystkie sprawy stawały się raptem nudne i pozbawione wszelkiego sensu. Całą swą istotą pragnąłem gorąco znaleźć się na powrót w słonecznym lesie i widzieć obok siebie ukochaną twarzyczkę Olesi.

Myśl o ożenku z Olesią coraz częściej przychodziła mi do głowy. Początkowo zastanawiałem się nad tym rzadko; wydawało mi się, że będzie to możliwe tylko w ostatecznym wypadku, gdyby nie znalazło się żadnego innego uczciwego wyjścia z sytuacji. Odstraszała mnie i powstrzymywała przed tym krokiem jedynie pewna okoliczność: mianowicie bałem się nawet wyobrazić sobie, jak Olesia będzie wyglądać w modnych sukniach, rozmawiająca

w salonie z żonami moich kolegów biurowych, pozbawiona czarownego tła lasu, pełnego legend i tajemniczych sił.

Im bardziej jednak zbliżał się czas odjazdu, tym większa ogarniała mnie tęsknota i strach przed samotnością. Z każdym dniem umacniałem się w postanowieniu ożenku, aż wreszcie przestałem w nim widzieć zuchwałe wyzwanie, rzucone społeczeństwu. „Żenią się przecież porządni i mądrzy ludzie ze szwaczkami i służącymi — pocieszałem się — powodzi im się znakomicie i do końca życia błogosławią los, który skłonił ich do tej decyzji. Dlaczegoż doprawdy mam być mniej szczęśliwy od innych?”

Pewnego wieczoru, w połowie czerwca, czekałem jak zwykle na Olesię na zakręcie wąskiej, leśnej dróżki, wijącej się wśród kwitnących krzaków głogu. Z daleka już poznałem lekki i szybki szelest jej kroków.

— Dzień dobry, mój złoty — powiedziała, zadyszana, obejmując mnie mocno. — Naczekałeś się chyba? A ja ledwo-ledwo wyrwałam się... Cały czas z babcią wojowałam.

— Jeszcze się nie uspokoiła?

— Ani myśli! „Ty — powiada — zginiesz przez niego... Nacieszy się tobą i rzuci. Nie kocha ciebie wcale...”

— To o mnie tak mówiła?

— O tobie, miły... Przecież ja i tak jej nie wierzę.

— A ona wie o wszystkim?

— Nie powiem na pewno... Zdaje się, że wie! Ja o niczym jej nie opowiadałam — sama domyśliła się. Ale po co o tym myśleć... Chodźmy.

Olesia zerwała gałązkę głogu ze wspaniałą kiścią białych kwiatów i włożyła ją sobie we włosy. Poszliśmy powoli dróżką, zaróżowioną z lekka w wieczornym słońcu.

Jeszcze ubiegłej nocy postanowiłem za wszelką cenę porozmawiać o wszystkim z Olesią, nie mogłem jednak przewyciężyć dziwnego onieśmielenia. Myślałem, że Olesia nie uwierzy mi, jeśli powiem jej za jednym zamachem o ożenku i wyjeździe. Czy nie wyda się jej, że oświadczynami pragnę tylko złagodzić ból zadawanej rany? „Jak tylko dojdziemy do rozdartego klonu, od razu zacznę!” — zdecydowałem ostatecznie. Dochodziliśmy do klonu

i, zaczerpnąwszy tchu, otwierałem już usta, by zacząć mówić, gdy śmiałość moja nagle gdzieś się rozwiała, przechodząc w nerwowe, bolesne bicie serca i chłód w ustach. „Dwadzieścia siedem — to moja feralna liczba — myślałem po kilku minutach — doliczę do dwudziestu siedmiu i wówczas!” Zaczynałem rachować w pamięci, gdy jednak dochodziłem do dwudziestu siedmiu, czułem, że decyzja nie dojrzała we mnie całkowicie. „Nie — mówiłem sobie — lepiej doliczyć od razu do sześćdziesięciu — wypadnie akurat minuta — a wtedy już na pewno, na pewno...”

— Co się dziś z tobą dzieje? — zapytała nagle Olesia. — Myślisz o czymś przykrym. Co ci się stało?

Zacząłem wówczas mówić, takim jednak tonem, który wydał mi się samemu obrzydliwy, z udanym, nienaturalnym lekceważeniem, jak gdyby chodziło o jakieś głupstwko.

— Rzeczywiście, są to drobne nieprzyjemności... zgadłaś, Olesiu... Widzisz, moja praca w Pieriebrodzie skończyła się i moi zwierzchnicy odwołują mnie do miasta.

Rzuciłem z boku krótkie, przelotne spojrzenie na Olesię i zauważyłem, że krew uciekła z jej twarzy, a wargi drżą. Nie powiedziała jednak ani słowa. Przez kilka minut siedłem obok niej w milczeniu. W trawie grały głośno koniki polne, z daleka dolaływał monotony, skrzeczący krzyk derkacza.

— Chyba sama rozumiesz, Olesiu — ciągnąłem — że trudno mi tu pozostać — nie ma zresztą gdzie — a poza tym nie można porzucić służby...

— Nie... nie można... to całkiem proste — odpowiedziała Olesia spokojnym, lecz tak cichym i zdławionym głosem, że strach mnie ogarnął. — Jeśli służba, to koniecznie... trzeba jechać.

Przystanęła przy drzewie i oparła się plecami o pień. Stała tak, z bezsilnie opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, z żalosnym uśmiechem na zbiegających wargach. Zaniepokoiła mnie jej bladość. Rzuciłem się do niej i mocno chwyciłem za ręce.

— Olesiu... co ci jest? Olesiu... kochana!...

— Nic... niech pan się nie gniewa... to przejdzie. Ot... zakręciło mi się w głowie...

Z wysiłkiem zrobiła krok naprzód, trzymając mnie kurczowo za rękę.

— Olesiu, bardzo źle teraz o mnie pomyślałaś — powiedziałem z wyrzutem. — Jak ci nie wstyd! Czy sądzisz, że mogę wyjechać i porzucić ciebie? Nie, kochana. Tylko dlatego zacząłem tę rozmowę, że jeszcze dzisiaj chcę pójść do twojej babci i powiedzieć jej, że zostaniesz moją żoną.

Ku memu zdziwieniu słowa te nie sprawiły na Olesi prawie żadnego wrażenia.

— Twoją żoną? — ze smutkiem potrząsnęła głową. — Nie, mój miły Wanieczka, to niemożliwe!

— Dlaczego, Olesiu? Dlaczego?

— Nie, nie... Przecież sam rozumiesz, że to śmiechu warte. Naprawdę, jaka ze mnie żona dla ciebie? Ty jesteś pan, mądry, wykształcony, a ja? Nawet czytać nie umiem i nie wiem, jak się ruszać... Pomyśl, jakiego wstydu mogę ci narobić...

— To wszystko głupstwa, Olesiu! — zaprotestowałem gorąco. — Za pół roku zmienisz się nie do poznania. Nawet nie podejrzewasz, ile posiadasz spostrzegawczości i wrodzonego rozumu. Przeczytamy razem dużo ciekawych książek, poznamy wielu dobrych, mądrych ludzi. Cały świat stoi przed nami otworem, Olesiu!... Przez całe życie, aż do samej śmierci będziemy iść ręką w rękę jak teraz i nie tylko nie będę się ciebie wstydzić, ale wdzięczny ci będę i dumny z ciebie!...

Na moje płomienne przemówienie Olesia odpowiedziała dziękczynnym uściskiem ręki, jednak uparcie obstawała przy swoim.

— Czy tylko to jedno?... Może jeszcze nie wiesz?... Nigdy ci nie mówiłam... Nie wiem, kim był mój ojciec... Bękartem jestem...

— Olesiu, przestań... To już nie ma najmniejszego znaczenia. Co mnie obchodzi twoja rodzina, kiedy sama jesteś mi droższa niż ojciec i matka, niż cały świat? Nie, to wszystko drobiazgi, puste wykręty!...

Olesia delikatnie i pieśczośliwie przywarła do mnie ramieniem.

— Kochanie... Lepiej byś wcale nie zaczynał tej rozmowy... Jesteś młody, wolny... Jakżebyś mogła ci całe życie zawiązać...

No, a jeśli pokochasz kiedyś inną? Przecież znienawidzisz mnie wtedy, przeklniesz mnie wtedy, przeklniesz ten dzień i godzinę, kiedy zgodziłam się wyjść za ciebie. Nie gniewaj się, mój kochany! — wykrzyknęła błagalnie, widząc, jaką przykrość sprawiają mi te słowa. — Nie chcę ciebie skrzywdzić. Przecież ja tylko o twoim szczęściu myślę. A wreszcie, zapomniałeś o babce. No, osądź sam, czy ładnie będzie z mojej strony, jeżeli zostawię ją samą?

— No cóż... i dla babci znajdzie się miejsce. (Muszę przyznać, że myśl o babce mocno mnie zakłopotala). A jeśli nie zechce z nami mieszkać, to w każdym mieście są takie domy... Nazywają je przytułkami... gdzie takie staruszki znajdują odpoczynek i troskliwą opiekę...

— Ale, co ty mówisz! Ona z lasu ani na krok się nie ruszy. Ludzi się boi.

— No, to sama musisz coś lepszego wymyślić, Olesiu. Będiesz musiała wybrać między mną a babcią. Wiedz tylko, że bez ciebie żyć nie mogę.

— Kochanie moje! — z głęboką tklivością powiedziała Olesia. — Za same te słowa szczerze ci dziękuję... Za serce mnie chwyciłeś. Ale i tak żoną twoją nie będę... Lepiej zwyczajnie pójde z tobą, jeśli nie przepędzisz... Tylko nie śpiesz się, proszę cię, nie przynaglaj mnie. Daj mi ze dwa dni czasu, a ja sobie wszystko dobrze obmyślę... Z babcią też trzeba będzie porozmawiać.

— Posłuchaj, Olesiu — zapytałem, olśniony nowym domysłem — a może znowu... cerkwi się boisz?

Bodaj że od tego pytania trzeba było zacząć. Niemal co dzień sprzeczałem się z Olesią, starając się wyperswadować jej, że rzekoma klątwa, ciążyąca jakoby od pokoleń nad jej rodziną, posiadającą wiedzę tajemną, w rzeczywistości nie istnieje. Trzeba przyznać, że w każdym rosyjskim inteligencie tkwi duch przekory. Mamy to we krwi, wpoila to nam cała rosyjska literatura ostatnich dziesięcioleci. Kto wie? Gdyby Olesia istotnie była wierząca, przestrzegała ściśle postów i nie opuszczała żadnego nabożeństwa w cerkwi — bardzo możliwe, że zacząłbym wówczas wykpiwać

jej religijność, wprawdzie trochę tylko, ponieważ zawsze byłem wierzącym człowiekiem — oraz rozwijać badawczy i krytyczny stosunek do świata. Ona jednak z nieugiętym i naiwnym przekonaniem spowiadała się przede mną ze swych związków z mocami piekielnymi i ze swej obcości wobec Boga, z którym bała się nawet rozmawiać.

Na próżno starałem się walczyć z tymi przesądami. Wszystkie logiczne argumenty, wszystkie, nieraz złośliwe, drwiny rozbijały się o jej pokorne przeświadczenie o swym tajemniczym, złowrogim powołaniu.

— Boisz się cerkwi, Olesiu? — ponowilem pytanie.

W milczeniu skinęła głową.

— Myślisz, że Bóg cię nie przyjmie! — ciągnąłem ze wzrastającym zapalem. — Że nie będzie dla ciebie miłosierny? Ten, który rządząc milionami aniołów zstąpił jednak na ziemię i przyjął straszną, hańbiącą śmierć dla zbawienia wszystkich ludzi? Ten, który nie pogardził skrucą rozpustnicy i obiecał łotrowi, że tego samego dnia będzie z Nim w raju?...

Wszystkie te dowody były co prawda już od dawna znane Olesi, jednak tym razem nie chciała nawet mnie słuchać. Szybkim ruchem zrzuciła z głowy chustkę, zmięła ją i cisnęła mi w twarz. Zaczęliśmy się szamotać. Staralem się odebrać jej gałkę glogu. Broniąc się upadła na ziemię i pociągnęła mnie za sobą, śmiejąc się radośnie i podając mi swe rozchylone w szybkim oddechu, wilgotne usta...

Późno w nocy, gdy już pożegnaliśmy się i odeszli od siebie dość daleko, usłyszałem nagle za sobą głos Olesi:

— Wanieczka! Poczekaj chwilkę... Coś ci powiem!

Zawróciłem i poszedłem ku niej. Olesia szybko podbiegła do mnie. Na niebie świecił już wąski, srebrzysty sierp księżycy i w jego bladej poświacie ujrzałem, że oczy Olesi pełne są nabrzmiałych, nie wypłakanych jeszcze łez.

— Co ci, Olesiu? — zapytałem z trwogą.

Olesia chwyciła me ręce i zaczęła je okrywać pocałunkami.

— Kochany... jakiś ty dobry! Jakiś ty szlachetny! — mówiła drżącym głosem. — Szłam sobie teraz i pomyślałam: jak ty mnie

kochasz!... Wiesz, strasznie bym chciała zrobić ci coś bardzo, bardzo przyjemnego.

— Olesiu... Dziewczyno kochana, uspokój się...

— Posłuchaj, powiedz mi — ciągnęła Olesia — czy byłbyś zadowolony, gdybym kiedykolwiek poszła do cerkwi? Tylko mów prawdę, najprawdziwszą prawdę!

Zamyśliłem się. Przyszło mi nagle na myśl, że może wyniknąć z tego jakieś nieszczęście.

— Dlaczego milczysz? Mów prędzej, cieszyłbyś się, czy jest ci wszystko jedno?

— Jak ci to powiedzieć, Olesiu...? — rzekłem po namyśle. — No tak, cieszyłbym się chyba. Mówiłem ci już nieraz, że mężczyzna może nie wierzyć, wątpić, a nawet śmiać się z religii... Ale kobieta... kobieta musi być pobożna bez zastrzeżeń. W prostym i szczerym zaufaniu, z którym oddaje się ona pod opiekę boską, kryje się wzruszająca i piękna istota kobiecości.

Zamilkłem. Olesia również nie odzywała się ukrywszy głowę na mej piersi.

— Ale dlaczego o to pytasz? — zaciekawilem się.

Olesia drgnęła.

— Tak sobie... Po prostu zapytałam... Nie zwracaj uwagi. No, do widzenia, kochany. Przyjdź jutro, pamiętaj!

Zniknęła w lesie. Długo jeszcze wpatrywałem się w mrok, nasłuchując odgłosu jej szybkich, oddalających się kroków. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie. Coś mnie ciągnęło nieodparcie, żeby pobiec za Olesią, dogonić i prosić, błagać, a nawet żądać, jeśli zajdzie potrzeba, aby nie chodziła do cerkwi. Przewycięzyłem jednak swój nieoczekiwany poryw i — pamiętam jak dziś — udając się w dalszą drogę powiedziałem na głos do siebie:

— Zdaje się, drogi Wanieczka, że staje się pan przesądny.

Mój Boże! Dlaczego nie usłuchałem wówczas głosu serca, które — teraz już wierzę w to święcie! — nie myli się nigdy w swych tajemniczych przeczuciach.

Następnego dnia po naszym spotkaniu wypadło akurat święto Bożego Ciała, które zbiegło się w owym roku z dniem świętego Tymoteusza. W dniu tym według wierzeń ludowych zdarzają się znaki zwiastujące nieurodzaj. Pieriebrod pod względem kościelnym nie był parafią, tj. miał co prawda własną cerkiew, ale filialną. Jedynie podczas wielkich świąt i postów dojeżdżał z rzadka pop z sąsiedniej wsi Wolcze.

Owego dnia musiałem udać się w sprawach służbowych do sąsiedniego miasteczka. Wyjechałem konno, około ósmej rano, nim ustąpił poranny chłodek. Do takich wyjazdów już dawno kupiłem sobie niewielkiego sześciolatka, ogiera miejscowej, niezbyt okazalej rasy, ale za to niezwykle starannie i pieczołowicie wypielegnowanego przez jego poprzedniego właściciela, geometrę powiatowego. Koń nazywał się Tarańczyk. Przywiązałem się bardzo do tego milego zwierzęcia o mocnych, cienkich i zgrabnych nogach, z kosmatą grzywą, spod której gniewnie i z niedowierzaniem wyglądały ogniste oczka i z mocnymi, energicznie zaciśniętymi zębami. Był on dość rzadkiej i śmiesznej maści: szary, myszaty i tylko na krzyżu nakrapiany w białe i czarne plamy.

Wypadło mi jechać przez wieś. Duży plac, ciągnący się od cerkwi do szynku, był całkowicie zastawiony długimi rzędami wozów, którymi, z żonami i dziećmi, przyjechali na święto chłopci z okolicznych wiosek: Wołoszy, Zulni i Piaczałówki. Między wozami snuli się ludzie. Mimo wczesnej godziny i surowego zakazu władz widać już było pomiędzy nimi pijanych (podczas świąt szynkarz Sruł sprzedawał potajemnie wódkę w nocy). Poranek był bezwietrzny i duszny. Zanosilo się na wyjątkowo upalny dzień. Na jasnym, powleczoneym srebrzystą mgiełką niebie nie było ani jednej chmurki.

Po załatwieniu wszystkich spraw w miasteczku zjadłem na prędce w zajeździe porcję faszerowanego szczupaka po żydowsku, zapilem to obrzydliwym, mętным piwem i wyruszyłem do domu. Przejeżdżając obok kuźni przypominałem sobie nagle, że Tarańczyk ma obluzowaną podkowę na lewej przedniej nodze, i zatrzy-

małem się, żeby przekuć konia. Zajęło mi to jeszcze półtorej godziny, tak że gdy zbliżałem się do Pieriebrodu, była już prawie piąta po południu.

Cały plac roił się od pijanych, wrzeszczących ludzi. Amatorzy okowity, cisnąc się i gniotąc nawzajem, zaleli dosłownie ganek i ogródek przed szynkiem; pieriebrodscy chłopci mieszały się z przyjezdnymi i porozsiadali na trawie w cieniu furmanek. Wszędzie widać było odrzucone do tyłu głowy, a nad nimi wzniezione do góry butelki. Nie było już ani jednego trzeźwego człowieka. Powszechnie upicie się doszło do tego stopnia, kiedy to chłop zaczyna gwałtownie i chępliwie wyolbrzymiać swe podchmielenie, kiedy wszystkie jego ruchy stają się nieskoordynowane i nabierają ociężałej zamaszystości. Kiedy zamiast tego, na przykład, żeby potakująco skinąć głową, pochyla się całym tułowiem ku ziemi i, tracąc nagle równowagę, bezradnie cofa się do tyłu. Dzieci swawoliły i pisały tuż obok, pod nogami koni spokojnie żujących siano. Gdzie indziej znowu baba, sama ledwie trzymając się na nogach, z płaczem i przekleństwami ciągnęła za rękaw do domu swego potwornie pijanego i stawiającego opór męża... W cieniu, pod płotem, zbита gromada — ze dwudziestu chłopów i bab — obstała ślepego lirnika; jego drżący, nosowy tenor, któremu wtórowało monotonne brzęczenie liry, wyraźnie wybijał się spośród nieustannej ogólnej wrzawy. Już z daleka usłyszałem znane słowa dumki.

*Oj, zjiszła zora, taj wieczyrniaja
Nad Poczajewym stała...*

*Ojej, wyszło wijsko tureckoje,
Jak ta czornaja chmara...*

Dumka mówi dalej o tym, jak Turcy, nie mogąc zdobyć Ławry Poczajowskiej szturmem, postanowili zawładnąć nią podstępem. W tym celu postali, jakoby w darze dla klasztoru, olbrzymią świecę napelnioną prochem. Świecę tę przywieźli dwunastu parami wołów i uradowani mnisi chcieli ją już zapalić przed

obrazem Matki Boskiej Począjowskiej, lecz Bóg nie dopuścił do urzeczywistnienia zbrodniczego zamysłu.

*A prysnyłosia starszemu cztecu:
Toj swyczy ne braty,
Wywiezły jej w czyste pole,
Sekirami zrubaty.*

I oto mnisi

*Wywiezły jej w czyste pole,
Stały jej rubaty,
Kuli i patrony na wsi storony
Stały — het — rozkidaty...*

Nie do wytrzymania upalne powietrze przesycone było, zda się, całkowicie zapachem wyziewów wódczanych, cebuli, baranich kożuchów, mocnej machorki i spoconych, brudnych ciał ludzkich. Przeciskając się w ciżbie i z trudem utrzymując w cuglach zadzierającego głowę Tarańczyka, zauważyłem, że ze wszystkich stron ścigały mnie bezceremonialne, ciekawe i wrogie spojrzenia. Wbrew utartym zwyczajom nikt nie zdjął przede mną czapki, jednak hałas jakby przycichł z chwilą, gdy ukazałem się na placu. Nagle w tłumie rozległ się ochryply, pijany okrzyk, którego jednak dokładnie nie zrozumiałem, chociaż wtórował mu przytłumiony śmiech. Jakiś przestraszony kobiecy głos próbował mitygować krzykacza:

— Ciszej, durniu... Czego wrzeszczysz! Jeszcze usłyszysz...

— I cóż z tego, że usłyszysz? — ciągnął czupurnie chłop. — Czy on władza dla mnie, czy co? On tylko w lesie ze swoją...

Ohydny, długi, okropny stek wyzwick zawisł w powietrzu; towarzyszył mu wybuch gwałtownego śmiechu. Szybko zawróciłem konia i kurezowo ścisnąłem rękojeść nahajki; ogarnęła mnie ta szaleńcza wściekłość, która niczego nie widzi przed sobą, o niczym nie myśli i niczego się nie lęka. Wtem dziwna, chorobliwa i przykra myśl przebiegła mi przez głowę: „To wszystko wydarzyło się kiedyś w moim życiu, już wiele, wiele lat temu... Równie gorąco paliło słońce... Podniecony i hałaśliwy tłum zalewał, jak dziś, ogromny

plac... Tak samo odwróciłem się w paroksyzmie wściekłego gniewu... Ale gdzie to było? Kiedy? Kiedy?“... Opuściłem nahajkę i galopem ruszyłem do domu.

Jarmola, który opieszale wyszedł na spotkanie z kuchni, wziął ode mnie konia i powiedział opryskliwym tonem:

— Tam u panycza w pokoju siedzi ekonom z Marynowa.

Wydało mi się, że gajowy chce jeszcze dodać coś bardzo dla mnie ważnego i nieprzyjemnego, przywidziało mi się nawet, że na jego twarzy mignął przelotnie szyderyczy uśmiech. Naumyślnie przystanąłem w drzwiach i rzuciłem mu wyzywające spojrzenie. Jarmola jednak, nie zwracając już na mnie uwagi, prowadził za uzdę konia, który wyciągnął naprzód szyję i ostrożnie przestępował z nogi na nogę.

W pokoju zastałem oficjalistę z zarządu sąsiednich dóbr, Nikitę Nazarycza Mischzenkę. Miał na sobie szarą marynarkę w ogromną, rdzawą kratę, wąskie, jasnoniebieskie spodnie i krzyżąc czerwony krawat. Starannie przyczesany, z wypomadowanym przedziałkiem pośrodku głowy, roztaczał dookoła woń wody kwiatowej „Perski bez“. Ujrzawszy mnie zerwał się z krzesła i zaczął witać nie kłaniając się przy tym, lecz wyginając dziwacznie w pasie, z uśmiechem, który odsłaniał blade dżąsła górnej i dolnej szczęki.

— Mam honor powitać pana — uprzejmie trajkotał Nikita Nazarycz. — Cieszę się, że pana widzę... Czekałem tu od samej mszy. Dawno pana nie widziałem, stęskniłem się nawet. Dlaczego pan nigdy do nas nie zagląda? Nasze panny zaczynają już żartować z pana.

Raptem przypomniał sobie coś i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

— Ale, powiadam panu, co za heca była tu dzisiaj! — wykrzyknął krztusząc się i parszcząc w paroksyzmie wesołości. — Cha! cha! cha! cha... Uśmiełem się do rozpuku.

— Co takiego? Jaka heca? — spytałem niegrzecznie, nie ukrywając swego niezadowolenia.

— Po mszy wydarzył się tu skandal — ciągnął Nikita Nazarycz chichocząc co chwila w trakcie opowiadania. — Pieriebrodz-

kie dziewczęta zlapały na placu wiedźmę... To jest, oczywiście, one uważają ją za wiedźmę z racji swego chłopskiego nieuctwa... Nie, słowo daję, nie wytrzymam... Dały jej wcieranie co się zowie... Chciały ją dziegiem wysmarować, ale wyrwała się jakoś i uciekła...

Strasliwe przypuszczenie przeleciało mi przez głowę. Skoczyłem ku oficjalscie i, nie panując nad sobą ze zdenerwowania, chwyciłem go z całej siły za ramię.

— Co pan mówi! — wrzasnałem. — Przestań pan rzeć, do jasnej cholery! O jakiej wiedźmie pan mówi?

Ekonom od razu przestał się śmiać i wybałuszył na mnie okragłe, wystraszone oczy:

— Ja... ja... naprawdę nie wiem — belkotał zmieszany. — Zdaje się jakaś Samujlich... Manujlich... albo... Chwileczkę... Córka jakiejś Manujlichy... Coś tam chłopci gadali w tym rodzaju, ale muszę się przyznać, że wyleciało mi z głowy.

Zmusiłem go, żeby mi opowiedział dokładnie wszystko, co widział i słyszał. Nikita Nazarycz mówił od rzeczy, bez związku, i gubił się w szczegółach, a ja co chwila przerywałem mu pytaniami, okrzykami i przekleństwami. Z jego opowiadania dowiedziałem się niewiele i dopiero po dwóch miesiącach udało mi się odtworzyć przebieg tego przekłętego wydarzenia ze słów naocznego świadka, żony nadleśniczego, która owego dnia była również na mszy.

Przeczcucie nie omyliło mnie. Olesia przezwyciężyła strach i przyszła do cerkwi; chociaż zjawiała się dopiero w połowie nabożeństwa i stanęła w odrzwiach, jednak obecność jej zwróciła uwagę wszystkich znajdujących się w cerkwi. W ciągu całego nabożeństwa kobiety szeptały między sobą i oglądały się nieustannie.

Mimo wszystko Olesia znalazła w sobie dość sił i wytrwała do końca mszy. Być może, nie zrozumiała prawdziwego znaczenia wrogich spojrzeń, możliwe też, że zlekceważyła je wyniosłe. Gdy jednak wyszła z cerkwi, obstąpiła ją z miejsca gromada bab, rosnąca z każdą chwilą i napierająca coraz bardziej na nią. Z początku baby milczały i tylko wyzywająco przypatrywały się bezbronnej dziewczynie, rozglądającej się lękliwie na wszystkie strony. Potem posypały się ordynarne żarty, grubiańskie docinki

i przekleństwa, którym towarzyszył śmiech, aż wreszcie poszczególne okrzyki zlały się w jeden przenikliwy babski, zagłuszający wszystko wrzask, który jeszcze bardziej podniecił rozchodzący się tłum. Olesia usiłowała kilkakrotnie wyjść z tego potwornego żywego koła, jednak za każdym razem spychano ją z powrotem do środka. Nagle jakiś piskliwy starczy głos wrzasnął z tłumu: „Dziegiem ją wysmarować, ścierwo!“ Jak wiadomo, na Ukrainie wysmarowanie dziegiem choćby tylko furtki koło domu, w którym mieszka dziewczyna, stanowi dla niej największą i niezatartą hańbę. Nieomal w tejże chwili ponad głowami rozwścieczonych bab ukazała się maźnica z dziegiem i kwaczem, podawana z rąk do rąk.

Wówczas Olesia w porywie złości, strachu i rozpaczony tak gwałtownie rzuciła się na pierwszą z brzegu swą dręczycielkę, że zwała ją z nóg. W mgnieniu oka na ziemi zawrzała bójka i dziesiątki ciał splątały się w jedną szamocącą się i krzyczącą masę. Olesia jakimś cudem wyśliznęła się z tego kłębowiska i pobiegła co tchu drogą — bez chustki, w podartej na strzępy sukience, spod której w wielu miejscach wyzierało nagie ciało. Ścigały ją wybuchy śmiechu, przekleństwa i kamienie. Popędziło za nią jednak niewiele, a i ci niebawem zaprzestali pogoni... Olesia przebiegła kilkadziesiąt kroków, potem przystanęła, zwróciła w stronę rozbastwionego tłumu swą pobladłą, podrapaną, okrwawioną twarz i krzyknęła tak głośno, że wszyscy na placu słyszeli wyraźnie każde słowo:

— No, dobrze... Jeszcze mnie popamiętacie! Napłaczecie się jeszcze wszyscy do syta!

Groźba ta, według słów naocznych świadków wydarzenia, została wypowiedziana z taką nienawiścią, takim zdecydowanym, proroczym tonem, że cały tłum ogarnęło jak gdyby odrętwienie; trwało to jednak krótką chwilę, gdyż niemal natychmiast przekleństwa wybuchły z nową siłą.

Powtarzam, że o wielu szczegółach tego wydarzenia dowiedziałem się znacznie później. Nie starczyło mi sił i cierpliwości, by wysłuchać do końca opowiadania Miszczenki. Przypomniałem sobie nagle, że Jarmola na pewno nie zdążył jeszcze rozsiedlać

konia, i, nie mówiąc zdumionemu oficjaliście ani słowa, wybiegłem z domu. Jarmola rzeczywiście oprowadzał jeszcze Tarańczyka wzdłuż płotu. Szybko okiełznałem konia, zaciągnąłem popręgi i, aby uniknąć przedzierania się przez pijany tłum, pomknąłem do lasu.

XIII

Nie podobna opisać stanu, w jakim znajdowałem się podczas tego szalonego galopu. Chwilami zapominałem zupełnie, dokąd i po co jadę; pozostała mi jedynie mglista świadomość, że zaszło coś nieodwołalnego, niedorzecznego i strasznego — świadomość podobna do nieuzasadnionego lęku, który ogarnia niekiedy człowieka w malignie. A jednocześnie — dziwna rzecz! — nie odstępował mnie brzęczący uparcie w głowie do taktu z tętentem kopyt końskich, nosowy, trzęsący się głos ślepego lirnika:

*Oj, wyszło wijsko tureckoje,
Jak ta czornaja chmara...*

Gdy znalazłem się na wąskiej ścieżce wiodącej prosto do chatki Manujlichy, zeskoczyłem z Tarańczyka. Koń był tak zmęczony, że aż piana wystąpiła gęstymi, białymi płatami spod czapraka i w miejscach, gdzie popręgi stykają się ze skórą; poprowadziłem go za uzdę. Od nieznośnego upału i szybkiej jazdy krew uderzyła mi do głowy, tłoczona jak gdyby jakąś ogromną i pracującą nieustannie pompą.

Przywiązałem konia do płotu i wszedłem do chaty. Wydało mi się z początku, że Olesi nie ma w domu, i serce zlodowaciało mi ze strachu, po chwili jednak ujrzałem ją leżącą na posłaniu, twarzą do ściany, z głową ukrytą w poduszkach. Nie odwróciła się nawet na skrzyp otwieranych drzwi.

Manujlicha, która siedziała na ziemi obok łóżka, wstała z wysiłkiem i zaczęła machać rękami.

— Cicho! Nie hałasuj, ty potępieńcze — szepnęła z groźbą

w głosie, zbliżając się do mnie twarzą w twarz. I, spojrzawszy mi prosto w oczy swymi wyblakłymi, chłodnymi oczyma, syknęła z nienawiścią:

— No co? Doigrałeś się, gołąbku?

— Słuchaj, babciu — odparłem ostro — nie czas na wyrzuty i porachunki. Co z Olesią?

— Tss... ciszej! Olesia leży bez przytomności, ot, co z Olesią... Żebyś się nie pchał gdzie nie trzeba i nie gadał głupstw dziewczynie, nic złego by się nie stało. A ja głupia przez palce patrzałam, jeszcze im folgowałam... Oj, wiedziało moje serce, że będzie nie-szczęście... Czuło, co się święci, od tego samego dnia, kiedy siłą do naszej chaty wpakowałeś się. Co? Może powiesz, że to nie ty ją do cerkwi zaciągnąłeś? — raptem rzuciła się na mnie stara z wykrzywioną nienawiścią twarzą. — Nie ty, paniczku przekłety? Nie łżyj i nie zamiataj lisim ogonem, bezwstydniku! Czemu ją do cerkwi wabiłeś? Na co ci to było potrzebne?

— Wcale jej nie wabiłem, babciu... Mogę przysiąc na wszystko. Sama chciała.

— Och, biedo moja, zgryzoto serdeczna! — załamała ręce Manujlicha. — Przyleciała stamtąd — twarzy na niej nie widać, cała koszula w łachmanach, poszarpana... Włosy potargane... Opowiada, co z nią się stało, a sama — to zaśmieje się, to zapłacze... Całkiem jak opętana jakaś... Położyła się... płakała długo, a potem, patrząc, jakby zasnęła. Ja, głupia, już się ucieszyłam: myślę sobie, jakoś tam będzie, uspokoje się we śnie. Patrząc, ręka opadła z posłania, myślę: trzeba poprawić, jeszcze zdrętwieje. Wzięłam ją, biedaczkę, za rękę, a tu od ciała żar idzie... Widać gorączka ją chwyciła... Mówiła z godzinę bez ustanku, tak szybko, tak żałośnie... Ot, tylko co przestała na chwilkę. Coś ty narobił? — w nowym przypływie rozpaczki krzyknęła stara.

Brunatna jej twarz zmarszczyła się nagle w potwornym i wstrętnym grymasie płaczu: kąciaki warg wydłużyły się i opadły ku dołowi, wszystkie mięśnie twarzy skurczyły się i zadrżały, brwi uniosły się ku górze, na czole pojawiły się głębokie bruzdy, a z oczu polały się niezwykle rześiste i duże jak groch łzy. Złapała się obiema rękami za głowę, położywszy łokcie na stole,

zaczęła się kołysać tam i na powrót całym ciałem i zawyla przeciągle półgłosem:

— Córeczko moja-a-a-a! Wnuczko kochana-a-a-a!... Och, jak źle na świecie! Och, jak mi życie obrzydło!...

— Nie wrzeszcz, stara — przerwałem grubiańsko Manujlisze. — Obudzisz!

Starucha umilkła, jednak w dalszym ciągu z tym strasznym grymasem na twarzy kołysała się tam i na powrót, a duże łzy spadały jej z twarzy na stół... Tak minęło około dziesięciu minut. Siedziałem obok Manujliczy i przysłuchiwałem się jednostajnemu i drażniącemu brzęczeniu muchy, która obijała się o szkło okienne.

— Babciu! — rozległ się nagle słaby, ledwo dosłyszalny głos Olesi. — Babciu, kto przyszedł?

Manujlicza śpiesznie pokuszywała do łóżka i znowu zaczęła jęczeć:

— Och, wnuczko kochana-a-a-a! Och, ciężko mi starej na świecie-e-e... Och, jak mi życie obrzydło-o-o...

— Przestań już, babciu, nareszcie! — z żalonym błaganiem i cierpieniem w głosie powiedziała Olesia. — Kto siedzi u nas w chacie?

Ostrożnie, na palcach, podszedłem do łóżka, wstydząc się własnego zdrowia i nie wiedząc, jak się zachować. Podobne uczucie ogarnia zwykle ludzi zdrowych w obecności chorego.

— To ja, Olesiu — powiedziałem zniżonym głosem. — Przed chwilą przyjechałem konno ze wsi... Cały ranek byłem w mieście... Źle się czujesz, Olesiu?

Chowając w dalszym ciągu twarz w poduszki, wyciągnęła do tyłu obnażoną rękę, jak gdyby szukała czegoś w powietrzu. Zrozumiałem, co oznacza ten ruch, i uściśnałem mocno jej rozpaloną dłoń. Dwie wielkie, sine plamy — jedna nad przegubem dłoni, druga powyżej łokcia — wyraźnie znaczyły się na białej, delikatnej skórze.

— Kochanie — odezwała się Olesia, powoli i z trudem wymawiając każde słowo. — Chce mi się... na ciebie popatrzeć... ale nie mogę... Całą mnie... zeszpecili... Pamiętasz... tak się tobie

podobała moja twarz?... Prawda, przecież podobała ci się, kochany?... Tak się zawsze z tego cieszyłam... Teraz ze wstrętem będziesz... patrzeć na mnie... No, widzisz... dlatego... ja nie chcę...

— Olesiu, przebac mi — szepnąłem nachylając się do jej ucha.

W odpowiedzi poczułem długi i mocny uścisk jej rozpalonej ręki.

— Jak możesz tak mówić!... Co ci, kochany?... Wstydzilibyś się nawet myśleć o tym. Czy zawiniłeś? To tylko ja, głupia... Sam powiedz, po co polazłam... naprawdę? Nie, na siebie winy nie przyjmuj...

— Olesiu, pozwól mi... Ale musisz najpierw obiecać, że się zgodzisz...

— Obiecuję, kochanie... co tylko zechcesz...

— Pozwól mi posłać po doktora... Bardzo ciebie proszę! Jeśli nie zechcesz, możesz potem nie wykonać tego, co powie. No, zrób to dla mnie, Olesiu!

— Och, mój miły... Aleś mnie w pułapkę złapał! Nie, lepiej zwolnij mnie od tej obietnicy. Żebym nawet naprawdę zachorowała i bliska śmierci już była, to i wtedy doktora bym do siebie nie dopuściła. A czy ja chora jestem? Zwyczajnie ze strachu gorączka mnie wzięła, do wieczora przejdzie. A jeśli nie, to babcia da mi odwaru z konwalii albo maliny w czajniku zaparzy. Po co tu doktor potrzebny? Ty jesteś moim najlepszym doktorem. Przyszedłeś i od razu lżej mi się zrobiło... Jedno mi tylko duka: chciałabym spojrzeć na ciebie, choćby jednym oczkiem, ale boję się...

Pieszczotliwym, lecz zdecydowanym ruchem udało mi się podnieść jej głowę z poduszki. Twarz Olesi płonęła gorączkowymi wypiekami, ciemne oczy świeciły nienaturalnym blaskiem, suche wargi drgały nerwowo. Długie, czerwone ślady zadraśnięć pokrywały czoło, policzki i szyję. Na czole i pod oczyma widać było także granatowe sińce.

— Nie patrz na mnie... Proszę cię... Taka brzydka teraz jestem — błagalnie szeptała Olesia usiłując zasłonić mi oczy dłonią.

Me serce wezbrało litością. Przyłgnałem ustami do jej ręki, bezwładnie leżącej na kołdrze, i zacząłem ją pokrywać długimi, cichymi pocałunkami. Nieraz przedtem całowałem jej ręce, lecz zawsze wyrwała mi je pośpiesznie, zawstydzona i przestraszona. Teraz nie sprzeciwiała się tej pieśczoście i gładziła mnie drugą ręką po włosach.

— Wiesz o wszystkim? — zapytała mnie szeptem.

Skinałem głową w milczeniu. Prawdę mówiąc, nie wszystko zrozumiałem z opowiadania Nikity Nazarycza, ale nie chciałem, aby Olesia denerwowała się rozpamiętując poranne wypadki. Wtem, na myśl o obrazie, jakiej doznała, ogarnęła mnie niepohamowana wściekłość.

— O! Dlaczego mnie tam wtedy nie było! — krzyknąłem powstając i zaciskając pięści. — Ja bym... ja bym ich...

— Przestań już... Nie trzeba, mój złoty — łagodnie przerwała mi Olesia.

Nie mogłem już dłużej powstrzymać łez, które dławily mnie i przyćmiewały wzrok. Położyłem głowę na jej ramieniu i zapłakałem gorzko i bezdźwięcznie, drżąc na całym ciele.

— Ty płaczesz? Ty płaczesz? — W jej głosie zabrzmiało zdziwienie, tkliwość i współzucie. — Kochany... Przestań, proszę cię... Nie martw się, gołąbku... Przecież tak mi dobrze z tobą. Nie będziemy płakać, póki jesteśmy razem. Przynajmniej te ostatnie dni muszą być wesołe, żeby lżej było się potem rozstawać.

Podniosłem w zdumieniu głowę. Niejasne przecucie nieszczęścia ścisnęło mnie nagle za serce.

— Ostatnie dni, Olesiu? Dlaczego ostatnie? Dlaczego musimy się rozstawać?

Olesia przymknęła oczy i przez chwilę milczała.

— Musimy się ze sobą pożegnać, Wanieczka — powiedziała stanowczo. — Jak tylko mi się trochę poprawi, zaraz z babcią stąd wyjedziemy. Nie możemy tu dłużej zostać...

— Obawiasz się czegoś?

— Nie, mój kochany, niczego się nie boję, nawet jeśli coś ma się wydarzyć. Tylko po co ludzi do grzechu przywodzić. Ty może nie wiesz... Przecież ja tam... w Pieriebrodzie... ze strachu i ze

złości groziłam im... A teraz, jeśli cokolwiek się stanie, od razu winę na nas zwałą: zaraza na bydło spadnie czy chata u kogoś się spali. Prawda, babciu? — zwróciła się do Manujlichy, podnosząc głos.

— Coś powiedziała, wnuczko? Prawdę mówiąc, nie dosłyszałam! — wymamrotała stara podchodząc bliżej i przykładając dłoń do ucha.

— Mówię, że gdyby się teraz coś złego w Pieriebrodzie stało, wszystko na nas zwałą.

— Och, prawda, prawda, Olesiu — wszystko na nas, niebogi, zwałą... Nie ma dla nas życia na tym świecie, zamęczą, zamęczą nas te lotry przekłete... Jak wtedy, gdy mnie ze wsi wygonili... Co?... Tak samo było jak teraz... Też ze złości... pogroziłam... jakiejś głupiej babie, a tu — masz ci los — dziecko jej umarło. Ani mi w głowie było, żeby jej zaszkodzić, a przecież ledwo mnie nie zabili, potępieńcy... Kamieniami zaczęli rzucać... Uciekam od nich i tylko ciebie, malutką, zasłaniam... Niech tam, myślę sobie, już lepiej mnie trafia, żeby tylko dzieciątka niewinnego nie skrzywdzili... Co tu dużo gadać — zbóje, wisielce przekłete!

— Ale dokąd pójdziecie? Nie macie nigdzie krewnych ani znajomych... A na nowym miejscu pieniądze będą potrzebne, żeby się jakoś urządzić.

— Damy sobie radę — niedbale odpowiedziała Olesia. — Pieniądze też się u babci znajdą, schowała coś niecoś na czarną godzinę.

— Jakie tam znowu pieniądze! — sprzeciwiła się stara odchodząc od łóżka. — Grosiki sieroce, łzami oblane...

— Olesiu... A ja? O mnie nawet myśleć nie chcesz! — krzyknęłam, czując, że wzbiera we mnie gorzki i bolesny wyrzut przeciwko Olesiu.

Uniosła się na posłaniu i nie krępując się obecnością babki ujęła mą głowę w swe ręce i kilkakrotnie pocałowała mnie w czoło i w policzki.

— O tobie najwięcej myślę, mój kochany. Tylko... widzisz... już taki los, że nie możemy być razem... Pamiętasz, jak ci karty kładłam? Wszystko tak wyszło, jak wtenczas powiedziały. Widać,

że los nie chce naszego szczęścia... Inaczej, myślisz, że czegoś bym się bała?

— Ty znowu mówisz o swoim losie, Olesiu? — krzyknąłem zniecierpliwiony. — Nie chcę wierzyć w żaden los... i nigdy nie będę wierzył...

— Och, nie mów tak... nie można — łękliwie szepnęła Olesia. — Ja nie o siebie, tylko o ciebie się boję, kochany.

— Nie, lepiej już wcale ze mną o tym nie rozmawiaj.

Na próżno starałem się przekonać Olesię, na próżno roztaczałem przed nią perspektywy niczym nie zamąconego szczęścia, któremu nie będzie w stanie przeszkodzić ani zazdrośny los, ani źli ludzie. Olesia całowała tylko moje ręce i przecząco potrząsała głową:

— Nie... nie... nie... Już ja wiem i widzę — powtarzała uparcie. — Nic oprócz nieszczęścia nas nie czeka... nic... nic innego...

Zgnębiony i wytrącony z równowagi tym zabobonnym uporem, zapytałem w końcu:

— Ale, w każdym bądź razie, zawiadomisz mnie o dniu wyjazdu?

Olesia zamyśliła się. Naraz łagodny uśmiech zakwitł na jej wargach.

— Chcesz, odpowiem ci na to bajeczką... Pewnego razu wilk przebiegał przez las, zobaczył zajączka i mówi mu: „Słuchaj, zajączku, przecież ja ciebie zjem!“ Zając zaczął go prosić: „Zlituj się nade mną, wilku, jeszcze mi życie miłe, a w domu dzieci małeńkie na mnie czekają“. Wilk nie zgadza się. Wtedy zając mówi: „Daj mi choć ze trzy dni czasu na tym świecie pożyć, a potem zjedz!“ Wilk dał mu te trzy dni, nie pożera go, tylko bez przerwy pilnuje. Tak przeszedł jeden dzień, potem drugi, wreszcie i trzeci się kończy. „No, szykuj się — mówi wilk — zaraz zacznę cię jeść.“ Wtedy zajączek jak nie zacznie płakać gorzkimi łzami: „Ach, wilku, dlaczegoś mi te trzy dni podarował! Już byś lepiej od razu mnie zjadł, jak tylko zobaczyłeś. Te trzy dni to nie życie było, ale męka!“ Mój kochany, przecież ten zajączek prawdę powiedział. Jak myślisz?

Milczałem, ogarnięty smutnym przeczuciem zbliżającej się sa-

motności. Wtem Olesia podniosła się i usiadła na łóżku. Na twarzy jej malował się wyraz powagi.

— Posłuchaj, Wanieczka... — powiedziała akcentując każde słowo. — Powiedz mi, czy byłeś szczęśliwy, dopóki byłeś przy mnie? Dobrze ci było?

— Olesiu! Jeszcze się o to pytasz!

— Poczekaj... Czy żalowałeś kiedy, że mnie poznałeś? Czy myślałeś o innej kobiecie, kiedy patrzyłeś na mnie?

— Ani przez chwilę! Nie tylko w twojej obecności, ale nawet kiedy byłem sam, o nikim innym oprócz ciebie nie myślałem.

— Czy byłeś o mnie zazdrosny? Czy sprawiłam ci kiedy jakąś przykrość? Czy nie nudziłeś się ze mną?

— Nigdy, Olesiu! Nigdy!

Zarzuciła mi ręce na szyję i spojrzała w oczy z niewysłowioną tkliwością...

— W takim razie wiedz, mój najdroższy, że nigdy nie będziesz mnie wspominał źle albo z niechęcią — powiedziała tak przekonująco, jak gdyby odczytywała przyszłość z mych oczu. — Ciężko ci będzie z początku, kiedy się rozstaniemy, och, jak ciężko... Będziesz płakał, nigdzie miejsca nie będziesz mógł sobie znaleźć. A potem wszystko przejdzie, wszystko się zatrze. I nie będziesz o mnie myślał ze smutkiem, lecz lekko i radośnie.

Powiedziawszy to Olesia znowu opadła na poduszki i wyszeptała zmęczonym głosem:

— A teraz jedź, mój kochany... Jedź do domu, złotko... Oślałam trochę. Poczekaj... pocałuj mnie... Nie bój się babci... ona pozwoli. Pozwolisz, babciu? Prawda?

— Pożegnaj się, pożegnaj się już jak należy — burknęła z niezadowoleniem w głosie stara. — Nie macie czego ukrywać... Dawno wiem...

— Pocałuj mnie tu i tu... i tu jeszcze — mówiła Olesia dotykając kolejno palcem swych oczu, policzków i ust.

— Olesiu! Żegnasz się ze mną tak, jak gdybyśmy się mieli już nigdy nie zobaczyć! — krzyknąłem przerażony.

— Nie wiem, kochanie, nie wiem. Niczego nie wiem. No, jedź z Bogiem! Nie, poczekaj... jeszcze chwilę... Nachyl się do mnie...

Wiesz, czego żałuję? — szepnęła dotykając wargami mego policzka. — Żałuję, że nie będę miała dzieciątka po tobie. Ach, jakbym się z tego cieszyła.

Wyszedłem na ganek razem ze starą Manujlichą. Czarna chmura o wyrazistych, postrzępionych brzegach zasłoniła pół nieba. Słońce co prawda świeciło jeszcze, zbliżając się ku zachodowi, jednak w tej mieszaninie światła i zbliżającej się ciemności było coś złowieszczego. Stara spojrzała do góry, zasłaniając oczy dłonią, jak parasolem, i znacząco pokiwała głową.

— Oj, będzie dzisiaj burza nad Pieriebrodem — powiedziała z głębokim przekonaniem w głosie. — A może nawet z gradem.

XIV

Zbliżałem się już do Pieriebrodu, gdy nagły podmuch wiatru wzbił na drodze słupy kurzu i popędził je przed sobą. Upadły pierwsze — rzadkie i ciężkie — krople deszczowe.

Manujlichą nie omyliła się. Burza, która wisiała w powietrzu przez cały upalny i nieznosnie parny dzień, wybuchła z niezwykłą siłą nad Pieriebrodem. Błyskawice przecinały niebo niemal bez przerwy; od łoskotu piorunów szyby w moim pokoju drżały i dzwoniły w oknach. Około ósmej wieczorem burza uciśzyła się na kilka minut, by potem rozszrożyć się z nową siłą. W pewnej chwili coś posypało się z ogłuszającym łoskotem na dach i na ściany starego domostwa. Rzuciłem się do okna. Ogromny grad, wielkości włoskiego orzecha, padał gwałtownie na ziemię, odbijając się potem wysoko. Spojrzałem na morwę, która rosła tuż koło domu — była całkiem naga, straszliwe uderzenia gradu огоłociły ją zupełnie z liści... Pod oknem ukazała się ledwie widoczna w mroku postać Jarmoly, który narzuciwszy na głowę świtkę wybiegł z kuchni, aby zamknąć okiennice. Spóźnił się jednak. Duży kawał lodu uderzył raptem w jedną z szyb z taką siłą, że pękła i rozleciała się na drobne kawałki, które z brzękiem upadły na podłogę.

Poczułem, że jestem zmęczony, i nie rozbiegając się położyłem

się do łóżka. Byłem przekonany, że nie uda mi się zasnąć tej nocy i że do samego rana będę się przewracać z boku na bok, nie mogąc uporać się ze zgryzotami. Wydarzyła się jednak ze mną bardzo dziwna rzecz: byłem pewien, że tylko na chwilkę zmrzyłem oczy, lecz gdy je znów otworzyłem, przez szpary w okiennicach sączyły się już długie pasma promieni słonecznych, w których wirowały niezliczone złote pyłki.

U mego wezglowia stał Jarmola. Na jego twarzy malowała się trwoga i niecierpliwe oczekiwanie: zapewne już od dawna nie mógł się doczekać mego przebudzenia.

— Panyczu — powiedział swym głuchym głosem, w którym brzmiał niepokój. — Musi panycz stąd wyjeżdżać...

— Wyjeżdżać? Dokąd wyjeżdżać? Po co? Zwariowałeś chyba?

— Ja to nie myślałem wariować — odgryzł się Jarmola. — Albo to panycz nie wie, co wczorajszy grad narobił? U połowy gospodarzy żyto jak nogami wydeptane. U Krzywego Maksyma, u Kozła, u Muta, u Prokopczuka, u Gordija Olefira... Zesłała jednak szkodę wiedźmaka przekłeta... żeby ją diabli!

Nagle, w mgnieniu oka, przypomniałem sobie cały wczorajszy dzień, groźbę Olesi przed cerkwią i jej obawy.

— Teraz cała gromada buntuje się — ciągnął dalej Jarmola. — Od rana wszyscy pijani chodzą i wrzeszczą... I na panycza pomstują... A wie panycz, jaka u nas gromada?... Jeżeli wiedźmakom co zrobią, to tak się i należy, sprawiedliwie będzie, ale panyczowi to powiem jedno — uciekać, póki czas!

A więc obawy Olesi sprawdziły się. Trzeba było natychmiast uprzedzić ją i Manujlichę o grożącym niebezpieczeństwie. Ubrałem się pośpiesznie, spryskałem twarz wodą i po upływie pół godziny jechałem już wyciągniętym kłusem w kierunku Bisowego Kuta.

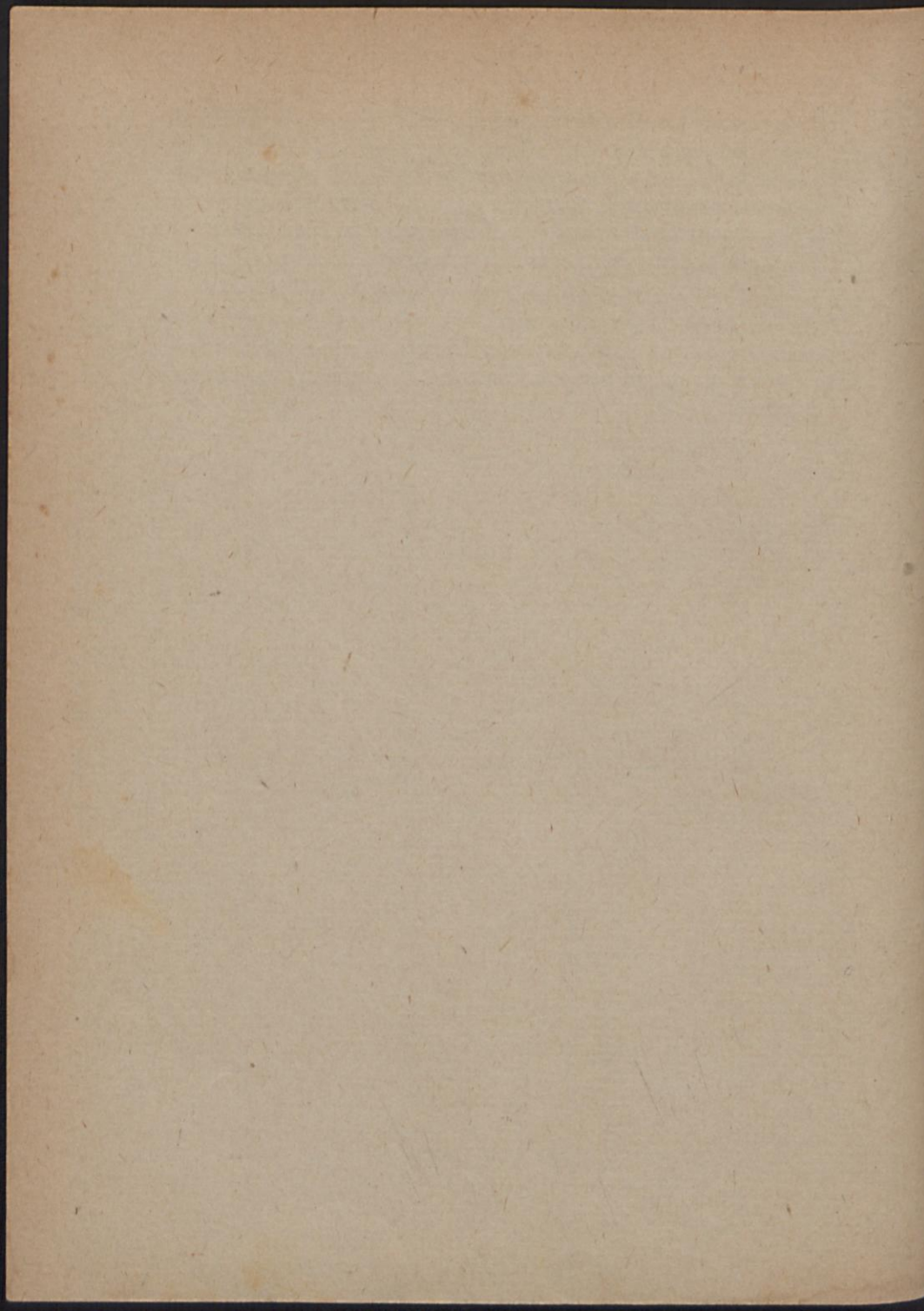
Im bardziej zbliżałem się do chatki na kurzej nóżce, tym silniej ogarniał mnie nieokreślony i przykry niepokój. Byłem całkowicie przekonany, że za chwilę spadnie na mnie jakieś nowe i nieoczekiwane nieszczęście.

Pędem przebiegłem wąską ścieżką, przecinającą piaszczysty pagórek. Okna i drzwi w chacie były otwarte na oścież.

— O, Boże! Co się stało! — szepnąłem wchodząc z zamierającym sercem na ganek.

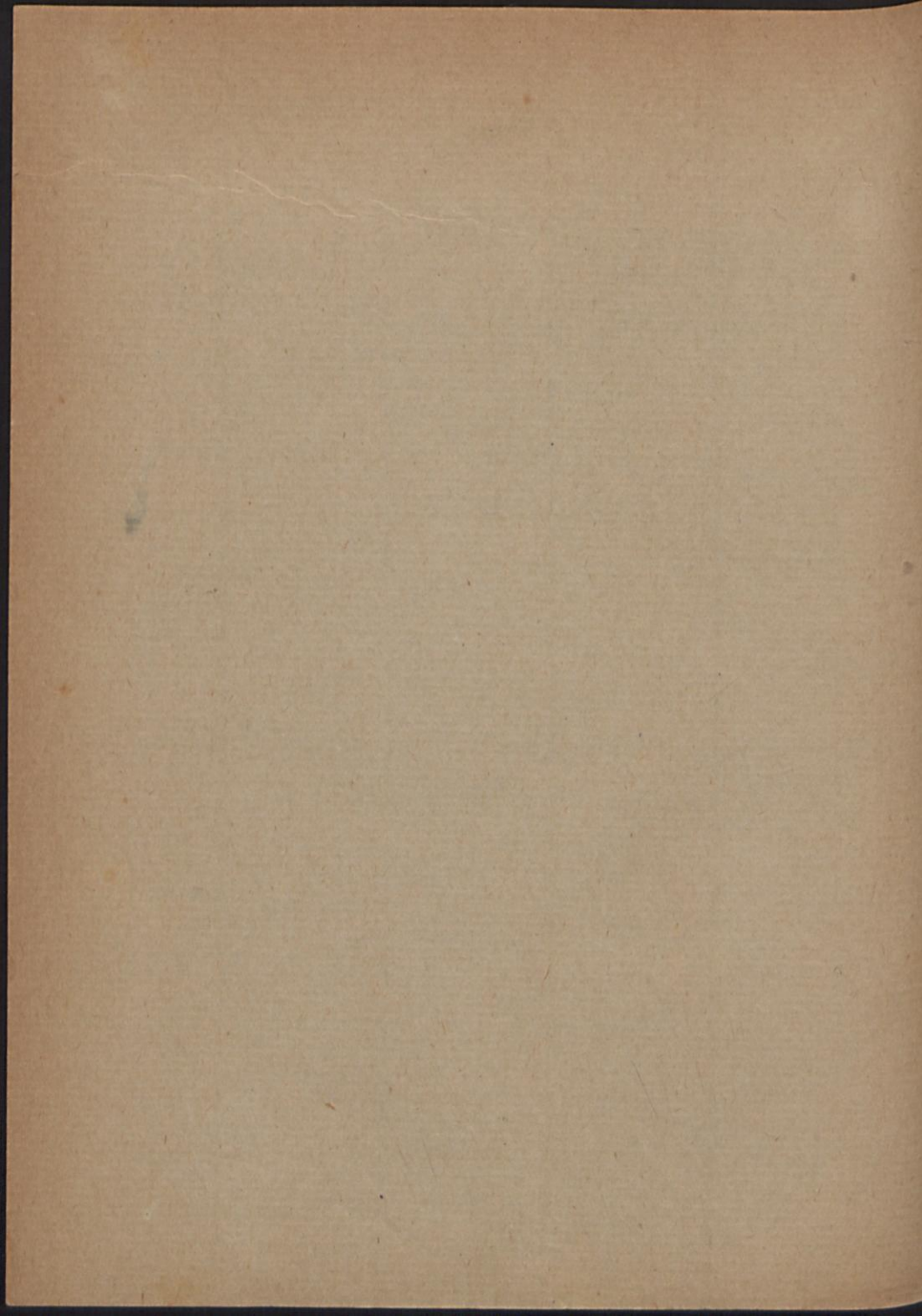
Chata była pusta. Panował w niej smutny i żaloszny nieład, jaki zostaje zawsze po nagłym wyjeździe. Stosy śmieci i szmat leżały na podłodze, w kącie stał drewniany szkielet łóżka...

Z sercem rozdartym bólem i ze łzami w oczach chciałem już wyjść z chaty, gdy wtem uwagę moją zwrócił jakiś jaskrawy przedmiot, rozmyślnie widocznie zawieszony na rogu ramy okiennej. Był to sznurek tanich, czerwonych paciorków — jedyna rzecz, jaka pozostała mi na pamiątkę po Olesi i jej tkliwej, wielkodusznej miłości.



SPOKOJNE ŻYCIE

Tłumaczył
JAN MIETKOWSKI



Iwan Wijanorycz Nasjedkin włożył na nos staroświeckie, ogromne okulary w srebrnej oprawie, przechylił na bok głowę, wyduł ogolone wargi i, wieloznacznym ruchem poruszając brwiami, pisał list do kuratora okręgu szkolnego. Pismo miał okrągłe, ładne i równe, jak wojskowy pisarz. Litery wiązały się ze sobą w słowa, niby równomierne kółka łańcuszków różnej długości.

„Jako człowiek niegdyś blisko związany z wielkim i pełnym wagi dla Tronu i Ojczyzny dziełem wychowania i kształcenia młodzieży rosyjskiej, jako człowiek, który przepracował na tej, bez przesady można powiedzieć, świętej niwie 35 lat, ciesząc się nieskazitelną opinią, uważam za swój moralny obowiązek, nie podając wprawdzie swojego nazwiska i kreśląc się tylko skromnym pseudonimem: »Zdrowo myślący« — przekazać Jaśnie Wielmożnemu Panu będące w moim posiadaniu informacje o pewnym inspektorze jednego z licznych zakładów szkolnych, powierzonych mądrej i pełnej doświadczenia pieczy J. W. Pana. Mam tu na myśli etatowego inspektora czteroklasowej wyrwińskiej szkoły miejskiej, asesora kolegiального Opimachowa, odnośnie do którego pozwolę sobie postawić pokorne pytanie: Czyż może licować z wysoką godnością pedagoga i z zaufaniem okazywanym mu przez władze oraz społeczeństwo — postępowanie człowieka żyjącego bezwstydnie w jawnych dla całego miasta i wykraczających przeciw prawom moralności związkach miłosnych z osobą płci żeńskiej, podającą się, według dokumentów, za pannę, której w dodatku nikt w mieście nie zna, która nie uczęszcza do świątyni bożej i, jakby szydząc z chrześcijańskich uczuć mieszkań-

ców, chodzi po ulicy paląc papierosy i z krótko ostrzyżonymi, jak u diakona, włosami? Po wtóre:...

Iwan Wijanorycz postawił starannie dwukropek, troskliwie położył pióro na brzegu kryształowego kałamarza i oparł się o krzesło. Łagodnie patrząc sponad okularów, wędrował wzrokiem do okien z tiulowymi firankami, do ikony w kącie pokoju, lekko oświetlonej różową lampką, potem przeniósł wzrok na stare, kupione okazjnie, lecz dobrze zachowane meble, obite zielonym rypsem, przyjrzał się błyszczącej, natartej woskiem posadzce i zatrzymał oczy na włochatym dywanie swojej własnej roboty, zszytym z pstrych kawałeczków materiału. Ileż to razy zdarzało się już Iwanowi Wijanoryczowi, wśród rzeczowej rozmowy lub po ocknięciu się z zadumy czy oderwaniu od listu, odczuwać nagle cichą, odświeżającą radość. Można by przypuścić, że na pewien czas ginęło z jego świadomości, a później nieoczekiwanie wracało przypomnienie — o jego zacnej, przez wszystkich poważanej, statecznej i jasnej starości, o własnym domku z oficyną dla lokatorów, na który złożyło się trzydzieści pięć lat surowego zaciskania pasa, o wysłużonej pełnej emeryturze, o pięciu okrągłych tysiącach oddanych w pewne ręce pod hipotekę i o drugich pięciu tysiącach leżących na razie w banku — wreszcie o wszystkich tych wygodach i kaprysach, na które mógłby sobie pozwolić, lecz nie robi tego nigdy ze względu na zdrowy rozsądek. I teraz, odkrywając w sobie znowu te szczęśliwe myśli, Iwan Wijanorycz uśmiechał się dobrodusznie i z rozmarzeniem starczymi ustami, które zaczęły już zapadać w głąb twarzy.

W gabinecie pachniało geranią, paloną miętą i leciutko naftaliną. Nad prawym oknem wisiała klatka z kanarkiem. Gdy Iwan Wijanorycz przeniósł na nią zamglone, niewyraźne spojrzenie, ptak zatrzepotał się szybko na palczkach, uderzając o nie łapkami. Naszedkin łagodnie i przeciągle gwizdnął. Kanarek potrząsnął ładną, puszystą główką, pochylając ją w dół i w bok, i pytająco pisnął:

— Pi-i?

— Ach, ty... piskulo! — powiedział filuternie Iwan Wijanorycz i, westchnąwszy, znowu wyciągnął rękę po pióro.

„Po wtóre — pisał, cicho szepejąc słowa — tenże Opimachow pozwala sobie na lekceważenie niektórych okólników Ministerstwa Oświaty Narodowej i innych zarządzeń państwowych, dając w ten sposób przykład podległym mu młodym nauczycielom i pobudzając ich jakoby do rozszerzania programu nauczania (*sic!*), a w rzeczy samej — do krzewienia w łatwowiernych umysłach młodzieży zgubnych i fałszywych idei, zmierzających do zburzenia dobrych obyczajów, rozpętania namiętności politycznych, podkopania autorytetu władzy, i w rezultacie prowadzących do zgnilego, obmierzłego socjalizmu. Na dowód powyższego przytoczyć mogę, że wymieniony już asesor kolegialny, Miron Stiepanowicz Opimachow, uważa za wskazane udzielać uczniom lekcyj (słowo to Nasjedkin dwa razy mocno podkreślił, zjadliwie krzywiąc usta) o pochodzeniu człowieka od mikroskopijnego mięczaka, a nauczyciel geografii Sydorczyk, nie wiadomo czemu, wyklada im statystykę i ekonomię, wypaczając te przedmioty przez swoje własne nieuctwo. Nic więc dziwnego, że uczniowie czteroklasowej wyrwińskiej szkoły miejskiej, wychowywani przez tak wybitnych pedagogów, wyróżniają się gwałtownym charakterem i postępowaniem świadczącym o ich zdemoralizowaniu. Tak np., w oranżerii o. Michała Trabukina, protojereja¹ miejscowego soboru, ze wszech miar czcigodnego duszpasterza, człowieka więcej niż świętego życia, wybito w tych dniach kamieniami dwie szyby. Spotykając starsze, szanowane w mieście osoby, które mogą z dumą poszczycić się 35-letnią służbą w zawodzie nauczycielskim, uczniowie wyżej wymienionej szkoły nie zdejmują nakrycia głowy, lecz, odwrotnie, patrząc im w oczy, śmieją się beczelnie oraz dopuszczają się ponadto wielu innych występków, co gotów jestem szczegółowo opisać J. W. Panu (NB: jak również i o obyczajach kwitnących w innych zakładach naukowych), jeśli na ten list nastąpi łaskawa odpowiedź do miejscowego oddziału pocztowego, na *poste restante*, okazielowi bil. kred. wartości 3 rubli Nr 070911.

Mam zaszczyt być J. W. Pana najpokorniejszym sługą

Zdrowo myślący.“

¹ Protojerej — starszy duchowny w kościele prawosławnym. (Przyp. tłum.)

Nasjedkin postawił ostatnią kropkę i powiedział głośno:

— Tak to, panie Opimachow!

Wstał i zamierzał błogo przeciagnąć się, by rozluźnić ścięnięte mięśnie, lecz szybko wstrzymał pierwszy odruch, bo przypomniał sobie, że w okresie postu byłoby to grzechem. Potarł więc tylko mocno rękę o rękę, jak przy myciu, i znów usiadł za stołem, otwierając dobrze już zszargany notes o rogach wyszarżanych i zagiętych od częstego używania. Po notatkach o krochmaleniu bielizny, po adresach i datach imienin, po rubrykach przychodu i rozchodu znajdowały się w nim zapiski dla pamięci, prowadzone pobieżnie i w skrótach, ale tym samym starannym charakterem pisma.

„Kuzniajew wspominał, że kasjer miejski zdefraudował pieniądze. Sprawdzić i zawiad. władze. N.B. Podobno Kuź. jest korespondentem jakiejś gazety!! Dowiedzieć się!”

„Pop ze wsi W. Mielniki, Złotodiejew (o. Nikodem) upił się w zapusty. Tańczył i zgubił krzyż. Podać do wiad. Jego Wieleb.”

„Wykonano. Wezwany dla złożenia wyjaś. 21 lut.”

„Nie zapomnieć o Siergieju Platonie. Z niańką.”

„Nauczyciel Opimachow. Rozpusta. Lekcja itd. Sydorczyk. Brak szacunku. Kur. okręgu szkol.”

Gdy Iwan Wijanorycz doszedł do tej notatki, umoczył pióro i dopisał z boku: „Zawiadomiono”.

W notesie tym figurowały wszystkie skandale, wszystkie intryżki miłosne, pogłoski i plotki małego, sennego, mieszczańskiego miasteczka: wzmiankowało się tu pokrótce o panach i służbie, o urzędnikach, kupcach, oficerach i duchownych, o wykroczeniach służbowych, o nawiązywaniu miłostek (w przybliżeniu podany był czas spotkań), o nieostrożnych słowach wypowiedzianych w klubie, o pijatykach, grze w karty, nawet o tym, ile kosztowały kiecki kobiet, których mężowie lub kochankowie żyli ponad stan.

Iwan Wijanorycz szybko przebiegł oczyma wszystkie notatki. Wystarczało mu jedno słowo lub jakiś tajemniczy znaczek postawiony z boku, aby uchwycić dobrze mu znaną treść.

— Dobierzemy się do wszystkich, moi kochani, do wszyst-

kich — starczym przyzwyczajeniem głośno mamrzał słowa wykrzywając wargi. — Seminarzystą Elladow... Pan jeszcze trochę musi poczekać, panie liberalny seminarzysto. Bijatyka u Charczenki. Jeszcze na to za wcześnie. Ale nie martw się pan, przyjdzie i na pana kolej. Nikt z was nie ujdzie sprawiedliwości, ni-ikt! A co wyście sobie myśleli: nabroił i w krzaki? Nie ma tak dobrze, najdrożsi, waszych przestępstw pilnuje bystre oko, a ono wszystko widzi, bracie... Żona mierniczego. Aha! To samo. Niech no pani pozwoli na światło dzienne, piękna, lecz lekko-myślna pani.

W notesie była uwaga:

„Żona mierniczego (Zoja Nikit.) i sztabs-kapit. Berengowicz. Mierniczy pantoflarz. Lepiej zawiadomić kapitanową.“

Iwan Wijanorycz przysunął się do stołu, starannie owijając się w swój watowany szlafrok o żółtym deseniu, przedstawiającym coś na kształt znaków zapytania, poprawił wolno okulary i zabrał się do nowego listu. Pisał od razu na czysto, prawie nie obmyślając zwrotów. Dzięki długiej praktyce jego listy anonimowe miały specjalny styl, a raczej kilka różnych stylów, bo listy do osób na kierowniczych stanowiskach wymagały innego ujęcia niż listy do zdradzionych mężów, na kupców działał patos i górnolotność, a osoby duchowne trzeba było pogłaskać cytataми z dzieł ojców Kościoła.

„Łaskawa *Madame* Berengowicz.

Nie mając zaszczytu znać Pani bliżej, obawiam się, że list mój poczyta Pani za grubiaństwo. Jednakże obowiązek prostej uczciwości i miłości bliźniego skłania mnie raczej do naruszenia form dobrego tonu niż do przemilczania faktu, który dawno już stał się tematem kpin i dowcipów całego miasta, a o którym Pani, jak każda oszukana ofiara, dowie się jednak — niestety — ostatnia. Tak, nieszczęsna! Mąż Twój, niegodzien zaszczytnego miana obrońcy Ojczyzny, oszukuje Cię w sposób bezczelny i bezecny z kobietą, którą ogrzałaś na własnej piersi, jak wieśniak żmije w znanej baśni wielkiego Kryłowa!!!

Radzę Pani dowiedzieć się dyskretnie, kiedy wyjedzie z miasta pewien dobrze Pani znajomy mierniczy, i tegoż wieczoru, mniej

więcej około godziny dziewiątej złożyć wizytę uroczej Zoji, czym zrobi jej Pani, niewątpliwie, przyjemną niespodziankę. Będzie ona tym przyjemniejsza, im bardziej nieoczekiwana. Ręczę — nikt Pani nie przeszkodzi: małżonka Pani, pana sztabkapitana, tego wieczoru na pewno nie będzie w domu (wezwać go do pułku w sprawach służbowych albo, powiedzmy, do chorego kolegi). Aby zaś jeszcze bardziej ucieszyć piękną uwodzicielkę Zoję, radzę, by weszła Pani nie od frontu, ale przez kuchnię, i to możliwie szybko. Jeśli Pani spotka w kuchni służącą — proszę pamiętać, że na imię ma Arysza i że rubel działa na ogół magicznie.“

Niski, pojedynczy dźwięk dzwonu ciężko zadrział w powietrzu, wlewając się w głąb pokoju. Iwan Wijanorycz wstał, przeżegnał się poważnie, przesłaniając oczy powiekami, i usiadł, by pisać znowu, jednakże nieco szybciej niż poprzednio.

„Do p. mierniczego radziłbym Pani raczej się nie zwracać. Jak mi się wydaje, temu indywiduum jest całkiem obojętne, że jego małżonka, niby starożytna Mesalina, wślawiła się na cały powiat, a nawet na całą gubernię, swoim prowadzeniem się. Panią natomiast znam jako kobietę twardych i uczciwych zasad, które w żadnym wypadku nie pozwolą Pani obojętnie znosić swojej hańby. Wybacz Pani, że z pewnych względów nie wyjawiam swego nazwiska.

Pozostaje pełen głębokiego współczucia dla nieszczęścia Pani

Życzliwy.“

Przez półotwarte drzwi wsunął się nagi, kościsty łokieć, a później i głowa starej kucharki.

— Proszę pana, na jefimony¹ dzwonią...

— Słyszę, Tekło, jeszcze nie ogłuchłem — powiedział Nasjedkin zaklejając szybko kopertę. — Daj mi stary surdut i przygotuj futro.

— Które, skunksowe?

¹ Jefimony — wieczorne nabożeństwo w czasie wielkiego postu (czytanie Wielkiego Kanonu) w kościele prawosławnym. (Przyp. tłum.)

— Nie, to drugie, z kapturem.

Przed wyjściem z domu Nasjedkin pomodlił się, jak zwykle, przed ikoną.

„Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!“ — szeptał, pokornie bijąc poklony pochyloną głową i mocno przyciskając palce do czoła, brzucha i ramion.

Jednocześnie powtarzał sobie w duchu zgodnie z wrodzonym mu praktycznym rozsądkiem:

„Listy są w futrze, w bocznej kieszeni. Nie zapomnieć o skrzynce pocztowej.“

*

Nad miastem płynęły smutne, przeciągłe, wielkopostne dźwięki dzwonów. Bann-bann — ponuro i jęklawie, wolno odzywał się raz po raz niski ton ogromnego dzwonu w soborze, a po każdym jego uderzeniu długo rozpyływały się i topniały w powietrzu kołyszące się, prężne drgania. Odpowiadały mu inne dzwony: ochryple jak bas starego archijereja dźwięczał nadpęknięty dzwon u Nikity-męczennika; krótkim i głuchym szlochem zanosiły się dzwony od Mikoły na Wysiołkach, a w klasztorze żeńskim za rzeką słynny „srebrny“ dzwon jęczał i łkał wysoką, czystą, śpiewną nutą.

Był koniec zimy. Sanna zepsuła się. Szeroka ulica pocięta ciemnymi koleinami straciła swoją śnieżną białosć. Była teraz błotnistożółta. W głębokich wybojach wyżłobionych przez wozy stała woda, a w ogródku przed domem Nasjedkina wysoka zaspą śnieżną osiadła, osunęła się i pokryła z wierzchu szarą, porowatą powłoką. Płoty rozmiękły od wilgoci.

W ogrodzie miejskim nad wierzchołkami drzew, wśród których sterczały opuszczone gniazda, bez przerwy krążyły kawki z krzykiem i wrzaskiem. Odlatywały i po chwili znowu wracały, kołysały się na gibkich gałęziach, niezgrabnie machając skrzydłami, lub nieoczekiwanie spadały prostopadle, jak czarne grudki, z góry na dół. Wszystko to — ptasia wrzawa i pulchność śniegu, i pelen zadumy dźwięk dzwonów, i zapach odmarzającej ziemi — wskazywało na bliską wiosnę, wszystko było przesycone jej tęsknym i słodkim, trudnym do określenia urokiem.

Iwan Wijanorycz szedł powoli drewnianym chodnikiem, człapiąc głośno wielkimi kaloszami. Na Szlacheckiej minęła go grupa gimnazjalistów różnego wieku. Szli parami, hałaśliwie, śmiejąc się i spychając jeden drugiego w śnieg. Za nimi stąpał wysoki, młody nauczyciel w niebieskich okularach, z krótko przystrzyżoną czarną bródką; w zębach trzymał papierosa. Przechodząc obok Nasjedkina nauczyciel spojrzał mu prosto w twarz otwartym, przyjaznym spojrzeniem, jakim tak pięknie patrzył na wiosnę bardzo młodzi ludzie.

„I to się nazywa iść do cerkwi, i jeszcze w takie dni! — pomyślał z wyrzutem i goryczą Iwan Wijanorycz. — I to jest nauczyciel, wychowawca! Co za demoralizacja, papieros w ustach! Nazywa się Dobrosierdow, zdaje się? Nie ma co mówić, gagatek... Będę go miał na uwadze, na wszelki wypadek.“

Po szerokich stopniach cerkiewnych schodów wolno podnosiły się ciemne postacie mężczyzn i kobiet. Nie było zwykłego tłoku ani niecierpliwego podniecenia. Ludzie wchodzili nieśmiało, jakby byli zmęczeni, przybici grzechami, ustępowali sobie miejsca, trzymając się na uboczu i pilnując swojej kolei.

Sobór pełen był ciężkiego, tajemniczego mroku, który sprawiał, że strzeliste wąskie okna wydawały się granatowe, a kopuła ginęła gdzieś wysoko w górze. Przed obrazami na oltarzu płonęło kilka świec. Nie mogły oświetlić szerniałych ze starości twarzy świętych, rzucały tylko blask na ornaty i na ostre promienie złocistych aureoli. Pachniało kadzidłem, topiącym się woskiem i jeszcze tą osobliwą, chłodną, piwniczną wilgocią starej świątyni, która zawsze przypomina o śmierci.

Ludzi było pełno, ale nie czuło się tłoku. Rozmawiano szeptem i jakby lękliwie, kaszlano ostrożnie. Każdy dźwięk głośno i szeroko rozlewał się pod wysokimi, kamiennymi sklepieniami. Na lewym chórze młody kupeczyk Bardygin czytał godzinki donośnym i tak nienaturalnym, zdławionym głosem, jakby mu w gardle utknęła skórka czerstwego chleba. Popisując się umiejętnością szybkiego czytania, wykrzykiwał jednym tchem tyle zdań, ile tylko mógł. Słowa, zdania, a nawet oddzielne fragmenty modlitwy zlewały się w jedno długie, złożone z setek sylab, niezrozumiałe

słowo. Czasem zatrzymywał się na sekundę, żeby wciągnąć powietrze w płuca, i wtedy pierwsze słowo rozpoczynającego się zdania wypowiadał przeciągle, podwajając przy tym teatralnie spółgłoski, a później znów szybko nabierał rozmachu i sypał gęstym śrutem niezrozumiałych dźwięków.

„Pod-dobien-lwięciu siedzącemu w jamie...” „A sk-ka-ly-sa ucieczką królikom tra-ta-ta...” — padały urywane zdania.

Iwan Wijanorycz stanął przy ladzie służącej do sprzedaży świec. Cerkiewny starosta, okazały, otyły staruszek, w pełnej napięcia ciszy dzwonił miedziakami, układając je w rulony. Jego twarz i głowę okalały siwe jak ze srebra, starannie rozczesane włosy.

— Uszanowanie, Michale Michałyczu! — powiedział Nasjedkin wyciągając rękę przez ladę.

— A! Iwan Wijanorycz! — powściągliwym, łagodnym basem odpowiedział starosta. — Jakże zdrówko? A ja, hm, tego owego... chciałbym z panem o czymś pomówić — dodał zniżając głos i zasłaniając się ręką od świecy, żeby lepiej widzieć twarz Nasjedkina. — Poczekaj na mnie trochę, ojezulku, po jefimonach... Dobrze?

— Czemu nie... Poczekam.

Szurając powoli kaloszami po kamiennej posadzce Iwan Wijanorycz przedostał się na swoje zwykle miejsce, za prawym chórem, pod obrazem Wszystkich Świętych, gdzie wedle prawa dawności i poważania siadywał już od dziesięciu lat. Ławka była zajęta: sterczał w niej z rękoma splecionymi na brzuchu i wzdychał raz po raz rośły, brodaty chłop w białym garbowanym kożuchu, cuchnącym baraniami skórami i potem. Iwan Wijanorycz nasrożył wzrok, ściągnął wargi i z odrazą szarpnął chłopą za rękaw.

— Cóż ty tak, kochanku, rozwalasz się? Widzisz, że cudze miejsce, a pehasz się! — powiedział surowo.

Chłop schylił się nisko i pokornie podreptał w bok.

— Przebacz, dobrodzieju, z łaski swojej.

— Bóg przebaczy — sucho odrzekł starzec.

* * *

Na chórze rozbłysnął żółty płomień świecy, potem nieśmiało zapłonął drugi, trzeci. Ciepłe, chwiejące się ogniki, rozpalając się stopniowo w mroku, powędrowały z dołu ku górze i wśród smutnej ciemności zalegającej cerkiew objęły swoim wesółym, jasnym blaskiem grupujących się śpiewaków. Oświetlone od dołu twarze chłopców i dziewcząt, o roziskrzonych źrenicach i miękkim owalu policzków, stały się podobne do twarzy cherubinów na obrazach Murilla, śpiewających u stóp Madonny, z otwartymi nutami w ręku. Ustawieni z tyłu mężczyźni błyskali spoza wąsów białymi zębami, basy gromko kaszlały, rycząc w głębi chóru, jak ogromne, łagodne zwierzęta.

Rozległ się wysoki, brzęczący dźwięk kamertonu. Dyrygent chóru, faworyt i beniaminek kupiectwa, mały, gruby mężczyzna w długim surducie, szerszy w biodrach niż w plecach, poddał ton swoim cieniutkim głosem, jakby chciał obwieścić chórowi jakąś głęboką tajemnicę. Tłum poruszył się, westchnął przeciągle i ucichł.

„Pocieszycielu i Obrońco, bądź dla mnie zbawieniem wiecznym!“ — szepnął z uczuciem Nasjedkin, wyprzedzając dobrze mu znane słowa psalmu.

Z chóru popłynął melodyjny, żaloszny śpiew, lecz zanim rozległ się pod ogromną kopułą, jego dźwięki odbiły się od kamiennych ścian i w pierwszej chwili wydało się, jakby we wszystkich kątach ciemnej cerkwi śpiewało, jeden za drugim, kilka chórów.

Drugi cerkiewny pop, o. Jewgienij, wyszedł zza ołtarza, mrużąc swoje niebieskie, krótkowzroczne oczy. Był to mały, czyściutki staruszek, podobny z twarzy do świętego Mikołaja-patrona, jak go malują na obrazach. Miał na sobie tylko żalobny ornat zarzucony na czarną riasę¹. Ta prostota liturgicznego stroju i wolny, zmęczony chód popa, i jego zmrużone oczy wzruszająco uzupełniały się z pokornym nastrojem tłumu, z ciszą i mrokiem zalegającym sobór.

Śpiewacy zamilkli, a za nimi umilkły, jeden po drugim, niewidzialne chóry w kątach i w kopule cerkwi. Pop cicho wymówił

¹ Riasa — ubiór prawosławnego duchowieństwa. (Przyp. tłum.)

pierwsze słowa Wielkiego Kanonu lekko drżącym, błagalnym głosem, tak bardzo niepodobnym w swojej naturalności do zwykłych, głośnych modłów cerkiewnych.

„Jak oplakiwać zacznę nieprawości grzesznego żywota mego? Jak Cię ubłagam, Chryste, w boleści płaczu mego?”

„Zmiłuj się nade mną, Panie, zmiłuj się nade mną!” — żałośnie zapłakał chór.

„Jak Cię ubłagam, Chryste, w boleści płaczu mego” — powtórzył w duchu Iwan Wijanorycz i poczuł zimny dreszcz w karku. Co za słowa!

Ujrzał w wyobraźni postać wyschłego, pochylonego wiekiem mnicha, który późnym wieczorem, po męczącym nabożeństwie przychodzi do swojej ubogiej celi, z trudem trzymając się na chorych nogach. W fałdach habitu, na którym widnieją symbole śmierci, zachował się jeszcze zapach kadzidła i wosku. Milczenie, półmrok. Słabo drży płomień świecy przed ciemnym obrazem. Na podłodze, zamiast łóżka, otwarta trumna. Mnich osuwa się z jękiem na poranione kolana: ma przed sobą całą noc modlitw, westchnień i szlochów, wstrząsających bezsilnym ciałem. I czując już bliskość błogosławionych łez starzec dokonuje w myśli przeglądu całego swego niewinnego, obmytego codziennym płaczem życia i czeka natchnienia modlitwy.

„Pójdę do klasztoru! — postanowił nagle wzruszony Iwan Wijanorycz. — Dom, procenty... Po co mi to wszystko?”

„Zbeczyszczono i skalano ciała mego szatę, stworzoną na obraz i podobieństwo Twoje, Zbawicielu!” — czytał dalej pop.

„Pójdę. Naprawdę pójdę. Tam cisza, spokój, pokora, a tu... o Panie! Nienawidzi jeden drugiego, szkaluje, robi intrygi... No, założmy, że ja dorzucam swoją cegielkę do ogólnego dobra: kogo trzeba ostrzegę, uprzedzę, otworzę oczy, skieruję na właściwą drogę. Trzeba jednakże kiedyś i o sobie pomyśleć, zatroszczyć się o swoją duszę, ot co! Śmierć nie czeka.”

Naszedkina doleciał szelest jedwabiu. Wysoka, w skromnym czarnym kostiumie dama przeszła obok niego i zatrzymała się w głębokiej niszy, prawie niewidoczna w mroku. Iwan Wija-

norycz zdążył jednakże dostrzec jej piękną bladą twarz i wielkie smutne oczy.

Tragiczna historia tej kobiety znana była całemu miastu — Iwanowi Wijanoryczowi lepiej niż innym. Wydano ją za mąż za znanego przemysłowca — milionera Szczerbaczewa, człowieka starszego od niej o czterdzieści lat, o którym mówiono, że biciem wpędził do grobu dwie swoje pierwsze żony. Mimo zbliżającej się sześćdziesiątki Szczerbaczew miał żelazne zdrowie i taką siłę fizyczną, że w czasie swoich częstych karczemnych pijatyk rozbijał pięścią marmurowe stoliki w restauracjach i sam wywracał uliczne latarnie. Pewnego razu wyjechał w interesach na dłuższy czas z miasta, ale zawrócił niespodziewanie z drogi i zastał żonę w sypialni z przystojnym, młodym subiektem. Były pogłoski, że uprzedzono go wcześniej anonimowym listem. Subiekta Szczerbaczew nie ruszył, kazał mu tylko przepełznąć na czworakach przez wszystkie pokoje aż do drzwi wyjściowych. Ale nad żoną znęcał się, dopóki nie nacieszył do syta swojej zwierzęcej, chamskiej duszy. Zwalił ją z nóg i bił ogromnymi podkutymi butami, później zawezwał całą męską służbę, kazał żonę rozebrać do naga i na zmianę z furmanem smagał biczem jej piękne ciało, aż stało się jednym wielkim strzępem krwawego mięsa.

Od tego czasu minęły dwa lata. Silny organizm młodej kobiety zniósł to wszystko jakimś cudem, lecz dusza jej załamała się, stała się niewolniczą. Zamknęła się odtąd przed ludźmi, zerwała wszystkie stosunki towarzyskie, czasem tylko przychodziła do cerkwi, wywołując podniecone szeptu wśród miejscowych małomiasteczkowych plotkarzy. Opowiadano, że od tej straszliwej nocy Szczerbaczew nie wyrzekł do żony ani jednego słowa, a jeśli wyjeżdżał z domu, zamykał ją na klucz i kazał w nocy sypiać u jej drzwi stróżowi.

„Bóg to wszystko wcześniej przewidział! — nabożnie i jadowicie pomyślał Nasjedkin, patrząc kątem oka na niszę, w której lekko ciemniała wysoka sylwetka kobieca. — Gdyby w swoim czasie nie znaleźli się dobrzy ludzie, ty byś i teraz jeszcze puszczała się z byle bubkiem, a tak, ot, pomodlisz się, westchniesz serdecznie — i lepiej, i zbożniej, po chrześcijańsku... O Panie, przebacz

mi grzechy moje... Nie szkodzi, skarbie, pomódl się. Modlitwa serce zmiękcza i od zła ratuje...”

„I ja Ci w ofierze składam, o Panie Szczodroblivy, jawnogrzesznicze lzy moje: oczyść mnie, Chryste, miłosierdziem Twoim“ — łagodnym, starczym głosem modlił się malutki pop.

„Zmiłuj się nade mną, Boże!“ — odpowiedział mu chór głębokim jękiem skruchy.

„I ja także, i ja, o Panie! W ofierze składam jawnogrzesznicze lzy moje!“ — pomyślał Iwan Wijanorycz z pokorną czolobitnością.

Była to jednak pokora lekka, przyjemna. W głębi duszy wiedział, że całe jego życie było czyste, a czyny nieskazitelne, że przez 35 lat uczciwie służył ojczyźnie, że surowo przestrzega postów i piętnuje każdą nieprawość.

Nie dopuszczał wprawdzie tych samolubnych myśli do świadomości, udając przed samym sobą, że ich w ogóle nie odczuwa, był jednak przekonany, że w przyszłym życiu czeka go ciepłe, zaciszne miejsce w rodzaju tego, które zajmował w cerkwi pod obrazem Wszystkich Świętych dzięki powszechnemu poważaniu i własnym zasługom.

Lzy dławily go w gardle, gryzły w oczy, ale jakoś nie ciekły. Wówczas Iwan Wijanorycz, uparcie patrząc w płomień świeczki, zaczął naprężyć gardło jak przy ziewaniu i szybko wciągać powietrze w płuca. W końcu lzy pociekły — obfite, błogie, odświeżające lzy.

Nabożeństwo skończyło się. Ludzie rozechodzili się wolno i w milczeniu. O. Jewgienij wyszedł z za ołtarza, z trudem powłóczę zreumatyzowanymi nogami, poznał Nasjedkina i kiwnął mu życzliwie głową. Nieśmiało przeszła Szerbaczeva. Jej niepewny chód dziwnie odbijał od zgrabnej sylwetki. Iwan Wijanorycz wyszedł ostatni, razem ze starostą cerkiewnym.

— Pięknie czyta jefimony o. Jewgienij — powiedział starosta schodząc po stopniach. — Z jakim zrozumieniem! Całą duszę ci przebiera.

— Doskonale czyta — zgodził się Nasjedkin. — Co pan ma do mnie za sprawę, Michale Michałycz?

— Sprawa taka, ojczulku: czy masz trochę... tego owego... wolnych pieniędzy?

— No?

— Nie zaprzęgaleś, to i nie poganiaj. Pytam się, masz pieniądze?

— Dużo?

— Głupstwo... Ze trzy tysiące, a jeszcze lepiej cztery.

— No, powiedzmy, że mam — rzekł nieufnie Iwan Wijanorycz. — Mów o interesie. Komu potrzeba?

— Dziwak z ciebie. Nie wierzysz mi, czy co? Już jeśli ja ci mówię... tego owego... to interes pewny. Gdybym sam rozporządził teraz gotówką, w ogóle bym z tobą nie gadał. Trzeba poratować Aprianina. Zbliżają mu się dni wypłat, a w wekslach jakaś zwłoka.

— Tak — powiedział z namysłem Nasjedkin. — Na jaki procent?

Michał Michałycz parsknął nosem i przysuwając się do kompana trącił go żartobliwie łokciem w bok.

— Ach, ty... Majster klepka! Powiedziałem ci, więc możesz być spokojny i basta. Na pół roku, dwieście na tysiąc wystarczy ci? No i... tego owego... nie ma o czym gadać. Żegnaj na razie. Ja na prawo. Przyjdź jutro z rana, obgadamy to sobie.

— Zgoda, przyjdę — westchnął Iwan Wijanorycz. — Do widzenia, Michale Michałyczu.

— Najlepszego, Iwanie Wijanoryczu.

Rozstali się. Nasjedkin szedł drewnianym chodnikiem człapiąc kaloszami i przez cały czas wdychał do siebie z pozorną skruchoą i wewnętrznym zadowoleniem.

Jego futro pachniało jeszcze łagodnym zapachem cerkwi, w plecach czuł wskutek długiego stania przyjemny, osłabiający ból, a duszę przepełniała mu jakaś cicha i słodka błogość.

Malutkie, zapadłe miasteczko już spało. Ulica była pusta. Gdzieś blisko za plotem leniwie, z nudów szczekał pies. Gęstniał przejrzysty, zielony zmierzch kwietniowy; jasnozielone było też niebo na zachodzie i ostrą, ciemną zieleń wiosenną czuło się również w nagich gałęziach drzew.

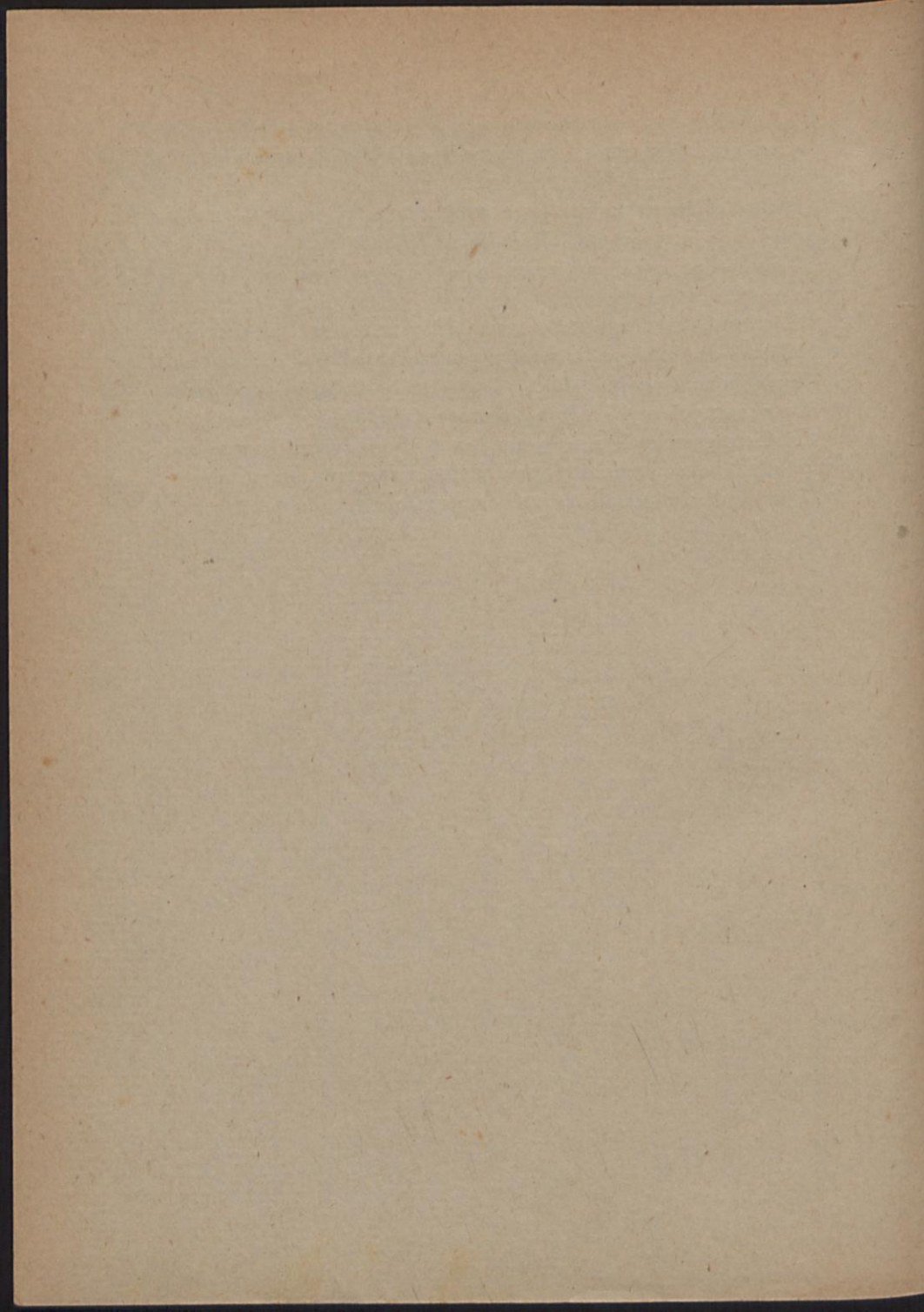
W dali ukazał się dom Nasjedkina. Światła wewnątrz nie było, lecz tiulowe firanki na oknach różowiły się lekko od blasku lampki przed ikoną.

„I ja w ofierze składam jawnogrzesznicze lzy moje“ — z rozrzwiniem przypomniat sobie Iwan Wijanorycz.

„Gapa! — przerwał sobie nagle. — Zapomniałem o skrzynce pocztowej.“

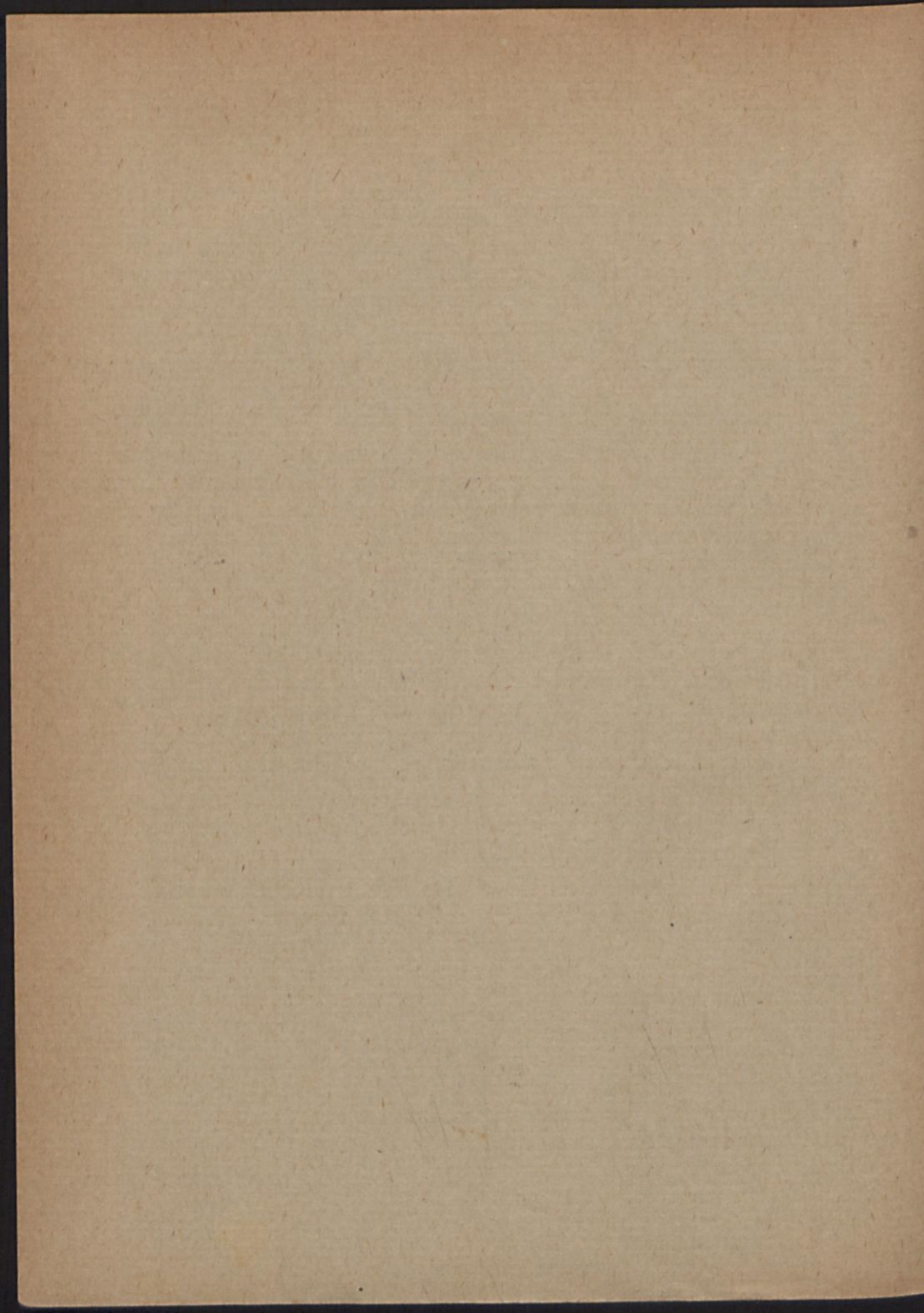
Wrócił tą samą drogą, żeby wrzucić listy. Usłyszał, jak stuknęły w żelazne dno skrzynki, wtedy jeszcze szczelniej zawinał się w ciepłe futro i poszedł dalej. I aby znów wrócić do poprzednich rozkosznych myśli o domu, o procentach, o słodyczy modlitw, o ludzkich grzechach i o swoim enotliwym życiu, jeszcze raz szepnął, głęboko wzruszony, pochylając z rozrzwiniem głowę:

„I ja w ofierze składam jawnogrzesznicze lzy moje...“



SZMARAGD

Tłumaczyła
HALINA OLSZEWSKA



*Pamięci niezrównanego srokatego
klusaka Holstomiera poświęcam.*

Szmaragd, czteroletni ogier, duży klusak amerykańskiego pokroju, o jednolitej siwej maści w odcieniu srebrnawostalowym, obudził się w swoim boksie jak zwykle około północy. Obok niego po lewej i po prawej stronie, a także naprzeciwko po drugiej stronie korytarza konie żuły siano równo i miarowo, wszystkie jakby w tym samym, pospiesznym rytmie, smakowicie chrzęszcząc zębami i prychając czasem z powodu kurzu. W kącie na słomie chrapał stajenny, który miał tej nocy dyżur. Po szczególnym brzmieniu chrapania i orientując się w kolejności dni Szmaragd poznawał, że to jest Wasył, młody chłopak, którego konie nie lubiły, ponieważ palił w stajni śmierdzący tytoń, często wchodził do boksów pijany, bił kolanem w brzuch, wygrażał pięścią przed oczami, szarpał brutalnie za uzdę i zawsze krzyczał na konie nie-naturalnym, groźnym, ochrypłym basem.

Szmaragd podszedł do zakratowanych drzwi. Akurat naprzeciwko stała w swoim boksie młoda, kara, jeszcze nie sformowana klacz, Elegantka. Szmaragd nie widział w ciemności jej ciała, ale ile razy odrywała się od siana i zwracała głowę w tył, jej duże oko świeciło przez chwilę pięknym fioletowym blaskiem. Szmaragd rozdał delikatne chrapy i głęboko wciągnął powietrze; poczuł ledwie uchwytny, a jednak mocny i niepokojący zapach jej skóry, i zarżał krótko. Klacz odwróciła się i natychmiast odpowiedziała mu drżącym, cieniutkim i zalotnym rzeniem.

Jednocześnie Szmaragd usłyszał obok siebie z prawej strony gniewne, zazdrosne sapanie. Tutaj stał Onieg, stary, narowisty,

brunatny ogier, który czasem brał jeszcze udział w pomniejszych biegach.

Oba konie były rozdzielone cienkim przepierzeniem z desek i nie mogły się wzajemnie widzieć, ale kiedy Szmaragd przyłożył nozdrza do prawej strony kraty, poczuł wyraźnie zapach przeżuwanego siana, który wydobywał się z dyszących nozdrzy Oniegina. Przez pewien czas ogiery obwąchiwały się po ciemku, stuliwszy uszy, wygiąwszy szyje, i wpadały w coraz większą irytację. Nagle oba jednocześnie wydały gniwny kwik i zatłukły kopytami.

— Czego tam, diable! — z przyzwyczajenia groźnie krzyknął przez sen stajenny.

Konie odskoczyły od krat i nastawiły uszy. Już od dawna nie cierpiały się wzajemnie, ale teraz, odkąd trzy dni temu postawiono w ich stajni pełną wdzięku karą klacz (czego się zazwyczaj nie praktykuje i co stało się jedynie wskutek braku miejsc w gorączce przedwyscigowej) — teraz nie było dnia, żeby kilkakrotnie nie doszło między nimi do poważniejszych starć. I tutaj, i na torze, i przy wodopoju prowokowały się wzajemnie do bójki. Ale Szmaragd w głębi serca bał się trochę tego długiego, pewnego siebie ogiera, jego ostrego zapachu złego konia, twardej, wielbłądziej grdyki i ponurych, zapadłych oczu, a nade wszystko jego mocnych jak z kamienia kości, zahartowanych w długich biegach i dawniejszych rozprawach z innymi końmi.

Udając przed sobą, że się wcale nie boi i że nic w tej chwili nie zaszło, Szmaragd odwrócił się, spuścił łeb do żłobu i zaczął przerzucać siano miękkimi, ruchliwymi, prężnymi wargami. Z początku tylko kapryśnie przegryzał poszczególne trawki, lecz wkrótce skusił go smak pokarmu w pysku i zabrał się na serio do jedzenia. Jednocześnie przez głowę jego przepływały powolne, obojętne myśli, kojarząc się z wspomnieniami obrazów, zapachów i dźwięków, żeby zginąć na zawsze w tej czarnej otchłani, która była przed i poza chwilą obecną. „Siano“ — myślał i przypominał sobie starszego stajennego Nazara, który wieczorem dawał mu siano.

Nazar — miły staruszek; zawsze tak przyjemnie pachnie od niego czarnym chlebem i z lekka winem; ruchy ma niezbyt szyb-

kie, miękkie, w jego dni siano i owies lepiej smakuja; przyjemnie jest słuchać, kiedy oporządzając konia rozmawia z nim półgłosem, zrządzając dobrodusznie i postępując. Ale nie ma w nim tego czegoś najważniejszego, końskiego, i w czasie biegów treningowych czuje się to poprzez lejce, że jego ręce nie są pewne i dokładne. Waśka też tego nie ma i, chociaż krzyczy i wścieka się, wszystkie konie wiedzą, że to tchórz, i nie boją się. I jeździć nie umie — szarpie, rzuca się. Trzeci stajenny, ten z krzywym okiem, jest już lepszy od tamtych dwóch, ale znowuż nie lubi koni, jest surowy i niecierpliwy, ręce ma sztywne jakby z drewna. A czwarty, Andrijaszka, to jeszcze zupełny dzieciak; bawi się z końmi jak żrebaczek, który jeszcze ssie; całuje je ukradkiem w górną wargę i pomiędzy nozdrzami, a to jest śmieszne i nie bardzo przyjemne. Ten wysoki, chudy, zgarbiony, co ma wygoloną twarz i złote okulary — o, ten to zupełnie co innego! Cały jest — niby jakiś nadzwyczajny koń — mądry, silny i nieustraszony. Nigdy się nie złości, nie bije szpicrutą, nawet nigdy nie pogrozi, a przecież, kiedy siedzi w sulkach, to robi się tak jakoś radośnie i dumnie. I tak przyjemnie, a zarazem strasznie jest być posłusznym każdemu znakowi jego silnych, mądrych, wszystko rozumiejących palców. Tylko on jeden umie doprowadzić Szmaragda do tego szczęśliwego, harmonijnego stanu, kiedy wszystkie siły cielesne natężają się w pędzie i jest tak lekko i wesoło.

W tej chwili Szmaragd ujrzał w wyobraźni krótką drogę ze stajni na tor wyścigowy, każdy niemal dom i każdy słup przy niej; zobaczył piasek na torze, trybunę, biegnące konie, zieleń trawy i żółtą wstęgę. Przypomnił mu się nagle ciemnogniady trzylatek, który niedawno zwichnął nogę i okulał na treningu. Wspominając go Szmaragd spróbował w myśli sam trochę pokuleć.

Jeden pęczek siana, który trafił do pyska Szmaragda, odznaczał się szczególnym, niezwykle delikatnym smakiem. Ogier przeżuwał go długo, a kiedy wreszcie połknął, to jeszcze przez pewien czas czuł w pysku przyjemny, subtelny zapach jakichś zwiędłych kwiatów i wonnej zeschłej trawy. Niejasne, zupełnie nieokreślone, dalekie wspomnienie przemknęło w umyśle konia. Coś podobnego

zdarza się czasem palaczom, kiedy przypadkowe zaciągnięcie się papierosem na ulicy wywołuje nagle w pamięci, na przelotne mgnienie oka, jakiś na pół ciemny korytarz ze starymi tapetami i samotną świecą na kredensie albo też daleką, nocną drogę, miarowe brzęczenie dzwoneczków i drzemkę pełną marzeń, lub błękitny las w pobliżu, śnieg oślepiający oczy, hałas nadchodzącej obławy i namiętą niecierpliwość, od której drżą kolana. Na moment migną w duszy dawne, zapomniane, nieuchwytnie, a dziś jeszcze niepokojące uczucia, wywołując w niej niejasne, smutne wzruszenie.

Tymczasem czarne okienko nad żłobem, dotychczas niewidoczne, zaczęło szarzeć i słabo odcinać się na tle ciemności. Konie żuły coraz leniwiej i jeden za drugim głęboko i rzewnie wzdychały. Na dworze zapiał kogut znajomym, dźwięcznym, dziarskim i przenikliwym jak trąba głosem. I jeszcze długo i daleko piał po kolei inne koguty w różnych miejscach naokoło. Szmaragd, spuściwszy głowę do żłobu, starał się na nowo wywołać i utrwalić ten dziwny smak, który obudził w nim delikatny, niemal fizyczny oddźwięk dalekiego wspomnienia. Lecz nie udało mu się już go ożywić i niespostrzeżenie dla samego siebie Szmaragd zasnął.

II

Nogi jego i ciało były bez zarzutu, doskonałych kształtów, toteż zawsze spał w pozycji stojącej, kołysząc się leciutko naprzód i w tył. Czasami wzdrygał się i wtedy na kilka sekund mocny sen przechodził w lekką, czujną drzemkę, ale niedługie minuty jego snu były tak głębokie, że przez ten czas odpoczywały i nabierały świeżości wszystkie jego mięśnie, nerwy i skóra.

Przed samym świtem ujrzał we śnie wczesny poranek wiosenny, różową jutrzenkę nad ziemią i niską pachnącą łąkę. Trawa była tak gęsta, soczysta i jaskrawa, tak bajecznie, czarownie zielona i subtelnie zaróżowiona od zorzy, jak ją widują tylko ludzie i zwierzęta we wczesnym dzieciństwie; wszędzie migotała na niej rosa drżącymi iskierkami. W lekkim, rozrzedzonym powie-

trzu rozchodziły się przedziwnie wyraźnie wszelkie możliwe zapachy. Poprzez chłód poranka płynie zapach dymu, który błękitną, przezroczystą smużką wije się nad wiejskim kominem, wszystkie kwiaty na łące pachną rozmaicie, a na wilgotnej, pełnej kolein drodze za ogrodzeniem pomieszało się wiele woni: pachnie ludźmi, dziegiem, końskim nawozem, kurzem, świeżym mlekiem od przechodzącego stada krów i wonną żywicą od świerkowych żerdzi w płocie.

Szmaragd, siedmiomiesięczny źrebak z podstrzyżoną grzywą, ugania się po łące bez celu, pochyla głowę i bryka tylnymi nogami. Cały jest jakby z powietrza, nie czuje zupełnie ciężaru własnego ciała. Białe pachnące kwiaty rumianku uciekają w tył, w tył pod jego nogi. Pędzi prosto w słońce. Mokra trawa smaga go po pęcinach, po kolanach i chłodzi je, i przyciemnia. Błękitne niebo, zielona trawa, złote słońce, cudowne powietrze, pijany zachwyt młodości, siły i pędu!

Ale oto słyszy krótkie, niespokojne, pieszczotliwe i wzywające rżenie, które jest mu tak dobrze znajome, że poznałby je z daleka wśród tysiąca innych głosów. Zatrzymuje się w pełnym galopie, nasłuchuje chwilę, podniósłszy wysoko głowę, strzygąc delikatnymi uszami i odstawiając jak miotelkę krótki, puszysty ogon, potem odpowiada przeciągłym, wibrującym krzykiem, od którego wstrząsa się całe jego szczupłe, zgrabne, długonogie ciało, i pędzi do matki.

Matka — stara, spokojna, koścista klacz — podnosi znad trawy mokry pysk, uważnie obwąchuje źrebaka i natychmiast znowu zabiera się do jedzenia, jakby jej się spieszyło do jakiejś ważnej roboty. Schyliwszy giętką szyję pod jej brzuch i wygiąwszy pysk ku górze źrebak z przyzwyczajenia wsuwa wargi pomiędzy jej tylne nogi, znajduje ciepłą, sprężystą sutkę, całą przepelnioną słodkim, trochę kwaskowatym mlekiem, które cienkimi, gorącymi strużkami tryska mu do gardła, i pije, pije i nie może się oderwać. W końcu matka sama odsuwa zad i udaje, że chce ugryźć źrebaka w pachwinę.

W stajni już się zrobiło zupełnie jasno. Stary, brodaty, cuchnący kozioł, który miał pomieszczenie razem z końmi, podszedł

do drzwi założonych od wewnątrz drągiem i zabeczał oglądając się w tył na stajennego. Waśka, bosy, drapiąc się po rozczochranej głowie, poszedł mu otworzyć. Był chłodny, błękitny, czerstwy poranek jesienny. Czworokąt otworzonych drzwi natychmiast zasnuł się ciepłą parą, która buchnęła ze stajni. Zapach szronu i zwiędłych liści delikatnie przewinął się po boksach.

Konie doskonale wiedziały, że zaraz dostaną owsa, toteż stały przy kratkach i z niecierpliwości cicho postękiwały. Chciwy i kapryśny Oniegin bił kopytem o podłogę i z nalogu gryzł górnymi zębami okuty brzeg żłobu, który był już wyszczerbiony; wyciągał szyję i łykał powietrze, a potem mu się odbijało. Szmaragd tarł pysk o kratę.

Przyszli pozostali stajenni — było ich czterech — i zaczęli roznosić po boksach owies w żelaznych miarkach. Podczas gdy Nazar sypał do żłobu Szmaragda ciężki, szeleszczący owies, ogier wsuwał skwapliwie pysk to poprzez ramię staruszka, to pod jego ręce, poruszając przy tym ciepłymi nozdrzami. Stajenny, któremu podobala się ta niecierpliwość łagodnego konia, naumyślnie się nie spieszył, zasłaniał żłób łokciami i mruczał przy tym z dobroduszną szorstkością:

— Ach, ty bydlę nienasycone... No-o, zdążysz jeszcze... A żeby cię! Trąć no mnie jeszcze raz pyskiem, już ja cię potracę!

Od okienka nad żłobami ciągnął się ukośnie w dół wesoly, czworokątny słup słoneczny, a w nim kłębiły się miliony złotych pyłków, oddzielonych od ramy okiennej długimi cieniami.

III

Szmaragd skończył właśnie jeść owies, kiedy przyszli, żeby go wyprowadzić na dwór. Zrobiło się cieplej i ziemia trochę odmiękła, ale ściany stajni były jeszcze białe od szronu. Od kup nawozu, dopiero co wygarniętych ze stajni, szła gęsta para; krzątały się tam wróble i krzyczały z takim podnieceniem, jakby się kłóciły. Szmaragd schylił szyję w drzwiach, ostrożnie przestąpił przez próg i z radością wciągnął głęboko ostre powietrze, potem wstrzą-

snął szyją i całym ciałem i głośno parsknął. „Na zdrowie!“ — powiedział poważnie Nazar. Szmaragdowi nie chciało się stać w miejscu. Pragnął silnych ruchów, laskotania powietrza, które szybko wpada do oczu i nozdrzy, głębokiego oddechu, gorących uderzeń serca. Przywiązany do drąga rżał, tańczył na tylnych nogach i wyginając w tył szyję spoglądał na karą klacz dużym, czarnym, wypukłym okiem z czerwonymi żyłkami na białku.

Sapiąc z wysiłku Nazar podniósł ponad wysokość głowy wiadro wody i wylał je na grzbiet konia od grzywy aż do ogona. Było to znane Szmaragdowi rześkie i przyjemne uczucie, wywołujące dreszcz przez swoją codzienną niespodziankę. Nazar przyniósł jeszcze wody i ochlapał mu boki, piersi i podogonie. Za każdym razem mocno pociągał stwardniałą dłonią wzdłuż sierści, żeby wycisnąć wodę. Kiedy Szmaragd oglądał się w tył, widział swój wysoki grzbiet ze ściętym zadem, nagle pociemniały i błyszczący w słońcu.

Był dzień wyścigów. Szmaragd wiedział o tym po znamienym, nerwowym pośpiechu, z jakim stajenni krzatali się koło koni. Tym, które z powodu krótkiego tułowia miały zwyczaj kaleczyć się podkowami, nakładano na pęciny skórzane bandaże, innym owijano nogi płóciennymi pasami od stawu pęcinowego aż po kolano albo obwiązywano przednie nogi szerokimi opaskami obszytymi futrem. Z wozowni wytaczano lekkie wózki na dwóch kołach, z wysokim siedzeniem; ich metalowe szprychy wesóło migwały w ruchu, a czerwono malowane obręcze i szerokie, czerwone, wygięte hołobłe połyskiwały świeżym lakierem.

Szmaragd był już ostatecznie osuszony, wyszczotkowany i wytarty wełnianą rękawicą, kiedy pojawił się główny dżokej stajni, Anglik. Tego wysokiego, chudego, trochę zgarbionego człowieka o długich rękach szanowały i bały się zarówno konie jak ludzie. Miał wygoloną ogorzałą twarz i twarde cienkie wargi, drwiąco wygięte. Nosił złote okulary; jego niebieskie, jasne oczy spoglądały przez nie stanowczo, uparcie i spokojnie. Doglądał porządkowania rozstawiwszy długie nogi w wysokich butach, włożywszy ręce głęboko do kieszeni spodni i przygryzając papierosa to w jednym, to w drugim kąciku ust. Miał na sobie popielatą kurtkę

z futrzanym kołnierzem i czarną czapkę z wąskim otokiem i dużym, prostym, kwadratowym daszkiem. Czasem rzucał niedbale, urywanym tonem krótkie uwagi i natychmiast wszyscy stajenni i robotnicy odwracali ku niemu głowy, a konie nastawiały uszy w tę stronę. Szczególnie troskliwie doglądał, kiedy zaprzęgano Szmaragda. Obejrzał całe ciało konia od grzywy do kopyt i Szmaragd, czując na sobie jego baczne, uważne spojrzenie, dumnie podnosił głowę odwracając z lekka giętką szyję i stawiał na sztorc przeświecające, cienkie uszy. Dżokej sam wsunął palec pomiędzy brzuch konia a popręg, żeby sprawdzić, czy jest mocno dociągnięty. Potem nałożono na konie szare, płócienne derki z czerwonym szlakiem, z czerwonymi kołami przy otworach ocznych i czerwonym monogramem na dole koło tylnych nóg. Dwóch stajennych, Nazar i ten drugi z krzywym okiem, wzięło Szmaragda z dwóch stron za uzdę i poprowadziło na tor wyścigowy po dobrze znajomym bruku, między dwoma rzędami dużych, rzadko rozstawionych kamienic. Do placu wyścigowego nie było nawet i ćwierć wiorsty.

Na dziedzińcu wyścigowym było już dużo koni, oprowadzano je po torze wszystkie w jednym kierunku, tym samym, w którym biegają po torze wyścigowym, to znaczy odwrotnym do ruchu wskazówki zegara.

Wewnątrz dziedzińca prowadzono konie pod wierzch, nieduże, o mocnych nogach, z podciętymi krótko ogonami. Szmaragd natychmiast poznał białego ogiera, który zawsze galopował obok niego, i oba konie na znak powitania zarżały cicho i łagodnie.

IV

Na torze zadzwoniono. Stajenni zdjęli ze Szmaragda derkę. Anglik mrużąc pod okularami oczy od słońca i szczerząc długie, żółte, końskie zęby podszedł trzymając szpicrutę pod pachą i zapinając po drodze rękawiczki. Jeden ze stajennych podniósł bujny, sięgający aż do pęcin ogon Szmaragda i ułożył go starannie na siedzeniu wózka, tak że jasny jego koniec zwisał z drugiej

strony. Giętkie holoble ugięły się elastycznie pod ciężarem ciała. Szmaragd obejrzał się za siebie i zobaczył jeźdźcę siedzącego prawie tuż za jego zadem, z nogami wyciągniętymi naprzód i rozstawionymi na holoblach.

Dżokej bez pośpiechu wziął lejce i krzyknął krótko na stajen-nych, którzy od razu cofnęli ręce. Szmaragd, pelen radości z po-wodu biegu, który go czekał, rzucił się naprzód, ale, powstrzy-many silnymi rękami, uniósł się tylko trochę na tylnych nogach, potrząsnął szyją i szerokim, rzadkim klusem wyjechał z bramy na bieżnię.

Wzdłuż drewnianego parkanu w kształcie wiorstowej elipsy biegł szeroki tor wyścigowy wysypany żółtym piaskiem, który był trochę wilgotny i zbity i dlatego właśnie przeżył się przyjem-nie pod nogami, odpowiadając na ich nacisk.

Ostre ślady kopyt i równe, proste smugi po gumowych kołach tworzyły długą taśmę.

Przesunęła się trybuna, wysoka, drewniana konstrukcja o dłu-gości dwustu koni, gdzie od ziemi aż po dach, wsparty na cienkich filarach, poruszał się i huczał czarny tłum ludzki. Z lekkiego, ledwie wyczuwalnego poruszenia lejców Szmaragd zro-zumiał, że wolno mu trochę przyspieszyć, i parsknął z wdzięcz-ności.

Szedł równym, zamaszystym klusem, prawie nie kołysząc grzbietem, z szyją wyciągniętą i z lekka zwróconą ku lewej ho-lobli, z pyskiem wzniesionym ku górze. Jego krok był wyjątkowo długi, lecz rzadki, więc z daleka nie odnosiło się wrażenia szyb-kości; zdawało się, że klusak odmierza drogę prostymi jak cyrkiel przednimi nogami, bez pośpiechu i ledwie muskając kopytami ziemię. To był prawdziwy amerykański styl ujeżdżania, w któ-rym wszystko zmierza ku temu, aby ułatwić koniowi oddech, zmniejszyć do minimum opór powietrza, gdzie eliminuje się wszystkie niepotrzebne ruchy, które nieprodukcyjnie zużywają energię, i gdzie piękno kształtu ustępuje takim zaletom, jak lekkość, suchość kończyn, wytrzymałość w biegu — zamieniając konia w żywą, doskonale funkcjonującą maszynę.

Teraz, w przerwie pomiędzy dwiema gonitwami, odbywał się

swobodny bieg, który się zawsze stosuje dla usprawnienia oddech. Niektóre konie biegły po zewnętrznym torze, w tym samym kierunku co Szmaragd, inne — po wewnętrznym, w przeciwnym kierunku. Duży ciemnojabłkowity szpak o białym pysku, klusak czystej orłowskiej rasy, z wypreżoną szyją i podniesionym ogonem, podobny do jarmarcznego konia, wyprzedził Szmaragda. W biegu trzęsły mu się szerokie, tłuste, już pociemniałe od potu boki i szare pachwiny, odrzucał przednie nogi w bok od kolan i przy każdym kroku grała mu głośnie śledziona.

Potem od tyłu zbliżyła się zgrabna gniada klacz — metyska o długim ciele i rzadkiej, ciemnej grzywie. Była doskonale wytrenowana według tego samego co i Szmaragd, amerykańskiego systemu. Jej krótka, wypielęgnowana sierść mieniła się blaskiem zależnie od ruchu mięśni pod skórą. Podczas gdy jeźdźcy o czymś tam ze sobą rozmawiali, oba konie szły przez pewien czas równo obok siebie. Szmaragd obwąchał klacz i chciał się do niej trochę pozalecać w biegu, ale Anglik nie pozwolił, i koń musiał zrezygnować.

Z przeciwnej strony przeleciał pełnym klusem ogromny, kary ogier, cały poowijany w bandaże i opaski. Lewa holobła wysuwała mu się o pół arszyna bardziej niż prawa, a poprzez kółko przymocowane nad głową był przeciągnięty rzemień, który okrutnie ścisnął z góry i z obu stron nerwowe chrapy konia. Szmaragd i klacz jednocześnie popatrzyły na niego i błyskawicznie oceniły go jako klusaka o niezwyklej sile, szybkości i wytrzymałości, ale strasznie upartego, złego, samolubnego i takiego, który się łatwo obraża. W ślad za karym przebiegł śmiesznie malutki, zgrabny siwy konik. Można było sądzić, że pędzi on z nieprawdopodobną szybkością, tak często tupał nogami, tak wysoko wyrzucał je w kolanach i taki gorliwy i rzeczowy wyraz miała jego schludna szyja i ładna, mała główka. Szmaragd zerknął tylko na niego pogardliwie i zastrzygł jednym uchem w tę stronę.

Drugi dżokej skończył rozmawiać, zaśmiał się głośnie i krótko, jak gdyby zarżał, i puścił klacz swobodnym klusem. Bez żadnego wysiłku, spokojnie, zupełnie jakby szybkość biegu nie od niej zależała, oddzieliła się od Szmaragda i pomknęła niosąc płynnie

równy, błyszczący grzbiet z nieznaczną ciemną pręgą wzdłuż krzyży.

Lecz w tej chwili i Szmaragda, i ją dogonił, a potem szybko wyminął pędzący galopem płomienny kasztan z dużą białą plamą na nozdrzach. Biegł długimi, częstymi skokami, to rozciągając się i zbliżając do ziemi, to znowu łącząc prawie w powietrzu przednie i tylne nogi.

Jego jeździec przechylił się całym ciałem do tyłu i nie siedział, lecz raczej leżał na siedzeniu, zawieszony na wyprężonych lejcach. Szmaragd spłoszył się i gwałtownie skoczył w bok, ale Anglik nieznacznie ściągnął lejce i jego ręce, takie giętkie i wrażliwe na każdy ruch konia, stały się jakby z żelaza. Koło trybuny czerwony ogier, który zdążył obieć jeszcze jeden krąg, znowu wyprzedził Szmaragda. Biegł ciągle, ale już był pokryty pianą, oczy miał nabiegłe krwią i ochryply oddech. Dżokej pochylił się naprzód i z całej siły okładał go szpicrutą po grzbiecie. W końcu, niedaleko bramy, tajemnym udało się zagrozić mu drogę i chwycić za lejce i uzdę koło pyska. Wyprowadzili go z bieżni mokrego, drżącego i z trudem chwyającego oddech. Schudł w przeciągu jednej minuty.

Szmaragd przebiegł jeszcze pełnym klusem pół kręgu, po czym skręcił na ścieżkę, która biegła w poprzek placu wyścigowego, i wjechał przez bramę na dziedziniec.

V

Na torze kilka razy dzwoniło. Klusaki przelatowały co jakiś czas jak błyskawica koło otwartej bramy, ludzie na trybunach zaczęli nagle krzyczeć i klaskać w ręce. W jednym rzędzie z innymi klusakami szedł drobnym krokiem obok Nazara Szmaragd, machając opuszczonym łbem i strzygąc uszami w płóciennych pokrowcach. Po wolnym biegu wesoło krążyła mu w żyłach gorąca krew, oddech stawał się głębszy i swobodniejszy, w miarę jak ciało stygło i odpoczywało, a we wszystkich mięśniach drżało niecierpliwie pragnienie, żeby biec dalej. Minęło może z pół go-

dziny. Na torze znowu zadzwoniono. Teraz dżokej wsiadł na sulki bez rękawiczek. Miał duże, białe, czarodziejskie ręce, które budziły w Szmaragdzie przywiązanie i strach.

Anglik bez pośpiechu wyjechał na bieżnię, skąd jeden za drugim zjeżdżały na dziedzińiec konie, które właśnie skończyły wolny bieg. Na torze został tylko Szmaragd i ten ogromny kary ogier, z którym spotkał się w przejeździe. Trybuny od góry do dołu całe były czarne od zbitego tłumu ludzkiego i w tej czarnej masie wesoło i bezładnie migotały niezliczone twarze i ręce, pstrzyły się kapelusze i parasolki, powiewały białe kartki programów. Stopniowo przyspieszając klusa Szmaragd przebiegał właśnie koło trybuny. Czuł wlepione w siebie tysiące oczu i doskonale rozumiał, że te oczy domagają się od niego szybkich ruchów, ostatecznego natężenia wszystkich sił, potężnych uderzeń serca — i od tego zrozumienia wstępowała mu w mięśnie radosna lekkość i pełna kokieterii prężność. Znajomy biały ogier, na którego grzbiecie siedział chłopiec, szedł obok z prawej strony krótkim galopem.

Równym, miarowym klusem, przechylając się troszeczkę na lewo, Szmaragd objechał ostry zakręt i zaczął się zbliżać do słupa z czerwonym krążkiem. Na torze rozległ się krótki dźwięk dzwonka. Anglik ledwie dostrzegalnie poprawił się na siedzeniu i ręce jego nagle nabrały mocy. „Teraz idź! Ale oszczędzaj sił. Jeszcze czas“ — zrozumiał Szmaragd i na znak, że zrozumiał, pochylił na chwilę i zaraz znowu postawił sztorcem swoje cienkie, czujne uszy. Biały ogier biegł równo obok, trochę w tyle. Szmaragd czuł koło grzywy jego świeży, równomierny oddech.

Czerwony słup został w tyle, jeszcze jeden ostry zakręt, ścieżka prostuje się, druga trybuna się zbliża, czarnieje i pstrzy się z daleka huczącym tłumem, i rośnie szybko z każdym krokiem. „Jeszcze! — pozwala jeździć — jeszcze, jeszcze!“ Szmaragd trochę się gorączkuje i chce od razu natężyć w biegu wszystkie swe siły. „Można już?“ — myśli. „Nie, jeszcze czas, nie denerwuj się — odpowiadają uspokajająco czarodziejskie ręce. — Potem!“

Oba ogiery mijają słupy dystansowe równocześnie co do sekundy, ale z dwóch przeciwnych stron średnicy łączącej obie trybuny. Lekki opór mocno napiętej nitki i szybkie zerwanie jej spr-

wiają, że Szmaragd przez chwilę strzyże niespokojnie uszami, ale zaraz zapomina o wszystkim, pochłonięty całkowicie tym, co mówią cudowne ręce. „Jeszcze trochę! Nie gorączkować się! Iść równo!” — rozkazuje jeździec. Czarna, rozkołysana trybuna przepływa obok. Jeszcze kilkadziesiąt sążni i cała czwórka — Szmaragd, biały ogier, Anglik i chłopiec, który stojąc w krótkich strzemiionach przypadł do końskiej grzywy, zlewają się harmonijnie w jedno, spoiste, szybko mknące ciało, ożywione tą samą wolą, tym samym pięknem potężnego rozmachu, tym samym rytmem, który brzmi jak muzyka. Ta-ta-ta-ta! — równo, miarowo wybija nogami Szmaragd. Tra-ta — tra-ta — krótko i ostro dzieli na dwa takty drugi koń. Jeszcze jeden zakręt i druga trybuna biegnie naprzeciw. „Przyspieszyć trochę?” — pyta Szmaragd. „Dobrze — odpowiadają ręce — ale spokojnie.“

Druga trybuna przelatuje w tył tak szybko, że wymyka się oczom. Ludzie coś krzyczą. Szmaragda to bawi, zaczyna się gorączkować, traci na chwilę wyczucie lejców i wypadłszy z ogólnego, zorganizowanego rytmu robi cztery kapryśne skoki z prawej nogi. Ale lejce natychmiast stają się brutalne, rozdierają mu wargi, ściągają kark w dół, a głowę skręcają na prawo. Teraz już się staje niewygodne galopować z prawej nogi. Szmaragd się złości i nie chce zmienić nogi, ale jeździec uchwyciwszy właściwy moment spokojnie i władczo wprowadza go w klus. Trybuna została daleko w tyle, Szmaragd chwytą znowu takt i ręce stają się przyjacielskie i miękkie, tak jak przedtem. Szmaragd czuje swoją winę i chciałby klusować dwa razy prędzej. „Nie, nie, jeszcze za wcześniej — dobrotliwie upomina dżokej. — Nic się nie stało. Zdażymy to naprawić“.

Tak przebiegają jeszcze półtora kręgu w doskonałej harmonii, bez zmiany chodu. Ale i kary jest dzisiaj w świetnej formie. Wówczas kiedy Szmaragd zmylił się, tamten zdążył go wyprzedzić o sześć długości końskich, ale teraz Szmaragd się odgrywa i, kiedy mija przedostatni słup, ma już trzy i ćwierć sekundy przewagi. „Teraz można. Idź!” — rozkazuje jeździec. Szmaragd stula uszy i rzuca tylko jedno szybkie spojrzenie wstecz. Twarz Anglika płonie, pełna surowego, skupionego i zdecydowanego wy-

razu; wygolone wargi wykrzywają się w niecierpliwym grymasie i odsłaniają duże, żółte, mocno zaciśnięte zęby. „Pędź jak tylko możesz! — rozkazują lejce w wysoko podniesionych rękach. — Jeszcze, jeszcze!” — i nagle Anglik wydaje głośny, wibrujący okrzyk, który podnosi się w górę jak dźwięk syreny:

— O-e-e-e-j!

— Tak, tak, tak, tak!... — krzyczy przenikliwie w takt biegu chłopiec, który jedzie wierzchem.

Teraz wyczucie tempa dochodzi do najwyższego napięcia i trzyma się na jakimś cieniutkim włosku, który lada chwila może się urwać. Ta-ta-ta-ta! — równo wybijają po ziemi kopyta Szmaragda. Trra-trra-trra! — słychać z przodu galop białego ogiera, który pociąga za sobą Szmaragda. W takt biegu kołyszą się giętkie holoble i w takt galopu podnosi się i opada na siodle chłopiec, który już prawie leży na szyi konia.

Powietrze, które biegnie naprzeciw, gwiżdże w uszach i laskocze nozdrza, z których bucha para dużymi, częstymi kłębam. Coraz trudniej jest oddychać i skóra staje się gorąca. Szmaragd bierze ostatni zakręt pochylając się całym ciałem ku jego wewnętrznej stronie. Trybuna wyrasta jak żywa, biegnie od niej ryk tysiąca głosów, który płoszy, podnieca i raduje Szmaragda. Już mu nie starcza kłusu, chciałby przejść w galop, ale zduniewające ręce z tyłu proszą i rozkazują, i uspokajają: „Kochany, nie galopuj! tylko nie galopuj! O tak, o tak, o tak.” I Szmaragd przelatuje jak wieher koło słupa i rozrywa kontrolną nitkę nawet nie zauważając tego. Krzyki, śmiechy, oklaski jak kaskada spadają z trybuny. Białe kartki programów, parasolki, laski, kapelusze, wszystko kręci się i miga pomiędzy ruchomymi twarzami i rękami. Anglik puszcza lejce luzno. „Skończone. Dziękuję, mój miły!” — mówi ten ruch Szmaragdowi, który z wysiłkiem przeciwstawia się bezwładności pędu i przechodzi w stęp. W tej chwili dopiero podbiega do swego słupa kary ogier o siedem sekund później.

Anglik z trudem podnosi zdrtwiałe nogi, ciężko zeskakuje z wózka, zdejmując pluszowe siedzenie i idzie z nim do wagi. Podbiegają stajenni, okrywają derką rozgrzany grzbiet Szmaragda i wyprowadzają go na dziedziniec. W ślad za nimi płynie wrzawa

ludzkiego tłumu i długi dzwonek z trybuny członkowskiej. Na ziemię i na ręce stojących spada lekka, żółtawa piana z pyska konia.

W kilka minut później prowadzą znowu Szmaragda, już wyprzeżonego, przed trybunę. Wysoki mężczyzna w długim palcie i nowym, lśniącym kapeluszu, którego Szmaragd widuje często w swojej stajni, klepie go po szyi i podaje mu na dłoni kawałek cukru. Anglik też stoi tutaj wśród tłumu i uśmiecha się robiąc grymas i wyszczerzając długie zęby. Zdejmują ze Szmaragda derkę i ustawiają przed skrzynką na trzech nogach, przykrytą czarnym materiałem, pod którym chowa się i coś robi pan w popielatym ubraniu.

Lecz oto ludzie zaczynają spływać z trybun czarną, rozlewającą się masą. Obstępują konia ze wszystkich stron i krzyczą, i machają rękami, nachylając jedni do drugich czerwone, rozgorączkowane twarze ze świecącymi oczami. Coś im się nie podoba, pokazują palcami na nogi, głowę i boki Szmaragda, wicherzą mu sierść po lewej stronie zadu, tam, gdzie ma wypalone piętno, i znowu krzyczą wszyscy jednocześnie: „Podstawiony koń, fałszowany kłusak! Szwindel, oszukaństwo, zwracać pieniądze!“ — słyszy Szmaragd, lecz nie rozumie tych słów i niespokojnie strzyże uszami. „O co im chodzi? — myśli zdziwiony — przecież tak dobrze biegłem!“ I na moment rzuca mu się w oczy twarz Anglika, zawsze taka spokojna, stanowcza, trochę drwiąca a teraz rozpalona gniewem. Nagle Anglik wykrzykuje coś wysokim, gardłowym głosem, szybko macha ręką i suchy trzask policzka wdziera się w ogólny hałas.

VI

Szmaragda odprowadzono do stajni, po trzech godzinach dano mu owsa, a kiedy go wieczorem pojono przy studni, widział, jak zza parkanu wznosi się duży, żółty księżyc, który go napelnił niepojętym lękiem.

A potem zaczęły się smutne dni.

Już go nie prowadzono ani na biegi próbne, ani treningowe, ani na wyścigi. Za to codziennie przychodzili jacyś nieznajomi ludzie — dużo ludzi — wyprowadzano do nich Szmaragda, na dwór, gdzie oglądali go i obmacywali ze wszystkich stron, zaglądali mu do pyska, tarli sierść pumeksem i ciągle krzyczeli jeden na drugiego.

Potem pamiętał, jak raz późnym wieczorem wyprowadzono go ze stajni i prowadzono przez długie, puste, brukowane ulice, koło domów z oświetlonymi oknami. Potem dworzec, ciemny, trzęsący się wagon, zmęczenie i drżączka w nogach od długiej podróży, gwizd parowozu i łomot szyn, duszący zapach dymu, smętne światło chwiejącej się latarni. Na jakiejś stacji wyladowano go z wagonu i długo prowadzono nieznaną drogą, pośród rozległych nagich pól jesiennych, koło różnych wsi, aż w końcu przyprowadzono do nieznajomej stajni i zamknięto osobno, z dala od innych koni.

Z początku ciągle wspominał wyścigi, swojego Anglika, Waśkę, Nazara i Oniegina, widywał ich często we śnie, ale z biegiem czasu zatarła się pamięć o wszystkim. Przed kimś go ukrywano i całe jego młode, piękne ciało męczyło się, tęskniło i gnuśniało w bezczynności. Co jakiś czas przyjeżdżali nowi nieznajomi ludzie i znowu kręcili się koło Szmaragda, macali go i wicherzyli mu sierść, i kłócili się między sobą zawzięcie.

Czasami Szmaragd widział przypadkiem przez uchylone drzwi inne konie, które chodziły i biegały na swobodzie, i wtedy rżał do nich skarżąc się i oburzając. Ale zaraz drzwi zamykano i czas upływał znowu w nudzie i samotności.

Głównym stajennym był tam zaspany, wielkogłowy mężczyzna o małych, czarnych oczkach i cienkich wąsach na tłustej twarzy. Wydawało się, że Szmaragd jest mu zupełnie obojętny, ale ten odczuwał przed nim jakiś niewytłumaczony lęk.

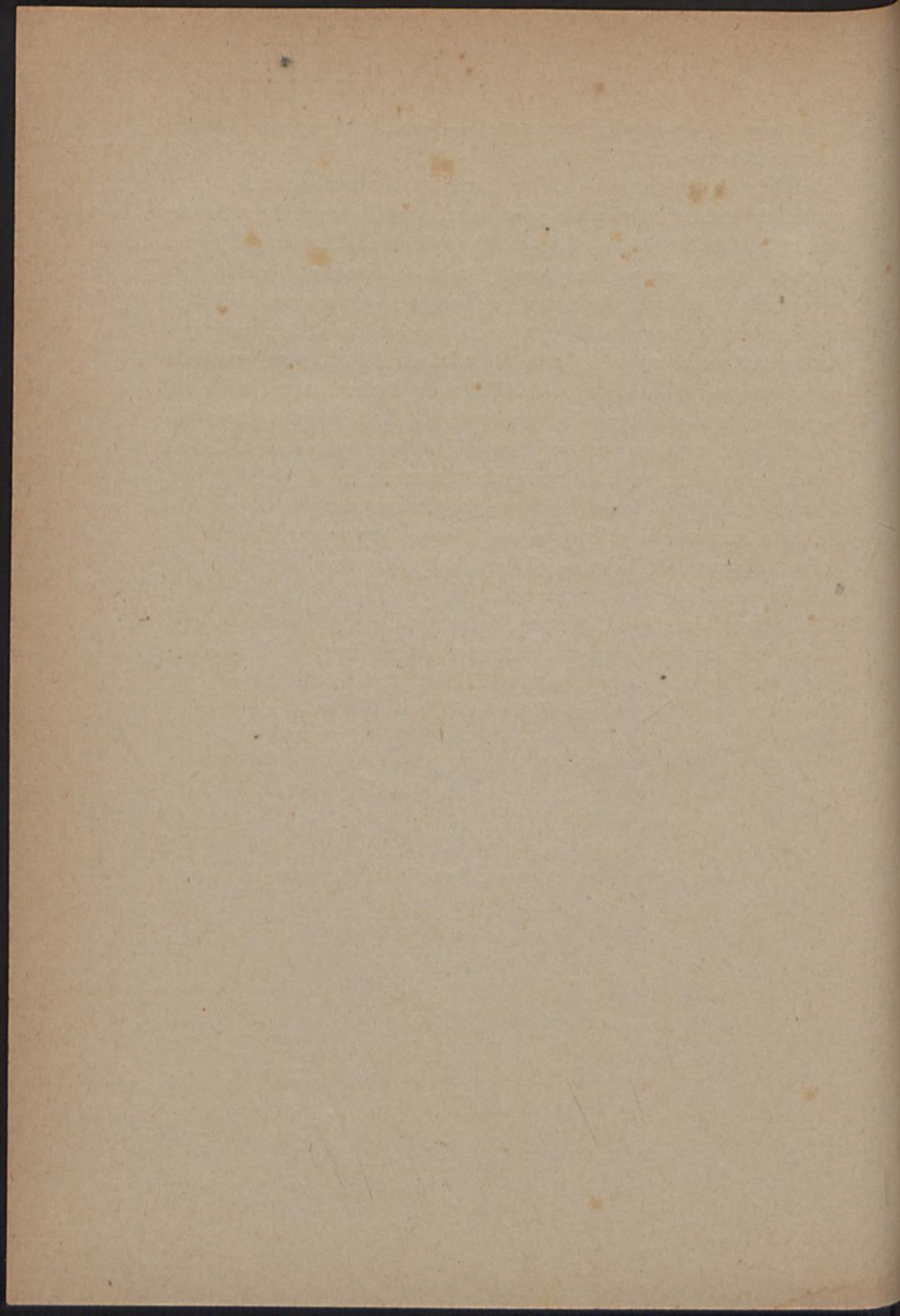
I oto pewnego dnia, wczesnym rankiem, kiedy wszyscy stajenni jeszcze spali, człowiek ten wszedł do Szmaragda cichutko, na palcach, nie robiąc najmniejszego hałasu, sam nasypał mu owsa do żłobu i wyszedł. Szmaragd był tym trochę zdziwiony, ale zaczął potulnie jeść. Owies był słodki, trochę gorzkawy i palący w smaku.

„To dziwne — pomyślał Szmaragd — jeszcze nigdy nie kosztowałem takiego owsa“.

Nagle poczuł lekkie bóleści w brzuchu. Pojawiły się i ustały, potem znowu wystąpiły ze wzmożoną siłą i wzrastały z każdą minutą. W końcu ból stał się nie do zniesienia. Szmaragd jęknął głucho. Przed oczami zawirowały mu ogniste koła, całe ciało zwiotczało i pokryło się potem od nagłego przypływu słabości, nogi zadrżały i ugięły się pod nim i ogier runął na podłogę. Próbował jeszcze wstać, ale mógł podnieść się tylko na przednie nogi, i znowu walił się na bok. Huczący wicher zakręcił mu się w głowie: przeleciał Anglik szczerząc, jak koń, długie zęby; potem Oniegin wysuwając swoją wielbłądzią grdykę i rżąc. Jakaś nieubłagana siła szybko wciągała Szmaragda w głęboki dół, w czarną i zimną jamę. Już nie mógł się ruszać.

Nagle kurcze chwyciły jego nogi, szyję, wygięły grzbiet. Cała skóra zadygotała od drobnego, szybkiego dreszczu i pokryła się pianą wydzielającą ostry zapach.

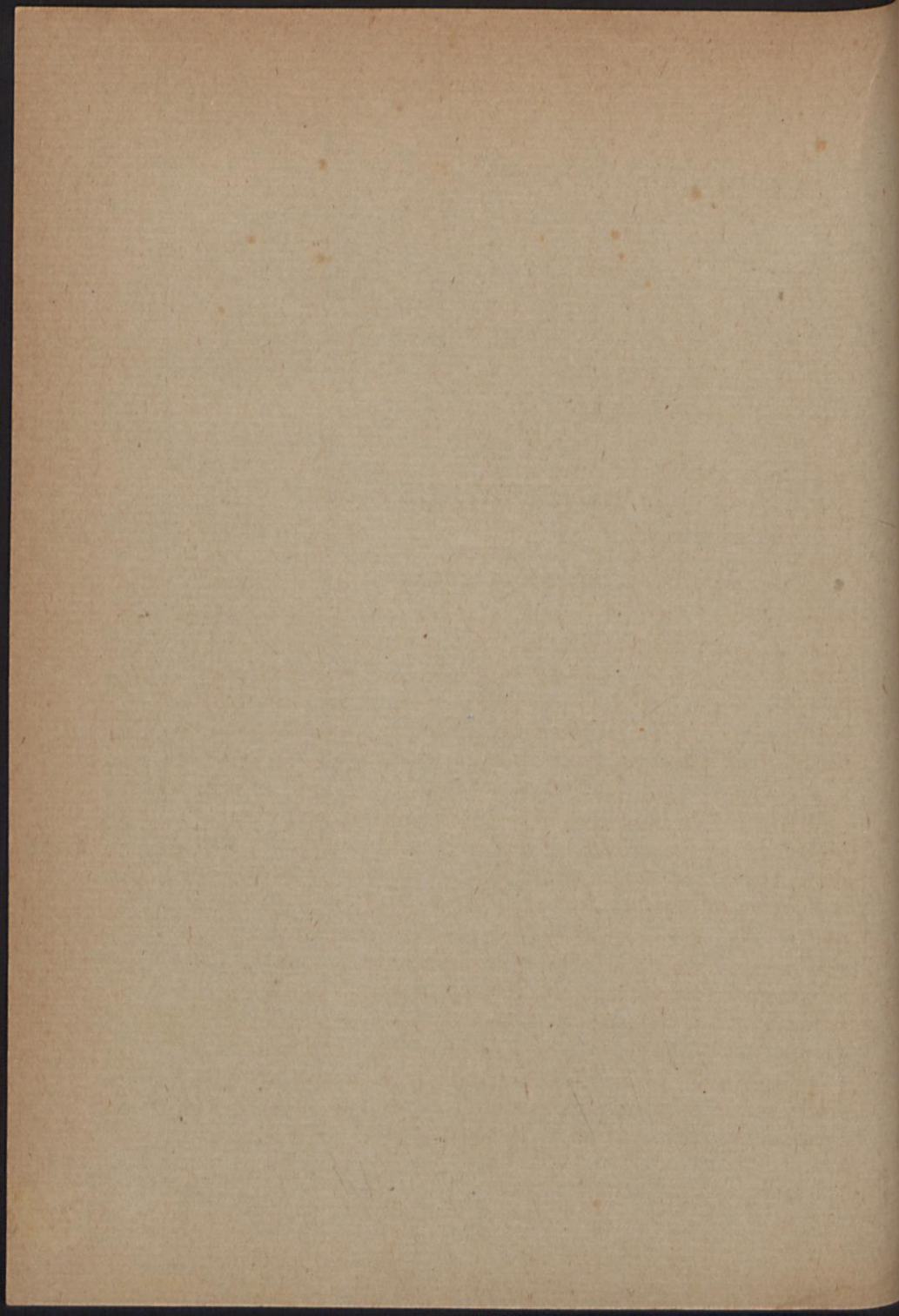
Żółte, ruchome światło latarni wdarło mu się na chwilę w oczy, żeby zaraz zniknąć wraz z gasnącym wzrokiem. Ucho Szmaragda pochwyciło jeszcze grubiański krzyk ludzki, ale już nie czuł kopnięcia w bok obcasem. Potem znikło wszystko — na zawsze.



GAMBRINUS

Tłumaczyła

HALINA OLSZEWSKA



I

Tak nazywała się piwiarnia w pewnym ruchliwym porcie na południu Rosji. Chociaż mieściła się przy jednej z najludniejszych ulic, dosyć trudno było ją odszukać, bo znajdowała się w podziemiu. Zdarzało się często, że jakiś gość, nawet bywalec mile widziany w „Gambrinusie“, mijał ten znakomity lokal i dopiero, kiedy przeszedł dwa lub trzy sąsiednie sklepy, zawracał.

Szyldu nie było wcale. Wchodziło się wprost z ulicy przez wąskie, zawsze otwarte drzwi. Prowadziły od nich w dół tak samo wąskie schodki, o dwudziestu kamiennych stopniach, krzywych i wytartych przez wiele milionów ciężkich butów. Przy końcu schodów, na ścianie koło drzwi, rzucała się w oczy kolorowa płaskorzeźba, przedstawiająca słynnego protektora kunsztu piwowarskiego, króla Gambrinusa, o rozmiarach odpowiadających mniej więcej podwójnej wielkości naturalnej.

Dzielo to było prawdopodobnie pierwszą pracą początkującego amatora i wyglądało tak, jakby je z gruba wyciosano ze skamienniałych kawałków porowatej gąbki; jednakże czerwona kamizelka, gronostajowy płaszcz, złota korona i wysoko podniesiony kufel ze ściekającą białą pianą nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że gość ma przed sobą samego wielkiego patrona piwoszy.

Piwiarnia składała się z dwóch długich, ale niezwykle niskich, sklepionych sal. Z murów ruchliwymi strumyczkami nieustannie sączyła się podziemna wilgoć i migotała w świetle lamp gazowych, które paliły się dniem i nocą, ponieważ w piwiarni nie było wcale okien. Na sklepieniach jednak można było jeszcze dosyć wyraźnie rozpoznać ślady interesujących malowideł ściennych.

Jeden obraz przedstawiał liczną kompanię uczujących młodzieniaszków niemieckich, w zielonych strzeleckich kurtkach, w kapeluszach z cietrzewimi piórami i ze strzelbami na ramieniu. Wszyscy oni zwrócenii byli twarzami do sali piwiarni i witali publiczność wyciągniętymi kuflami, przy czym dwu obejmowało w pół dwie otyłe dziewczęta, służące z wiejskiego szynku albo może córki dobrodusznego farmera. Na drugiej ścianie była przedstawiona scena z życia wyższych sfer pierwszej połowy osiemnastego wieku: piknik; hrabiny i wicehrabiowie, w pudrowanych perukach, nienaturalnie igrający z barankami na zielonej łące, obok zaś pod rozłożystymi wierzbami nad stawem kawalerowie i damy, siedząc w jakiejś złocistej muszli, z wdziękiem karmią pływające po stawie łabędzie. Następny obraz przedstawiał wnętrze ukraińskiej chaty, a w nim rodzinę szczęśliwych Ukraińców, tańczących hopaka z kwartami w ręku. Jeszcze dalej królowała ogromna beczka, na niej zaś dwa potwornie tłuste amorki o czerwonych twarzach, pełnych wargach i bezwstydnie maślanych oczach, owinięte winną latoroślą i liśćmi chmielu, trącały się płaskimi pucharami.

W następnej sali, oddzielonej od pierwszej półokrągłym łukiem, były obrazy z życia żab: żaby piją piwo w zielonym błocie, żaby polują na ważki w gęstym sitowiu, grają kwartet smyczkowy, fechtują się itd. Ściany malował widocznie jakiś zagraniczny mistrz.

Na podłodze, grubo wysypanej trocinami, były porozstawiane zamiast stołów ciężkie, dębowe beczki; zamiast krzeseł — małe beczułki. Na prawo od wejścia wznosiła się nieduża estrada, a na niej stało pianino. Tutaj, co wieczora, od wielu lat grywał na skrzypcach dla uprzyjemnienia czasu i rozrywki gości muzyk Saszka — Żyd, potulny, wesoły, zawsze pijany, łysy człowiek, w nieokreślonym wieku i o powierzchowności oblaszłej małpy. Mijały lata, zmieniali się kelnerzy w skórzanych zarękawkach, zmieniali się dostawcy piwa i ci, którzy je rozwozili, zmieniali się nawet sami właściciele piwiarni, tylko Saszka niezmiennie, co dzień, koło szóstej wieczorem siedział już na swojej estradzie, ze skrzypcami w rękach i z małym, białym pieskiem na kolanach, a około go-

dziny pierwszej w nocy opuszczał „Gambrinusa“ w towarzystwie tegoż pieska, Bielaska, ledwie trzymając się na nogach z powodu wypitego piwa.

W „Gambrinusie“ była zresztą jeszcze jedna nie zmieniająca się osobistość, mianowicie bufetowa, *madame* Iwanowa, stara, bezkrwista, o pełnych kształtach kobieta, która od ciągłego przebywania w wilgotnym podziemiu piwiarni upodobniła się do leniwych, bladych ryb głębinowych, zamieszkujących morskie pieczary. Jak kapitan okrętu ze swego mostku, tak ona z wysokości szynkwasu dyrygowała w milczeniu usługującymi, przy czym przez cały czas paliła papierosa trzymając go w prawym kąciku ust i mrużąc od dymu prawe oko. Głos jej rzadko komu udawało się słyszeć, a na pozdrowienia odpowiadała zawsze jednokrotnie, bezbarwnym uśmiechem.

II

Ogromny port, jeden z największych portów handlowych świata, zawsze był przepełniony statkami. Zawijały do niego ciemnordzawe, gigantyczne pancerniki. Ładowano w nim przed podróżą na Daleki Wschód żółte, o grubych kominach parowce z Ochotniczej Floty, które pochłaniały codziennie długie pociągi towarów albo tysiące aresztantów. Jesienią i na wiosnę powiewały tutaj setki flag ze wszystkich krańców kuli ziemskiej i od rana do wieczora rozlegała się komenda i przekleństwa we wszystkich możliwych językach. Między statkami a niezliczonymi magazynami po chwiejnych trapach kręcili się tam i z powrotem tragarze: rosyjscy oberwańcy, obdarci, prawie nadzy, o nabrzmiałych, pijackich twarzach; Turcy w brudnych zawojach na głowie i szarawarach szerokich do kolan, a obcisłych wokół goleni; muskularni, krępi Persowie z włosami i paznokciami barwionymi henną na jaskrawoceglasty kolor. Często przybijały do portu, tak wdzięczne z daleka, dwu- i trzymasztowe włoskie szkunery o regularnych piętrach żagli — białych, czystych i prężnych jak piersi młodych kobiet. Kiedy te harmonijne w liniach okręty ukazywały się zza latarni

portowej, wyglądały — szczególnie w jasne poranki wiosenne — jak cudne białe zjawiska, płynące nie po wodzie, lecz w powietrzu, nad horyzontem. Kołysały się tutaj całymi miesiącami na brudnozielonej portowej wodzie, pośród odpadków, skorup od jaj, łupin arbuzów i stad białych mew — anatolijskie wysokie koczermy i feluki z Trapezuntu, ze swymi dziwnymi malowidłami, rzeźbami i fantastyczną ornamentyką. Tutaj także przyływały czasem jakieś osobliwe, wąskie okręty, pod czarnymi, przesycconymi smolą żaglami, z brudną szmatą zamiast flagi. Taki statek wymijał molo, o mało nie zawadziwszy o nie burtą i, nie zwalniając biegu, przechylony na bok, wpadał do którejkolwiek przystani, zatrzymywał się przy pierwszym lepszym molo, przy akompaniamencie różnojęzycznych przekleństw, pogroźek i wymysłów; tam jego marynarze — zupełnie nadzy, mali, brązowi ludzie — wydając gardłowy bełkot zwijali z niedoścignioną szybkością porwane żagle, po czym tajemniczy, brudny okręt natychmiast zamierał. I tak samo zagadkowo, ciemną nocą, nie zapalając ogni, znikał bezszelestnie z portu. W nocy cała zatoka roila się od lekkich łódek przemytników. Rybacy z okolicy i z dalszych stron zwozili do miasta ryby: na wiosnę — drobne kamsy, których miliony wypełniały po brzegi ich barki, latem — pokraczne flądry, jesienią — makrele, tłuste głowacze i ostrygi, a w zimie — dziesięcio- i dwudziestopudowe bielugi, złowione nieraz z narażeniem życia w odległości wielu wiorst od brzegu.

Wszyscy ci ludzie — marynarze różnych narodowości, rybacy, palacze, weseli chłopcy okrętowi, robotnicy, mechanicy, złodzieje portowi, przewoźnicy, tragarze, nurkowie, przemytnicy — wszyscy byli młodzi, zdrowi, przesyceni mocnym zapachem morza i ryb — znali mozół pracy, kochali urok i grozę codziennego ryzyka, cenili nade wszystko siłę i odwagę, zaczepność i ciętość mocnego słowa, a na lądzie z dzikim upojeniem oddawali się hulankom, pijaństwu i bójkom. Wieczorami światła wielkiego miasta wabiły ich jak czarodziejskie błyszczące oczy, które zawsze obiecują jakąś nową, jeszcze nie zaznaną radość — i zawsze oszukują.

Miasto łączyło się z portem wąskimi, stromymi i krętymi

uliczkami, po których przyzwoiaci ludzie starali się nie chodzić nocą. Na każdym kroku można tu było spotkać domy noclegowe o brudnych, zakratowanych oknach i z ponurym światłem samotnej lampy wewnątrz. Jeszcze częściej natrafiało się na sklepy, w których można było sprzedać z siebie całe ubranie aż do marynarskiej koszulki siatkowej włącznie i ubrać się na nowo w jakiś morski strój. Było tu także wiele piwiarni, knajp, restauracyj z jaskrawymi szyldami we wszystkich językach i dużo jawnych i potajemnych domów publicznych, gdzie po nocach stały w progu ordynarnie wymalowane kobiety i ochrypłymi głosami zapraszały marynarzy. Były greckie kawiarnie, gdzie grywano w domino i w sześćdziesiąt sześć, i kawiarnie tureckie z przybarami do palenia nargilów i z noclegiem za piąta; były wschodnie knajpy, w których sprzedawano ślimaki, „petalidi“, krewetki, „midi“, duże, pokryte brodawkami sepie i inne morskie paskudztwa. Gdzieś na strychach i w piwnicach, za okiennicami zamkniętymi naглуcho, gnieździły się jaskinie gry, w których sztos i bakarat często kończyły się rozprutym brzuchem albo rozbitą czaszką, a zaraz obok, za węglem, albo nawet w sąsiedniej komórce, można było przehandlować każdą ukradzioną rzecz — od brylantowej bransoletki do srebrnej odznaki i od tobołu z lioniskim aksamitem do munduru marynarskiego.

Te wąskie, strome uliczki, czarne od pyłu węglowego, z nadzieścią nocy stawały się zawsze lepkie i cuchnące, jak gdyby się pociły w koszmarnym śnie. Były podobne do kanałów ściekowych albo do plugawych kiszek, przez które wielkie międzynarodowe miasto wydalało do morza wszystkie swoje odchody, całą swoją zgniliznę, ohydę i występki, zarażając nimi silne, muskularne ciała i proste dusze.

Tutejsi awanturniczy mieszkańcy rzadko chodzili na górę do wytwornego, zawsze odświeżonego miasta z lustrzanymi szybami, wyniosłymi pomnikami, ze światłem elektrycznym, asfaltowymi trotuarami, alejami białych akacji, majestatycznymi policjantami, z całą jego czystością i komfortem na pokaz. Każdy z nich jednak, zanim puścił z wiatrem swoje zapracowane, wytłuszczone, podarte i spęczniałe ruble, musiał obowiązkowo od-

wiedzieć „Gambrinusa“. Taki już był stary, uświęcony zwyczaj, chociaż w tym celu trzeba było pod osłoną wieczoru przekradać się do samego centrum miasta.

Wielu co prawda wcale nie znało zawilego imienia „piwnego“ króla. Po prostu ktoś proponował:

— Idziemy do Saszki?

— Dobra! Kurs na Saszkę!

I wszyscy już chórem wołali:

— Ciąg!

Nie w tym nie było dziwnego, że w portowym środowisku i ludzi morza Saszka cieszył się większą popularnością niż na przykład miejscowy archijerej albo gubernator. I z pewnością, jeżeli już nie jego imię, to przynajmniej żywa, mała twarz i skrzypce czasem wspominano w Sydney i w Plymouth jak również w New Yorku, Władywostoku, Konstantynopolu i na Ceylonie, nie mówiąc już o wszystkich zatokach i zatoczkach Morza Czarnego, gdzie pośród odważnych rybaków było mnóstwo wielbicieli jego talentu.

III

Saszka przychodził zwykle do „Gambrinusa“ o tej porze, kiedy jeszcze nie było tam nikogo, oprócz jednego, dwóch przypadkowych gości. W salach unosił się wtedy gęsty kwaśny zapach piwa, z poprzedniego dnia, i było ciemnawo, ponieważ w dzień oszczędzało się gazu. W upalne, lipcowe dni, kiedy murowane miasto omdlewało od słońca i głuchło od ulicznego hałasu, tutaj panował chłód i przyjemna cisza.

Saszka podchodził do lady, witał się z *madame* Iwanową i wypijał swój pierwszy kufel piwa. Czasem bufetowa prosiła:

— Niech pan co zagra, Saszka!

— Co pani każe zagrać, *madame* Iwanowa? — informował się grzecznie Saszka, który zawsze w stosunku do niej był wyszukanie uprzejmy.

— Coś swojego...

Siadał na swoim zwykłym miejscu, na lewo od pianina, i grał jakieś dziwne, smętne, przeciągłe melodie. W podziemiu robiło się sennie i cicho, tylko z ulicy dochodził głuchy szum miasta i czasem w kuchni za ścianą kelnerzy ostrożnie pobrzękiwali naczyniami. W strunach skrzypiec Saszki lkała stara jak świat żydowska skarga, cała utkana i spowita w smutne kwiaty narodowych melodii. Twarz Saszki, z wyprężonym podbródkiem i nisko opuszczonym czołem, z oczami surowo spoglądającymi spod nawisłych brwi, była w tę godzinę zmierzchu zupełnie niepodobna do znanej wszystkim gościom „Gambrinusa“, roześmianej, mrugającej, ruchliwej twarzy Saszki. Piesek Bielasek siedział mu na kolanach; już dawno odzwyczaił się od wycia w czasie muzyki, ale namiętno-żałosne, lkające i urzekające dźwięki mimo woli wprawiały go w podniecenie: spazmatycznie ziewał, otwierając szeroko szczęki i zwijając do tyłu cienki, różowy języczek, a całym jego drobnym ciałkiem i czarnooką mordką wstrząsały przelotne drgawki.

Powoli zaczynała się schodzić publiczność. Przychodził akompaniator po skończeniu jakiejś ubocznej dziennej pracy u krawca czy u zegarmistrza; na bufecie wystawiano parówki w gorącej wodzie i kanapki z serem, wreszcie zapalano wszystkie pozostałe lampy gazowe. Saszka wypijał swój drugi kufel i rzucił koledze komendę: »Majową Paradę«, ejn, cwejn, drej!“ — i rozpoczął się burzliwy marsz. Od tej chwili ledwie mógł nadążyć, żeby wymienić ukłony ze wszystkimi nowoprzybywającymi, z których każdy uważał się za szczególnie dobrego znajomego Saszki i po jego ukłonie z góry spoglądał na innych gości. Jednocześnie Saszka mrużył to jedno, to drugie oko, podnosił do góry długie zmarszczki na łysym, spadzistym czerepie, poruszał komicznie ustami i uśmiechał się na wszystkie strony.

Okolo godziny dziesiątej, jedenastej, „Gambrinus“, który mógł w swoich salach pomieścić do dwustu i więcej osób, był już zupełnie nabit. Wielu — prawie połowa — przychodziło z kobietami w chustkach. Nikt się tu nie obrażał z powodu ścisku, nadeptnięcia na nogę, zmięcia czapki czy też cudzego piwa na swoich spodniach; jeżeli się obrażano, to tylko po pijanemu, dla za-

czepki. Piwniczna wilgoć, mętnie połyskując, jeszcze obficie spływała ze ścian pokrytych olejną farbą, a wyziewy tłumu skraplały się u sufitu spadając w postaci rzadkiego, ciężkiego i ciepłego deszczu. W „Gambrinusie“ pilo się nie na żarty. Zgodnie z obyczajami tego lokalu za szczególny szyk uważano, jeżeli dwóch albo trzech siedzących przy stole zastawiło go pustymi butelkami tak, żeby spoza nich nie było widać wspóltowarzysza, jak gdyby w zielonym, szklanym lesie.

W gorączkowej atmosferze wieczoru goście czerwienieli, chrypli i stawali się mokrzy. Dym tytoniowy gryzł w oczy. Trzeba było krzyżeć i nachylać się przez stół, żeby w ogólnej wrzawie jeden drugiego mógł usłyszeć. I tylko niestrudzone skrzypce Saszki, który siedział na swoim podwyższeniu, triumfowały nad gorącem, zaduchem, zapachem tytoniu, gazu, piwa i nad wrzaskami beceremonialnej publiczności.

Goście szybko upijali się piwem, bliskością kobiet i upalnym powietrzem. Każdy domagał się swoich ulubionych piosenek, które znał. Koło Saszki tkwiło ciągle po dwóch, trzech mężczyzn o tępym spojrzeniu i niepewnych ruchach; ciągnęli go za rękaw i przeszkadzali grać.

— Sasz!... Tę s-s-mutną... Zrób mi dobro... — proszącemu przerywała czkawka — dobro-e-e-estwo!

— W tej chwili, w tej chwili — powtarzał Saszka, szybko kiwając głową, i ze zręcznością lekarza prędko i bezdźwięcznie wrzucał do bocznej kieszeni srebrną monetę. — W tej chwili, w tej chwili.

— Saszka, to przecież podłość! Dałem pieniądze i już dwadzieścia razy proszę: „Płynęłam morzem do Odessy“.

— W tej chwili, w tej chwili...

— Saszka, „Słowika“!

— Saszka, „Marusię“!

— „Zec-Zec“ — Saszka — „Zec-Zec“!

— „Cza-ba-na“! — darł się z drugiego końca sali jakiś nie ludzki, ale koński głos.

I Saszka wśród ogólnego śmiechu odpowiadał mu piejąc jak kogut:

— W tej chwi-li-i-i...

Grał bez wytchnienia wszystkie zamówione piosenki. Widocznie nie było ani jednej, której by nie umiał na pamięć. Ze wszystkich stron sypały mu się do kieszeni srebrne monety i ze wszystkich stron przysyłano mu kufle z piwem. Kiedy schodził ze swojej estrady, żeby podejść do bufetu, wyrwali go sobie.

— Saszeńka... kochany... jeden kufeczek...

— Saszka, twoje zdrowie! No, chodźże do jasnej i nagłej choroby, jak się do ciebie mówi!

— Saszka-a-a, chodź na pi-i-wo! — wrzeszczał koński głos.

Kobiety, jak wszystkie kobiety, gotowe zachwycać się ludźmi estrady, kokietować ich, starać się zwrócić na siebie uwagę — wołały gruchającym głosem, z kapryśnym, zalotnym śmieszkami:

— Saszeńka, pan musi koniecznie ode mnie wypić... Ale kiedy ja proszę... I potem niech pan zagra „Kukuwok“!

Saszka uśmiechał się, stroił miny, kłaniał się na prawo i lewo, przykładając rękę do serca, posyłał w powietrzu pocałunki, pił piwo przy wszystkich stołach, potem wracał do pianina, na którym czekał go nowy kufel, i zaczynał grać jakąś znaną piosenkę. Czasami, żeby zabawić słuchaczy, kazał swoim skrzypcom stosownie do motywu skomleć jak szczenię, kwiczeć jak świnia albo chrypieć rozdzierającymi basowymi dźwiękami. I słuchacze przyjmowali te żarty z dobroduszną aprobatą:

— Ho-ho-ho-ho-o-o!

Robiło się coraz goręcej. Z sufitu lało się, niektórzy goście już płakali i bili się w piersi, inni, z oczami nabiegłymi krwią, kłócili się o kobiety albo jakieś dawniejsze urazy i rzucali się na siebie, powstrzymywani przez bardziej trzeźwych sąsiadów, najczęściej jakichś pochlebców. Kelnerzy cudem przeciskali się pomiędzy beczkami, beczułkami, nogami i ciałami, trzymając wysoko ponad głowami siedzących ręce oblepione kuflami z piwem. *Madame Iwanowa*, jeszcze bardziej niż zwykle milcząca, bezkrwista i niewzruszona, dyrygowała zza lady czynnościami służby, jak kapitan okrętu w czasie burzy.

Wszystkich ogarniała ochota do śpiewu. Saszka rozmarzony

piwem, własną dobrocią i tą prymitywną radością, którą dawała innym jego muzyka, gotów był grać wszystko. Przy wtórze jego skrzypiec zachrypli ludzie ryczeli drewnianymi, nieskładnymi głosami, tym samym tonem, patrząc jeden drugiemu z bezmyślną powagą w oczy:

*Więc po co się rozstawać,
Ach, po co w rozłące żyć?
Nie lepiej się-ę połączyć
I małżonkami być?*

A obok drugie towarzystwo, starając się przekrzyknąć pierwsze, najwidoczniej wrogie, krzyczało już zupełnie bezładnie:

*Już migają pstre portasy,
Już się kręci, już tu jest!
On ma włosy à la szatyn
I na girach buty fest.*

„Gambrinusa“ odwiedzali często Grecy z Małej Azji, „dongolaki“, którzy zawijali do rosyjskich portów na połów ryb. Oni również zamawiali u Saszki swoje wschodnie pieśni, które polegały na jednostajnym, nosowym, tęsknym zawodzeniu na dwóch albo trzech nutach, i mogli je całymi godzinami śpiewać z posępnymi twarzami i płonącymi oczyma. Saszka grał także włoskie ludowe kuplety i ukraińskie dumki, i żydowskie tańce weselne, i dużo innych utworów. Raz zaszła do „Gambrinusa“ grupka marynarzy Murzynów, którzy patrząc na innych także zapragnęli śpiewać. Saszka szybko uchwycił ze słuchu skoczną melodię murzyńską, zaraz dobrał do niej akompaniament na pianinie i ku wielkiemu zachwytowi i uciesze bywalców „Gambrinusa“ piwiarnia rozbrzmiała dziwnymi, kapryśnymi dźwiękami afrykańskiej piosenki.

Pewien reporter miejscowej gazety, znajomy Saszki, namówił profesora szkoły muzycznej, żeby poszedł do „Gambrinusa“ posłuchać tamtejszego znakomitego skrzypka. Ale Saszka zwałchał

pismo nosem i naumyślnie kazał swoim skrzypcom więcej niż kiedykolwiek miauczeć, beczeć i ryczeć. Goście „Gambrinusa“ pękali ze śmiechu, a profesor powiedział z pogardą:

— Błażeństwa.

I wyszedł zostawiając nie dopity kufel.

IV

Nieraz subtelne markizy i niemieccy strzelcy przy uczcie, tłuste amorki i żaby bywały na swoich ścianach świadkami takiego roz hulania, jakie rzadko gdzie można było widzieć.

Przychodziła na przykład rozochocona kompania złodziei po udanej wyprawie, każdy ze swoją damą serca, każdy w czapce przekrzywionej z fasonem na bakier, w lakierkach, z wykwintnymi manierami szynkowymi, z niedbałą miną. Saszka grał dla nich specjalne złodziejskie piosenki: „Zgubiony ja chłopak“, „Nie płacz, Marusiu“, „Minęła wiosna“ i inne. Taniec uważali za coś, co było poniżej ich godności, ale ich przyjaciółki, wszystkie przystojne, młodziutkie, niektóre prawie jeszcze dziewczątka, tańczyły „Czabana“ z piskiem i przytupywaniem obcasami. I kobiety, i mężczyźni pili bardzo dużo — wszystko to miało tylko tę złą stronę, że złodzieje zawsze kończyli swoją hulankę starymi porachunkami o pieniądze i lubili zniknąć nie zapłaciwszy rachunku.

Dużymi gromadami, po trzydziestu ludzi, przychodzili rybacy po udanym połowie. Późną jesienią zdarzały się takie szczęśliwe tygodnie, kiedy do każdej zatoki wpadało codziennie po czterdzieści tysięcy skumbrii albo głowaczy. W takim okresie każdy, kto miał choćby najmniejszy udział, zarabiał ponad dwieście rubli. Jeszcze bardziej wzbogacał rybaków pomyślny połów białugi w zimie, z którym jednak związane były wielkie trudności. Trzeba było ciężko pracować w odległości trzydziestu, czterdziestu wiorst od brzegu, nocą, często w niepomyślną niepogodę, kiedy woda zalewała barkę i natychmiast zamarzała na ubraniu i na wiosłach, pogoda zaś taka zatrzymywała na morzu po dwie i trzy

doby, aż w końcu wyrzucała gdzieś o dwieście wiorst dalej, w jakimś Anapie albo Trapezuncie. Każdej zimy ginęło bez wieści do dziesięciu łodzi i dopiero na wiosnę fale wyrzucały to tu, to tam, na obcym brzegu, trupy odważnych rybaków.

Za to, kiedy wracali z morza szczęśliwie i pomyślnie, ogarniała ich na lądzie szalona żądza życia. W ciągu dwóch, trzech dni puszczali kilka tysięcy rubli na najordynarniejszą, ogłuszającą, pijacką hulankę. Rybacy szli do knajpy albo jeszcze do jakiegoś innego wesołego lokalu, wyrzucali wszystkich gości, zamykali na glucho drzwi i okiennice i caluteńką dobę pili, oddawali się miłości, ryczeli pieśni, tłukli lustra, naczynia, kobiety, czasem siebie nawzajem, aż w końcu morzył ich sen gdzie popadło — na stołach, na podłodze, w poprzek łóżek, pośród niedopalków, płwociny, potłuczonego szkła, rozlanego wina i krwawych plam. Tak hulali rybacy przez kilka dni z rzędu, czasem zmieniając miejsce zabawy — czasem pozostając w tym samym. Gdy przehulali wszystko do ostatniego grosza, z szumem w głowie, ze śladami bijatyk na twarzy, trzęsący się od przepicia, milczący, zgnębieni i pełni skruchy — wracali nad brzeg do łodzi, aby znowu zabrać się do swego umiłowanego i przekłętego, trudnego i pociągającego rzemiosła.

Nigdy nie zapominali odwiedzić „Gambrinusa.“ Wdzierali się tam — ogromni, zachrypnięci, o czerwonych twarzach, spalonych ostrym, zimowym nord-ostem, w nieprzemakalnych kurtkach, skórzanych spodniach i butach z wołowej skóry aż po biodra, takich samych butach, w jakich, w burzliwą noc, ich towarzysze szli na dno jak kamienie.

Przez szacunek dla Saszki nie wyrzucali obcych, chociaż uważali się za gospodarzy piwiarni, i tłukli ciężkie kufle o podłogę. Saszka grywał im ich rybackie pieśni, przeciągle, proste i surowe jak szum morza, a oni śpiewali wszyscy jednym głosem, nateżając do ostatnich granic swoje zdrowe piersi i zahartowane gardła. Saszka działał na nich jak Orfeusz uciszający fale i zdarzało się, że jakiś czterdziestoletni „ataman“ barki, brodaty, ogorzały od wiatru, podobny do zwierza chłop, zalewał się łzami wyciągając cienkim głosem żalosne słowa piosenki:

*Ach, biedny, biedny ja chłopaczek,
Zem na rybaka rodził się...*

Czasami tańczyli przebijając nogami w miejscu, z kamiennym wyrazem twarzy, łomocząc swymi pudowymi butami i rozprzestrzeniając na całą piwiarnię słony, ostry zapach ryb, którym na wskroś przesycone były ich ciała i ubrania. Dla Saszki byli bardzo hojni i długo nie puszczali go od swoich stołów. Znał on dobrze obraz ich ciężkiego, beznadziejnego życia. Często, kiedy grał dla nich, czuł wewnątrz w sercu jakiś smutek połączony z szacunkiem.

Specjalnie jednak lubił grać dla angielskich marynarzy ze statków handlowych. Przychodzili gromadą, trzymając się za ręce — wszyscy jakby ich kto podobiał: młodzi, o wypukłych klatkach piersiowych, szerokich plecach, białych zębach, zdrowym rumieńcu i wesołych, śmiałych niebieskich oczach. Mocne mięśnie rozpięły im kurtki, a z głęboko wykrojonych kołnierzy wystawały proste, silne, smukłe szyje. Niektórzy znali Saszkę z poprzednich postojów w tym porcie.

Poznawali go i, szczerząc zęby na powitanie, pozdrawiali po rosyjsku:

— Zdrajst, zdrajst!

Krępy bosman, z koleczykiem w uchu i z brodą wyrastającą przy szyi niby frędzla, podchodził do Saszki z dwoma kuflami piwa, klepał go przyjaźnie po plecach i prosił, żeby zagrał dżigę. Na pierwsze dźwięki tego pełnego fantazji tańca marynarzy Anglicy zrywali się i robili miejsce, odsuwając beczulki pod ścianę. Innych gości prosili o to na migi, z wesołym uśmiechem, ale jeżeli ktoś się ociągał, to nie robili sobie z nim ceregieli, tylko po prostu celnym kopnięciem wybijali spod niego beczulkę. Rzadko jednak musieli uciekać się do tego, ponieważ wszyscy w „Gambrinusie“ byli miłośnikami tańca, a szczególnie lubili angielską dżigę. Nawet sam Saszka nie przerywając gry wchodził na krzesło, żeby lepiej widzieć.

Marynarze, utworzywszy koło, w takt szybkiego tańca klaskali w dłonie, dwóch zaś wychodziło na środek. Taniec miał przedsta-

wiać życie marynarza na morzu. Okręt jest gotowy do drogi, pogoda cudowna, wszystko w najlepszym porządku — ręce tancerzy są skrzyżowane na piersiach, głowy odrzucone w tył, całe ciało spokojne, chociaż nogi wybijają wściekle tempo. — Ale oto podniósł się wiaterek, zaczyna się nieznaczne kołysanie; dla żeglarza to prawdziwa radość, ale figury tańca stają się coraz bardziej zawile i skomplikowane. — Powiał chłodnawy wiatr; nie jest już tak łatwo chodzić po pokładzie — tancerze lekko zataczają się z boku na bok. — W końcu nadchodzi prawdziwa burza; marynarzy rzuca od burty do burty, sprawa zaczyna wyglądać poważnie. „Wszyscy na maszty, zwiąć żagle!“ — Z ruchów tancerzy można poznać wszystko, do najdrobniejszych szczegółów — jak wspinają się rękami i nogami na wanty, jak ściągają żagle, utwierdzają szkoty, podczas gdy burza coraz silniej kołysze okrętem. — „Stój! Człowiek za burtą!“ Spuszczają szalupę — tancerze, z opuszczonymi głowami i wyprężonymi silnymi, nagimi karkami, wioślują częstymi pociągnięciami to zginając plecy, to prostując je. Burza jednak mija; kołysanie powoli uspokaja się, niebo się przejaśnia i oto okręt już znowu sunie gładko z pomyślnym wiatrem — i znowu tancerze, z nieruchomym korpusem i skrzyżowanymi rękami, wykonują nogami wesołą, szybką dżigę.

Czasami wypadło Sasze grać lezginkę dla Gruzinów, którzy w pobliżu miasta zajmowali się wyrobem win. Nie było tańca, którego by nie znał. Podczas kiedy jeden z tancerzy, w papasze i czerkiesce, lekko krążył pomiędzy beczułkami, zarzucając sobie za głowę to jedną, to drugą rękę, a jego towarzysze klaskali do taktu i pokrzykiwali, Sasza także nie mógł się powstrzymać, by razem z nimi nie krzyknąć w zapale: „Has! has! has! has!“ Trafiało mu się także grywać moldawskiego dzoka i włoską tarantelę, i walce dla niemieckich marynarzy.

Zdarzało się, że w „Gambrinusie“ pobili się, i to zdrowo. Starzy bywalcy lubili opowiadać o legendarnej bitwie pomiędzy rosyjską załogą wojenną, przeniesioną do rezerwy z jakiegoś krążownika, a angielskimi marynarzami. Bili się na pięści, na kastety, na kufle, a nawet rzucali w siebie beczułkami, służącymi do siedzenia. Ku zawstydzeniu rosyjskich żołnierzy trzeba przyznać, że to oni

pierwsi rozpoczęli awanturę, pierwsi puścili w ruch noże i wypchnęli Anglików dopiero po półgodzinnej walce, mimo że licznie przewyższali ich trzykrotnie.

Bardzo często interwencja Saszki łagodziła kłótnię, która była już na krok od rozlewu krwi. Podchodził, żartował, uśmiechał się, stroił miny i zaraz ze wszystkich stron wyciągały się do niego szklanki:

— Saszka, kufeleczonek!... Saszka, ze mną! Pieska niebieska, jasne pioruny!

Może na ich proste, dzikie natury miała wpływ ta łagodna i śmieszna dobroć radośnie promieniująca z jego oczu ukrytych pod spadzistym czołem? Może swoisty szacunek dla talentu i coś w rodzaju wdzięczności? A może i ta okoliczność, że większość stałych gości „Gambrinusa“ składała się z wiecznych dłużników Saszki? W ciężkich chwilach „dekochtu“, co w żargonie portowym oznaczało zupełny brak gotówki, stale, nie krępując się, zwracano się do Saszki o drobne sumy albo też o niewielki kredyt w bufecie.

Oczywiście nie oddawano mu długów — nie ze złej woli, tylko przez zapomnienie — ale ci sami dłużnicy w czasie hulanki zwracali pożyczki dziesięciokrotnie za pieśni Saszki.

Bufetowa robiła mu czasem wyrzuty:

— Dziwię się, Saszka, że też panu nie żal swoich pieniędzy?

Odpowiadał z przekonaniem:

— Ależ, *madame* Iwanowa! Przecież do grobu ich ze sobą nie wezmę! Dla mnie i dla Bielaska i tak wystarczy. Bieluńcio, pieczonek mój, chodź tutaj!

V

W „Gambrinusi“ pojawiały się także własne, sezonowe, modne piosenki. W czasie wojny angielsko-burskiej osiągnął szczyt powodzenia „Marsz burski“ (zdaje się, że w tym właśnie okresie odbyła się owa słynna bójka pomiędzy angielskimi i rosyjskimi marynarzami). Saszkę zmuszano co najmniej dwadzieścia razy

w ciągu wieczora, żeby grał ten bohaterski utwór, a po wysłuchaniu go niezmiennie machano czapkami, krzyczano „ura!“, a na obojętnych patrzano krzywym okiem, co w „Gambrinusię“ nie zawsze wróżyło coś dobrego.

Potem przyszły uroczystości francusko-rosyjskie. Naczelnik miasta z kwaśną miną pozwolił grać „Marsyliankę“. Zamawiano ją również codziennie, ale już nie tak często jak burski marsz, przy czym „ura!“ krzyczeli rzadziej, a czapkami zupełnie nie machali. Wynikało to z tego, że — po pierwsze — nie było motywów działających na uczucie, po drugie — goście „Gambrinusa“ nie dość dobrze zdawali sobie sprawę z politycznej wagi sojuszu, a po trzecie — zauważono, że co wieczór te same osoby zamawiają „Marsyliankę“ i krzyczą „ura!“.

Na krótki czas wszedł w modę motyw z *cake-walk*'u, i to nawet jakiś przypadkowo zabłąkany, rozdokazywany kupczyk, nie zdejmując futra podbitego szopami, lisiej czapki i wysokich kaloszy, zatańczył go raz pomiędzy beczkami. Wkrótce jednak ten murzyński taniec poszedł w zapomnienie.

Lecz oto rozpoczęła się wielka wojna japońska. Goście „Gambrinusa“ zaczęli żyć przyspieszonym życiem. Na beczułkach pojawiały się gazety, wieczorami toczyły się dyskusje na temat wojny. Najspokojniejsi i najbardziej prości ludzie zamienili się w polityków i strategów, ale każdy z nich w głębi serca drżał, jeżeli nie o siebie, to o brata albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, o bliskiego kolegę; w tych dniach wyraźnie ujawniła się ta niedostrzegalna a mocna więź, która łączy ludzi długo dzielących ze sobą trud, niebezpieczeństwo i codzienną bliskość śmierci.

Z początku nikt nie wątpił o naszym zwycięstwie. Saszka wytrzymał skądś „Kuropatkin-marsz“ i przez dwadzieścia wieczorów z rzędu grał go z pewnym powodzeniem. Ale pewnego wieczoru „Kuropatkin-marsz“ został ostatecznie wyparty przez piosenkę, którą przywieźli ze sobą bałakławscy rybacy, „solone Greki“ albo „pindosy“, jak ich tu nazywano:

*Posyłają nas bić się na Wschodzie,
Za co taki spotyka nas los?*

*Cośmy winni, żeśmy urosli
Trochę więcej ponad zwykły wzrost?*

Od tej pory w „Gambrinusie“ nie chciano niczego innego słuchać. Po całych wieczorach słychać było tylko:

— Saszka! Tę smutną! Balakławską! Rezerwistów!

Śpiewali i płakali, i pili dwa razy więcej niż zwykle, jak zresztą pila wówczas cała bez wyjątku Rosja. Co wieczora przychodził się ktoś żegnać; chodził jak kogut, ciskał czapkę o ziemię, odgrażał się, że sam pobije wszystkich Japończyków, a kończył na łzach przy żalosnej piosence.

Pewnego razu Saszka zjawił się w piwiarni wcześniej niż zwykle. Bufetowa nałała mu pierwszy kufel i powiedziała według zwyczaju:

— Saszka, niech pan zagra coś swojego...

Jemu nagle wykrzywiły się wargi i zadygotał kufel w ręku.

— Wie pani co, *madame* Iwanowa — powiedział jakby z niedowierzaniem — przecież mnie do wojska biorą... Na wojnę.

Madame Iwanowa klasnęła w ręce:

— Niemożliwe, Sasza! Pan chyba żartuje?

— Nie — smutno i pokornie pokręcił głową Saszka — nie żartuję.

— Ale pan przecież wiek przekroczył, Sasza! Ileż pan ma lat?

Tym zagadnieniem jakoś nikt się do tej pory nie interesował. Wszyscy myśleli, że Saszka ma tyle samo lat, co ściany piwiarni, markizy, Ukraińcy, żaby i sam kolorowy król Gambrinus pilnujący wejścia.

— Czterdzieści sześć — Sasza zastanowił się. — A może i czterdzieści dziewięć. Jestem sierota — dorzucił smutno.

— Więc niechże pan pójdzie i wytłumaczy komu należy!

— Już chodziłem, *madame* Iwanowa, już tłumaczyłem!

— No i co?

— A — odpowiedzieli mi — Żydzie parszywy, żydowska mordo, pogadaj tu jeszcze trochę, to pójdziesz do kryminału! I dali mi, o, tutaj.

Wieczorem nowina stała się głośna w całym „Gambrinusie“; ze współczucia upili Saszkę na umór.

Próbował stroić miny, wykrzywiać się, przymrużać powieki, ale z jego śmiesznych, łagodnych oczu wyzierał żal i przestrasz.

Pewien krzepki robotnik, z zawodu kotlarz, zaofiarował się nagle, że pójdzie na wojnę zamiast Saszki. Wszyscy widzieli oczywistą bezsensowność takiej propozycji, ale Saszka rozczulił się do łez, objął majstra kotlarskiego i z miejsca podarował mu swoje skrzypce.

A Bielaska zostawił bufetowej.

— *Madame Iwanowa*, niechże pani pilnuje pieska. Może nie wróce, to będzie pani miała pamiątkę po Sasce. Bieluńcio, moja psino! Niech pani patrzy, oblizuje się! Ach, ty mój biedaku... I jeszcze mam do pani prośbę, *madame Iwanowa*. Zostały mi u gospodarza pieniądze, niech je pani podejmie i wyśle. Ja pani napiszę adres. W Homlu mam przyrodniego brata z rodziną i jeszcze w Żmierzynie mieszka wdowa po siostrzeńcu. Ja im co miesiąc... Cóż, my Żydzi już jesteśmy taki naród... kochamy rodzinę. A ja jestem sierota, samotny. To do widzenia, *madame Iwanowa*.

— Do widzenia, Sasza! Cóż, pocałujmy się przynajmniej na pożegnanie! Tyle lat... I — niech się pan nie gniewa — ja pana na drogę przeżegnam.

Oczy Saszy były do głębi smutne, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie pobrażnować na ostatek.

— *Madame Iwanowa*, a czy ja przypadkiem nie zdechnę od ruskiego krzyża?

VI

„Gambrinus“ umilkł i opustoszał, jak gdyby zupełnie osierocił bez Saszki i jego skrzypiec. Gospodarz próbował zaangażować na przynętę kwartet wędrownych mandolinistów, z których jeden, przebrany za operetkowego Anglika, z rudymi bokobrodami i przyklejonym nosem, w spodniach w kratkę

i w kołnierzyku powyżej uszu — wykonywał na estradzie komiczne kuplety i bezwstydné ruchy. Ale kwartet nie miał absolutnie żadnego powodzenia, przeciwnie, wygwizdywano mandolinistów, rzucano w nich ogryzkami parówek, a głównego komika tendrowscy rybacy wygrzmocili raz za lekceważące odezwanie się o Saszcze.

Jednakże starym obyczajem „Gambrinusa“ odwiedzały nadal morskie i portowe zuchy, których wojna nie powlokła na śmierć i cierpienia. Z początku co wieczora wspominali Saszkę.

— Ech, żeby tak Saszka teraz był! Tęskno sercu bez niego...

— T-a-ak... Gdzie ty teraz bujasz, miły, kochany przyjacielu, Saszeńka?

— *W polach Mandżu-urii, daleko...* — zawodził ktoś nową przebojową piosenkę, urywał, zmieszany, a inny niespodziewanie oznajmiał:

— Rany bywają postrzałowe, klute i cięte. I bywają jeszcze szarpane...

*Wracamy razem z tej wojenki,
Ja pełen sławy — ty bez ręki...*

— Czekaj, przestań wyć... *Madame Iwanowa*, nie było od Saszki jakich wiadomości? Listu albo pocztówki?

Madame Iwanowa całymi wieczorami czytała teraz gazetę, trzymając ją od siebie na odległość wyciągniętej ręki, przekrzywając głowę i poruszając wargami. Bielasek leżał u niej na kolanach i spokojnie pochrapywał. Bufetowa już nie przypominała dziarskiego kapitana na stanowisku, a jej komenda, ospała i apatyczna, błakała się po piwiarni.

Na zapytanie o los Saszki kręciła powoli głową:

— Nic nie wiem... I listów nie ma, i z gazet nic się nie można dowiedzieć.

Potem zdejmowała powoli okulary, kładła je razem z gazetą obok ciepłego, rozgrzanego Bielaska i, odwróciwszy się, cicho pochlipywała.

Czasami pochylała się nad pieskiem i mówiła żalonym, chwytającym za serce głosem:

— Co, Bielaszek? Co, psinko? Gdzie nasz pan? Gdzie nasz Sasza, co?

Bielasek unosił w górę delikatną mordkę, mrugał czarnymi, wilgotnymi oczami i zaczynał cichutko wyć do wtóru bufetowej:

— A-u-u-u... Au-u... A-u-u...

Ale... czas wszystko wygładza i zaciera. Mandolinistów zastąpili bałajkarze, bałajkarzy — rosyjsko-ukraiński chór z panami, i wkrótce trwalej od innych osiadł w „Gambrinusie“ pewien Ljoszka, harmonista, z zawodu złodziej, który na skutek ożenku postanowił wejść na uczciwą drogę. Znano go już od dawna w różnych szynkach i dlatego znoszono go i tutaj, zresztą trzeba było znosić: interesy w „Gambrinusie“ szły bardzo kiepsko.

Mijały miesiące, minął rok. O Saszcze nikt teraz nie wspominał oprócz *madame* Iwanowej, ale i ona już nie płakała na dźwięk jego imienia. Minął jeszcze jeden rok. Prawdopodobnie nawet i biały piesek zapomniał o Saszcze.

Jednakże na przekór swoim wątpliwościom Saszka nie tylko nie „zdechł“ od ruskiego krzyża, ale nawet ani razu nie był ranny, chociaż brał udział w trzech wielkich bitwach i raz szedł do ataku na czele batalionu, w składzie orkiestry, do której go zaliczono jako flecistę. Pod Wafangou dostał się do niewoli i, kiedy się wojna skończyła, został przewieziony na niemieckim statku właśnie do tego portu, w którym pracowali i awanturowali się jego przyjaciele.

Wieść o jego przybyciu rozeszła się po wszystkich przystaniach, molach i warsztatach, jak prąd elektryczny. Wieczorem w „Gambrinusie“ było tak dużo ludzi, że większość musiała stać, kufle z piwem podawano z rąk do rąk, ponad głowami, i chociaż wielu tego dnia wyszło nie zapłaciwszy, „Gambrinus“ utargował jak nigdy. Majster kotlarski przyniósł skrzypce Saszki, pieczolowicie zwinęte w żoniną chustkę, którą zaraz przepił. Skądś tam wyciągnęli ostatniego z czasów Saszki akompaniatora. Ljoszka-harmonista, człowiek próżny i zarozumiały, uniósł się ambicją: „Ja dostaję dniówkę i ja mam kontrakt!“ — powtarzał z uporem. Ale po prostu wyrzucili go za drzwi i na pewno by go pobili, gdyby nie Saszki wstawiennictwo.

Z pewnością żadnemu bohaterowi narodowemu z okresu wojny japońskiej nie zgotowano tak serdecznego i burzliwego przyjęcia jak Saszce. Mocne, szorstkie ręce chwytaly go, podnosiły do góry i podrzucały w powietrze z taką siłą, że Saszka o mało nie rozbił się o sufit. I krzyczeli tak ogłuszająco, że aż gazowe płomyki gasły, a policjant kilka razy zaglądał do piwiarni i prosił, „żeby ciszej, bo na ulicy bardzo słyhać“.

Tego wieczoru Saszka przegrał wszystkie ulubione tańce i pieśni „Gambrinusa“. Grał także i japońskie piosneczki, których się wyuczył w niewoli, ale nie spodobały się słuchaczom. *Madame Iwanowa* po prostu ożyła i znowu rażno trzymała się nad swoim kapitańskim mostkiem, a *Bielasek* siedział u Saszki na kolanach i skowyczał z radości. Zdarzało się, że kiedy Saszka przestawał grać, jakiś prostoduszny rybak, który dopiero teraz uświadomił sobie cud powrotu Saszki, nagle wykrzykiwał w radosnym i naiwnym zdumieniu:

— Chłopaki, to przecież Saszka!

Ryk niskich głosów i żartobliwe grubiaństwa napelniały sale „Gambrinusa“ i znowu łapali Saszkę i podrzucaли pod sufit, pili, wrzeszczeli, tręcali się kuflami i oblewali nawzajem piwem.

Zdawało się, że Saszka wcale się nie zmienił i nie postarzał przez czas swojej nieobecności. Czas i niedole taki sam miały wpływ na jego wygląd zewnętrzny jak i na rzeźbionego Gambrinusa, opiekuna i protektora piwiarni. Tylko *madame Iwanowa* z czujnością życzliwej kobiety dostrzegła, że z oczu Saszki nie tylko nie ustąpił wyraz przestachu i troski, jaki dostrzegła w nich przy pożegnaniu, ale się jeszcze pogłębił i wzmógł. Saszka, jak dawniej, mrugał, marszczył czoło, błaznował, ale *madame Iwanowa* czuła, że udaje.

VII

Wszystko poszło swoim trybem, jak gdyby w ogóle nie było ani wojny, ani Saszki niewoli w Nagasaki. Rybacy w butach olbrzymach tak samo jak przedtem obchodzili uroczyscie szczęśliwy półow, tak samo jak przedtem tańczyły złodziejskie przyja-

ciółki, i Saszka jak dawniej grał marynarskie piosenki, przywieszane ze wszystkich przystani globu.

Ale już się zbliżały te zmienne, niepewne, burzliwe czasy. Pewnego wieczoru całe miasto zahuczało, wzburzyło się, poruszyło, jakby ogarnięte alarmem na trwogę, i o niezwyklej porze na ulicach zrobiło się czarno od ludzi. Z rąk do rąk przechodziły małe białe ulotki wraz z przedziwnym słowem „Wolność“, które tego wieczoru powtarzała bez końca cała niezmierzona, ufna kraina.

Nadeszły jakieś jasne, świąteczne, pełne radości dni, których blask opromienił nawet podziemie „Gambrinusa“. Przychodzili studenci, robotnicy, przychodziły młode ładne dziewczęta. Ludzie z płonącymi oczami wchodzili na beczki, które tak wiele w swoim życiu widziały, i przemawiali. Nie wszystko w tych słowach było zrozumiałe, ale serce dygotało od tej płomiennej nadziei i wielkiej miłości, które w nich brzmiały, i otwierało się na ich przyjęcie.

— Saszka, „Marsyliankę“! R-różnij! „Marsyliankę“!

Nie, to było zupełnie niepodobne do tej „Marsylianki“, którą z bólem serca pozwolił grać naczelnik miasta w tygodniu rosyjsko-francuskiego entuzjazmu. Po ulicach chodziły nie kończące się pochody z czerwonymi sztandarami i ze śpiewem. Kobiety kraśniały czerwonymi wstążeczkami i czerwonymi kwiatami. Spotykali się zupełnie nieznajomi ludzie i nagle uśmiechali się do siebie promiennie i ściskali się za ręce...

Ale cała ta radość znikła w mgnieniu oka, jakby została zmyta, niby ślady dziecinnych nóżek na morskiej plaży. Do „Gambrinusa“ wpadł raz podkomisarz, mały, tłusty, zasapany, z wytrzeszczonymi oczami, ciemnoczerwony jak bardzo dojrzały pomidor.

— Co? Kto tu jest gospodarzem? — krzyczał chrapliwie. — Dawać gospodarza!

Zobaczył Saszkę stojącego ze skrzypcami.

— Ty jesteś gospodarzem? Milczeć! Co? Hymny gracie? Żeby mi tu żadnych hymnów!

— Żadnych hymnów więcej nie będzie, proszę ekscelencji — spokojnie odpowiedział Saszka.

Policjant zesiniał, przysunął Saszce aż pod nos wskazujący palec podniesiony w górę i groźnie pokręcił nim w prawo i w lewo.

— Żad-nych!

— Słucham, wasza ekscelencjo, żadnych.

— Ja wam pokażę rewolucję, ja wam poka-a-a-żę!

Podkomisarz jak bomba wyleciał z piwiarni i wraz z jego odejściem wszystkich ogarnęło przygnębienie.

I mrok padł na całe miasto. Krążyły głuche, trwożne, fatalne wieści. Ludzie rozmawiali ostrożnie, bali się zdradzić spojrzeniem, lękali się swego cienia, obawiali własnych myśli. Miasto po raz pierwszy pomyślało z przerażeniem o tej kloace, która głucho kłębiła się u jego stóp, tam w dole nad morzem, i do której przez tyle lat wydalało swoje trujące odchody. Miasto zabijało deskami lustrzane szyby swoich wspaniałych magazynów, obstawiało patrolami dumne pomniki i po dziedzińcach pięknych domów rozmieszczało na wszelki wypadek artylerię. A na przedmieściach, w cuchnących komórkach i na dziurawych strychach, drżał, modlił się i płakał ze strachu wybrany naród boży, dawno już opuszczony przez gniewnego Boga biblijnego, ale dotychczas wierzący, że miara jego ciężkich doświadczeń jeszcze się nie dopełniła.

Na dole, w pobliżu morza, w ulicach podobnych do ciemnych, lepkich kieszek, szła tajna robota. Przez całą noc były na oścież otwarte drzwi szynków, herbaciarni i domów noclegowych.

Rano zaczął się pogrom.

W dni pogromów Saszka chodził po mieście, swobodnie obnosząc swoją śmieszna, małpią fizjonomię. Nie zaczepiali go. Była w nim ta niezachwiana odwaga ducha, ten „brak strachu przed strachem“, który nawet słabego człowieka chroni lepiej niż wszelkie brauningi. Ale raz, kiedy, przyciśnięty do ściany domu, usuwał się od tłumu, który burzliwie się rozlewał przez całą szerokość ulicy, jakiś murarz w czerwonej koszuli i białym fartuchu zamachnął się na niego nasiekciem i wrzasnął:

— Ży-y-d! Bij Żyda! Do krwi!

Ale ktoś złapał go z tyłu za rękę.

— Stój, psiakrew, to przecież Saszka! Ach, ty lebiego, k...a twoja mać!

Murarz zatrzymał się. W tej pijanej, szalonej, gorączkowej

chwili gotów był zabić każdego — ojca, siostrę, popa, a nawet samego prawosławnego Boga, ale równie był gotów jak dziecko posłuchać rozkazu każdej twardej woli.

Wyszczeryl zęby jak idiota, splunął i utarł nos ręką. Ale nagle rzucił mu się w oczy mały, nerwowy piesek, który drząc kręcił się koło Saszki. Szybko schylił się, złapał go za tylne nogi, podniósł wysoko w górę, trzasnął łbem o płyty chodnika i uciekł. Saszka patrzył na niego w milczeniu: biegł, pochylony całym ciałem do przodu, z wyciągniętymi rękami, bez czapki, usta miał otwarte, a oczy okrągłe i białe od szaleństwa.

Na buty Saszki prysnął mózg z głowy Bielaska. Saszka wytarł płamę chusteczką.

VIII

Potem nadszedł dziwny czas, podobny do snu człowieka sparaliżowanego. Wieczorami w całym mieście nie świeciło się ani jedno okno, za to jaskrawo płonęły szyldy nocnych kabaretów i okna szynków. Zwycięzcy próbowali swojej władzy nie nasyciwszy się jeszcze do woli bezkarnością. Jakieś rozpasane typy w mandżurskich papachach, z georgijewskimi wstążkami w klapach kurtek, chodziły po restauracjach i z natrętnym zuchwalstwem domagały się wykonania hymnu, przy czym pilnowały, żeby wszyscy wstawali. Włamywali się także do prywatnych mieszkań, buszowali po łóżkach i komodach, żądali wódki, pieniędzy i hymnu i napelняли powietrze pijackim wyziewem.

Raz przyszli w dziesięciu do „Gambrinusa“ i zajęli dwa stoły. Zachowywali się jak najbardziej wyzywająco; do usługi zwracali się w tonie rozkazującym, pluli poprzez ramiona nieznanomych sąsiadów, kładli nogi na cudze krzesła, wylewali piwo na podłogę, pod pozorem, że jest nieświeże. Nikt ich nie zaczepiał. Wszyscy wiedzieli, że to szpicle, i przyglądali im się z takim samym tajonym strachem i pełną odrazy ciekawością, z jaką prosty lud przygląda się katom. Jeden z nich najwidoczniej był przywódcą. Był to niejaki Mot'ka Gundosyj, rudy, ze złamanym nosem, mężczyzna ogromnej jak

mówiono, siły, Żyd wychrzczony, dawniej złodziej, potem odzwier-
ny w domu publicznym, w końcu sutener i szpicel.

Saszka grał „Zamieć“. Nagle Gundosyj podszedł do niego, mocno przytrzymał mu prawą rękę i obracając się wstecz, w stronę patrzących, zawolał:

— Hymn! Hymn narodowy! Chłopcy, na cześć uwielbianego monarchy... Hymn.

— Hymn! Hymn! — zahuczały dranie w papachach.

Ale Saszka wyrwał rękę i powiedział spokojnie:

— Żadnych hymnów.

— Co? — ryknął Gundosyj. — Ty mnie nie będziesz słuchać? Ach, ty Żydzie śmierdzący!

Saszka ze zmarszczoną twarzą nachylił się całkiem blisko do Gundosego i, trzymając za gryf opuszczone skrzypce, zapytał:

— A ty?

— Co, a ja?

— Ja jestem Żyd śmierdzący, dobrze. A ty co?

— Ja jestem prawosławny.

— Prawosławny? A za ile?

Cały „Gambrinus“ gruchnął śmiechem, a Gundosyj, biały z wściekłości, odwrócił się do swoich towarzyszy.

— Bracia! — powtarzał drżącym, płaczliwym głosem czyjeś cudze, wyuczone słowa. — Bracia, jak długo będziemy znosić na-
trząsanie się Żydów z tronu i świętej cerkwi?

Ale Saszka wstał na swoim podwyższeniu, jednym dźwiękiem zmusił Gundosego do odwrócenia się w jego stronę; żaden z gości „Gambrinusa“ nigdy by nie uwierzył, że ten śmieszny, wykrzywiający się Saszka może przemówić tak władczo i dobitnie:

— Ty! — krzyknął Saszka. — Ty sukinsynie! Pokaż mi swoją twarz, morderco... Patrz na mnie. No!

Wszystko stało się tak prędko jak mgnienie oka. Skrzypce Saszki uniosły się wysoko, szybko mignęły w powietrzu i — trach! — Wysoki mężczyzna w papasze zachwiał się od silnego uderzenia w skroń. Skrzypce rozleciały się w kawałki. W rękach Saszki został tylko gryf, który zwycięsko wznosił się nad głowami tłumu.

— Bracia-a, na pom-o-oc! — wrzasnął Gundosyj.

Ale na pomoc było już za późno. Mocna ściana otoczyła i zasłoniła Saszkę. I ta sama ściana wyniosła ludzi w papachach na ulicę.

Lecz za godzinę, kiedy Saszka ukończywszy swoją pracę wychodził z piwiarni na ulicę, rzuciło się na niego kilku ludzi. Jeden z nich uderzył Saszkę w oko, zagwizdał i powiedział do policjanta, który nadbiegł:

— Do Bulwarnego komisariatu. Polityczny. Proszę, tu mój znaczek.

IX

Teraz po raz drugi, tym razem już ostatecznie, uznano Saszkę za pogrzebanego. Ktoś widział całą scenę, jaka rozegrała się na chodniku koło piwiarni, i opowiedział ją innym. A w „Gambri-nusie“ roztrząsali sprawę ludzie doświadczeni, którzy wiedzieli, co to za instytucja Bulwarny komisariat i co znaczy zemsta tajniaków.

Ale teraz o wiele mniej niż za pierwszym razem niepokojono się o los Saszki i o wiele prędszej zapomniano o nim. Po dwóch miesiącach na jego miejscu siedział nowy skrzypek (nawiasem mówiąc uczeń Saszki), którego wyszukał akompaniator.

I oto pewnego razu po trzech miesiącach, w cichy wieczór wiosenny, kiedy muzyka grała walca „Oczekiwanie“, jakiś cienki głos wykrzyknął z przest్రachem:

— Chłopcy, Saszka!

Wszyscy odwrócili się i powstali z beczulek. Tak, to był on, powtórnie zmartwychwstały Saszka, ale teraz zarośnięty, wychudzony i blady. Wszyscy rzucili się na niego, otoczyli go, cisnęli, gnetli, podsuwali mu kufle z piwem. Lecz raptem ten sam głos krzyknął:

— Ludzie, ręka!

Wszyscy nagle umilkli. Lewa ręka Saszki, wykręcona i jakby zmięta, była przytknięta łokciem do boku. Najwidoczniej nie

można jej było zgiąć ani rozprostować, a palce sterczały nieruchomo w okolicy podbródka.

— Co ci się stało, przyjacielu? — spytał w końcu bosman ze „Stowarzyszenia Rosyjskiego“.

— E, głupstwo... jakieś tam ścięno czy coś — odpowiedział niefrasobliwie Saszka.

— Taaak...

Znowu wszyscy umilkli na chwilę.

— To i z „Czabanem“ teraz już koniec? — spytał ze współczuciem bosman.

— Z „Czabanem“? — powtórzył Saszka i oczy mu zabłyśły.

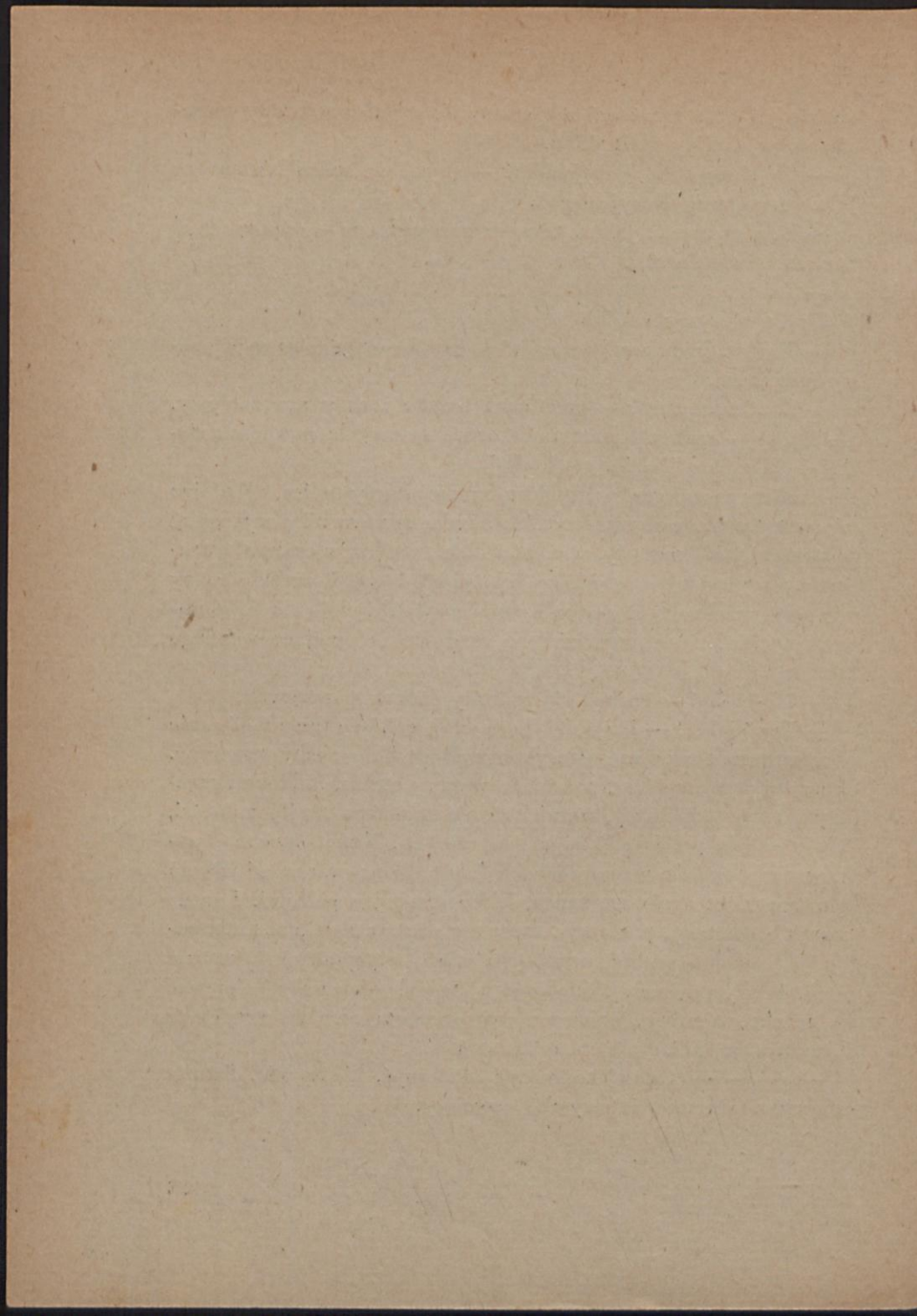
— Ej, ty — rozkazał akompaniatorowi ze zwykłą pewnością siebie — „Czabana“! Ejn, cwej, drej!

Pianista zaczął grać w szybkim tempie wesóły taniec, oglądając się w tył z niedowierzaniem. Ale Saszka zdrową ręką wyciągnął z kieszeni jakiś nieduży, wielkości dłoni, podłużny czarny instrument z wystającym ustnikiem, włożył go do ust i, przechyliwszy się całym ciałem w lewo, na ile mu pozwalała okaleczona, nieruchoma ręka, nagle zagwizdał na okarynie ogłuszająco wesołego „Czabana“.

— Ho-ho-ho! — rozległ się radosny śmiech patrzących.

— Do diabła! — krzyknął bosman i całkiem nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął wykonywać szybkie ruchy taneczne. Porwani jego zapalem, puścili się w tany goście, kobiety i mężczyźni. Nawet kelnerzy, starając się nie stracić na swojej godności, z uśmiechem przebiegali nogami w miejscu. Nawet *madame* Iwanowa zapomniała o obowiązkach kapitana na wachcie i kiwała głową w takt ognistego tańca, lekko strzelając palcami. I może nawet sam stary, porowaty, stoczony przez czas *Gambrinus* poruszał brwiami patrząc wesoło na ulicę, a prymitywna, marna świstawka w rękach okaleczonego Saszki zdawała się śpiewać w języku, niestety, jeszcze niezrozumiałym ani dla przyjaciół *Gambrinusa*, ani dla samego Saszki:

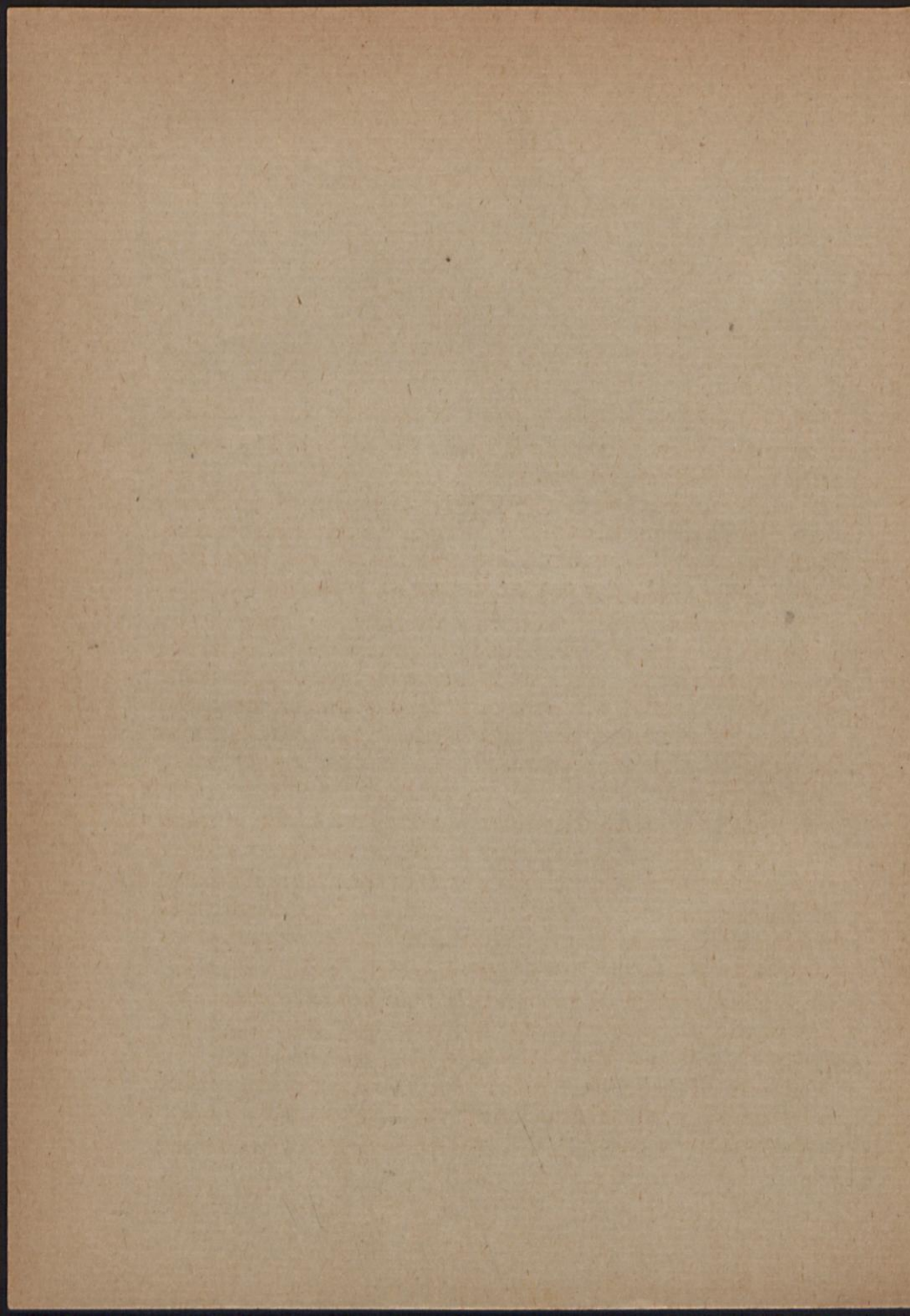
— — — Człowieka można okaleczyć, ale to nic. Sztuka wszystko przetrwa i wszystko zwycięży.



W CYRKU

Tłumaczyła

HALINA OLSZEWSKA



I

Doktor Łuchowicyn, powszechnie uznany za stałego lekarza cyrkowego, kazał Arbuzowowi rozebrać się. Pomimo swego garbu — a może właśnie wskutek tej ułomności — doktor uwielbiał przedstawienia cyrkowe, co było trochę śmieszne jak na człowieka jego wzrostu. W cyrku, co prawda, bardzo rzadko korzystano z jego pomocy lekarskiej; w tym świecie leczy się stłuczenia, cuci z omdleń i nastawia zwichnięte członki za pomocą własnych środków, przekazywanych w niezmienionej postaci z pokolenia na pokolenie, prawdopodobnie jeszcze od czasów igrzysk olimpijskich. Niemniej jednak nie opuszczał żadnego przedstawienia wieczornego, był w zażyłych stosunkach ze wszystkimi wybitnymi dżokejami, akrobatami i żonglerami i chętnie popisywał się w rozmowie powiedzonkami wyłowionymi ze słownika stajni i areny cyrkowej.

Spośród ludzi należących do cyrku szczególny zachwyt, graniczący z prawdziwą namiętnością, budzili w doktorze Łuchowicynie atleci i zawodowi zapaśnicy. Toteż kiedy Arbuzow pozbył się nakrochmalonej koszuli, zdjął trykotową koszulkę (jaką obowiązkowo noszą wszyscy cyrkowcy) i stanął obnażony do pasa, mały doktor aż ręce zatarł z radości. Zaczął obchodzić atlete z wszystkich stron, rozkoszując się jego olbrzymim, wypielegnowanym, połyskującym, bladoróżowym ciałem, z ostro występującymi pagórkami twardych jak drzewo mięśni.

— A niechże pana licha weźmie, co za krzepa! — mówił gnio-tąc z całej siły swoimi cienkimi, chwytnymi palcami to jedno, to drugie ramię Arbuzowa. — Słowo daję, to już nie coś ludzkiego,

ale po prostu końskiego! Można by zaraz zrobić wykład anatomii na pana ciele, nie potrzeba atlasu. A no, przyjacielu, niech no pan zegnije rękę w łokciu!

Atleta westchnął, sennie i niechętnie zerknął bokiem na swoją lewą rękę i zgiał ją; pod wpływem tego ruchu wyrosła powyżej zgięcia duża sprężysta kula wielkości głowy dziecka i przesunęła się w kierunku ramienia, nadymając i rozciągając ciekłą skórę. Jednocześnie pod dotknięciem chłodnych palców doktora całe obnażone ciało Arbuzowa pokryło się nagle gęsią skórą.

— Tak, dobrodzieju, rzeczywiście Pan Bóg panu nie poskapił! — nie przestawał zachwycać się doktor. — Widzi pan te kule tutaj? U nas w anatomii nazywają się one bicepsy, to znaczy dwugłowe. A to tak zwane mięśnie odwracające i nawracające. Niech pan przekręci pięść tak, jakby pan otwierał kluczem zamek. Tak, tak, doskonale! Widzi pan, jak chodzą? A to, czuje pan? Dotykam teraz ramienia. To są mięśnie naramienne. U pana są jak epolety pułkownikowskie! Ach, co za silne z pana chłopisko! Jakby pan tak kogoś... tego... niechęący? Co? Albo tak spotkać się z panem w ciemnej ulicy? Co? Nie daj Boże! He! he! he! A więc tak, skarżymy się na kiepski sen i ogólne lekkie osłabienie?

Atleta przez cały czas uśmiechał się nieśmiało a zarazem pobłażliwie. Przyzwyczajony od dawna do pokazywania się na pół nago przed ludźmi ubranymi, w obecności chuderlawego doktora czuł się jednak nieswojo, wstydził się niemal swojego dużego, muskularnego i silnego ciała.

— Boję się, panie doktorze, czy się czasem nie przeziębilem — powiedział cienkim, słabym i trochę zachrypniętym głosem, który zupełnie nie licował z jego masywną postacią. — Najgorsze to, że u nas są fatalne garderoby, wszędzie wieje. W czasie występu, sam pan rozumie, człowiek się spoci, a przebierać się musi na przeziągu. Nic dziwnego, że przewieje.

— Głowa nie boli? Nie kaszle pan?

— Nie, kaszleć nie kaszle, a głowa — Arbuzow potarł dłonią krótko ostrzyżoną potylicę. — Z głową co prawda jest coś nie w porządku. Nie boli, tylko tak... jakby jakiś ciężar... I jeszcze: sypiam kiepsko. Szczególnie z początku. Wie pan, zasypiam, za-

sypiam i raptem coś mnie tak jakby podrzuci na łóżku, wie pan, tak jakbym się czegoś przestraszył. Nawet mi serce zabije ze strachu. I tak ze trzy, cztery razy — ciągle się budzę. A rano głowa... i w ogóle... tak jakoś marnie się czuję.

— Krew z nosa nie idzie?

— Czasem się zdarza, panie doktorze.

— Hm... Ta-a-a-k... — przeciągnął znacząco doktor Łucho-wiczn, podniósł w górę brwi i natychmiast je opuścił. — Pewno pan dużo ćwiczy ostatnio? Męczy się pan?

— Dużo, panie doktorze. Teraz przecież karnawał, więc muszę codziennie pracować z ciężarami, a czasem, jak są ranne przedstawienia, to i dwa razy na dzień. A jeszcze co drugi dzień oprócz zwykłego numeru muszę brać udział w walkach. Pewnie, że człowiek jest trochę zmęczony...

— Tak, tak, tak — potakiwał doktor wciągając powietrze i potrząsając głową. — No, zaraz pana osłuchamy. Niech pan rozsunie ręce na bok. Ślicznie. Teraz proszę oddychać. Spokojnie, spokojnie. Niech pan oddycha głębiej... równiej...

Malutki doktor z trudem sięgając do piersi Arbuzowa przystawił do niej słuchawkę i zaczął się przysłuchiwać. Arbuzow, wystraszony, patrzył na kark doktora, głośno wciągał powietrze i wypuszczał je z ust złożony wargi w trąbkę, żeby nie dmuchać na równy, polyskujący przedział na głowie doktora.

Gdy lekarz opukał i osłuchiwał pacjenta, przysiadł na rogu biurka i założył nogę na nogę obejmując rękami sterczące kolana. Jego ptasia, wysunięta do przodu twarz o szerokich kościach policzkowych i ostrym podbródku stała się poważna, niemal surowa. Pomyślał chwilę, po czym zaczął mówić patrząc poprzez ramię Arbuzowa na szafę z książkami.

— Niebezpiecznego to ja nie u pana, mój przyjacielu, nie znajduję, chociaż te zakłócenia w biciu serca i krwotoki z nosa można by właściwie uważać za lekkie ostrzeżenie z tamtego świata. Widzi pan, ma pan pewną skłonność do przerostu serca. Przerost serca to jest — jakby to panu powiedzieć — to jest taka choroba, na którą są narażeni wszyscy ludzie, których zawód wymaga natężonej pracy mięśni: kowale, marynarze, gimnastycy itp. Ścianki

serca rozszerzają się u nich niezwykle od ciągłego i nadmiernego na-
tężenia i powstaje to, co w medycynie nazywamy *cor bovinum*, tj.
bycze serce. Takie serce pewnego pięknego dnia odmawia posłu-
szeństwa, zostaje sparaliżowane i wtedy — do widzenia! Przedsta-
wienie skończone. Pan nie ma się co niepokoić, u pana jeszcze bar-
dzo daleko do tego przykrego momentu, ale na wszelki wypadek ra-
dzę: nie pić kawy, mocnej herbaty, napojów alkoholowych i in-
nych rzeczy podniecających. Rozumie pan? — spytał Łuchowicyn
bębniąc lekko palcami po stole.

— Rozumiem, panie doktorze.

— I w innych sprawach także zaleca się wstrzemięźliwość. Pan,
oczywiście, rozumie, o czym mówię?

Atleta, który w tej chwili zapinał spinki przy koszuli, zaczer-
wienił się i uśmiechnął z zakłopotaniem.

— Rozumiem... ale przecież pan wie, panie doktorze, że w na-
szym zawodzie i tak trzeba być umiarkowanym. Prawdę mówiąc,
nawet nie ma kiedy pomyśleć o tym.

— To właśnie bardzo dobrze, przyjacielu. A więc niech pan sobie
wypocznie dzień, dwa albo i dłużej, jeżeli pan może. Pan dzisiaj,
zdaje się, walczy z Roeberem? Niech się pan postara odłożyć
walkę na kiedy indziej. Niemożliwe? Więc niech pan powie, że
pan jest niezdrow i już. A ja panu po prostu zabraniam, słyszy
pan? Niech pan pokaże język! No właśnie i język także brzydki.
Przecież pan się źle czuje, przyjacielu! Niechże pan powie otwarcie!
Ja przecież pana i tak przed nikim nie wsypię, więc po kiego
diabła pan się wzdraga? Księża i doktorzy za to właśnie biorą
pieniądze, żeby pilnować cudzych sekretów. No co, całkiem
kiepsko, tak?

Arbuzow przyznał się, że rzeczywiście czuje się niedobrze. Chwi-
lami ogarnia go słabość, jakby jakieś lenistwo, nie ma apetytu,
wieczorami dostaje dreszczy. Gdyby tak doktor przepisał jakieś
krople...

— Nie, przyjacielu, jak pan uważa, ale walczyć panu nie
wolno — powiedział doktor stanowczo i zeskoczył ze stołu.

— Jak panu wiadomo, ja w tych sprawach nie jestem nowicju-
szem i wszystkim zapaśnikom, jakich kiedykolwiek znałem,

zawsze powtarzałem jedno przed zapasami: zachowujcie cztery prawidła. Pierwsze — poprzedniej nocy porządnie się wyspać, drugie — w ciągu dnia zjeść smaczny i pożywny obiad, ale przy tym — trzecie — do walki przystępować z pustym żołądkiem i w końcu — czwarte — to już wkracza w psychologię — ani na sekundę nie tracić wiary w zwycięstwo. Teraz pytam się, jak pan będzie walczyć, jeżeli pan z rana tak kiepsko się czuje? Wybacz pan niedyskretne pytanie... ja przecież jestem swój człowiek... ta wasza walka to czasem nie... tego?... Nie fikcyjna? To jest, czy nie umówiliście się z góry, kto kogo i w którym spotkaniu położyć?

— O, nie, co też pan, panie doktorze... My z Roeberem goniliśmy się już po całej Europie. Nawet zakład jest prawdziwy, a nie na wabia. I on, i ja złożyliśmy po sto rubli w trzecie ręce.

— Ale ja w dalszym ciągu nie widzę powodu, żeby nie można było odłożyć zapasów na później?

— Są, panie doktorze, i to bardzo ważne powody. Niech pan sam osądzi. Nasza walka składa się z trzech spotkań. Pierwsze — dajmy na to — wziął Roeber, drugie — ja, to znaczy, że trzecie ma być decydujące. Ale poznaliśmy się nawzajem już tak dobrze, że można bez omyłki przewidzieć, na czyją korzyść wypadnie trzecie spotkanie; tymczasem jeśli ja się nie czuję na siłach, to co mi szkodzi rozchorować się albo skrzywić sobie nogę czy coś w tym rodzaju i zabrać swoje pieniądze z powrotem? Ale wtedy wychodzi na to, że po co właściwie Roeber walczył pierwsze dwa razy? Dla własnej przyjemności? Właśnie biorąc pod uwagę taki wypadek, zawieramy między sobą umowę, według której ten, kto okaże się chory w dniu walki, będzie traktowany tak, jakby przegrał, i pieniądze jego przepadają.

— Ta-a-k, a to paskudna historia — powiedział doktor i znowu znacząco podniósł i opuścił brwi. — No cóż, przyjacielu, niech je diabli wezmą, te sto rubli!

— Dwieście, panie doktorze — poprawił Arbuzow. — Według kontraktu z dyrekcją, płacę sto rubli odszkodowania, jeżeli w dniu przedstawienia nie stawię się do pracy, nawet na wypadek choroby.

— Do diabła... więc dwieście! — rozgniewał się doktor. — Ja bym na pana miejscu wycofał się w każdym razie. Niech je szlag trafi, niech przepadną, własne zdrowie więcej warte. A zresztą, przyjacielu, pan przecież i tak ryzykuje, że pan straci swoją kaucję, jeżeli będąc chory przystąpi pan do walki z tak niebezpiecznym przeciwnikiem jak ten Amerykanin.

Arbuzow zarozumiale pokręcił głową, a jego pełne wargi ułożyły się w pogardliwy uśmiech.

— Ech, głupstwo — rzucił lekceważąco. — Roeber ma całej parady sześć pudów wagi i sięga mi ledwie do podbródka. Zobacz pan, że położę go na łopatki w ciągu trzech minut. Rozciągnąłbym go i w drugim spotkaniu, gdyby mnie nie przycisnął do bariery. Właściwie to było świństwo ze strony sędziów, żeby zaliczyć taką podłą walkę. Nawet publiczność protestowała.

Doktor uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym, chytrym uśmieszką. Stykając się ciągle z życiem cyrku, dawno już poznał tę niezachwianą, chępliwą pewność siebie wszystkich zawodowych zapaśników, atletów i bokserów i ich skłonności do składania swojej porażki na karb jakichś przypadkowych okoliczności. Odprawiając Arbuzowa przepisał brom, który polecił mu zażyć na godzinę przed walką, i klepnął atletę przyjaźnie po szerokich plecach, życząc mu zwycięstwa.

II

Arbuzow wyszedł na ulicę. Był ostatni dzień karnawału, który w tym roku wypadł późno. Mrozy jeszcze trzymały, ale w powietrzu unosił się już nieokreślony, delikatny, radośnie drażniący pierś zapach wiosny. Po wyjeżdżonym, brudnym śniegu bezszelestnie mknęły w dwóch przeciwnych kierunkach dwa sznury sań i karet, a okrzyki stangretów rozlegały się szczególnie jasno i miękko. Na rogach ulic sprzedawano kiszzone jabłka w nowych białych cebrach, chałwę podobną w kolorze do ulicznego śniegu i balony. Wznosiły się one różnokolorowymi, lśniącymi gronami i płynęły nad głowami przechodniów, którzy wypełniali chodniki czarnym,

burzliwym potokiem; w ich ruchach to szybkich, to leniwych było coś wiosennego i dziecinnie radosnego.

Arbuzow u doktora czuł się prawie dobrze, lecz na świeżym powietrzu ogarnęło go znowu dręczące uczucie choroby. Głowa wydawała mu się duża, ciężka i jakby pusta w środku, a każdy krok odzywał się w niej nieprzyjemnym hukiem. W wyschniętych ustach czuł znowu smak spalenizny, w oczach miał tępy ból, jakby ktoś naciskał je palcami z zewnątrz, a kiedy przenosił spojrzenie z przedmiotu na przedmiot, jednocześnie po śniegu, domach i niebie poruszały się dwie duże, żółte plamy.

Na okrągłym słupie u skrzyżowania ulic rzuciło się Arbuzowowi w oczy jego własne nazwisko, wydrukowane tłustymi czcionkami. Machinalnie podszedł do słupa. Pośród pstrych afiszów, obwieszczających o świątecznych rozrywkach, pod zwykłym czerwonym afiszem cyrkowym osobno widniało zielone ogłoszenie i Arbuzow obojętnie, jakby we śnie, przeczytał je od początku do końca.

CYRK BRACI DUVERNOIS
DZISIAJ ODBĘDZIE SIĘ TRZECIA, DECYDUJĄCA
WALKA

*Według zasad rzymsko-francuskich
pomiędzy znanym amerykańskim championem
G. JOHNEM ROEBEREM
i słynnym rosyjskim zapaśnikiem i herkulesem
G. ARBUZOWEM*

Zakład o 100 rubli

Szczegóły w afiszach

Przy słupie zatrzymało się dwóch robotników, sądząc po ich umorusanych kopciami twarzach — ślusarzy, i jeden z nich zaczął głośno czytać ogłoszenie o walce, przekręcając wyrazy. Arbuzow usłyszał swoje nazwisko, które zabrzmiało dlań jak pusty, zużyty, obcy, pozbawiony wszelkiego sensu dźwięk, jak to czasami bywa, kiedy się długo powtarza ciągle to samo słowo. Robotnicy poznali atletę. Jeden z nich trącił łokciem towarzysza i odsunął się z szacunkiem. Arbuzow odwrócił się gniewnie, włożył ręce do kieszeni palta i poszedł dalej.

W cyrku już się odbyło poranne przedstawienie. Ponieważ światło przenikało na arenę jedynie przez szklane, zawalone śniegiem okno w kopule, cyrk wydawał się w półmroku wielką, pustą i chłodną szopą.

Arbuzow, który wszedł prosto z ulicy, z trudnością rozróżniał krzesła pierwszego rzędu, plusz na barierach i sznurach oddzielających przejścia, złożenia po bokach łóż i białe słupy z przybitymi tarczami, wyobrażającymi końskie pyski, maski błazeńskie i jakieś monogramy. Amfiteatr i galeria tonęły w mroku. U góry pod kopułą, podciągnięte na blokach, połyskiwały chłodno stałą i niklem gimnastyczne przyrządy: drabiny, kółka, reki i trapezy.

Po podłodze areny tarzało się dwóch ludzi. Arbuzow wpatrywał się w nich długo, mrużąc oczy, aż w końcu poznał swego przeciwnika, zapaśnika amerykańskiego, który, jak zwykle z rana, trenował się z jednym ze swych pomocników, również Amerykaninem, Harwanem. W żargonie zawodowych atletów tacy pomocnicy nazywają się „wilki” albo „pieski”. Jeżdżąc po wszystkich krajach i miastach ze słynnym zapaśnikiem pomagają mu w codziennym treningu, dbają o jego garderobę — o ile nie towarzyszy mu w podróży żona — rozcierają mu mięśnie ostrą rękawicą po codziennej porannej kąpieli i zimnym tuszu i w ogóle oddają mu mnóstwo drobnych usług związanych bezpośrednio z jego zawodem. Na „wilków” idą albo młodzi, niepewni swoich sił atleci, albo starzy, ale mierni zapaśnicy, toteż rzadko odnoszą oni zwycięstwo w zapasach o zakład. Ale przed meczem z poważnym zapaśnikiem mistrz z reguły napuszcza na niego najpierw swoje „pieski”, aby śledząc walkę podchwycić słabe strony i stałe błędy swojego przyszłego przeciwnika i ocenić jego plusy, przed którymi należy się mieć na baczności. Roeber już nasłał na Arbuzowa jednego ze swoich pomocników, Anglika Simpsona, drugorzędnego zapaśnika, surowego i nieobrotnego, ale znanego wśród atletów z potwornej siły chwytu.

Na prośbę dyrekcji walka toczyła się bez zakładu i Arbuzow dwukrotnie rozciągnął Anglika z największą łatwością, stosując rzadkie i efektowne tricki, których nie zaryzykowałby w walce z niebezpiecznym zapaśnikiem. Roeber już wtedy zanotował

sobie główne zalety i słabe strony Arbuzowa: znaczny ciężar i wysoki wzrost przy strasznej sile mięśni rąk i nóg, śmiałość i szybką decyzję w manewrowaniu, a także plastyczne piękno ruchów, które zawsze zdobywa sympatię publiczności, ale jednocześnie stosunkowo słabe dłonie i szyję, krótki oddech i zbytnią zapalczliwość. Wtedy zdecydował, że z takim przeciwnikiem należy trzymać się systemu obrony, jednocześnie osłabiając go i podniecając aż do chwili, póki się nie wyczerpie; unikać chwytów z przodu i z tyłu, przed którymi trudno byłoby się obronić i — co najważniejsza — wytrzymać pierwsze ataki, w których ten rosyjski dzikus rzeczywiście przejawia potworną siłę i energię. Tego właśnie systemu trzymał się Roeber w pierwszych dwóch walkach, z których jedna wypadła na korzyść Arbuzowa, a druga — na jego.

Kiedy Arbuzow oswoił się z półmrokiem, rozróżnił dokładnie obu atletów. Byli w szarych koszulkach, z obnażonymi rękami, w szerokich skórzanych pasach i spodniach ściągniętych u kostek rzemieniami. Roeber znajdował się w jednej z najtrudniejszych i najważniejszych w walce pozycji, która się nazywa „most”. Leżąc twarzą do góry i dotykając ziemi potylicą z jednej, a piętami — z drugiej strony, wygiął kabląkowato plecy i utrzymywał równowagę na rękach, które głęboko wbiły się w piasek areny; w ten sposób ciało jego tworzyło żywy, sprężysty łuk. Harwan tymczasem naciskał z góry na wypięty brzuch i piersi mistrza, wyteżał wszystkie siły, aby wyprostować tę wygiętą masę mięśni, przewrócić ją i przygnieść do ziemi.

Za każdym razem, ilekroć Harwan wykonywał nowe pchnięcie, obaj zapaśnicy stękali z napięcia i oddychali z wysiłkiem wielkimi haustami powietrza. Ogromni, ciężcy, z groźnie napiętymi mięśniami na gołych rękach, jak gdyby zastygli na podłodze areny w dziwacznych pozach, przypominali w niepewnym półświecie pustego cyrku dwa potworne kraby, oplecione nawzajem kleszczami.

Ponieważ wśród atletów panuje swoista etyka, według której uważa się za nieprzyzwoite przyglądanie się ćwiczeniom swego przeciwnika, Arbuzow okrążył barierę i, udając, że nie zauważa zapaśników, poszedł w kierunku wyjścia, gdzie mieściły się garde-

roby. W chwili gdy odsuwał ciężką, czerwoną portierę, oddzielającą manège od korytarzy, ktoś odchylił ją z przeciwnej strony i Arbuzow ujrzał przed sobą pod lśniącym, zsuniętym na boki cylindrem czarne wąsy i czarne śmiejące się oczy swego wielkiego przyjaciela, akrobata Antonia Batisto.

— *Buon giorno, mon cher monsieur Arbousoff!* — wykrzyknął śpiewnie akrobata błyskając białymi, pięknymi zębami i otwierając szeroko ramiona, jakby chciał objąć Arbuzowa. — Właśnie tylko co skończyłem mój *répétition*. *Allons donc prendre quelque chose!* Pójdziemy sobie coś trochę wziąć? Jedną kieliszkę koniak? O-o, tylko nie złamaj mi ręki. Chodźmy na bufet.

Tego akrobatę lubili w cyrku wszyscy poczynawszy od dyrektora a kończąc na stajennych. Był wyjątkowym i wszechstronnym artystą: równie dobrze żonglował jak ćwiczył na trapezie i na rękę, prowadził tresurę koni wyższej szkoły, wystawiał pantominy i, co najważniejsza, był niewyczerpany w wynajdowaniu nowych numerów, co jest szczególnie cenione w świecie cyrkowym, gdzie sztuka, jak to wynika z samych jej właściwości, prawie się nie rozwija i trwa do dziś niemal w tej samej postaci co za rzymskich cesarów.

Wszystko w nim podobało się Arbuzowi: wesołe usposobienie, hojność, niezwykła subtelność, wyróżniająca go nawet w środowisku artystów cyrkowych, którzy — poza manège, gdzie dopuszczalna jest tradycyjnie pewna brutalność w obejściu — odznaczają się zazwyczaj pełną dżentelmenerii uprzejmością. Pomimo młodego wieku zdążył już objechać wszystkie większe miasta Europy i w każdej trupie uważano go za najbardziej pożądanego i najpopularniejszego kolegę. Mówił jednakowo źle wszystkimi językami europejskimi i w rozmowie nieustannie je mieszał i przekręcał wyrazy może trochę naumyślnie, bo w każdym akrobacie zawsze jest kawałek błazna.

— Nie wie pan, gdzie jest dyrektor? — spytał Arbuzow.

— *Il est à l'écurie*. On chodził do stajni, oglądał jeden duży koń. *Mais allons donc*. Chodźmy trochę. Ja mam pana bardzo rad widzieć, mój goliubuszka? — powiedział nagle Antonio pytającym tonem, śmiejąc się sam ze swojej wymowy i wsuwając

rękę pod łokieć Arbuzowa. — Topsze, bywaj zdrów, samowar, derożka — dorzucił prędko, widząc, że atleta uśmiechnął się.

Przy bufecie wypili po kieliszku koniaku i zakąsili kawalkiem cytryny umoczonej w cukrze. Arbuzow poczuł, że najpierw zrobiło mu się po winie zimno w żołądku, a potem ciepło i przyjemnie. Ale w tej samej chwili zakręciło mu się w głowie, a po całym ciele rozlała się jakaś senna słabość.

— *Oh, sans doute*, pan będzie mieć *une victoire*, jedno zwycięstwo — mówił Antonio obracając szybko łaskę pomiędzy palcami lewej ręki i polyskując spod czarnych wąsów białymi, równymi, dużymi zębami. — Pan jest taki *brave homme*, taki doskonały i silny zapaśnik. Ja znałem jeden nadzwyczajny zapaśnik, nazywał się Karl Abs... tak, Karl Abs. I on teraz już *ist gestorben*... jest umarł. O, chociaż on był Niemiec, ale on był wielki profesor. I on raz powiedział: francuski walka to jest taka drobiażdżka. I dobry zapaśnik, *ein guter Kämpfer*, powinien mieć bardzo, bardzo mało: tylko silnego szyja jak u jeden bawół, bardzo mocny plec jak u tragarz, długa ręka z twardym mięśniem, *und ein gewaltiger Griff*... Jak to się nazywa po rosyjsku? (Antonio kilka razy zgiął i rozgiął przed swoją twarzą palce prawej ręki). — O! Bardzo silny palec! *Et puis* też koniecznie trzeba mieć mocno stojący noga, jak u jeden pomnik, i naturalnie jak największy... jak to jest?... jak największy waga od ciała. Jeżeli jeszcze wziąć zdrowy serc, *les poumons*... jak to jest po rosyjsku?... płuca jak u koń, potem jeszcze trochę siłna krew i trochę odwaga, i jeszcze trochę *savoir les règles de la lutte*, znać wszystkie zasady walka, to jest już wszystkie drobiażdżki, który jest potrzebny dla jeden dobry zapaśnik. Cha! cha! cha!

Antonio zaśmiał się ze swego żartu i delikatnie chwycił Arbuzowa przez palto pod pachy, zupełnie jakby go chciał polaskotać, i w tej chwili jego twarz stała się poważna. W tej ładnej, opalonej, ruchliwej twarzy była jedna zdumiewająca właściwość: gdy przedstawiała się śmiać, nabierała surowego, posępnego, prawie tragicznego wyrazu i ta zmiana następowała tak szybko i nieoczekiwanie, że wydawało się, jakby Antonio miał dwie twarze:

jedną śmiejącą się, drugą poważną, i że w jakiś niepojęty sposób zamienia jedną na drugą, według swego życzenia.

— Naturalnie, Roeber jest niebezpieczny rywal... U nich w Ameryce biją się *comme les bouchers*, jak rzeźniki. Ja widziałem walka w Chicago i New York. Tfu, jakie paskudztwo!

Ilustrując mowę swymi szybkimi włoskimi ruchami Antonio zaczął opowiadać szczegółowo i zajmująco o amerykańskich zapaśnikach. U nich są dozwolone wszystkie te brutalne i niebezpieczne tricki, których bezwarunkowo nie wolno stosować na europejskich arenach. Tam zapaśnicy duszą się nawzajem za gardło, zatykają przeciwnikowi usta i nos, obejmując mu głowę strasznym chwytem, zwanym: żelazny naszyjnik — *collier de fer*, pozbawiając go przytomności przez umiejętne naciśnięcie arterii szyjnej. Tam nauczyciele przekazują swym uczniom — uzupełniając nieprzeniknioną tajemnicę zawodową — straszliwe, sekretne chwyt, których następstwa nie zawsze są jasne, nawet dla lekarzy. Gdy się zna takie chwyt, można np. lekkim i jakby nieumyślnym uderzeniem po mięśniu trójgłowym wywołać chwilowy paraliż ręki u przeciwnika lub niedostrzegalnym dla nikogo ruchem sprawić mu taki nieznośny ból, że będzie musiał zapomnieć o wszelkiej ostrożności.

Ten sam Roeber odpowiadał niedawno przed sądem za to, że w Łodzi w czasie walki ze znanym polskim atletą Władysławskim uchwycił jego rękę poprzez swoje ramię chwytem *tour de bras* i, nie zważając na protesty publiczności i samego Władysławskiego, zaczął ją wykręcać w kierunku odwrotnym do naturalnego zgięcia, a wykręcał dopóty, aż zerwał mu ścięgna łączące ramię z przedbarczem. Amerykanie nie mają żadnej ambicji artystycznej, walczą mając na celu wyłącznie nagrodę pieniężną. Ostatecznym celem atlety amerykańskiego jest uciulać sobie 50 000 dolarów i zaraz potem roztyć się, zgnuśnić i otworzyć gdzieś w San-Francisko mały bar, gdzie w tajemnicy przed policją kwitną najbrutalniejsze formy amerykańskiego boksu.

Wszystko to, nie wyłączając skandalu w Łodzi, było od dawna wiadome Arbusowowi i bardziej niż opowiadanie Antonia interesowały go własne, dziwne i chorobliwe odczucia, które obserwo-

wał ze zdziwieniem. Chwilami zdawało mu się, że twarz Antonia przysuwa się do jego twarzy całkiem blisko i każde słowo brzmi tak głośno i ostro, że aż rozlega się w jego głowie głuchym łoskotem, ale w następnym momencie Antonio zaczynał się oddalać, odchodził coraz dalej i dalej i wtedy jego głos brzmiał cicho i niewyraźnie, jakby rozmawiał z Arbuzowem przez telefon albo poprzez kilka pokoi, a najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że wymiana tych wrażeń zależała od samego Arbuzowa i wynikała z tego, czy poddawał się przyjemnemu, sennemu, leniwemu znużeniu, czy też otrząsał się z niego siłą woli.

— O, ja nie wątpię, że pan będzie jego rozciągnąć, *mon cher Arbousoff*, mój diuszeńka, mój goliupszik — mówił Antonio śmiejąc się i przekręcając rosyjskie pieszczotliwe wyrazy. — *Roeber c'est un animal accapareur*. On jest rzemieślnik, jak bywa jeden szewc, jeden woziwoda, jeden... *un tailleur*, który szyć spodni. On nie ma sobie, o, tutaj... *dans le coeur*... nic, żaden uczyć ani żaden temperament. On jest duży, zwyczajny rzeźnik, a pan jest prawdziwy artysta i ja mam zawsze przyjemność na pana patrzeć.

Do bufetu wszedł szybko dyrektor, mały, tłusty człowiek na cienkich nogach, z podniesionymi do góry ramionami, bez szyi, w cylindrze i rozpiętym futrze, z okrągłej, buldogowatej twarzy, gęstych wąsów i surowego wyrazu brwi i oczu bardzo podobny do portretu Bismarcka. Antonio i Arbuzow z lekka dotknęli kapeluszy. Dyrektor odpowiedział tym samym i natychmiast — jakby się długo wstrzymywał i czekał tylko okazji — zaczął się wściekać i wymyślać na stajennego.

— Cham, ruska kanalia... napoił spoconego konia, niech go cholera weźmie! Ja będę pójść do sędziego pokoju i on mi będzie przyznać trzysta rubli kary od tego drania! Ja... niech go cholera! Ja pójdę i będę jemu zbić mordę, ja będę go wytłuc moim *Reitpeitsch*!

Jak gdyby uchwyciwszy się tej myśli, szybko zawrócił i popędził do stajni, przebierając cienkimi, słabymi nogami. Arbuzow dogonił go przy drzwiach.

— Panie dyrektorze...

Dyrektor nagle zatrzymał się i z tym samym niezadowolonym wyrazem twarzy wyczekująco wsadził ręce do kieszeni futra.

Arbuzow zaczął go prosić, żeby odłożył dzisiejszą walkę na dzień albo dwa. Jeżeli dyrektorowi to odpowiada, to on, Arbuzow, da za to niezależnie od umówionych warunków dwa albo nawet trzy wieczory ćwiczeń z ciężarami. W związku z tym, czyby pan dyrektor nie zadał sobie fadygi, żeby porozmawiać z Roeberem na temat zmiany dnia zapasów?

Dyrektor słuchał atlety stojąc do niego w półobrocie i patrząc ponad jego głowę w okno. Kiedy się upewnił, że Arbuzow skończył, przeniósł na niego swoje surowe oczy, pod którymi były ziemiste, obwisłe worki, i uciął krótko i bezapelacyjnie:

— Sto rubli za niedotrzymanie umowy.

— Panie dyrektorze...

— Ja sam wiem, do jasnej cholery, że ja pan dyrektor — przerwał z wściekłością. — Umawiajcie się sobie z Roeberem, to nie moja rzecz! Moja rzecz — kontrakt, pana rzecz — niedotrzymanie umowy.

Odwrócił się gwałtownie plecami do Arbuzowa i, drobno przebieając uginającymi się nogami, poszedł w kierunku drzwi, ale nagle zatrzymał się przed nimi, obrócił i nagle zatrzęsł się ze złości i, dusząc się, z dygocącymi zwiędłymi policzkami, z purpurową twarzą, rozdętą szyją i wytrzeszczonymi oczami — wrzasnął:

— Do cholery! Zdycha mi Fatinica, mój najlepszy koń do jazdy *par force*! Ruski koniuch, ścierwo, świnia, ruska małpa, ochwacił najlepszego konia, a pan sobie pozwala prosić o różne bzdury! Do cholery! Dzisiaj ostatni dzień tego idiotycznego rosyjskiego karnawału i zabrakło mi nawet przystawianych krzeseł i publicum będzie mi robić *ein grosser Scandal*, jeżeli przełożę walkę. Do cholery! Zażądają ode mnie zwrotu pieniędzy i rozwalą mi cyrk w drobne kawałeczki! *Schwamm drüber*! Ja nie chcę słuchać bzdur, nic nie słyszałem i nic nie wiem!

Wyskoczył z bufetu i trzasnął za sobą ciężkimi drzwiami z taką siłą, że kieliszki na kontuarze odezwały się cienkim, drżącym brzękiem.

III

Arbuzow pożegnał się z Antoniem i poszedł do domu. Należało przed walką zjeść obiad i postarać się wypaść, żeby choć trochę odświeżyć głowę, ale kiedy wyszedł na ulicę, poczuł się znowu chory. Uliczny zgiełk i bieganina odbywały się gdzieś daleko, daleko od niego i wydawały mu się tak obce i nierzeczywiste, jakby patrzył na jakiś pstry, ruchomy obraz. Gdy przechodził przez ulicę, doświadczał ostrego lęku, że z tyłu wpadną nań konie i zwałą go z nóg.

Mieszkał niedaleko cyrku w pokojach umeblowanych. Już na schodach poczuł zapach, który zawsze unosił się na korytarzach — zapach kuchni, swędu z nafty i myszy. Idąc po omacku ciemnym korytarzem do swego numeru, ciągle oczekiwał, że tuż-tuż natknie się w ciemnościach na jakąś przeszkodę, i z tym wrażeniem napiętego oczekiwania mimo woli łączyło się dręczące poczucie smutku, zagubienia, strachu i świadomość własnej samotności.

Jeść mu się nie chciało, ale kiedy z jadalajni „Ewrika“ przyniesiono mu obiad, zmusił się do przelknięcia kilku łyżek czerwonego barszczu, zalatującego brudną ścierką kuchenną, i połowy bladego, włóknistego kotleta w sosie z marchwi. Po obiedzie zachciało mu się pić. Posłał chłopca po kwas i położył się na łóżku.

I natychmiast wydało mu się, że łóżko zakolysało się łagodnie i popłynęło pod nim jak łódka, a ściany i sufit zaczęły pełznąć w przeciwnym kierunku. Lecz w tym odczuciu nie było nic straszego ani przykrego; przeciwnie, wraz z nim wstępowało do ciała błogie, leniwe, ciepłe znużenie. Zakopcony sufit, pobrużdżony, niby żyłami, cienkimi, krętymi szparami — to unosił się wysoko w górę, to opuszczał całkiem nisko, i w tych falowaniach była osłabiająca, senna płynność.

Gdzieś za ścianą dzwoniono filiżankami, po korytarzu bez ustanku snuły się szybkie, głuszone przez chodnik kroki, a przez okno mętnie i szeroko wpływał uliczny hałas. Wszystkie te dźwięki długo się goniły, zahaczały jeden o drugi, plątały się i nagle zlewały na kilka sekund, tworząc przedziwną melodię, tak pełną,

nieoczekiwaną i piękną, że aż łaskotało od niej w piersi i chciało się śmiać.

Atleta uniósł się na łóżku, żeby się napić, i rozejrzał się po swoim pokoju. W gęstym, liliowym zmroku zimowego wieczoru wszystkie meble wydały mu się zupełnie inne niż zwykle; miały dziwny, zagadkowy i żywy wyraz. I niziutka, karłowata, poważna komoda, i wysoka, wąska szafa o wyglądzie rzeczowym, ale nieczułym i drwiącym, i dobroduszny, okrągły stół, i kokieteryjne, ozdobne lustro — wszystkie poprzez leniwą, senną drzemkę pilnowały Arbuzowa czujnie, groźnie i wyczekująco.

„Widocznie mam gorączkę“ — pomyślał Arbuzow i powtórzył głośno: — Mam gorączkę — a jego własny głos zabrzmiał mu w uszach jakby skądś z daleka słabym, pustym i bez wyrazu dźwiękiem.

Z przyjemnym, sennym pieczeniem w oczach, w takt kołysania łóżka zapadł w przerywane, niespokojne, gorączkowe majaki. Lecz w majaczeniu, tak jak i na jawie doznawał kolejno następującej zmiany wrażeń. To mu się zdawało, że ze straszliwym wysiłkiem przewraca i układa jedną na drugiej granitowe bryły o bokach wypolerowanych, gładkich i twardych pod dotknięciem, ale jednocześnie poddających się miękko jak wata w jego rękach. Potem te bloki waliły się i spadały w dół, a zamiast nich zostawało coś równego, migotliwego, złowieszczego spokojnego; to coś nie miało nazwy, ale było w równej mierze podobne do gładkiej powierzchni jeziora jak i do cienkiego drutu, który się ciągnie w nieskończoność i brzęczy monotonnie, nużąco i sennie. Lecz drut znikał i Arbuzow znów podnosił ogromne bloki i znowu waliły się one z hukiem, i znowu na całym świecie zostawał tylko złowieszczy, męczący drut. Jednocześnie Arbuzow nie przestawał widzieć sufitu z pęknięciami i słyszeć dziwnie przeplatających się dźwięków, ale wszystko to należało do obcego, wrogiego, czatującego świata, tak nędznego i nieciekawego w porównaniu z rojeniami, w których przebywał.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Arbuzow nagle podskoczył i usiadł na łóżku, opanowany uczuciem dzikiego przerażenia i nieznośnej fizycznej udręki; zaczynała się ona od serca, które prze-

stało bić, wypełniała całą pierś, podchodziła do gardła i zaciskała je. Płucom zabrakło powietrza — coś od wewnątrz nie pozwalało mu wejść.

Arbuzow spazmatycznie otwierał usta starając się odetchnąć, nie umiał jednak, nie mógł tego zrobić i dusił się. To straszne uczucie trwało może ze trzy, cztery sekundy, ale atlecie zdawało się, że atak zaczął się wiele lat temu i że zdążył się już zestarzeć przez ten czas. „Śmierć nadchodzi!“ — przemknęło mu przez głowę, ale w tej chwili czyjaś niewidzialna ręka trąciła zatrzymane serce, tak jak się trąca zatrzymane wahadło; zrobiło szalony skok, który mógłby rozsadzić piersi, i zatłukło się lekko, żądnie i bezładnie. Jednocześnie gorące fale krwi rzuciły się Arbuzowowi do twarzy, rąk i nóg i pokryły całe jego ciało potem.

Przez otwarte drzwi wsunęła się duża, ostrzyżona głowa, z odstającymi uszami jak skrzydła nietoperza. To Griszutka, chłopiec, pomocnik woźnego z korytarza, przyszedł zapytać się o herbatę. Spoza jego pleców wesoło i krzepiąco wśliznęło się do numeru światło lampy zapalanej na korytarzu.

— Czy pan każe przynieść samowar, Nikit Jonycz?

Arbuzow słyszał dobrze te słowa i odcisnęły mu się wyraźnie w pamięci, ale w żaden sposób nie mógł się zmusić do tego, aby zrozumieć, co one znaczą. Myśl jego pracowała w tej chwili usilnie, starając się uchwycić jakieś niezwykle, rzadkie a nadzwyczaj ważne słowo, które słyszał we śnie, zanim podskoczył w ataku.

— Nikit Jonycz, podawać samowar, czy nie? Siódma godzina!

— Czekaj, Griszutka, czekaj, zaraz — odezwał się Arbuzow, w dalszym ciągu słysząc i nie rozumiejąc chłopaka, i nagle chwycił zapomniane słowo: „bumerang“. Bumerang — to taki śmieszny, wygięty kawałek drzewa, który w cyrku na Montmartrze rzucali jakieś czarne dzikusy, małe, nagie, zręczne i muskularne człowieczki. I w tej chwili, jak gdyby wyzwoliwszy się z pęt, uwaga Arbuzowa przeniosła się na słowa chłopca, które ciągle jeszcze dźwięczały w pamięci.

— Siódma godzina — powiadasz? No, to dawaj prędko samowar, Grisza.

Chłopiec wyszedł. Arbuzow długo siedział na łóżku spuściwszy

nogi na podłogę i spoglądając w ciemne kąty; przysłuchiwał się swojemu sercu, które ciągle biło jeszcze trwożnie i pospiesznie. Wargi jego poruszały się, cicho powtarzając wyraźnie ciągle to samo, zdumiewające, dźwięczne, sprężyste słowo:

— Bu-me-rang!

IV

Okolo dziewiątej Arbuzow poszedł do cyrku. Wielkogłowy chłopak z pokojów umeblowanych, namiętny wielbiciel sztuki cyrkowej, niósł za nim słomiany sakwojaż z kostiumem. Przed rzęsiście oświetlonym podjazdem było gwarnie i wesoło. Bez przerwy, jeden za drugim podjeżdżały pojazdy i na skinienie ręki majestaticznego jak posąg policjanta zataczały półkole i odjeżdżały dalej w mrok, gdzie długim sznurem stały wzdłuż ulicy sanie i karety. Czerwone afisze cyrkowe i zielone ogłoszenia o walce widniały wszędzie — po obu stronach wejścia, koło kas, w westybulu i korytarzach — i wszędzie Arbuzow widział swoje nazwisko wydrukowane ogromnymi literami. W korytarzach czuć było stajnię, gazem, mieszaniną piasku i trocin, którą się posypuje arenę, i zwykłym zapachem sal widowiskowych: połączeniem zapachu nowych, skórkowych rękawiczek i pudru. Te zapachy w wieczory przed walką zawsze trochę niepokoiły i podniecały Arbuzowa — teraz chorobliwie i nieprzyjemnie ześliznęły mu się po nerwach.

Za kulisami, obok przejścia, którym artyści wychodzą na arenę, wisiał za drucianą siatką oświetlony palnikiem gazowym program wieczoru napisany ręcznie, tylko z drukowanymi tytułami: „*Arbeit. Pferd. Clown*“. Arbuzow zajrzał tam w niejasnej i naiwnej nadziei, że nie znajdzie swego nazwiska. Ale w drugiej części obok znanego mu słowa „*Kampf*“ były wypisane dużym, zjeżdżającym w dół charakterem półanalfabety dwa nazwiska: Arbousow i Roeber.

Na arenie kłowni krzyczeli gardłowymi, drewnianymi głosami i śmieli się idiotycznym śmiechem. Antonio Batisto i jego żona Henrietta czekali w przejściu na koniec numeru. Oboje mieli

jednakowe kostiumy z bladofioletowego, naszywanego złotymi cekinami trykotu, mieniącego się jak jedwab na zgięciach, tam gdzie padało światło, i białe atlasowe pantofle.

Henrietta nie miała spódnicy; zamiast niej spuszczała się od pasa długa i gęsta złota frędzla, iskrząca się za każdym poruszeniem. Atlasowa koszulka barwy fioletowej, nałożona wprost na ciało bez gorsetu, była luźna i zupełnie nie krępowała ruchów giętkiego torsu. Na trykot Henrietta miała narzucony długi biały burnus arabski, przy którym miękko odcinała się jej ładniutka, czarnowłosa, smągła główka.

— *Eh bien, monsieur Arbousoff?* — powiedziała Henrietta z miłym uśmiechem i wyciągnęła spod burnusa obnażoną, szczupłą, ale silną i piękną rękę. — Jak panu się podobają nasze nowe kostiumy? To pomysł mojego Antonia. Przyjdzie pan na maneż popatrzeć na nasz numer? Niech pan przyjdzie, proszę bardzo! Pan ma szczęśliwe oko, przynosi mi pan powodzenie!

Podszedł Antonio i po przyjacielsku klepnął Arbuzowa po ramieniu.

— No, jak tam, mój goliubuszka? *All right!* Trzymam o pana zakład z Vincenzo o jedną butelka koniak, więc niech się pan trzyma!

Po cyrku przeleciał śmiech i zabrzmiały oklaski. Dwóch kłownów, o białych twarzach wysmarowanych czarną i malinową farbą, wybiegło z areny na korytarz. Jak gdyby przez zapomnienie zostawili na swych twarzach szerokie, bezmyślne uśmiechy, lecz piersi ich po wyczerpujących *salto mortale* dyszały szybko i głęboko. Wywołano ich i zmuszono do zrobienia czegoś tam jeszcze, potem znowu i znowu, i dopiero kiedy muzyka zagrała walca i publiczność uspokoiła się, odeszli do garderoby, obaj spoceni i od razu jacyś oklapli, zmorzeni zmęczeniem.

Nie występujący tego wieczoru artyści, we frakach i spodniach ze złotymi lampasami, szybko i zręcznie opuścili z sufitu wielką siatkę i przyciągnęli ją sznurami do filarów. Potem ustawili się szeregiem po obu stronach przejścia i ktoś odsunął kurtynę. Henrietta przymilnie i kokieteryjnie błysnęła oczyma spod cienkich, śmiałych brwi, zrzuciła swój burnus na rękę Arbuzowa,

szybkim, odruchowym, kobiecym gestem poprawiła włosy i wzięwszy się z mężem za ręce wybiegła z wdziękiem na arenę. Arbuzow oddał burnus stajennemu i wyszedł w ślad za nimi.

Cała trupa lubiła patrzeć na ich produkcje. Nie talko piękno i lekkość ruchów budziły podziw artystów, lecz również doprowadzone do nieprawdopodobnej precyzji wycucie tempa — ten specjalny szósty zmysł, bodaj że nie spotykany gdzie indziej poza baletem i cyrkiem, a tak niezbędny przy wykonywaniu wszelkich trudnych, zharmonizowanych z muzyką ruchów. Nie tracąc ani sekundy i przystosowując każdy ruch do płynnych dźwięków walca Antonio i Henrietta zwinnie wspięli się pod kopułę na wysokość górnych rzędów galerii. Z dwóch różnych końców cyrku posyłali publiczności powietrzne pocałunki: on — siedząc na trapezie, ona — stojąc na lekkim taborecie, obitym takim samym jak na jej koszulce fioletowym atlasem, ze złotą frędzlą na brzegach i inicjałami AB pośrodku.

Wszystko, co robili, było równoczesne, harmonijne i pozornie tak łatwe i proste, że nawet patrzący na nich artyści cyrkowi zapominali, jak trudne i niebezpieczne są te ćwiczenia. Antonio rzucał się całym ciałem w tył, jakby miał spaść na siatkę, nagle zawisnął głową w dół, zahaczywszy nogami o stalowy pręt, i zaczynał huśtać się w przód i w tył. Henrietta stojąc na swoim fioletowym podwyższeniu i trzymając w wyciągniętych rękach trapez śledziła wyczekująco, w napięciu, każdy ruch męża i nagle uchwyciwszy tempo leciała naprzeciw niego, wyginając się całym ciałem i wyciągając w tył kształtne nogi. Jej trapez był dwa razy dłuższy i robił dwa razy większe wychylenia; dlatego też ich ruchy to były równoległe, to się schodziły, to znów rozchodziły.

I oto na jakiś niedostrzegalny dla nikogo sygnał porzucała pręt swego trapezu, spadała w dół niczym nie podtrzymywana i, nagle ześliznąwszy się rękami wzdłuż rąk Antonia, splatała się z nim mocno dłonią w dłoń. Przez kilka sekund ich ciała, związane w jedną giętką, silną całość, huśtały się w powietrzu szeroko i płynnie i atlasowe pantofelki Henrietty kreśliły łuk nad podniesionym w górę brzegiem siatki. Potem Antonio przerzucał żonę na drugą stronę i znowu ciskał w przestrzeń akurat w tym momencie, kiedy

nad jej głową przelatywał opuszczony i ciągle jeszcze rozhuśtany trapez; chwyciła go w locie, aby jednym wymachem powrócić na drugi koniec cyrku, na swój fioletowy taboret.

Ostatnim ćwiczeniem w ich numerze był lot z wysokości. Sztalmajstrzy podciągnęli na blokach trapez z siedzącą na nim Henriettą pod samą kopułę cyrku. Tam, na wysokości siedmiu sążni, artystka ostrożnie przeszła na nieruchomy rek, niemal dotykając głową szyb górnego okna. Arbuzow patrzył na nią zadzierając z trudem głowę i myślał, że pewnie Antonio wydaje jej się teraz z góry całkiem malutki, i od tej myśli kręciło mu się w głowie.

Upewniwszy się, że żona osadziła się mocno na reku, Antonio znowu zawiśł głową w dół i zaczął się rozhuśtywać. Muzyka, która dotychczas grała melancholijnego walca, nagle urwała ostro i zamilkła. Słyszać było tylko monotonne, żalosne syczenie węgli w lampach łukowych. W ciszy, która zapanowała nagle w tysiącnym tłumie chciwie i trwożnie śledzącym każde poruszenie artystów, czuć było pełne grozy napięcie.

— *Pronto!* — ostro, raźnie i wesoło krzyknął Antonio i rzucił w dół na siatkę białą chustkę, którą dotychczas — nie przestając się huścić w przód i w tył — wycierał sobie ręce. Arbuzow ujrzał, jak na ten okrzyk Henrietta, która stała pod kopułą i obiema rękami trzymała się za druty, nerwowo, szybko i wyczekująco podała się całym ciałem naprzód.

— *Attenti!* — znowu krzyknął Antonio.

Węgle w latarniach ciągnęły tę samą żalostną, jednostajną nutę, a milczenie w cyrku stawało się groźne i przygniatające.

— *Allez!* — rozległ się krótko i władczo głos Antonia.

Ten rozkazujący okrzyk jak gdyby strącił Henriettę z reku. Arbuzow zobaczył, jak coś dużego, fioletowego, błyskającego złotymi iskrami przeleciało w powietrzu, kręcąc się i spadając na złamanie karku. Z chłodem w sercu i z uczuciem naglej, denerwującej słabości w nogach, atleta zamknął oczy i otworzył je dopiero wówczas, kiedy w ślad za radosnym, wysokim, gardłowym krzykiem Henrietty cały cyrk odetchnął głośnie i głęboko, jak olbrzym, który zrzucił z pleców wielki ciężar. Muzyka zagrała zawrotnego galopa i Henrietta, huśtając się w jego takt na rękach Antonia,

wesoło przebiegała nogami, uderzając jedną o drugą. Rzucona przez męża na siatkę, wpadła w nią głęboko i miękko, ale natychmiast została sprężyste podrzucona z powrotem; stanęła na nogi i, balansując na drżącej siatce, rozjaśniona szczerym, radosnym uśmiechem, zarumieniona, urocza, kłaniała się rozkrzyczanym widzom. Gdy Arbuzow narzucał na nią za kulisami burnus, zwrócił uwagę, jak często wznosiły się i opadały jej piersi i jak jej pulsowały mocno male, błękitne żyłki na skroniach.

V

Zabrział dzwonek na przerwę i Arbuzow poszedł się ubierać do swojej garderoby. W sąsiedniej ubierał się Roeber. Poprzez szerokie szpary naprędcy skleconego przepierzenia Arbuzow widział każdy jego ruch. Amerykanin ubierając się to podśpiewywał fałszywym basem jakiś motyw, to znów zaczynał gwizdać; czasami wymieniał ze swoim trenerem krótkie, urywane słowa, które brzmiały tak dziwnie i głucho, jakby wychodziły z głębi jego żołądka. Arbuzow nie znał języka angielskiego, ale za każdym razem, kiedy Roeber śmiał się albo intonacja jego słów stawała się gniewna, zdawało mu się, że mówi o nim i o dzisiejszych zapasach, i w miarę jak słuchał tego pewnego siebie, kwaczącego głosu, ogarniało go coraz silniejsze uczucie lęku i fizycznej słabości.

Zdjął ubranie i poczuł chłód; nagle wstrząsnął nim głęboki, gorączkowy dreszcz, od którego zadygotały mu nogi, brzuch i ramiona, a szczęki głośnie zadzwoniły jedna o drugą. Żeby się rozgrzać, posłał Grizkę do bufetu po koniak. Koniak trochę uspokoił i rozgrzał atletę, ale potem, podobnie jak z rana, rozeszło mu się po całym ciele łagodne, senne znużenie.

Do garderoby co chwila stukali i wchodzili jacyś ludzie. Byli tam oficerowie kawalerii ubrani w ciasne rajtuzy, przylegające do nóg jak trykot, rośli gimnaziści w zabawnych wąziutkich czapkach, wszyscy nie wiadomo dlaczego w binoklach i z papierosami w zębach, firecykowaci studenci, którzy mówili bardzo głośnie i nazywali jeden drugiego zdrobniałymi imionami. Wszyscy do-

tykali rąk, piersi i szyi Arbuzowa i zachwycali się widokiem jego napiętych mięśni. Niektórzy pieszczotliwie i z uznaniem poklepywali go po plecach jak premiowanego konia i dawali mu rady, jak ma prowadzić walkę. Ich głosy dochodziły do Arbuzowa jakby skądś z daleka, spod ziemi, to znów nagle zbliżały się i nie do zniesienia boleśnie biły go po głowie. Ubierał się machinalnie, poprawnymi ruchami starannie wygładzając i obciągając cienki trykot na ciele i mocno zaciskając na brzuchu szeroki skórzany pas.

Zagrała muzyka i natrętni goście jeden po drugim wyszli z garderoby. Został tylko doktor Łuchowicyn. Wziął Arbuzowa za rękę, namacał puls i pokręcił głową.

— To czyste szaleństwo, żeby pan teraz walczył. Puls jak młot, a ręce zupełnie zimne. Niech pan popatrzy do lustra, jakie pan ma rozszerzone źrenice!

Arbuzow zajrzał do małego pochylonego lusterka, które stało na stole, i zobaczył w nim dużą, bladą, obojętną i, jak mu się wydawało, nieznajomą twarz.

— A, wszystko jedno, panie doktorze — powiedział leniwie, oparł nogę na wolnym krześle i zaczął starannie owijać dookoła łydki cienkie rzemyki od pantofli.

Ktoś przebiegł szybko przez korytarz i krzyknął kolejno do drzwi jednej i drugiej garderoby:

— *Monsieur Roeber, monsieur Arbuzow, na manège!*

Nieprzewidywane osłabienie opanowało nagle całe ciało Arbuzowa; zachciało mu się, jak przed zaśnięciem, długo i rozkosznie przeciągnąć ręce i plecy. W kącie garderoby leżały, zwalone na dużą, bezładną kupę, kostiumy czerkieskie do pantominy w trzeciej części. Patrząc na te łachy Arbuzow pomyślał, że nie może być nic lepszego na świecie jak zaszyć się tu, ułożyć jak najwygodniej i zakopać z głową w miękką, ciepłą odzież.

— Trzeba iść — powiedział podnosząc się z westchnieniem.

— Nie wie pan, panie doktorze, co to jest bumerang?

— Bumerang? — powtórzył ze zdziwieniem doktor. — To, zdaje się, taki specjalny przyrząd, którym Australijczycy zabijają papugi. Może, zresztą, wcale nie papugi... Ale o co właściwie chodzi?

— Tak, po prostu przypomniało mi się... No, chodźmy, panie doktorze.

Koło kurtyny, na szerokim przejściu z desek tłoczyli się stali bywalcy cyrkowi — artyści, służący, stajenni. Kiedy ukazał się Arbuzow, zaszeptali i szybko ustąpili mu miejsca przed kurtyną. W ślad za Arbuzowem zbliżał się Roeber. Obaj atleci stali obok siebie, starając się nie patrzeć na siebie nawzajem, i w tym momencie Arbuzow z niezwykłą jasnością uświadomił sobie, jak dzikie, niepotrzebne, bezsensowne i brutalne jest to, co za chwilę ma zamiar robić. Ale wiedział także i czuł, że jakaś bezimienna, nieublagana siła trzyma go tutaj i zmusza do takiego właśnie postępowania. Stał nieruchomo, patrząc na ciężkie faldy kurtyny z tępą i smutną uległością.

— Gotowe? — zapytał jakiś głos z góry, z estrady dla muzyki.

— Gotowe, zaczynać! — odpowiedziano z dołu.

Rozległ się lękliwy stuk pałeczki dyrygenta i wesolym, podniecającym, miedzianym dźwiękiem popłynęły po cyrku pierwsze taktory marsza. Ktoś szybko rozsunął kurtynę, ktoś klepnął Arbuzowa po ramieniu i rzucił mu krótką komendę: *Allez!* Ramię przy ramieniu, stąpając z ciężką, pewną siebie gracją i tak jak przedtem nie patrząc na siebie, zapasnicy przeszli pomiędzy dwoma szeregami artystów, doszli do środka areny, po czym rozeszli się w przeciwnie strony.

Jeden ze sztalmajstrów wyszedł także na arenę, stanął pomiędzy atletami i zaczął odczytywać z kartki, z silnie cudzoziemskim akcentem, robiąc przy tym mnóstwo błędów, ogłoszenie o walce:

„W tej chwili odbędzie się walka według zasad rzymsko-francuskich pomiędzy słynnymi atletami, panem Johnem Roeberem a panem Arbuzowem. Zasady walki polegają na tym, że zapasnicy mogą dowolnie chwycić jeden drugiego od głowy do pasa. Ten, który dotknie ziemi obiema łopatkami, będzie uważany za zwyciężonego. Nie wolno drapać, ciągnąć za nogi, za włosy i ścisnąć za gardło. Ta walka jest trzecia, ostatnia i rozstrzygająca. Zwycięzca wygrywa zakład w wysokości stu rubli. Przed rozpoczęciem zapasów zawodnicy podadzą sobie ręce na znak uroczystego przy-

rzeczenia, że będą toczyć walkę uczciwie i zgodnie z wszelkimi zasadami“.

Widzowie słuchali go w napiętym, pełnym uwagi milczeniu; wydawało się, że każdy wstrzymuje oddech. Był to prawdopodobnie najbardziej emocjonujący moment z całego wieczoru — moment niecierpliwego oczekiwania. Twarze stały się blade, usta na pół rozwarły, głowy wysunęły się naprzód, a oczy z pożądliwą ciekawością przylgnęły do postaci atletów stojących bez ruchu na brezentach, który pokrywał piasek areny.

Obaj zapaśnicy byli w czarnych trykotach, wskutek czego ich tułowia i nogi wydawały się cieńsze i zgrabniejsze, niż były w rzeczywistości, a obnażone ręce i szyje — masywniejsze i silniejsze. Roeber stał w niedbalej i pewnej siebie pozie, wysunawszy z lekka nogę naprzód i ująwszy się jedną ręką pod bok; przechylił głowę do tyłu i wodził oczami po górnych rzędach. Wiedział z doświadczenia, że sympatia galerii będzie po stronie jego przeciwnika, jako młodszego, przystojniejszego i obdarzonego większym wdziękiem, a, co najważniejsza, noszącego rosyjskie nazwisko, i tym właśnie niedbałym, spokojnym spojrzeniem rzucił jak gdyby wyzwanie patrzącemu nań tłumowi. Był średniego wzrostu, szeroki w ramionach i jeszcze szerszy w biodrach, o krótkich, grubych i krzywych jak korzenie potężnego drzewa nogach, długoręki i przygarbiony jak duża, silna małpa. Głowę miał małą, łysą, z bączną potylicą, która, zaczynając się od czubka głowy równo i płasko, bez żadnego wygięcia przechodziła w kark, a ten znowuż, rozszerzając się ku dołowi, zlewał się bezpośrednio z ramionami. Ta straszna potylica automatycznie wywoływała w patrzących mgliste i groźne wyobrażenie o brutalnej, nieludzkiej sile.

Arbuzow stał w tej zwykłej pozie zawodowych atletów, w której zawsze ustawiają się do fotografii, to jest ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i wciągniętym podbródkiem. Ciało jego było bielsze niż Roebera, a budowa prawie bez zarzutu: szyja wylaniała się z głębokiego wycięcia trykotu jak równy, krągły i mocny pień; na niej osadzona była swobodnie i lekko ładna, rudawa, krótko ostrzyżona głowa o niskim czole i obojętnych rysach.

Mięśnie piersi, ściśnięte przez skrzyżowane ręce, rysowały się pod trykotem jak dwie wypukłe kule; okrągłe ramiona miały blask różowego atlasu w błękitnym świetle latarni elektrycznych.

Arbuzow uparcie patrzył na czytającego sztalmajstra. Raz tylko oderwał od niego spojrzenie i skierował je na widownię. Cyrk, zapelniony ludźmi od góry do dołu, wyglądał jakby zalany jednolitą, czarną falą, na której, spiętrzone jedne nad drugimi, odcinały się w regularnych rzędach białe okrągłe plamy twarzy. Od tej czarnej, bezosobowej masy powiało na Arbuzowa jakimś chłodem nieubłagany i fatalnym. Zrozumiał całą swoją istotą, że nie ma już dlań powrotu z tego rzęsiście oświetlonego, zakłętego kręgu, że przyprowadziła go tutaj jakaś obca potężna wola i nie ma siły, która by go mogła zmusić do cofnięcia się. I od tej myśli atleta poczuł się nagle bezradny, zagubiony i słaby jak zbłąkane dziecko, a w duszy jego ciężko poruszył się prawdziwy, zwierzęcy strach — niejasny, instynktowny lęk, jaki prawdopodobnie ogarnia młodego byka, kiedy go prowadzą po krwią zalany asfalcie na ubój.

Sztalmajster skończył i skierował się do wyjścia. Muzyka zagrała znowu dobitnie i wesoło, a w ostrych dźwiękach trąb słychać było teraz podstępny, skryty, bezlitosny triumf. Był taki straszny moment, kiedy Arbuzowowi przywidziało się, że te przypochlebne dźwięki marsza i żalosne syczenie węgla, i straszliwe milczenie widzów są dalszym ciągiem jego poobiednich majaceń, w których widział przed sobą długi, ciągnący się, jednostajny drut. I znowu ktoś w jego umyśle wymówił dziewczęcą nazwę australijskiej broni.

Do tej pory Arbuzow ciągle jeszcze spodziewał się, że w ostatnim momencie przed walką, jak zawsze, wybuchnie w nim nagle złość a zarazem pewność zwycięstwa i gwałtowny przypływ siły fizycznej. Ale teraz, kiedy zapaśnicy zwrócili się do siebie i Arbuzow pierwszy raz spotkał ostre i chłodne spojrzenie małych, niebieskich oczu Amerykanina, zrozumiał, że wynik dzisiejszej walki jest już przesądzony.

Atleci ruszyli ku sobie. Roeber zbliżał się szybkimi, miękkimi, sprężystymi krokami, lekko zginając nogi, pochyliwszy napród

swoją straszną potylicę, podobny do drapieżnego zwierzęcia, które przygotowuje się do skoku. Gdy spotkali się na środku areny, wymienili szybki, silny uścisk dłoni, rozeszli się i w tym samym momencie równoczesnym podskokiem zwrócili się twarzami do siebie. W krótkim dotknięciu gorącej, silnej i spoconej ręki Roebera Arbuzow wyczuł tę samą pewność zwycięstwa co w jego kłujących oczach.

Z początku próbowali chwycić się nawzajem za ręce, łokcie i ramiona, jednocześnie wymykając się i uchylając od chwytów przeciwnika. Ruchy ich były miękkie, wolne, ostrożne i oszczędne, jak ruchy dwu dużych kotów, które zaczynają się bawić. Opierając się skronią o skroń i gorąco dysząc jeden drugiemu w ramiona, zmieniali ciągle miejsce i obeszlili w ten sposób całą arenę dookoła. Korzystając ze swego wysokiego wzrostu Arbuzow objął dłonią potylicę Roebera i próbował ją przegiąć, ale głowa Amerykanina szybko wciągnęła się w ramiona, jak głowa chowającego się żółwia, kark zrobił się twardy jakby ze stali, a szeroko rozstawione nogi wparły się mocno w ziemię. W tym samym momencie Arbuzow poczuł, że Roeber z całej siły gniecie mu bicepsy, starając się wywołać w nich ból i szybciej go osłabić.

Chodzili tak po arenie małymi kroczkami, nie odrywając się od siebie i czyniąc powolne, jakby leniwe i niezdecydowane ruchy. Nagle Roeber obiema rękami złapał rękę swego przeciwnika i mocno ją szarpnął do siebie. Arbuzow, który się nie spodziewał tego chwytu, zrobił dwa kroki naprzód i w tej chwili poczuł, że z tyłu opasały go i unoszą ponad ziemię silne ręce, które splotły mu się na piersi. Instynktownie, chcąc zwiększyć swój ciężar, pochylił się górną częścią tułowia naprzód i w przewidywaniu ataku szeroko rozstawił ręce i nogi. Roeber zrobił kilka prób, aby przyciągnąć jego plecy do swoich piersi, ale widząc, że mu się nie uda podnieść ciężkiego atlety, szybkim pchnięciem zmusił go do opuszczenia się na czworaki, a sam przykleknął obok i objął go za kark i plecy.

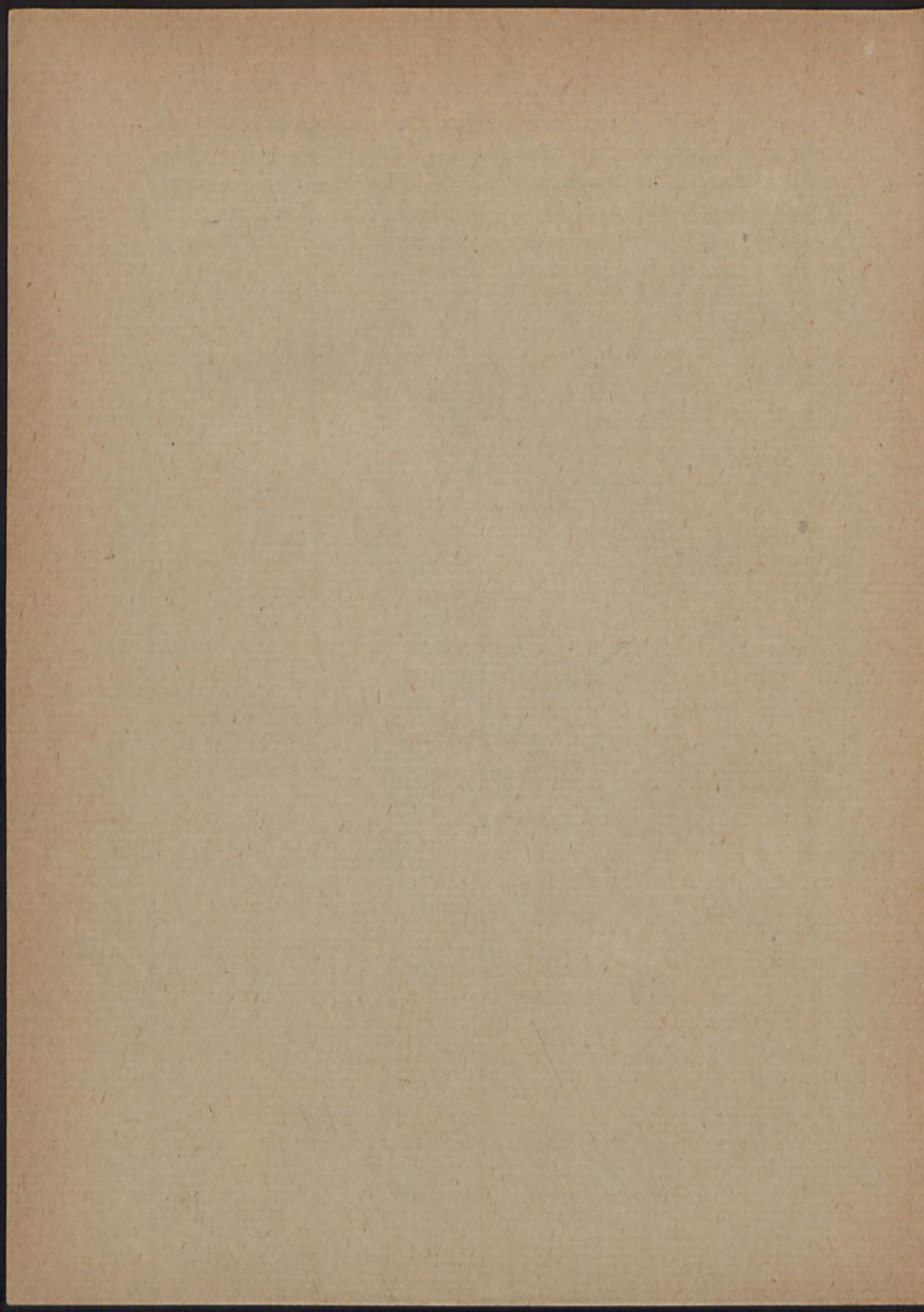
Przez pewien czas Roeber jak gdyby zastanawiał się i obliczał. Potem wprawnym ruchem wsunął z tyłu rękę pod pachę Arbu-

zowa, wykręcił ją ku górze, objął twardą i silną dłonią jego kark i zaczął go naginać w dół, gdy tymczasem druga ręka, otoczywszy od dołu brzuch Arbuzowa, starała się obrócić jego ciało dookoła osi. Arbuzow bronił się napinając kark, rozstawiając szerzej ręce i nachylając się niżej ku ziemi. Zapaśnicy nie poruszali się wcale z miejsca, jak gdyby zastygli w jednej pozycji, i patrząc na nich z boku można by sądzić, że się bawią albo odpoczywają, gdyby nie było widać, jak ich twarze i szyje stopniowo nabiegają krwią i jak coraz wyraźniej występują pod trykotem ich napięte muskuły. Oddychali ciężko i głośno i w pierwszych rzędach parteru czuć było ostry zapach ich potu.

Raptem dawna, znajoma męka fizyczna rozrosła się w okolicy serca Arbuzowa, wypełniła mu całe piersi i ścisnęła spazmem za gardło. Momentalnie wszystko stało się nieciekawe, puste i obojętne: i miedziane dźwięki orkiestry, i smutny śpiew lamp, i cyrk, i Roeber, i sama nawet walka. Coś w rodzaju dawnego przyzwyczajenia zmuszało go jeszcze do oporu; lecz w urywanym oddechu Roebera, który czuł na swym karku, już słyszał ochryple dźwięki, podobne do triumfalnych poryków zwierza, i już jedna jego ręka, oderwana od ziemi, na próżno szukała w powietrzu oparcia. Potem całe ciało straciło równowagę i Arbuzow, niespodziewanie i mocno przyciśnięty plecami do zimnego brezentu, zobaczył nad sobą czerwoną, pokrytą potem twarz Roebera z potarganymi, zmierzwionymi wąsami, wyszczerzonymi zębami i oczami skażonymi szaleństwem i złością. Gdy Arbuzow stanął na nogi, zobaczył jak przez mgłę Roebera, który na wszystkie strony kiwał głową publiczności. Widzowie pchali się, zrywali z miejsc, krzyczeli jak opętani, machali chustkami, ale wszystko to wydało się Arbuzowowi dawno znanym snem — snem bez sensu, fantastycznym, a jednocześnie tak blahym i małoważnym w porównaniu z udręką, która rozrywała mu piersi. Zataczając się doszedł do garderoby. Widok zwalonych na kupę łachów przypomniał mu coś niejasnego, o czym niedawno myślał, osunął się więc na nie trzymając się obiema rękami za serce i chwytając powietrze otwartymi ustami.

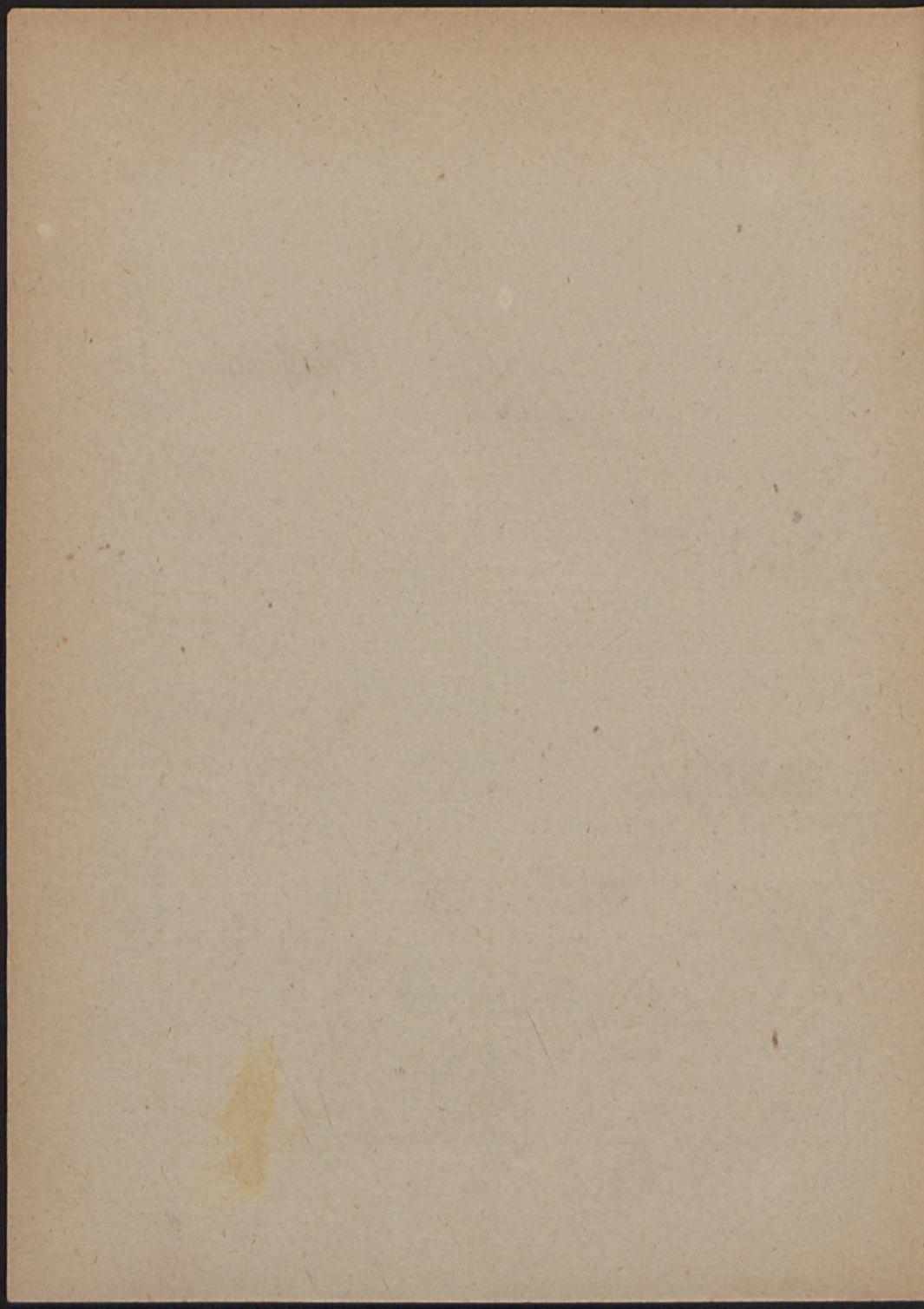
Nagle do uczucia bólu i braku oddechu przyłączyły się jeszcze mdłości i słabość. Wszystko zieleniało mu w oczach, potem

zaczęło mrocznieć i zapadać w głęboką, czarną otchłań. W jego mózgu wysokim, ostrym dźwiękiem — jak gdyby w nim pękła cienka struna — ktoś wyraźnie i dobitnie krzyknął: bu-me-rang! Potem wszystko znikło: i myśl, i świadomość, i męka. I stało się to tak szybko i po prostu, jakby ktoś dmuchnął na świecę płonącą w ciemnym pokoju i zgasił ją...



NOCLEG

Tłumaczył
JAN MIETKOWSKI



W ostatnich dniach sierpnia, w czasie wielkich manewrów, N-ski pułk piechoty odbywał długi, czterdziestowiorstowy przemarsz ze wsi Zimowice Wielkie do wsi Nagorna. Dzień był pogodny, upalny, męczący. Na widnokręgu srebrzył się daleki, lotny pył i drżały przejrzyste, falujące smugi nagrzanego powietrza. Po obu stronach drogi, jak okiem sięgnąć, rozciągała się jednostajna przestrzeń żętych pól, na których sterczały żółte, kłujące rżyska.

Za oddziałem ciągnęła widoczna z daleka, długa i kręta wstęga kurzu, otaczając ze wszystkich stron idących żołnierzy. Kurz dostawał się do ust i skrzypiał w zębach, osiadał czarnymi warstwami na spotniałych twarzach. Tylko zęby i białka oczu lśniły bielą na tych zmęczonych, wychudłych twarzach, wydających się surowymi. Żołnierze szli w milczeniu, bezładnie, ledwo powłócząc zmęczonymi nogami, zgięci pod ciężarem plecaków, do których przymocowane były zwinięte w rulon płaszcze. Czasem tylko, gdy ktoś ze szczękiem zawadził bagnetem o bagnet sąsiada, padało złe, ordynarne przekleństwo. Ludzie byli niewyspani, znużeni marszem, upałem i pragnieniem. Niektórzy ospale, bez apetytu żuli rozdany z rana chleb, by jakoś skrócić sobie czas długiego i nudnego przemarszu.

Oficerowie nie szli w szeregach — w czasie pochodu wyższe władze patrzyły na to przez palce — lecz z boku, prawą stroną drogi. Ich białe kitle pociemniały od potu na plecach i na ramionach. Dowódcy kompanii i adiutanci popuścili cugli i drzemali, zgarbieni, na swoich chudych, wybrakowanych koniach.

Wszyscy myśleli tylko o tym, by jak najprędzej, za wszelką cenę dotrzeć do miejsca postoju i położyć się w cieniu.

Porucznik Awilow, chorowity, nerwowy, milczący młody człowiek, siedł obok pierwszego rzędu swojej 11 kompanii. Uwierały go mocno nowe buty, na ramieniu czuł ciągle ucisk rapci, w głowie miękko i ciężko krążyła krew. Najbardziej dręczyła go jednak tępa nuda, ogarniająca go zawsze podczas marszu. Starał się jej pozbyć, wymyślając sobie jakieś błahe zajęcia. Zrywał z przydrożnych wierzb gibkie pręty i oczyszczał je z kory zębami i paznokciami, kiedy indziej starannie ścinał szablą pasowe główki kłujących ostów albo, obrawszy sobie w dali jakiś punkt, usiłował odgadnąć, ile do niego kroków, a potem sprawdzał swoje obliczenia. W końcu, gdy to wszystko mu dokuczyło, uciekał się do „marzeń“, jak robił to jeszcze w korpusie, na nabożeństwie, aby zabić dłużący się czas. „No, a o czym teraz?“ — zwracał się do siebie w myśli i zaczynał przypominać sobie to wszystko, co mogłoby mu sprawić przyjemność, co utkwilo mu w wyobraźni z rzeczy zasłyszanych i przeczytanych. Niekiedy wyobrażał sobie, że jest znanym podróżnikiem w rodzaju Przewalskiego lub Jelisiejewa. Zbierał ekspedycję złożoną z odważnych, zahartowanych w trudzie i niebezpieczeństwie awanturników, którzy drżeli przed jego każdym spojrzeniem. Odkrywał nie zbadane dotąd wyspy i ziemie, by zatknąć na nich rosyjską flagę. Nazwisko jego głośnie było w całym świecie. Gdy wracał do Rosji, witano go owacyjnie. Kobiety rzucały mu kwiaty i szeptały do siebie w zachwycie: „Spójrz, to najslawniejszy człowiek na świecie!“ Kiedy indziej wyobrażał sobie, że manewry już się skończyły, a on ze swoją kompanią skierowany został na wolne zajęcia do jakiegoś wielkiego majątku, którego właściciel ma arystokratyczne nazwisko i jest przy tym bajecznie bogaty. Właściciel majątku ma córkę — bladą, zamyśloną piękność. Kawalerowie w cywilu, ze swą pustką wewnętrzną, dawno już jej obrzydli. Zwykły porucznik piechoty, biedny i dumny, stale zamknięty w sobie, „z piętnem rozczarowania na czole“, wywołuje w niej miłość od pierwszego wejrzenia. Księżycowa noc, spotkanie w starym, zapuszczonym parku, płomienne wyznania miłosne... „Musimy się rozstać —

mówi ponuro Awilow — ty jesteś bogata, a ja nędzarz, nigdy nie będziemy szczęśliwi.“ Córka arystokraty płacze na jego piersi. Awilow pociesza ją. Zza krzaków wychodzi nagle sam właściciel majątku, wzruszony, ze łzami w oczach. „Dzieci moje — powiada — chcę, żebyście się kochali. Nie pieniądze, ale prawdziwa miłość przynosi ludziom szczęście.“ Mówiąc to błogosławi zakonchanych; wszyscy troje obejmują się i płaczą. Po kilku dniach w rozkazie dziennym pułku koledzy ze zdziwieniem i zawiścią czytają, że porucznik Awilow, w raporcie nr taki a taki, prosi o zezwolenie na wstąpienie w pierwsze, prawne związki małżeńskie z księżniczką Zet...

Niekiedy fantazja ukazywała mu te sceny tak wyraźnie, że droga i kurz, i szare, monotonnie maszerujące szeregi żołnierzy przestawały dlań istnieć. Szedł z nisko spuszczoną głową, z dziwnym uśmiechem na ustach, oczy jego rozszerzały się i ciemniały, nieruchomo patrząc przed siebie. Przechodził w ten sposób kilka wiorst, niczego nie dostrzegając, a gdy budził się w końcu ze swoich marzeń, był już w zupełnie nowej miejscowości.

Wieczne cienie wydłużyły się. Słońce stało na samym skraju widnokregu, purpurowo barwiąc unoszący się w powietrzu kurz. Droga zaczęła się wznosić pod górę. Daleko na horyzoncie ukazała się ciemna linia lasu i niewyraźne kontury zabudowań.

Z przodu nadciągał w kierunku oddziału nie kończący się chłopski tabor. Chłopi podjeżdżając do żołnierzy powoli, jeden za drugim, zawracali z drogi swoje olbrzymie, szare, leniwe woły o wygiętych rogach i zdejmowali czapki. Wszyscy jak jeden byli boso, w szerokich płóciennych spodniach i w płóciennych koszulach. Z rozpiętych kołnierzy wystawały obnażone szyje, ciemnobrązowe od opalenizny, pokryte niezliczonymi, drobnymi zmarszczkami.

W miarę, jak żołnierze przechodzili koło taboru, z szeregów padały niecierpliwe pytania:

- Ojczulku, daleko jeszcze do Nagornej?
- Kumie, ile wiorst zostało do Nagornej?
- Ej, braciszku, czy to Nagorną tam widać?

Chłopi leniwie, z namysłem odpowiadali, że do Nagornej „wiorst

trzy albo cztery będzie może z hakiem". Żołnierze nabierali otuchy, podnosili wyżej głowy i mimo woli przyspieszali krok.

Po piętnastu minutach błysnęła w dole, w głębokiej kotlinie, szeroka, błękitna wstęga rzeki. Słońce zaszło. Zachód płonął pożarem jaskrawopurpurowych i ogniścieżłoty barw; te ciepłe tony zmieniały się nieco wyżej w popielato-czerwone, żółte i pomarańczowe odcienie i tylko postrzępione brzegi kapryśnych obłoków mieniły się roztopionym srebrem; jeszcze wyżej ciemnoróżowe niebo niedostrzegalnie przechodziło w delikatny, seledynowy, prawie turkusowy kolor. Cienki sierp nowiu, blady, ledwo widoczny, stał pośrodku nieba; pierwsze gwiazdy zaczynały nieśmiało błyskać w górze.

— Panowie oficerowie, na miejsca! Dobosze, marsz! — krzyknął na przedzie oddziału komendant głośnym, rozkazującym głosem.

Jeden za drugim, w różnych punktach długiej kolumny, głucho zawarczały bębny. Żołnierze szybko ustawiali się w szeregi, poprawiając w marszu plecaki wstrząsaniem ramion i pleców i podskakując, by uchwycić takt. Oficerowie w pośpiechu odnajdowali swoje miejsca, przyłączając się do oddziału z obnażonymi szablami.

Droga stała się jeszcze bardziej stroma. Od rzeki powiało wilgotnym chłodem. Wkrótce stary drewniany most zadrżał i zakoleysał się pod ciężkim, drobnym tupotem nóg. Pierwszy batalion przeszedł już przez most, wydostał się na wysoki, stromy brzeg i wchodził przy dźwiękach orkiestry do wsi. W ożywionych i wyrównanych szeregach panował zgiełk.

— Fiedorczuk, nie kurz... Podnoś nogi, sukinsynie.

— No co, Szapowałow, sprytna baba trafiła się w Zimowicach, co? Jak ona, bracie mój, zamachnie się na niego warząchwią!

— Nie zaczepiaj.

— Bardzo zwyczajnie. Bo on zaraz z rękami.

— To już murowane, chłopcy: jeśli wieczorem niebo jest czerwone, jutro będzie wiatr.

— Ej, trzeci pluton, kto fasuje chleb? Uważajcie, niech was diabli, znów przegapicie!

— Potrzymaj, brachu, karabin, poprawię płaszczy. A dobra to rzecz te manewry! Dużo lepiej tu niż, na przykład, w kompanijnej szkole.

— Nie zostawać tam, czwarty pluton! Zdechłaki!

Ze wzgórza widać było całą wieś. Białe lepianki, tonące w wiśniowych sadach, rozciągały się szeroko w ogromnej dolinie i na jej zboczach. Przed chaty, stojące na skraju wioski, wysypał się pstry tłum, przeważnie kobiet i dzieci, by przyjrzeć się „Moskałom”. Zapiewało 11 kompanii, kapral Noga, najlepszy śpiewak w całym pulku, wyskoczył naprzód nie czekając na rozkaz, odnalazł takt, spojrzął za siebie na idących za nim żołnierzy, zesunął czapkę na tył głowy i z niedbale ponurym wyrazem twarzy, przesadnie szeroko machając prawą ręką, zaśpiewał:

*Sroga zima już przechodzi,
Wiosna znów się ludziom śni,
Wiosna znów się ludziom śni,
Żołnierzowi serce drży.*

Sto zdrowych głosów potężnie podchwyciło refren. Każdy żołnierz, przechodząc z pozornie obojętną miną przed oczyma zdumionego tłumu, czuł się w tym momencie bohaterem. „To samo chłopstwo, czyż oni w ogóle mają o czymś pojęcie? Dla nich służba wojskowa jest straszniejsza od diabła: biją tam, powiada, na ćwiczenia pędzą i z karabinów strzelają, i na wojnę z Turkami prowadzą. A ja tego wcale się nie boję, gwiżdżę na wszystko, a na was, chłopów, nie zwracam żadnej uwagi, bo nie mam dla was czasu, bo jestem zajęty swoją żołnierską sprawą, największą i najważniejszą sprawą świata.”

Awilow czytał tę myśl na wszystkich twarzach, zaczynając od zapiewających a kończąc na ostatnim, tatarskim maruderze. Mimo woli przenikała go również świadomość jakiejś surowej dziarskości — szedł lekkim, płynnym krokiem, wysoko podnosząc głowę i wypinając pierś.

*Z ćwiczeniami ciągle bieda,
Nic nie zrobisz, tak już czeba!*

straszliwym falsetem zawodził Noga, w junackim zapale zniekształcając słowa. Nikt już nie myślał o otartych nogach ani o plecakach zginających grzbiety. Ludzie już dawno z daleka poznali „swoich“ czterech kwatermistrzów, zbliżających się na spotkanie kompanii, by ulokować ją natychmiast w wyznaczonych zagrodach. Jeszcze kilka kroków i plutony rozeszły się, jakby się roztopiły po różnych zaułkach wsi, podążając za swoimi kwatermistrzami ze śmiechem i nie milkącymi żartami.

Awilow niechętnie i leniwie dowlókł się do wrót, na których widniał napis grubo narysowany kredą: „Kwaterna Porucznika Awelowa“. Przydzielony Awilowowi dom różnił się wyraźnie od otaczających go chatek swoimi rozmiarami, białością ścian i blaszanym dachem. Połowa podwórka zarośnięta była gęstą, wysoką kukurydzą i ogromnymi słonecznikami, pochylonymi do ziemi pod ciężarem swoich żółtych czap. Koło okien pięły się długie, cienkie malwy. Ich bladoróżowe i czerwone kwiaty pokrywały prawie całą ścianę.

Ordynans Awilowa, Nikifor Czurbanow — zręczny, wesóły i brzydki jak małpa żołnierz — rozdmuchiwał na ganku samowar zdjętym z nogi butem. Gdy zobaczył swego pana, rzucił but na ziemię i wyprężył się.

— Ile razy mówiłem ci, żebyś nie rozdmuchiwał butem — powiedział z odrazą Awilow. — Pokaż, jak tu przejść.

Ordynans otworzył drzwi po prawej stronie sieni. Pokój był obszerny i jasny; na oknach wisiały czerwone perkalikowe firanki; tym samym tanim perkalem obite były również krzesła i kanapa; na czysto pobielanych ścianach widniało mnóstwo fotografii w drewnianych ażurowych ramkach i dwa oleodruki; pod ścianą stała brzuchata komódka, nad którą znajdowało się kwadratowe zamglone lustro, a w kącie pokoju niezwykle wysokie podwójne łóżko z całą piramidą poduszek — od wielkiej, na całą szerokość łóżka, do maleńkiego jaśka. Pachniało miętą, lubczykiem i cząbrem. Na Ukrainie wtyka się zwykle za obrazy pęki tych ziół „dla zapachu“.

Awilow ściągnął buty o brzeg łóżka i położył się zakładając ręce pod głowę. Odczuwał jeszcze większe znużenie niż w czasie

marszu. „No, przyszliśmy już i co z tego? — myślał patrząc w jeden punkt na suficie. — Nie ma co czytać, nie ma z kim pogadać, żadnego zajęcia. Człowiek przyjdzie, wyciągnie się jak zmęczone bydlę, wyśpi, i znowu jutro idź, a potem znowu do łóżka, i znowu trzeba iść, i tak ciągle... Może by tak zachorować i dostać się do szpitala?”

Nadciągał zmierzch. Gdzieś blisko, za ścianą pośpiesznie tykał zegar. Z podwórka słysząc było, jak Nikifor całą piersią, długo nie nabierając powietrza, dmucha na węgle w samowarze. Awilow pomyślał nagle, że dobrze byłoby się wykapać.

— Nikifor! — krzyknął głośno.

Nikifor wszedł prędko do pokoju, stukając butami, które już włożył, z trzaskiem zamknął drzwi i stanął na progu.

— Rzeka tu jest? — zapytał Awilow.

— Tak jest.

— A gdyby tak się wykapać? Jak myślisz?

— Tak jest, można, wasza wielmożność — zgodził się natychmiast ordynans.

— Mów, jak to wygląda. Może brudna woda?

— Tak jest, strach — jaka brudna, wasza wielmożność. Wprost same błoto. Niedawno kawaleria konie poila, to konie pić nie chcą.

— Ależ i dureń! Powiedz mi taką rzecz...

Awilow zaciął się. Nie wiedział sam, o co zapytać. Po prostu nie chciało mu się zostawać samemu.

— Powiedz mi... Gospodyni ładna?

Ordynans zaśmiał się, otarł rękawem usta i ze speszoną miną odwrócił głowę do ściany.

— No? — niecierpliwie wtrącił Awilow.

— Tak jakoś... Trudno powiedzieć... Niczego sobie, wasza wielmożność, ładna... do mniszki podobna.

— A mąż stary? Młody?

— Nie bardzo stary, wasza wielmożność. Tak jest, młody. Jako pisarz tu mąż jejny pracuje.

— Jako pisarz? A czemuż ona do mniszki podobna? Rozmawiałeś z nią?

— Tak jest, rozmawiałem. Mówię do niej: patrzcie, zaraz mój pan przyjedzie, to żeby tutaj wszystko w porządku było.

— No a ona?

— Ona nic. Obróciła się, tak i poszła sobie. Zła.

— A mąż jej w domu?

— W domu. Tylko tera nie ma go — poszedł gdzieś.

— No, dobrze. Dawaj samowar i pójdz do gospodyni, powiedz, że proszę ją na szklankę herbaty. Rozumiesz?

Po kilku minutach Nikifor wniósł samowar i zapalił świece. Zaparzając herbatę powiedział:

— Byłem, według rozkazu... u gospodyni...

— No i co?

— Powiedziałem.

— No?

— Mówi do mnie: zostawcie mnie, bardzo proszę, w spokoju. Żadnej, mówi, waszej herbaty mnie nie trzeba.

— A diabli z nią! — orzekł Awiłow ziewając. — Nalewaj herbatę!

W milczeniu zjadł zimną wołowinę i jajka, napił się herbaty. Nikifor usługiwał mu także w milczeniu. Gdy oficer wypił herbatę, ordynans zabrał ze sobą do swojej szopy samowar i resztki kolacji.

Awiłow rozebrał się i położył. Jak zawsze po dużym zmęczeniu nie mógł zasnąć. Zza ściany słychać było, jak przedtem, monotonne tykanie zegara i jakiś dziwny szmer, sprawiający wrażenie rozmowy prowadzonej przez dwoje ludzi prędkim i gniewnym szeptem. Za oknem, wprost przed oczyma Awiłowa, na granatowym tle nieba wyraźnie rysowała się niedaleka, piramidalna to-pola, kształtna, wysmukła i ciemna, a obok niej — jaskrawo żółty księżyc. Gdy tylko Awiłow próbował zamknąć powieki, wyłaniał się przed nim natychmiast nużący obraz marszu: szare, zmięte pola, żółty kurz, zgięte pod plecakami postacie żołnierzy. Na chwilę tracił świadomość, a kiedy znowu otwierał oczy, wydawało mu się, że przed chwilą spał, ale jak długo — minutę, czy godzinę — nie wiedział. W końcu udało mu się rzeczywiście zasnąć lekkim, płochliwym snem, lecz i we śnie słyszał szybkie tykanie wahadła za ścianą i widział jednostajną, całodzienną drogę.

Po półtorej mniej więcej godzinie Awiłow poczuł nagle znowu, że leży z otwartymi oczami, i znów sobie stawiał pytanie: czy spał, czy była to tylko jedna sekunda zupełnej niepamięci, braku myśli? Księżyc nie żółty już, ale srebrny, podniósł się do samego czubka topoli. Niebo stało się jeszcze bardziej granatowe i zimne. Czasem przez księżyc przebiegał biały i lekki jak pajęczyna obłoczek i rozjaśniał się nagle pomarańczowym blaskiem. Szybki, gniewny szept, który Awiłow poprzednio słyszał za ścianą, przeszedł teraz w powstrzymywaną, lecz dosyć głośną rozmowę, sprawiającą wrażenie kłótni, lada moment gotowej wybuchnąć złymi krzykami. Awiłow zaczął nasłuchiwać. Kłóciły się dwa głosy: męski głos — niski, to drżący, to głuchy, jakby się wydobywał z beczki, głos, jaki zdarza się tylko u suchotniczych pijaków, i kobiecy — bardzo łagodny, młody i smutny. Głos ten na chwilę wywołał w Awiłowie jakieś dalekie zamglone wspomnienie, lecz tak niejasne, że nawet nie zastanowił się nad nim.

— Spać ci nie daję? — zapytywał mężczyzna z jadowitą ironią. — Spać ci się chce? A jeśli ty mnie snu pozbawiłaś może na całe życie? To nie? Co? Och, podła! Spać ci się chce? Ach, ty lajdaczko, ty śmiesz jeszcze chodzić po bożym świecie? Ty...

Mężczyzna zaniósł się nagle głuchym, urywanym kaszlem. Awiłow przez dłuższy czas słyszał, jak tamten pluł, chrypiał i przewracał się na łóżku. Wreszcie udało mu się opanować kaszel.

— Tobie spać się chce, a ja, jak owieczka, kaszlę przez ciebie... Czekaj tylko, ty i do grobu prędko mnie wpędzisz... Wtedy wyśpisz się, żmijo.

— Po co tę wódkę pijecie, Iwanie Sydoryczu — odrzekł smutny i łagodny kobiecy głos. — Nie pilibysście, to i w piersi by nie bolało.

— Nie pić? Nie pić, ty mówisz? A cóż to? Twoje pieniądze wydaję w knajpie, czy co? Odpowiadaj, twoje?

— Swoje, Iwanie Sydoryczu — pokornie i cicho odpowiedziała kobieta.

— Przyniosłaś do domu chociaż grosz, gdy ciebie brałem? Co? Chociaż złamany szeląg?

— Przecież sami wiedzieliście, Iwanie Sydoryczu, że byłam

biedną dziewczyną, nie miałam skąd wziąć. Gdyby moi rodzice byli bogaci...

Mężczyzna zachichotał nagle złym, pogardliwym śmiechem i znów się rozkaszał.

— Byłaś biedna? — zapytał jadowitym szeptem, oddychając z wysiłkiem. — Bie-edna? Dla mnie to nieważne, że biedna. A ty wiesz, co jest bogactwem dziewczyny? Wiesz to?

Kobieta milczała.

— Uchowanie czystości, oto jej bogactwo! Cze-ęś! Nie słyszałaś tego słowa? Co? Pytam się ciebie, słyszałaś to słowo, czy nie? No?

— Słyszałam, Iwanie Sydoryczu...

— Kłamiesz, nie słyszałaś. Gdybyś je słyszała, sama byś zachowała swoją cześć. A tak, co było, gdy wziąłem cię za żonę? No?

— Ja jak przed Bogiem, Iwanie Sydoryczu... Moja вина... Piąty rok już proszę o przebaczenie.

Zapłakała cicho, cieniutko i żałośnie. Ale jej łzy jeszcze bardziej rozdrażniły męża. Wprawiły go we wściekłość.

— I dziesięć lat proś — nie przebaczę. Nigdy ci, łajdaczko, nie przebaczę. Słyszysz, nigdy! Czemu się nie przyznałaś? Czemu mnie oszukiwałaś? Aha! Wydawało ci się, że będę kryć cudze grzechy. Ot, znalazł się głupi, myśli sobie, dzięki Bogu, wystarczy mu, gdy się nacieszy cudzymi resztkami. A wiesz ty o tym, bydlę jedno, że mogłem się ożenić z kupiecką córką, gdyby nie ty... Ja bym teraz karierę zrobił. Ja bym...

— Przecież to nie ja sama, Iwanie Sydoryczu — odrzekła pochlipując kobieta — nie ze swojej woli wyszłam za męża. Sami dobrze wiecie, jak mama mnie wtedy biła.

Usprawiedliwienie to doprowadziło mężczyznę do szaleństwa. Zakaszał się znowu straszliwie. Między jednym a drugim nawrotem tego kaszlu Awiłow usłyszał cały potok obrzydliwych przekleństw. Potem rozległo się nagle za ścianą przenikliwe i suche trzaśnięcie w policzek, za nim drugie, trzecie, czwarte, a później posypały się w nocnej ciszy bezlitosne, dobrze wymierzone, zawzięte uderzenia. Po jakimś czasie wszystko naraz umilkło. Zapanowała taka cisza, że słyszać było jak czerw drąży drzewo. Awiłow leżał

z szeroko otwartymi oczyma; serce mu biło w przyspieszonym rytmie, poruszone jakimś niejasnym uczuciem grozy, smutku i litości. Potem usłyszał cichy głos kobiety, zagłuszony powstrzymanym płaczem.

— Boże mój, Zbawicielu — zawodziła łkając, zgrzytając zębami i zachłystując się od łez — czemu nie ześlesz mi śmierci? Przecież od pięciu lat... od pięciu lat nie ma nocy, żeby mnie nie lajał. Niechby już zabił mnie od razu, potwór! Za co ty mnie dręczysz? Za co? Czy nie jestem twoją sługą? Twoją niewolnicą? Chociażbyś przez jedną nockę w spokoju mnie zostawił. Jedną tylko noc! Cóż ty sobie myślisz, że ja tamtego, przekłętego, kochałam? Niech go Bóg za mnie haniebną śmiercią pokarze. Gdybym go spotkała, zadusiłabym go, o, tak, zadusiłabym tymi oto palcami! Życie moje zrujnował, łajdak!! Mam dwadzieścia pięć lat, a jestem już jak stara... Sił już nie mam!

Awilow długo słuchał tych rozpaczliwych, namiętnych skarg, usiłując przypomnieć sobie, gdzie słyszał podobny głos, a potem nagle, od razu, nieoczekiwanie zasnął mocnym, zdrowym snem, bez żadnych majaczeń.

Nad ranem ocknął się znowu. Księżyc nie było już widać. Niebo, poprzednio granatowe, stało się teraz jasnoszare. Awilow ze zdziwieniem posłyszał za ścianą te same głosy.

— Kochana moja, droga — mówił mężczyzna wzruszonym, osłabłym głosem — gdyby nie to, jakbym ja ciebie kochał! Nie pozwoliłbym, żeby wiatr cię nawet musnął. Panią byś u mnie była, ot co.

— Ach, Iwanie Sydoryczu, przebaczcie mi już nareszcie... Bądźmy jak ludzie, jak wszyscy... Przecież jestem już tak posłuszna, a nieraz to myśli bym wasze odgadywała...

Nastąpiło milczenie. Awilow usłyszał odgłosy długich pocałunków.

— No, dobrze, dobrze już — powiedział mężczyzna łagodnym, uspokajającym głosem. — Wystarczy już, wystarczy... Ty myślisz, że mnie to słodko? Jakby mi ktoś serce z piersi wyszarpywał... Kochana moja.

I znowu do uszu Awilowa doszedł odgłos długiego pocałunku.

— Tak, teraz mówicie — dobrze — wyszeptała kobieta, lekko zadyszana — a jutro znów... Ile już razy obiecywaliście nie lajać więcej, a potem... Przysięgaliście przed obrazami świętymi tyle razy...

— No, wystarczy, przestań już... Powiedz mi tylko, nie kochasz już przecież tamtego? Prawda?

— Ach, Iwanie Sydoryczu, po co to pytanie? Zarznęłabym go własnymi rękami, gdybym go gdzieś spotkała!

Rozmowa za ścianą ucichła, przeszła w szept, coraz częściej słyszało się pocałunki i stłumiony szczęśliwy śmiech Iwana Sydorycza.

Awilow walczył z sennością, która zaczęła go na nowo ogarniać. Starał się przypomnieć sobie, gdzie słyszał taki sam głos. Chwilami był już bliski przypomnienia, lecz jego myśli rozbiegały się i płatały, jak to zwykle bywa przy zasypianiu. W końcu, przed samym zaśnięciem, przypomniał sobie.

Było to przed sześciu laty. Awilow — niedawno mianowany oficerem — przyjechał wówczas na wakacje do majątku swojego wuja w guberni tulskiej. Nuda była na wsi straszliwa. Awilow stale i usilnie szukał jakiegokolwiek rozrywki. Łapanie ryb, polowania dawno mu dokuczyły, a na jazdę konną było zbyt upalnie.

Pewnego razu, prawdopodobnie z nudów, zwrócił uwagę na pokojówkę wuja, Charitinę, wysoką, silną dziewczynę, cichą i poważną, o wielkich niebieskich oczach, zawsze trochę smutnych. Któregoś wieczoru spotkał Charitinę w sieni i przygarnął ją do siebie. Dziewczyna milcząco odepchnęła jego ręce i odeszła bez słowa. Oficer zmieszał się i oglądając się dookoła przeszedł na palcach do swojego pokoju, z zaczerwienioną twarzą i bijącym sercem.

Po dwóch tygodniach, w upalne, męczące czerwcowe południe Awilow leżał na sianie, na skraju wielkiego gęstego sadu i czytał. Nagle usłyszał lekkie kroki tuż za swoimi plecami. Obrócił się i ujrzał Charitinę, która widocznie go nie zauważyła.

— Dokąd idziesz, Charitino? — zawołał.

Charitina z początku się zlekła, a potem zmieszała.

— Ja tak sobie... kąpałam się tutaj...

Awilow podszedł do niej, trwożnie rozglądając się na wszystkie

strony i nagle objął ją ramionami. Charitina wparła się rękoma w jego pierś i w milczeniu, z opuszczonymi oczyma i wypiekami na twarzy, starała się go od siebie odepchnąć. Oficer coraz mocniej przyciskał dziewczynę, ciężko dysząc i całując gwałtownie jej policzki i włosy...

Charitina broniła się długo z milczącym uporem i złością. Była bardzo silna. Awilow począł słabnąć i chciał już skapitulować, gdy nagle dziewczyna straszliwie pobladła, oczy jej się zamknęły, ręce bezsilnie opadły w dół.

Kiedy ocknęła się, porwał ją histeryczny płacz. Wszystkie słowa pocieszenia i obietnice Awilowa były daremne. W końcu odszedł z sadu, zostawiając Charitinę w szlochach, na trawie.

Charitina nie powiedziała o tym nikomu ani słowa i tylko starannie unikała odtąd spotkania z Awilowem.

Zresztą Awilow po czterech dniach wyjechał, telegraficznie wezwany przez matkę, która niespodziewanie zachorowała.

Od tego czasu nigdy nie spotkał Charitiny. Dopiero teraz lekko mu ją przypomniał kobiecy głos za ścianą, lecz Awilow nie zdążył jeszcze dokładnie zorientować się w swoich wspomnieniach, gdy znowu zasnął mocnym, rannym snem...

— Wasza wielmożność, trzeba wstawać! Trzeba wstawać, wasza wielmożność! Dowódca kompanii już poszedł na zbiórkę! — Nikifor budził rozespanego Awilowa tarmosząc go za ramię, z należytym jednakże szacunkiem.

— Mm... a samowar? — wymamrotał Awilow z trudem otwierając oczy.

— W żaden sposób! Wszystkie rzeczy odesłane: pan feldfebel przykazali. Budzę już pana, panie poruczniku, prawie godzinę: wasza wielmożność raczyła wyłajać mnie i powiedzieli, że herbaty nie trzeba.

Awilow przemógł się wreszcie, szybko wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Bał się spóźnić. W pośpiechu chlusnął parę razy wodą na twarz, błyskawicznie zapiął mundur i pobiegł na miejsce zbiórki, zakładając w biegu futerał od pistoletu i szablę.

Bataliony stały już rzędem, wzdłuż szerokiej ulicy, jeden obok drugiego, w prawidłowych, czarnych czworobokach. Awilow

szybko odnalazł swoje miejsce, starając się odwrócić wzrok od pełnego wyrzutu spojrzenia dowódcy.

Jasne i czyste niebo miało pastelowobłękitny kolor. Lekkie, białe obłoki, oświetlone z jednego krańca różowym blaskiem, leniwie płynęły w przejrzystym przestworzu. Niebo na wschodzie czerwieniło się i płonęło, nieco dalej mieniać się srebrem i masą perłową. Zza widnokregu wyciągały się w górę, jak ogromne, rozcapierzone palce, złote smugi promieni słońca, które jeszcze nie wzeszło.

Po dziesięciu minutach zza prawego skrzydła wyjechał dowódca pułku na wielkim, szarym walachu. Jego głos rażno i dobitnie rozległ się w rannym powietrzu.

— Czołem, pierwszy batalion!

— Czo-pań-pniku! — wesoło i rześko krzyknęło czterysta młodych głosów.

Pułkownik objechał w ten sposób wszystkie bataliony, a później zatrzymał konia przed środkiem pułku, na jakie pięćdziesiąt kroków od pierwszego szeregu, i, odchylając się całym tułowiem do tyłu, z wysoko zadartą głową, wydał rozkaz dziarskim, wesołym głosem:

— Do sztandaru! Ba-aś! Prezentuj broń!

Bataliony brzęknęły karabinami i zamarły w bezruchu. W powietrzu rozległy się ostre, przenikliwe dźwięki bojowego marsza. Pułkowy sztandar, okryty z wierzchu skórzanym futerałem, płynął nad głowami, miarowo kołysząc się w takt muzyki. Nie było widać, kto go niósł. Po chwili sztandar zatrzymał się w miejscu, orkiestra przestała grać.

Pułk wyciągnął się w długą, wąską kolumnę i ruszył naprzód. Żołnierze szli z animuszem, wypoczęci i najedzeni, ciesząc się świeżym, wesołym rankiem. Wszystkim chciało się śpiewać i gdy Noga swoim dźwięcznym, silnym głosem zaciągnął:

*Hej tam spod góry w szeroki świat
Jechał major, młody chwata...*

żołnierze podchwycili refren wyjątkowo zgodnie i ochoczo.

Długą, wijącą się wstęgą mijał pułk, jedną po drugiej, ulice wielkiej wsi. Awiłow z daleka poznał dom, w którym spędził ostatnią noc. Przy furtce stała jakaś kobieta z nosidłem na ramieniu, w ciemnej sukni i białej chustce na głowie. „To na pewno moja gospodyni — pomyślał Awiłow — ciekawe też, jak ona wygląda.“

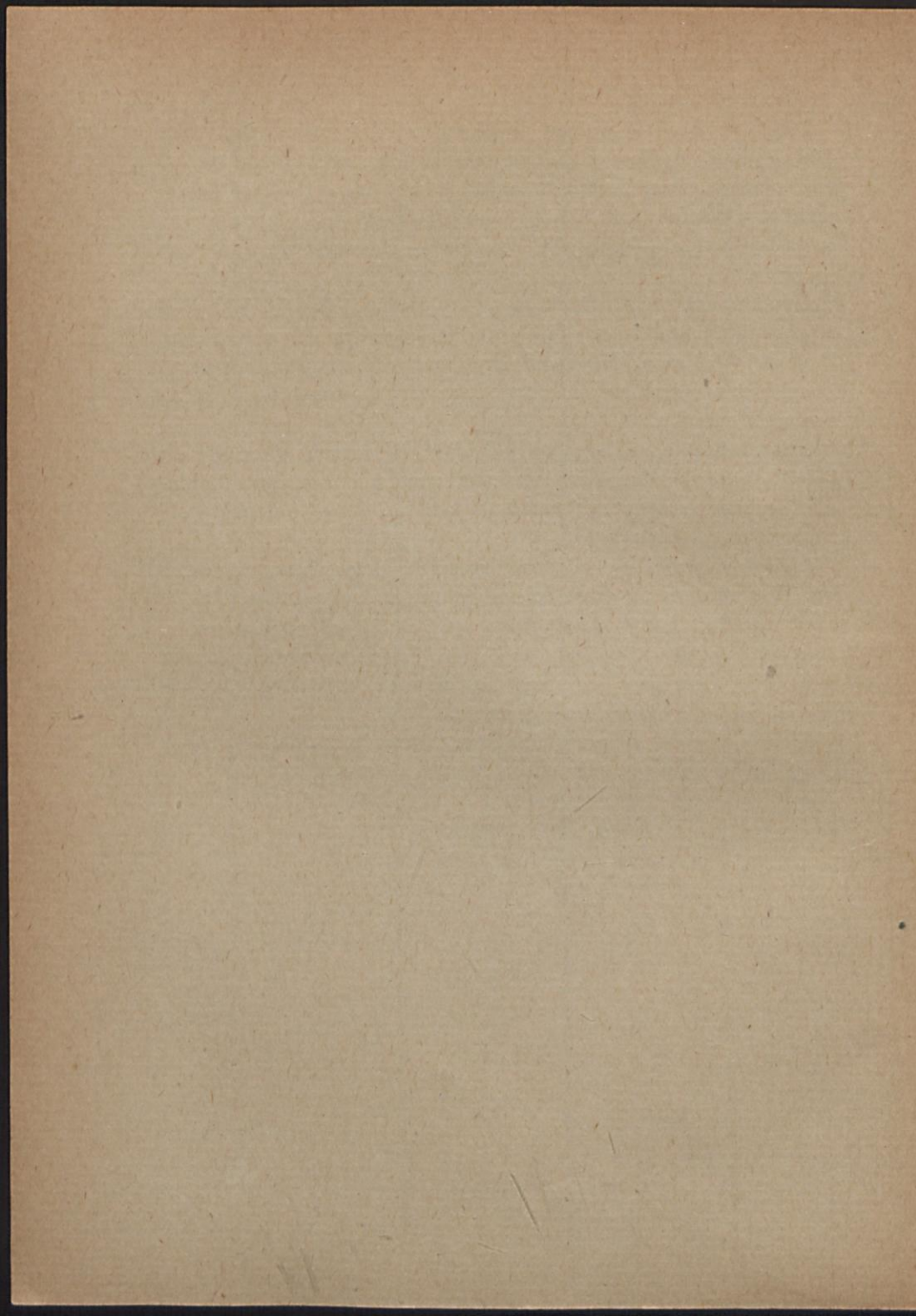
Gdy był już obok niej, kobieta szybko obróciła się, jakby od nagłego wstrząsu, i oczy jej spotkały się ze wzrokiem Awiłowa. Poznał ją od razu. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że to Charitina: te same głębokie, łagodne oczy, ta sama twarz, pełna powagi i smutku.

Ona również poznała go natychmiast. W oczach jej odbiły się kolejno uczucia zdumienia i gniewu, strachu i pogardy... Pobladła, wypuszczając z rąk nosidło i wiadra, które potoczyły się z brzękiem po ziemi.

Awiłow odwrócił się. Ogarnął go nagle przygniatający, ostry żal. Miał wrażenie, że ktoś ścisnął go twardą ręką za serce. I nie wiadomo dlaczego wydał się sobie w tej chwili takim marnym — marnym, nędznym, podłym tchórzem. Czując na swoich plecach spojrzenie Charitiny, skurczył się cały i podniósł w górę ramiona, jakby czekając na uderzenie.

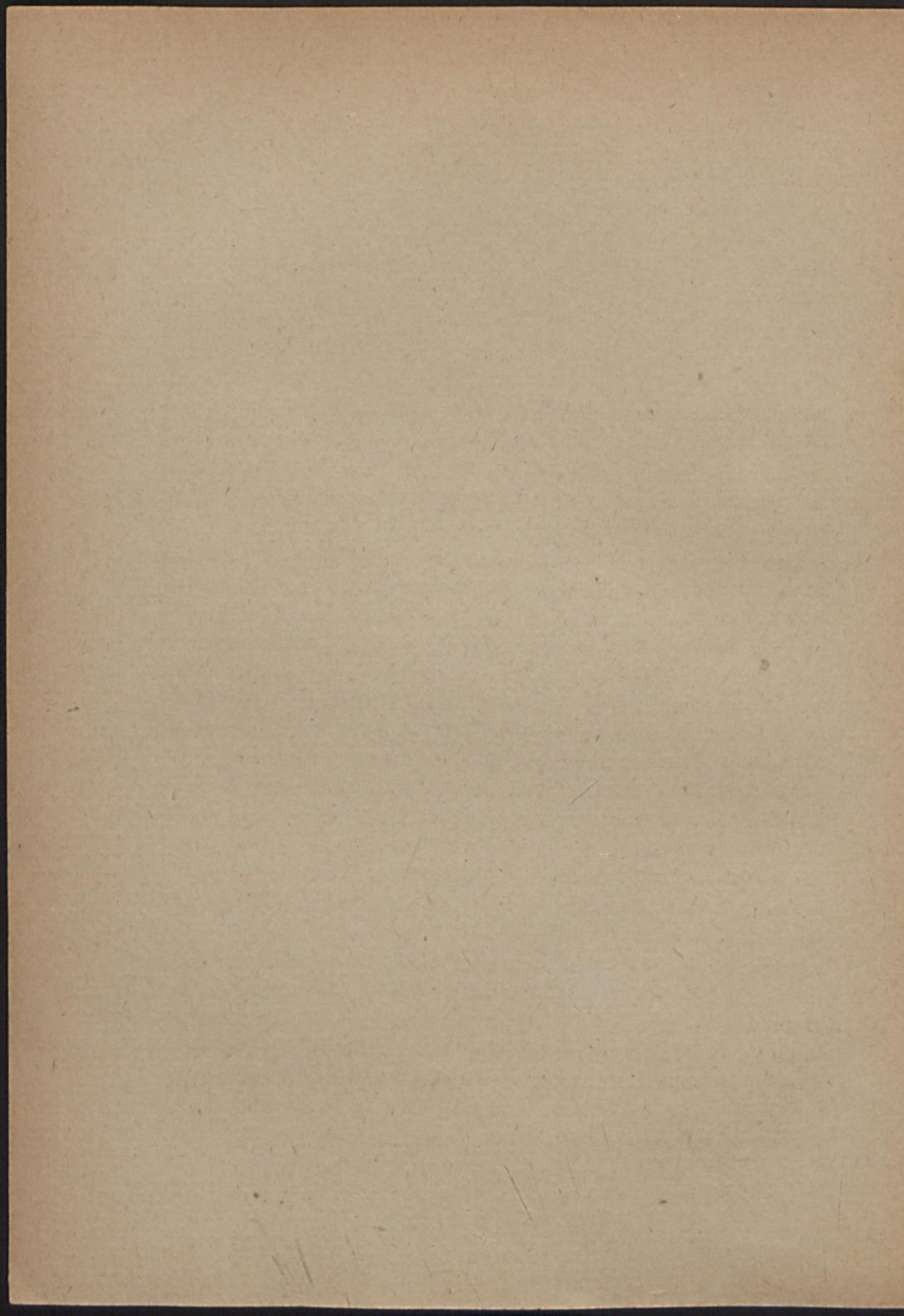
A obok niego — na prawo, na lewo, z przodu, z tyłu — zdrowe głosy darły się z pohukiwaniem, piskiem i przenikliwym gwizdem:

*Witaj, Sasza, witaj, Masza,
Witaj, miła moja ty...*



MOLOCH

Tłumaczył
JAN MIETKOWSKI



I

Syrena fabryczna przeciągle zawyla ogłaszając początek pracy. Wydawało się, że jej głęboki i ochrypły, nieprzerwany ryk wychodzi spod ziemi i rozpościera się nisko nad jej powierzchnią. Był dżdżysty sierpniowy dzień. Mglisty świt nadawał mu surowy odcień smutku i grozy.

Gwizd syreny fabrycznej zastał inżyniera Bobrowa przy herbach. Ostatnio Andrej Iljicz szczególnie cierpiał na bezsenność. Wieczorem kładł się do łóżka z ociężałą głową i co chwilę wzdrygał się, jakby nim coś mocno wstrząsało. Zasypiał wprawdzie dość szybko niespokojnym, nerwowym snem, lecz budził się już na długo przed świtem, zupełnie rozbity, osłabiony i pełen wewnętrznego rozdrażnienia.

Przyczyną tego było, bez wątpienia, nerwowe i fizyczne wyczerpanie oraz stary nałóg zastrzykiwania sobie pod skórę morfiny. Z nałogiem tym Bobrow rozpoczął niedawno uporczywą walkę.

Siedział teraz przy oknie, pijąc małymi łykami herbatę, która wydawała mu się trawiasta i bez smaku. Po szybach bębniły krople deszczu i opadały zostawiając zygzakowate ślady. Na dworze deszcz marszczył i siekł kałuże. Przez okno widać było małe kwadratowe jezioro, otoczone, niby ramą, włochatymi krzakami, łóz o niskich nagich pniach i szarej zieleni. Podmuchy wiatru podnosiły na powierzchni jeziora krótkie drobne fale, które nabrzmiewały i biegły jakby w pośpiechu. Liście łóz trzepotały się wtedy, połyskując srebrną siwizną. Wyblakłą trawę deszcz przygniótł do samej ziemi. Domy najbliższej wioszczyny, zębata linia lasu ciemniejąca na horyzoncie, pole pocięte czarnymi i żół-

tymi latami — wszystko to rysowało się szaro i niewyraźnie, jak we mgle.

Była siódma, gdy Bobrow włożył swój ceratowy płaszcz z kapturem i wyszedł z domu. Jak wielu nerwowych ludzi czuł się bardzo źle z rana; w ustach miał niesmak, ciało było osłabione, w oczach klął tępy ból, sprawiający wrażenie, że coś je silnie naciska od zewnątrz. Jednak najmocniej odczuwał tę wewnętrzną duchową rozterkę, którą zauważył w sobie od pewnego czasu. Koledzy Bobrowa, inżynierowie patrzący na życie po prostu, wesoło i praktycznie, wyśmieliby z pewnością to wszystko, co sprawiało mu tyle utajonych cierpień, i w żadnym wypadku nie mogliby go zrozumieć. Każdego dnia narastała w nim coraz większa i większa odraza, prawie lęk przed pracą w fabryce.

Rodzaj jego umysłowości, przyzwyczajenia, zainteresowania skłaniały go do tego, by poświęcić się zajęciom biurowym, działalności nauczycielskiej lub pracy na roli. Praca inżyniera nie odpowiadała mu i gdyby nie uporczywe nalegania matki, przerwałby naukę już w trzecim roku studiów.

Jego łagodna, prawie kobieca natura boleśnie odczuwała każde zetknięcie z twardą rzeczywistością, z jej codziennymi, lecz surowymi prawami. Porównywał sam siebie, w tym wypadku, do człowieka, z którego zdarto skórę. Nieraz drobiazgi, nie zauważone przez innych, przynosiły mu głębokie i ciężkie strapienia.

Powierzchnowość Bobrow miał skromną, nie rzucającą się w oczy. Był dosyć szczupły, niewielkiego wzrostu, lecz czuło się w nim nerwową, gwałtowną siłę. W jego twarzy najbardziej przyciągało uwagę szerokie, piękne czoło. Żrenice nie miały jednakowej wielkości, były nieco rozszerzone i tak duże, że jego szare oczy robiły wrażenie czarnych. Gęste, nierówne brwi, zrosnięte nad nosem, nadawały tym oczom surowy i jakby ascetyczny wyraz. Wargi miał nerwowe i wąskie, trochę niesymetryczne: prawy kąt ust znajdował się nieco wyżej niż lewy. Wąsy i broda były małe, rzadkie i jasne jak u chłopaka. Wdzięk brzydkiej właściwie twarzy Bobrowa polegał tylko na uśmiechu. Kiedy się śmiał, oczy jego stawały się tklive i wesołe a twarz pociągająca.

Bobrow przeszedł pół wiorsty i wydostał się na wzgórze. Wprost

pod jego nogami wyrosła panorama fabryki rozciągającej się na przestrzeni pięćdziesięciu wiorst kwadratowych. Było to całe miasto z czerwonej cegły, pokryte lasem sterczących w górę, zakopconych kominów, pełne zapachu siarki i swędu rozpalonego żelaza, tętniące ustawicznym hukiem. Nad fabryką panowały dziwaczne kominy czterech wielkich pieców. Obok nich wznosiło się osiem aparatów Cowpera, rozprowadzających ogrzane powietrze — osiem ogromnych żelaznych baszt, uwieńczonych okrągłymi kopułami. Dookoła wielkich pieców rozciągały się inne zabudowania fabryczne: warsztaty naprawy, odlewnia, płucz-karnia, parowozownia, walcownia szyn, piece martenowskie i pudlarskie itd.

Fabryka położona była na trzech ogromnych placach schodzących tarasami w dół. We wszystkich kierunkach pelzały tu małeńkie parowozy. Ukazywały się na samym dole i biegły z prze-raźliwym świstem do góry, niknęły na kilka sekund w tunelach, aby wyskoczyć stamtąd za chwilę w chmurze białego dymu, dudniły po mostach i w końcu przelatywały, jak w powietrzu, po kamiennych wiaduktach, zrzucając rudę i koks wprost do wiel-kiego pieca.

Dalej, poza ostatnim tarasem, oczy gubiły się w chaosie pa-nującym na terenie budowy piątego i szóstego wielkiego pieca. Wydawało się, że jakiś potworny, podziemny wybuch wyrzucił na powierzchnię te niezliczone góry żwiru i cegieł o różnej wiel-kości i różnego koloru, piramidy piasku, stosy kamieni, żelaznych sztab i drzewa. Można by przypuścić, że ktoś nagromadził to wszystko przypadkowo i bez sensu. Krzątało się tu tysiące ludzi, uwijały się setki furmanek, jak mrówki w rozkopanym mrowisku. Gryzący wapienny pył unosił się białą mgiełką w powietrzu.

Jeszcze dalej, na samym skraju widnokregu, robotnicy tłum-nie cisnęli się koło długiego towarowego pociągu, wyladowując wagony. Po pochyłych deskach, przystawionych do drzwi wago-nów, nieprzerwanym potokiem toczyły się na ziemię cegły; z brzę-kiem padało żelazo; cienkie deski leciały w powietrzu, wyginając się i prężąc w locie. Puste furmanki ciągnęły w stronę pociągu, inne wracały stamtąd długim szeregiem, naładowane po brzegi.

Tysiące dźwięków łączyło się tutaj w przeciągłą, falującą wrzawę: cienkie, czyste i twarde dźwięki mularskich dłut, donośne uderzenia robotników zaklepujących nity na kotłach, ciężki łoskot parowych młotów, potężne westchnienia i świst parowych rur, od czasu do czasu głuche podziemne wstrząsy, od których drżała ziemia.

Był to straszny, lecz porywający obraz. Praca ludzka kipiała jak ogromny, skomplikowany i prawidłowy mechanizm. Zebrało się tu tysiące ludzi z różnych krańców ziemi — inżynierowie, kamieniarze, mechanicy, cieśle, ślusarze, kopacze, stolarze i kowale. Podporządkowani żelaznemu prawu walki o byt, oddawali swoje siły, zdrowie, umysł i energię za jeden choćby krok naprzód w dalszym rozwoju przemysłu.

Tego dnia Bobrow czuł się wyjątkowo źle. Od czasu do czasu, zresztą bardzo rzadko — trzy lub cztery razy do roku — wpadał w dziwaczny, melancholijny i pełen rozdrażnienia nastrój. Zdarzało się to zwykle w pochmurne jesienne ranki i wieczory lub w czasie zimowych roztopów. W jego oczach wszystko stawało się wówczas niezajmujące i bezbarwne, ludzkie twarze były mętne, brzydkie lub chorobliwe, słowa dźwięczały z daleka, nie wywołując nic oprócz nudy. Gdy obchodził walcownię, szczególnie rozdrażniały go dzisiaj blade, umazane węglem i wysuszone w ogniu twarze robotników. Odczuwał jakby część ich fizycznych cierpień patrząc na ich uporczywą pracę w momencie, kiedy ciała oblewał żar rozpalonej masy żelaza, a z szerokich drzwi dął przesywający jesienny wiatr. Było mu wtedy wstyd i swego wypielegnowanego wyglądu, i cienkiej bielizny, i trzech tysięcy rocznej pensji...

II

Bobrow stał koło pieca do wytapiania stali i przyglądał się. Co chwilę otwierała się szeroka, olbrzymia, gorejąca gardziel pieca wchłaniającego jedną za drugą dwudziestopudrowe „paczki“ rozżarzonej do białości stali, wyjętej co dopiero z płomienicowych pieców.

W ciągu kwadransa stalowe bryły przechodziły ze straszny łośkotem przez dziesiątki obrabiarek, a potem składano je na drugim końcu warsztatów, już jako długie i gładkie, błyszczące szyny.

Ktoś położył rękę na ramieniu Bobrowa. Obrócił się niechętnie. Stał za nim jeden z kolegów, nazwiskiem Świeżewski. Bobrow nie lubił tego człowieka. Świeżewski miał zawsze zgiętą postać, jakby przyczajoną lub wyrażającą gotowość do ukłonu, wечно chichotał i zacierał chłodne, spocone ręce. Jego przymilność łączyła się z ukrytą złośliwością. Zawsze szybciej niż inni znał fabryczne plotki i opowiadał je ze szczególnym zadowoleniem osobom, dla których były najbardziej nieprzyjemne. W czasie rozmowy kręcił się nerwowo i co chwilę chwycił rozmówcę za ramiona, ręce lub guziki.

— Cóż to pana, koleżko, tak długo nie było widać? — zapytał Świeżewski chichocząc i mniąc w swoich rękach dłoń Andreja Iljicza. — Siedzi pan ciągle i czyta książki? Ciągłe książki?

— Dzień dobry — powiedział niechętnie Bobrow cofając rękę. — Po prostu źle się czułem ostatnio.

— U państwa Zinienko wszyscy stęsknili się za panem — ciągnął znacząco Świeżewski. — Dlaczego pan do nich nie zagładnie? Był tam przed trzema dniami dyrektor i dopytywał się o pana. Rozmowa zesłała jakoś na temat wielkich pieców i przy tej okazji dyrektor wyrażał się o panu bardzo pochlebnie.

— Jestem niezmiernie zaszczycony — skłonił się Bobrow z ironią.

— Nie, poważnie... Mówił, że kierownictwo bardzo pana ceni jako inżyniera o dużej wiedzy fachowej i że pan, gdyby tylko zechciał, mógłby zająć bardzo wysoko. Według jego opinii nie należało by w ogóle powierzać Francuzom opracowania projektu budowy fabryki, jeśli w kraju są ludzie tak doświadczeni jak Andrej Iljicz. Tylko...

„Teraz powie coś nieprzyjemnego“ — pomyślał Bobrow.

— Tylko, powiada, niedobrze, że pan trzyma się tak na uboczu i sprawia wrażenie człowieka zamkniętego w sobie. Trudno pojąć, kim pan jest w rzeczywistości, i ostatecznie człowiek nie wie,

jak się do pana ustosunkować. Aha! — Świeżewski stuknął się nagle w czoło. — Ja tu gadam, a zapomniałem panu powiedzieć o najważniejszym... Dyrektor prosił, by wszyscy koniecznie stawili się na dworcu jutro o dwunastej.

— Znowu będziemy kogoś witać?

— Racja, rzeczywiście. Niech pan zgadnie, kogo?

Twarz Świeżewskiego przybrała chytry i tryumfujący wyraz. Zacierał ręce i widać było, że odczuwał duże zadowolenie, iż ma jeszcze jedną okazję do zakomunikowania ciekawej nowiny.

— Naprawdę nie wiem, kogo... Nie jestem w ogóle mistrzem w zgadywaniu — powiedział Bobrow.

— Nie ma tak dobrze, kochasiu, proszę zgadnąć... No, niech pan wymieni jakieś nazwisko, chociaż tak na chybił-trafił...

Bobrow umilkł i z przesadną uwagą przyglądał się pracy parowego dźwigu. Świeżewski zauważył to i zaczął się wiercić jeszcze bardziej niż poprzednio.

— Za nic nie chce pan powiedzieć... No to już nie będę pana dłużej dręczyć. Czekają na samego Kwasznina.

Nazwisko to wypowiedział takim służalczym tonem, że Bobrow poczuł wstręt.

— Cóż pan w tym widzi tak wyjątkowo ważnego? — zapytał niedbale Andrej Iljicz.

— Jak to, co ważnego? Zlituj się, człowieku. Przecież on w zarządzie robi co chce; słuchają go jak wyroczni. Ot i teraz: zarząd upoważnił go do przyśpieszenia robót, to znaczy, innymi słowy, on sam wystawił sobie na to upoważnienie. Zobaczysz pan, jakie gromy i błyskawice tu się posypią, kiedy przyjedzie. W ubiegłym roku Kwasznin oglądał budowę — zdaje się, że to było jeszcze przed pana przybyciem. Dyrektor i czterech inżynierów wyleciało wtedy jak z procy. U pana rozpalanie¹ prędko się skończy?

— Tak, już prawie skończone.

¹ Rozpalaniem wielkiego pieca nazywa się rozgrzewanie go przed rozpoczęciem jego pracy do temperatury topienia się rudy, tj. około 1600°C. Okres pracy wielkiego pieca nazywa się „kampanią”. Rozpalanie trwa nieraz kilka miesięcy. (Przyp. aut.)

— To w porządku. Będziemy mogli więc w obecności Kwasznina obchodzić uroczystość otwarcia wielkiego pieca i początek murarskich robót. Czy pan widział kiedykolwiek Kwasznina?

— Nie, nigdy. Nazwisko, oczywiście, słyszałem...

— A ja miałem już przyjemność poznać go. Mówię panu, to taki typ, jakiego pan więcej nie zobaczy. Zna go cały Petersburg. Przede wszystkim — jest tak gruby, że ręce nie schodzą mu się na brzuchu. Nie wierzy pan? Słowo daję. Ma nawet taką specjalną karotę, w której cała prawa strona otwiera się na zawiasach. Jest przy tym ogromnego wzrostu i ryży, a głos ma jak trąba jerychońska. Ale co za głowa! Boże drogi! Należy do zarządu wszystkich towarzystw akcyjnych... Dostaje dwieście tysięcy tylko za siedem posiedzeń w roku! Lecz za to nikogo lepszego nie znajdziesz, gdy na walnych zebraniach trzeba ratować sytuację. Potrafi tak przedstawić akcjonariuszom najbardziej niepewne sprawozdanie roczne, że czarne wydaje im się białym i nie wiedzą potem, jak wyrazić zarządowi swoją wdzięczność. Najciekawsze jest to, że on z zasady nie zna w ogóle sprawy, o której mówi, i wygrywa po prostu tupetem. Gdy pan posłucha go jutro, pomyśli pan z pewnością, że on przez całe życie zajmował się tylko wielkimi piecami, a w rzeczywistości ma o nich tyle pojęcia, co ja o sanskrycie.

— Tra-ra-ra-ra-ram! — fałszywie i rozmyślnie niedbale zaśpiewał Bobrow odwracając się od Świeżewskiego.

— Ot... nie trzeba lepiej... Wie pan, jak on przyjmuje w Petersburgu? Siedzi nago w wannie, zanurzony po szyję, tylko jego ryża głowa wystaje z wody — i słucha. Jakiś tam tajny radca stoi przed nim, uniżenie zgięty, i zdaje relację... Żarłok z niego straszny... i rzeczywiście umie zjeść; we wszystkich lepszych restauracjach znane są bitki *à la* Kwasznin. A już o kobietach to lepiej nie mówić. Przed trzema laty zdarzył się z nim przekomiczny wypadek.

Widząc, że Bobrow zbiera się do odejścia, Świeżewski chwycił go za guzik i błagalnie szepnął:

— Niech pan pozwoli... to takie śmieszne... postaram się szybko... w dwóch słowach. Widzi pan, sprawa wyglądała tak.

Jakieś trzy lata temu, jesienią, przyjeżdża do Petersburga pewien ubogi młody człowiek — urzędnik, zdaje się, nazwiskiem... znałem nawet jego nazwisko, ale nie mogę sobie teraz przypomnieć. Każdego ranka młody człowiek biega po urzędach, by załatwić sprawę jakiegoś spornego spadku, a wracając wchodzi sobie do parku posiedzieć trochę na ławeczce... Siedzi tak, panie, trzy dni, cztery, pięć i widzi, że o tej samej porze codziennie przechadza się po parku jakiś ryży, bardzo otyły jegomość! Zawierają znajomość. Ryży, którym był Kwasznin, wypytuje młodego człowieka o wszystkie jego kłopoty, stara się w nich brać udział, współczuje... Jednakże nazwiska swego, panie, nie podaje. Wreszcie pewnego razu ryży oznajmia młodemu człowiekowi: „Czy pan by się zgodził ożenić z pewną osobą pod takim warunkiem, że natychmiast po ślubie musiałby pan rozstać się z nią i więcej jej nie widywać?“ A młody człowiek akurat w tym czasie omal z głodu nie umierał. „Zgadzą się — powiada — zależy to tylko od wysokości wynagrodzenia. I pieniądze — z góry.“

Jak pan widzi, ten młody człowiek, panie, był nie w ciemnie bity. Dogadali się. Po tygodniu ryży ubiera młodego człowieka we frak i, ledwo świt, wiezie go gdzieś za miasto do cerkwi. Ludzi nie widać; panna młoda już czeka, jest cała zawoalowana, lecz mimo to można dostrzec, że jest młodziutka i ładna. Zaczyna się ślub. Młody człowiek spostrzega jednak, że panna młoda jest jakaś smutna. Zwraca się do niej szeptem: „Zdaje mi się, że pani przyjechała tu wbrew własnej woli?“ A ona odpowiada: „Tak, a pan, zdaje się, także?“ Szybko doszli do porozumienia. Okazało się, że dziewczyna zmuszona została do zamążpójścia przez matkę. Mimo wszystko sumienie nie pozwoliło jednak mamusi na oddanie córki wprost w ręce Kwasznina...

Stoją oni, stoją, panie... wreszcie młody człowiek powiada: „Wie pani co, zróbmy taki kawał: oboje jesteśmy młodzi, przed nami może być jeszcze dużo pięknych dni, zostawmy Kwasznina na lodzie...“ Dziewczyna była śmiała i bystra. „Dobrze — powiada — zgoda.“ Skończył się ślub, wszyscy wychodzą z cerkwi. Kwasznin promienieje. A młody człowiek wziął już od niego

wcześniej pieniądze, i to niemałe pieniądze, bo Kwasznin w takich wypadkach nie liczy się z żadną sumą. Tymczasem Kwasznin podchodzi do młodych i z ironicznym uśmiechem składa im życzenia. Ci słuchają, dziękują, nazywają go swoim ojczulkiem, a po chwili oboje — hop do wozu. „Co takiego? — Dokąd?“ — „Jak to dokąd? Na dworzec, w podróż poślubną. Stangret poganiaj!...“ Wasyl Terentiewicz stanął w miejscu jak wryty, z szeroko otwartymi ustami... Kiedyś znowu... Co to? Już pan odchodzi, Andrzeju Iljiczu? — przerwał swoją paplaninę Świeżewski, widząc, że Bobrow zdecydowanie poprawia kapelusz na głowie i zapina guziki płaszcza.

— Wybacz pan, nie mam czasu — sucho odrzekł Bobrow. — A jeśli chodzi o pana opowiastkę, to już ją słyszałem kiedyś wcześniej albo czytałem... Moje uszanowanie.

Odwrócił się tyłem do Świeżewskiego, wyraźnie zaskoczonego jego opryskliwością, i szybko opuścił warsztaty.

III

Po powrocie z fabryki Bobrow zjadł coś naprędce i wyszedł na ganek. Poprzednio już kazał swojemu woźnicy, Mitrofanowi, osiodłać Farwatera, gniadego dońskiego konia. Mitrofan naciągał właśnie z wysiłkiem popręgi angielskiego siodła. Farwater przeżył brzuch i od czasu do czasu szybko wyginał szyję, łapiąc zębami rękaw koszuli Mitrofana. Woźnica krzychał wtedy srogim i nienaturalnym basem: „No-o? Nie łobuzuj, bałwanie!“ — i dodawał stękając z wysiłku: „Widzisz go, bydlaka“.

Farwater był to źrebak średniego wzrostu, miał masywną pierś, długi tułów i chudy, trochę obwisły zad. Lekko i zgrabnie trzymał się na silnych kudlatych nogach o mocnych kopytach i cienkiej pędzinie. Znawca byłby niezadowolony z jego garbonosej mordy i długiej szyi o wystającej, ostrej grdyce. Bobrow uważał jednak, że te cechy, charakterystyczne dla każdego dońskiego konia, wskazują na rasowe pochodzenie Farwatera, tak jak krzywe nogi u jamnika czy długie uszy u setera. Nie było

za to w całej fabryce konia, który by mógł Farwatera prześcignąć.

Mitrofan, jak każdy dobry rosyjski woźnica, uważał, że z koniem należy obchodzić się surowo. Nie pozwalał ani jemu, ani sobie na jakiegokolwiek przejawy czułości, nazywał go „katorżnym“, „padliną“, „bandytą“, lecz w głębi duszy gorąco kochał Farwatera. Miłość jego wyrażała się w tym, że doński żreback był zawsze i lepiej wyczyszczony, i więcej owsa dostawał niż inne służbowe konie Bobrowa — Jaskółka i Czarnomorzec.

— Poileś go? — zapytał Mitrofana Bobrow. Mitrofan nie odpowiedział od razu. Miał jeszcze jeden nawyk dobrego woźnicy — powolność i umiar w słowach.

— Napoiłem, Andreju Iljiczu, jakże nie napoić. Ej, ty, co się tak wierzisz, diable. Ja ci tu pokręcę tą mordą! — krzyknął gniewnie na konia. — Ma dziś straszną ochotę, panie, pod siodłem pochodzić. Nie może wytrzymać.

Gdy tylko Bobrow podszedł do konia, wziął w lewą rękę lejce i omotał sobie grzywę dookoła palców, zaczęła się historia powtarzająca się prawie co dzień. Farwater, który już dawno zezował wielkim, złym okiem w stronę podchodzącego Bobrowa, zaczął tańczyć w miejscu, wyginając szyję i przyskajac błotem spod tylnych kopyt. Bobrow skakał koło niego na jednej nodze, starając się uchwycić strzemień.

— Puszczaj, puszczaj lejce! — krzyknął do Mitrofana trafiając wreszcie w strzemień. W jednej chwili przerzucił nogę przez grzbiet i znalazł się w siodle. Farwater poczuwszy łydkę jeźdźcy uspokoił się natychmiast, poruszył kilkakrotnie nogami, parsknął, pokręcił głową i ruszył od bramy szerokim, sprężystym galopem...

Pod wpływem szybkiej jazdy, chłodnego wiatru świszczącego w uszach, świeżego zapachu jesiennych, trochę wilgotnych pól — uspokoiły się i odprężyły nerwy Bobrowa. Za każdym razem zresztą, gdy jechał do Zinienków, odczuwał przyjemne i trwożne ożywienie.

Rodzina państwa Zinienko składała się z ojca, matki i pięciu córek. Ojciec pracował w fabryce jako kierownik magazynu. Ten leniwy i na pozór dobroduszny olbrzym był w gruncie rzeczy ob-

ludnym i chytrym jegomościem. Należał do ludzi, którzy pod pozorem mówienia „szczerej prawdy“ w oczy, prymitywnie, lecz w przyjemny sposób schlebiali zwierzchnikom, otwarcie szkalują kolegów, a do podwładnych odnoszą się ordynarnie i despotycznie. Spierał się o każde głupstwo, ochryple krzycząc i nie zwracając uwagi na żadne kontrargumenty; lubił dobrze zjeść i miał słabość do chóralnych ukraińskich śpiewów, przy których fatalnie fałszował. Niepostrzeżenie dla samego siebie znalazł się pod pantoflem u swojej żony — kobiety małego wzrostu, chorowitej i zmanierowanej, o maleńkich szarych oczkach, komicznie osadzonych tuż przy nasadzie nosa.

Córki nazywały się: Maka, Beta, Szuroczka, Nina i Kasia. Każdej z nich wyznaczono w rodzinie specjalną rolę. Maka, panna o rybim profilu, miała opinię anielskiej duszy. „Największa cnota — skromność i prostota“ — mawiali rodzice, gdy Maka w interesie młodszych sióstr usuwała się w cień podczas spacerów i wieczorków (Maka była już po trzydziestce).

O Becie mówiono, że to mądra głowa. Nosila *pince-nez*, a kiedyś powzięła nawet zamiar — według krążących pogłosek — pójść na kursy. Głowę miała pochyloną w bok i w dół, jak stary przyprężony koń, a idąc podskakiwała za każdym krokiem. Nowym znajomym skwapliwie udowadniała, że kobiety są lepsze i uczciwsze od mężczyzn, albo prosiła z naiwnie figlarną minką: „Pan taki przenikliwy... niech pan określi mój charakter“. Gdy rozmowa schodziła na jeden z klasycznych tematów domowych: „Kto większy: Lermontow, czy Puszkina?“ lub „Czy przyroda wpływa na odprężenie nerwów?“ — Betę wysuwano naprzód, jak bojowego słonia.

Trzecia córka, Szuroczka, wybrała sobie jako specjalność grę w gapę ze wszystkimi nieżonatymi inżynierami po kolei. Gdy tylko dowiedziała się, że jej dawny partner ma zamiar się żenić, znajdowała sobie nowego, tłumiąc rozgoryczenie i zawód. Przy grze powstawały, oczywiście, niewinne żarty i maleńkie czarujące szwindelki, przy czym partnera nazywano „brzydalem“ i bito kartami po rękach.

Ninę uważano w rodzinie za ukochane i chociaż rozpieszczone,

ale czarujące dziecko. Była zupełnie niepodobna do swoich sióstr, masywnie zbudowanych, o prostackich i wulgarnych rysach twarzy. Być może jedna tylko pani Zinienko mogłaby wyczerpująco objaśnić, dlaczego Ninoczka ma tak delikatną i subtelną figurkę, prawie arystokratyczne ręce, ładniutką i smagłą twarz, całą w pieprzykach, małe różowe uszy i wspaniałe, puszyste, lekko wijące się włosy. Rodzice pokładali w niej wielkie nadzieje i dlatego pozwalano jej na wszystko: i objadać się cukierkami, i z wdziękiem, trochę gardłowo wymawiać literę „r“, i nawet ubierać się lepiej od sióstr.

Najmłodsza, Kasia, skończyła niedawno 14 lat, lecz to fenomenalne dziecko przerosło o całą głowę swoją matkę i miało znacznie bujniejsze kształty niż starsze siostry. Postać jej przyciągała już od dawna natarczywe spojrzenia fabrycznej młodzieży, pozbawionej towarzystwa kobiet ze względu na oddalenie od miasta. Kasia przyjmowała te spojrzenia z naiwnym bezwstydem wcześniej dojrzalej dziewczyny.

Ten podział rodzinnych wdzięków był dobrze znany całej fabryce. Jakiś żartowniś powiedział nawet, że jeśli już żenić się z panną Zinienko — to ze wszystkimi pięcioma na raz. Inżynierowie i studenci-praktykanci traktowali dom państwa Zinienko jak hotel: tłoczyli się tam od rana do nocy, dużo jedli, jeszcze więcej pili, lecz z zadziwiającym sprytem unikali więzów małżeńskich.

Bobrow nie był tu zbyt lubiany. Jego sposób bycia drażnił mieszczańskie gusty pani Zinienko, która starała się podciągnąć wszystko pod ten sam strychulec banalnej, układnie nudnej, prowincjonalnej przyzwoitości. Złośliwe dowcipy Bobrowa, gdy bywał w nastroju, przyjmowano głuchym milczeniem, a kiedy wskutek zmęczenia i rozdrażnienia nie mógł mówić przez cały wieczór, podejrzewano go o skrytość, dumę, milczące ironizowanie, a nawet — och! to było najgorsze ze wszystkiego! — podejrzewano go nawet, że „pisze opowiadania do tygodników i obserwuje w tym celu typy“.

Bobrow czuł tę głuchą niechęć, obserwując, jak niedbale odnoszono się do niego przy stole, jak matka rodziny lekceważąco

wzruszała wobec niego ramionami, lecz mimo to bywał nadal u państwa Zinienko. Czy kochał Ninę? Nie mógłby sam na to odpowiedzieć. Gdy nie widział jej trzy lub cztery dni, na każde jej wspomnienie serce zaczynało w nim bić słodką i trwożną tęsknotą. Wyobrażał sobie jej zgrabną i pełną wdzięku postać, uśmiech jej rozmarzonych, okrytych cieniem oczu i zapach jej ciała, przypominający mu, nie wiadomo czemu, zapach młodych i lepkich pączków topoli.

Wystarczyło mu jednak posiedzieć u państwa Zinienko przez trzy wieczory z rzędu, by zaczęło go nużyć ich towarzystwo, ich zawsze jedne i te same zwroty w podobnych okolicznościach, szablonowy i nienaturalny wyraz ich twarzy. Między pięcioma „pannami“ i „starającymi się“ o nie „kawalerami“ (słowa używane w rodzinie Zinienko) ustaliły się raz na zawsze banalno-filuterne stosunki. Obie grupy udawały, że tworzą dwa wrogie obozy. Odbywało się to w ten sposób, że jeden z kawalerów chował, dla żartu, jakiś przedmiot należący do panien i przekomarztał się, że go nie odda: panny dąsały się, szeptały między sobą, nazywając żartownisia „brzydalem“, i przez cały czas chichotały drewnianym, tubalnym, nieprzyjemnym śmiechem. Powtarzało się to co dzień, każdego dnia dokładnie w tych samych słowach i z tymi samymi gestami. Bobrow wracał od Zinienków z bólem głowy i zmęczonymi nerwami po tych prowincjonalnych ceremoniach.

W ten sposób w duszy Bobrowa tęsknota za Niną, za nerwowym uściskiem jej zawsze gorących rąk, przechodziła kolejno we wstręt do jej nudnej i zmanierowanej rodziny. Bywały chwile, w których poważnie postanawiał oświadczyć się Ninie. Nie zatrzymałaby go wówczas nawet świadomość, że jej kokieteria i wewnętrzna pustota zmieni mu życie rodzinne w piekło, że ona i on myślą i mówią różnymi językami. Jednakże nie mógł powziąć decyzji i milczał. Teraz, podjeżdżając do Szepietówki, Bobrow wiedział już z góry, co i jak będą tam mówić o tym lub innym wypadku, wyobrażał sobie nawet wyraz ich twarzy. Wiedział, że gdy z tarasu zobaczą go jadącego konno, między pannami, oczekującymi zawsze „przyjemnych kawale-

rów“, rozgorzeje od razu długi spór na temat, kto to jedzie. Kiedy już zbliży się, wówczas ta, która zgadła, zacznie skakać, klasnąć w dłonie, cmokać językiem i czupurnie wykrzykiwać: „A co? A co? Ja zgadłam, ja zgadłam!“ A potem podbiegnie do Anny Afanasjewny: „Mamo, Bobrow jedzie, ja pierwsza zgadłam!“ A mama, przecierając leniwie filiżanki do herbaty, zwróci się do Niny — na pewno do Niny — takim tonem, jakby ją informowała o czymś śmiesznym i nieoczekiwanym: „Ninoczka, wiesz, Bobrow jedzie“. A potem wszystkie na raz zdziwią się niespodziewanie i głośno, widząc wchodzącego Andreja Iljicza.

IV

Farwater szedł głośno i domagał się popuszczenia cugli. W dali ukazała się Szepietówka. W gęstej zieleni bżów i akacji ledwo widoczne były białe ściany domu i czerwony dach. Pod górą wynurzyła się spoza zielonych brzegów wypukła powierzchnia małego stawu.

Na ganku stała kobieca postać. Bobrow z daleka poznał w niej Ninę po jasnożółtej bluzce, dobrze podkreślającej śniady kolor jej twarzy. Zbliżając się ściągnął Farwaterowi cugle, wyprostował się i wyciągnął noski butów, które w czasie jazdy wsunęły się głęboko w strzemiona.

— Pan znów przyjechał na swoim skarbie? Wprost nie mogę patrzeć na tę poczwagę! — krzyknęła z ganku Nina wesółym i kapryśnym głosem rozpieszczonego dziecka. Dawno już przyzwyczaiła się drażnić Bobrowa jego koniem, do którego był bardzo przywiązany. W ogóle w domu Zinienków zawsze kogoś i czymś drażniono.

Bobrow rzucił cugle nadbiegającemu koniuchowi, poklepał konia po spadzistej, pociemniałej od potu szyi i wszedł za Niną do bawialni. Anna Afanasjewna, siedząc przy samowarze, udawała, że jest niezwykle zaskoczona przyjazdem Bobrowa.

— A-a-a! Andrej Iljicz! Raczyl pan nas wreszcie odwiedzić! — wykrzyknęła przeciągle.

Gdy witał się, podsunęła mu rękę do ust i zapytała swoim tubalnym, nosowym głosem:

— Herbaty? Mleka? Jablek? Proszę powiedzieć, co pan woli.

— *Merci*, Anno Afanasjewno.

— *Merci oui, ou merci non?*

Tego rodzaju francuskie zwroty były tu w stałym użyciu. Bobrow odmówił ponownie.

— No, jeśli tak, to niech pan idzie na taras, tam młodzież rozpoczęła grę w jakieś fanty czy coś innego — łaskawie zadecydowała pani Zinienko.

Gdy wyszedł na balkon, wszystkie cztery panny krzyknęły razem, zupełnie takim samym tonem i tak samo przez nos jak mamusia:

— A-a-a! Andrej Iljicz! Jak dawno nie było pana widać! Czego panu przynieść? Herbaty? Jablek? Mleka? Nie chce pan? Naprawdę, nie? A może pan chce jednak? No, w takim razie niech pan siada i weźmie udział w grze.

Grano w „fanty“, „listonosza“ i jeszcze w jakąś grę, którą sepleniąca Kasia nazywała „zgadywanką“. Było kilku gości: trzech studenci-praktykanci, którzy ustawicznie wypinali pierś i sadowili się w plastycznych pozach, z ręką w tylnej kieszeni surduta i nogą wysuniętą przed siebie. Był także technik Miller, odznaczający się ładną twarzą, głupotą i wspaniałym barytonem, oraz jakiś jegomość ubrany na szaro, na którego nikt nie zwracał uwagi.

Zabawa nie kleiła się. Mężczyźni traktowali ją pobłaźliwie i z wyrażnym znudzeniem: dziewczęta szeptały między sobą i zanosily się sztucznym chichotem.

Zmierzchało się. Zza dachów pobliskiej wioski powoli wypływał ogromny, czerwony księżyc.

— Dzieci, chodźcie do pokoju! — krzyknęła z jadalni Anna Afanasjewna. — Poproście Millera, by wam coś zaśpiewał.

Po chwili głosy panien rozlegały się już wewnątrz domu. — Było bardzo wesoło — szczebiotały wokół matki — myśmy się tak śmiały, tak śmiały.

Na balkonie została tylko Nina i Bobrow. Nina usiadła na po-

ręczy, objęła słup lewą ręką i przylgnęła do niego w nieświadomie wdzięcznej pozie. Bobrow ulokował się u jej stóp na niskiej, ogrodowej ławeczce. Patrząc z dołu w jej twarz, widział subtelny zarys jej szyi i podbródka.

— No, niech pan opowie coś ciekawego, Andreju Iljiczu — zażądała niecierpliwie Nina.

— Naprawdę nie wiem, co by tu pani opowiedzieć — odrzekł Bobrow. — Nie tak łatwo jest opowiadać na zamówienie. Zastanawiam się nawet, czy nie ma jakiegoś zbioru różnych tematów do rozmowy...

— Fu-u! Jaki pan nu-udny — przeciągnęła Nina. — Niech pan mi powie, kiedy pan bywa w nastroju?

— A może pani mi powie, dlaczego pani tak boi się milczenia? Gdy tylko rozmowa na chwilę ucichnie, pani już źle się czuje... A czyż niedobrze jest porozumiewać się milcząco?...

„I ty, i ja będziemy milczeć...” — zanuciła ironicznie Nina.

— To prawda, będziemy milczeć. Proszę spojrzeć: niebo jest jasne, księżyc rudy i ogromny, na balkonie cisza... Czegoż jeszcze trzeba?

„I ta głupawa pełnia — patrz! — na tym głupawym nieboskłonie”¹ — wyrecytowała Nina. — *A propos*, słyszał pan, że Zinoczka Makowa wychodzi za mąż za Protopopowa? Wychodzi jednak. Dziwny człowiek ten Protopopow — wzruszyła ramionami. — Trzy razy Zina dawała mu kosza, a on jednakże nie mógł sobie darować i oświadczył się czwarty raz. I niech ma teraz pretensje do samego siebie. Ona, być może, będzie go szanować, lecz kochać nigdy!

Wystarczyło tych słów, by rozżłościł Bobrowa. Wyprowadzał go zawsze z równowagi ograniczony, mieszczański słownik pańien Zinienko, zawierający zwroty w rodzaju: „Ona go kocha, lecz nie szanuje”, „Ona go szanuje, lecz nie kocha”. W ich pojęciu słowa te odzwierciedlały najbardziej skomplikowane stosunki

¹) Dwuwiersz z „Eugeniusza Oniegina”. Tekst polski według Tuwima. (Przyp. tłum.)

między mężczyzną i kobietą. Tak samo istniały dla nich tylko dwa wyrazy na określenie psychicznych, umysłowych i fizycznych cech każdego człowieka: „brunet“ i „blondyn“.

Bobrowa porwała nieodparta chęć podsycecia jeszcze bardziej swojej złości.

— Któż to taki, ten Protopopow? — zapytał.

— Protopopow? — Nina zastanowiła się przez chwilę. — Jakby tu powiedzieć... jest dość wysoki... szatyn!...

— I to wszystko?

— Cóż jeszcze? Aha, prawda: pracuje w akcyzie...

— Tylko tyle? Czy pani nie potrafi, Nino Grigoriwno, nic więcej powiedzieć dla scharakteryzowania człowieka prócz tego, że jest szatynem i pracuje w akcyzie? Proszę pomyśleć: ilu ciekawych, utalentowanych i rozumnych ludzi spotykamy w życiu. Czyżby to byli tylko „szatyni“ i urzędnicy akcyz? Niech pani przyjrzy się, jak chciwie, z jakim zainteresowaniem obserwują życie chłopskie dzieci i jak bystre są w swoich sądach. A pani, rozsądna i subtelna dziewczyna, przechodzi nad wszystkim do porządku dziennego, dlatego że ma pani w zapasie tuzin wyświechtanych, salonowych zwrotów. Wiem z góry: jeśli ktoś wspomni w rozmowie o księżycu, pani natychmiast wtrąci: „Jak ten głupawy księżyc“ itd. Jeśli opowiem pani np. o jakimś wypadku, który nie będzie się mieścił w zwykłych ramkach, to pani z pewnością się odezwie: „Było to bardzo dawno i w dodatku nieprawda“. I tak we wszystkim, we wszystkim... Proszę mi wierzyć, na miłość Boską, że to, co jest samoistne, oryginalne...

— Bardzo pana proszę, niech mi pan nie prawi nauk moralnych! — powiedziała ostro Nina.

Bobrow umilkł z uczuciem goryczy w ustach. Przez parę minut oboje siedzieli cicho i bez ruchu. Nagle z salonu popłynęły dźwięczne akordy i dał się słyszeć trochę wzruszony, pełen głębokiego wyrazu głos Millera:

*Na balu, w tańcu i rozgwarze,
Mignęłaś mi jak zjawą, sen,*

*Najdroższe rysy twojej twarzy
Okrywał tajemniczy cień¹.*

Zły nastrój Bobrowa szybko minął. Żalował teraz, że zmartwił Ninę. „Dlaczego ubrdałem sobie, że trzeba wymagać oryginalnych sądów od jej naiwnego, świeżego, dziecięcego umysłu? — myślał. — Przecież ona jest jak ptak: szczebioce, co jej wpierw przyjdzie do głowy, i szczebiotanie to, być może, lepsze jest od rozmów o emancypacji, o Nietzschem i dekadentach?“

— Nino Grigoriewno, proszę się na mnie nie gniewać. Uniosłem się i nagadałem głupstw — powiedział półgłosem.

Nina milczała: odwrócona od niego, patrzyła na wschodzący księżyc. Odnalazł w ciemności jej zwisającą rękę, ścisnął ją lekko i szepnął:

— Nino Grigoriewno... Proszę panią bardzo...

Nina szybko obróciła się i, odpowiadając na jego uścisk przedkim nerwowym uściskiem, zawołała tonem przebaczenia i wymówki:

— Złośnik. Zawsze mnie pan obraża... wykorzystuje pan to, że nie umiem się gniewać na pana!

I odsuwając jego rękę, która nagle zadrżała, prawie wyrwała mu się, przebiegła przez balkon i zniknęła w drzwiach.

*...O tobie marzę wciąż i śnię...
Czy kocham, trudno mi powiedzieć,
Lecz zdaje mi się, kocham cię...*

śpiewał Miller namiętnie, głosem pełnym uczucia.

„Lecz zdaje mi się, kocham cię!“ — powtórzył wzburzonym szeptem Bobrow, głęboko wciągając oddech i podnosząc rękę do bijącego serca.

„Po cóż ja się męczę — myślał wzruszony — jałowymi marzeniami o jakimś nieznanym, podniosłym szczęściu, gdy tu koło mnie jest szczęście proste, lecz głębokie? Czegoż jeszcze można

¹) Wiersz Tolstoja. Muzykę do niego napisał P. Czajkowski. (Przyp. aut.)

wymagać od kobiety, od żony, jeżeli jest w niej tyle subtelności, łagodności, wdzięku i rozwagi? My biedni, nerwowi, chorzy ludzie nie umiemy po prostu brać od życia jego radości, zatruwamy ją jadem naszej nieustannej żądz grzebania się w każdym uczuciu, w każdej myśli, swojej i cudzej... Cicha noc, bliskość kochanej dziewczyny, mile i proste słowa, chwilowy wybuch gniewu, a potem nagła — łaskawość — na miłość boską! Czyż nie na tym polega rozkosz istnienia?”

Wszedł do salonu weselszy, rześki, prawie triumfujący. Oczy jego spotkały się z oczami Niny. W jej długim spojrzeniu wyczytał odpowiedź na swoje myśli.

„Będzie moją żoną“ — pomyślał Bobrow odczuwając w duszy spokojną radość.

Rozmawiano o Kwaszninie. Dobitny głos Anny Afanasjewnej dominował w całym pokoju. Mówiła, że zamierza również wybrać się jutro na dworzec ze „swoimi dziewczynkami“.

— Bardzo być może, Wasyl Terentiewicz zechce nam złożyć wizytę. O jego przyjeździe, przynajmniej, pisała mi jeszcze przed miesiącem siostrzenica męża mojej ciotecznej siostry — Liza Bielokańska...

— To ta, zdaje się, Bielokańska, której brat ożeniony jest z księżną Muchowiecką? — pokornie wtrącił wyuczone zdanie Zinienko.

— Tak, rzeczywiście, ta sama — Anna Afanasjewna kiwnęła łaskawie głową w stronę męża. — Jest ona poza tym po babce daleką krewną Stremouchowych, których znasz. Liza Bielokańska właśnie pisała mi, że spotkała w pewnym towarzystwie Wasyla Terentiewicza i mówiła mu, by nas odwiedził, jeśli zechce mu się w ogóle kiedykolwiek przyjechać do fabryki.

— Czy będziemy w stanie przyjąć go, Niusiu? — zapytał zakłopotany pan Zinienko.

— Jak ty komicznie to mówisz! Zrobimy co będziemy mogli. W każdym razie i tak nie zadziwisz niczym człowieka, który ma trzysta tysięcy rocznego dochodu.

— Na miłość boską! Trzysta tysięcy! — jęknął Zinienko. — Po prostu strach pomyśleć.

— Trzysta tysięcy! — westchnęła Nina jak echo.

— Trzysta tysięcy! — entuzjastycznie krzyknęły chórem dziewczęta.

— I wszystko to wydaje do ostatniej kopiejki — rzekła Anna Afanasjewna. Potem, odpowiadając na nie wymówione pytanie córek, dodała:

— Żonaty. Mówią tylko, że ożenił się bardzo nieszczęśliwie. Jego żona to nic szczególnego, zupełnie niereprezentacyjna. Mówcie co chcecie, lecz żona powinna być szyldem w interesach męża.

— Trzysta tysięcy! — powtórzyła jeszcze raz Nina, jak w maglinie — czego by się za te pieniądze nie zrobiło!

Anna Afanasjewna pogładziła ręką jej piękne włosy.

— Takiego by ci męża, dziecko, co?

Te trzysta tysięcy rocznego dochodu jakby naelektryzowały całe towarzystwo. Z błyszczącym wzrokiem i rozpalonymi policzkami opowiadano sobie anegdoty z życia milionerów — o bajecznych menu obiadowych, o wspaniałych koniach, o balach i o bezprzykładowym trwonieniu pieniędzy.

Bobrow poczuł chłód i bolesny ucisk w sercu. Nieznacznie odnalazł swój kapelusz i wyszedł ostrożnie na ganek. Jego wyjścia, zresztą, i tak by nikt nie zauważył.

Jadąc klusem do domu widział przed sobą ciche, pełne rozmarzenia oczy Niny, która szeptała prawie nieprzytomnie: „trzysta tysięcy!“ Przypomniła mu się ranna opowieść Świeżewskiego.

„Ją także stać na to, żeby się sprzedać!“ — wyszeptał, konwulsyjnie zaciskając zęby, i wściekle machnął konia szpicrutą po szyi.

V

Podjeżdżając do swojego mieszkania Bobrow zauważył błysk światła w oknach. „Na pewno przyjechał doktor, gdy mnie nie było, i wyleguje się teraz na kanapie, czekając na mnie“ — pomyślał wstrzymując spienionego konia. Doktor Goldberg był je-

dynym człowiekiem, którego obecność Bobrow mógł teraz znieść bez bolesnego rozdrażnienia.

Szczerze lubił tego łagodnego i pełnego bez troski Żyda za jego wielostronny umysł, młodzieńczą żywość charakteru i dobroduszną pasję do abstrakcyjnych dyskusji. Jakiego by problemu Bobrow nie poruszył, doktor Goldberg zajmował zawsze pozycję oponenta i robił to ciągle z jednakowym zainteresowaniem i niezmiennym zapalem. I chociaż dotąd powstawały między nimi podczas nie kończących się dyskusji same tylko rozbieżności, niemniej tęsknili za sobą i widywali się prawie co dzień.

Doktor rzeczywiście leżał na kanapie. Zarzucił nogi na oparcie i czytał jakąś broszurę, trzymając ją blisko krótkowzrocznych oczu. Bobrow rzucił okiem na okładkę i poznał „Podręcznik metalurgii“ Mewesa. Uśmiechnął się; znał dobrze zwyczaje doktora, który jednakowo namiętnie i zawsze od środka czytał wszystko, co mu wpadło w rękę.

— A ja tu sam dobrałem się do herbaty — powiedział doktor i odrzucił w bok książkę, spoglądając ponad okularami na Bobrowa. No, jak się panu wiedzie, mój panie Andreju Iljiczu? Hoho, jaki pan zły. Co? Znów jakaś melancholia?

— Ach, doktorze, kiepsko żyć na świecie — powiedział Bobrow ze znużeniem w głosie.

— Czemuż to, kochasiu?

— Ot, tak... w ogóle... wszystko jest obrzydliwe. A jak wasz szpital, doktorze?

— Nasz szpital? Niczego sobie... jakoś to idzie. Mieliliśmy dzisiaj ciekawy przypadek chirurgiczny. I śmieszne to, i wzruszające, jak Boga kocham. Niech pan sobie wyobrazi, przychodzi do mnie na poranny przegląd młody chłopak, jeden z tych murarzy masalskich. Ci masalscy chłopcy, którego byś nie wziął, wszyscy są jak dęby. „Co ci jest“ — pytam. „Niby nic, panie doktor, kroił ja chleb dla naszego artelu, no i palec troszeczkę poderżnął, nijak krwi zatamować nie można“. Obejrzałem mu tę rękę; takie sobie draśnięcie, głupstwo, trochę zaszło ropą; kazałem felczerowi położyć plaster, lecz patrzę, mój chłopiec nie odchodzi... „No, czego ci jeszcze trzeba? Zakleili ci rękę, to i marsz“. „Prawda —

powiada — zakleili, daj ci Boże zdrowie, ale taka sprawa, że łeb mi trzeszczy, to i myślę sobie, że od razu to i względem tego dasz mi cokolwiek“. „Cóż u ciebie z tym łbem? Rąbnął cię ktoś, czy co?“ Chłopak ucieszył się i zachichotał. „Ten to i grzech — powiada. — Onegdaj, na Spasa (to znaczy trzy dni temu) zahulali my kompanią jak się patrzy, wina wypili z półtora wiadra będzie, to chłopaki i pokazali co umieją. Ja też, powiem prawdę. A potem... w bójce to tam dużo zrozumiesz?... jak on mnie rąbnął dłutem w czerep... naprawił żeby go... z początku to tak nie sobie, nie bolało, a teraz łeb jakoś trzeszczy“. Zacząłem oglądać „czerep“ i co pan myśli? — po prostu przeraziłem się! Czaszka pęknięta na wskroś, dziura wielkości miedzianego piąta, a odłamki kości werżnęły się w mózg... Teraz leży w szpitalu, bez przytomności. Powiadam panu, zadziwiający to łudek; dzieci i bohaterowie jednocześnie. Jak Boga kocham, bez żartów mówię, że tylko rosyjski cierpliwy chłop zniesie taką naprawę łba. Inny wyzionąłby ducha na miejscu. A przy tym co za naiwna łagodność: „w bójce to tam dużo zrozumiesz!“ Niech to diabli!

Bobrow chodził po pokoju w jedną i drugą stronę, uderzał szpicrutą po cholewach i w roztargnieniu słuchał doktora. Dotychczas nie mógł stłumić goryczy, która osiadła mu na duszy u Zinienków.

Doktor milczał przez chwilę, lecz widząc, że jego towarzysz jest usposobiony do rozmowy, powiedział ze współczuciem:

— Wie pan co, Andreju Iljiczu? Spróbujmy na chwilę położyć się spać i pozwólmy sobie na jedną, dwie łyżeczki bromu. To może panu dobrze zrobić w pana nastroju, a szkody i tak żadnej nie będzie...

Położyli się obydwaj w tym samym pokoju; Bobrow na łóżku, doktor na kanapie. Ale nie spało się ani jednemu, ani drugiemu. Goldberg długo słuchał w ciemności, jak Bobrow przewraca się z boku na bok i wzdycha. W końcu przemówił pierwszy:

— Co panu, mój drogi? Czego pan się tak dręczy? Niech pan powie lepiej po prostu, co pana gryzie. Zawsze łżej będzie. Przecież ja nie jestem obcym człowiekiem i nie pytam z próżnej ciekawości.

Te proste słowa wzruszyły Bobrowa. Chociaż wiązały go z doktorem prawie przyjacielskie stosunki, jednakże żaden z nich dotychczas głośno tego nie wypowiedział; obydwaj byli subtelni i bali się kłującego wstydu wzajemnych wyznań. Doktor pierwszy otworzył swoje serce. Wpłynęła na to ciemność i uczucie litości dla Andreja Iljicza.

— Wszystko jest dla mnie ciężkie i wstrętne, Osipie Osipowiczu — odezwał się cicho Bobrow. — Przede wszystkim wstrętne jest dla mnie to, że pracuję w fabryce i biorę za to sporo pieniędzy, a do tej roboty nie czuję nic prócz obrzydzenia. Uważam się za uczciwego człowieka i dlatego wprost stawiam sobie pytanie: „Co ty robisz? Komu ty jesteś potrzebny?“ — Zaczynam rozglądać się w tych sprawach i widzę, że dzięki mojej pracy setka francuskich sklepikarzy-rentierów i tuzin sprytnych kanciarzy rosyjskich włoży sobie do kieszeni w odpowiednim czasie miliony. Innego celu, innego sensu nie ma w mojej pracy. A przecież straciłem połowę życia na to, by się do niej przygotować!...

— No, to jest już nawet śmieszne, Andreju Iljiczu — odrzekł doktor obracając się w ciemności twarzą do Bobrowa. — Pan chce, żeby jacyś tam burżuje przejęli się interesami ludzkości. Od kiedy świat stoi, kochasiu, brzuch rządzi wszystkim, inaczej nie było i nie będzie. Ale rzecz w tym, że może pan pluć sobie na burżujów, bo stoi pan znacznie wyżej od nich. Czyż panu nie wystarczy odważna i dumna świadomość, że popycha pan naprzód, wyrażając się językiem artykułów wstępnych, „koło postępu“? Licho to bierz! Akcje towarzystw kolejowych przynoszą kolosalne dywidendy, lecz to nam bynajmniej nie przeszkadza uważać Fultona za dobroczyńcę ludzkości.

— Ej, doktorze, doktorze! — skrzywił się Bobrow. — Pan nie był dziś, zdaje się, u Zinienków, ale przez usta pana przemówiła ich mądrość życiowa. Chwała Bogu, nie mam potrzeby daleko szukać kontrargumentów, bo zbiję pana natychmiast jego własną, ukochaną teorią.

— To znaczy, jaką teorią?... Pozwoli pan... ja jakoś nie przypominam sobie żadnej teorii... naprawdę, mój drogi, nie przypominam... zapomniałem, czy jak...

— Zapomniał pan? A któż to krzyczał z pianą na ustach, tu, na tej samej kanapie, że my, inżynierowie i odkrywcy, podnosimy swoimi wynalazkami puls życia społecznego do stadium gorączki? Kto porównywał to życie do sytuacji zwierzątka zamkniętego w butli z tlenem? O, ja doskonale pamiętam ten straszliwy rejestr dzieci dwudziestego wieku — neurasteników, szaleńców, przemęczonych, samobójców — który rzucał pan w oczy tym samym dobroczyńcom ludzkości. Telegraf, telefon, pociągi pędzące z szybkością stu dwudziestu wiorst na godzinę, mówił pan, skróciły przestrzeń do minimum — zniweczyły ją... Czas zdrożał do tego stopnia, że wkrótce zaczniemy noc zmieniać w dzień, już teraz bowiem odczuwa się potrzebę takiego podwójnego życia. Transakcję, na którą potrzebowano poprzednio całych miesięcy, załatwia się teraz w ciągu pięciu minut. Ale i ta piekielna szybkość nie zadowala już naszego zniecierpliwienia... Niedługo będziemy widzieć jeden drugiego po drutach na odległość setek tysięcy wiorst! A przecież, jeszcze pięćdziesiąt lat temu, nasi przodkowie, wybierając się ze wsi do guberni, odprawiali z powagą nabożeństwa i wyjeżdżali w drogę z zapasami, które by starczyły dla ekspedycji polarnej... A my pędzimy na leb, na szyję, naprzód i naprzód, ogłuszeni warkotem i stukiem potwornych maszyn, ogłupiali od tego wściekłego tańca, z rozdrażnionymi nerwami, spaczonymi gustami i tysiącem nowych boleści... Pamięta pan, doktorze? Wszystko to pana własne słowa, zwolenniku dobroczynnego postępu!

Bobrow umilkł na chwilę. Wykorzystał to doktor, który już kilkakrotnie usiłował mu przerwać.

— No tak, no tak, wszystko to mówiłem, mój kochany — zgodził się, niezbyt pewnie jednak. — I teraz to podtrzymuję. Lecz trzeba, mój drogi, jeśli tak można powiedzieć, przystosowywać się. Jakże inaczej żyć? W każdym zawodzie są te śliskie miejsca. Weźmy choćby na przykład nas, lekarzy... Myśli pan, że dla nas wszystko jest takie jasne i proste jak w książeczce? Przecież poza chirurgią my niczego absolutnie nie znamy na pewno. Wymyślamy nowe lekarstwa i systemy, lecz zapominamy całkowicie, że pośród tysiąca organizmów nie znajdzie się dwóch,

choćby trochę podobnych do siebie składem krwi, czynnością serca, cechami dziedzicznymi i licho wie czym jeszcze! Odbiegliśmy od jedynie prawidłowego kierunku terapeutycznego — od medycyny zwierząt i znachorów, zalaliśmy farmakopeję różnymi kokainami, atropinami, fenacetynami, a straciliśmy z oczu tę prawdę, że wystarczy zwykłemu człowiekowi dać czystą wodę i przekonać go, jakie to silne lekarstwo, by zwykły człowiek wyzdrowiał. W naszej praktyce, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto, pomaga tylko ta właśnie wiara, którą potrafimy wpoić swoją zawodową, kapłańską pewnością siebie. Uwierzy pan? Pewien dobry lekarz, a jednocześnie rozumny i uczciwy człowiek, przyznawał, że myśliwi znacznie racjonalniej leczą psy, niż my leczymy ludzi. Używa się tam jednego tylko środka — kwiatu siarczanego — szkody to żadnej nie przyniesie, a niekiedy jednak pomoże... Przyjemny obraz, mój drogi, nieprawdaż? A przecież i my robimy co możemy... Inaczej się nie da, mój drogi; życie wymaga kompromisów... Niekiedy ulżysz cierpieniom bliźniego chociażby przez swój wygląd wszystko wiedzącego augura. I za to dzięki.

— Tak, kompromisy kompromisami — odrzekł posępnym tonem Bobrow, a jednak pan wybrał dziś kości z czaszki masalskiego murarza...

— Ach, mój kochany, cóż znaczy jedna zreperowana czaszka? Pomyśl pan, ile pan ust karmi i ilu rękom daje pracę. Iłowajski pisze już w swojej historii, że „car Borys pragnąc pozyskać sobie względy ludu podejmował w latach głodu budowę publicznych gmachów“. Coś w tym rodzaju... więc niech pan obliczy, jaką kolosalną korzyść...

Na te słowa Bobrow podskoczył na łóżku i szybko usiadł zwieszając w dół gole nogi.

— Korzyść! — krzyknął w uniesieniu. — Pan mi mówi — korzyść? W takim razie, jeśli już dodajemy sumę korzyści, to pozwoli pan, że przedstawię małą stroniczkę ze statystyki. — I zaczął miarowym i ostrym tonem, jakby mówił z katedry: — Od dawna wiadomo, że praca w kopalniach, zakładach metalurgicznych i większych fabrykach skraca życie robotnika w przy-

bliżeniu o jedną czwartą. Nie mówię już o nieszczęśliwych wypadkach i pracy ponad siły. Pan, jako lekarz, wie lepiej ode mnie, co się dzieje w tych przeklętych barakach i lepiankach, ilu tam jest syfilityków, pijaków i ludzi wegetujących w potwornych warunkach... Chwileczkę, doktorze, zanim mi pan przerwie, niech pan sobie przypomni, czy dużo pan widział w fabryce robotników powyżej czterdziestu — czterdziestu pięciu lat? Ja takich stanowczo nie spotykałem. Innymi słowy, znaczy to, że robotnik oddaje przedsiębiorcy trzy miesiące swojego życia na rok, tydzień na miesiąc, lub krócej, sześć godzin dziennie... Proszę posłuchać dalej... Nasze zakłady zatrudniać będą przy sześciu wielkich piecach około trzydzieści tysięcy ludzi — carowi Borysowi nie śniły się nawet, z pewnością, takie liczby. Trzydzieści tysięcy ludzi, którzy wspólnie spalają, jeśli tak można powiedzieć, w okresie jednej doby sto osiemdziesiąt tysięcy godzin swojego własnego życia, to jest siedem i pół tysiąca dni, to jest, ileż to będzie lat?

— Około dwadzieścia lat — odpowiedział po chwili milczenia doktor.

— Około dwadzieścia lat na dobę! — zakrzyknął Bobrow. Dwie doby pracy pożerają całego człowieka. Niechże to diabli. Pamięta pan z biblii, że jacyś tam Asyryjczycy czy Moabici składali swoim bogom ofiary z ludzi? Myślę jednak, że ci miedziani panowie, Moloch i Dagon, zaczerwieniliby się ze wstydu i urazy wobec tych liczb, które przed chwilą podałem...

Ta swoista matematyka tylko co przyszła Bobrowowi do głowy (jak wielu wrażliwych ludzi, znajdował nowe myśli najczęściej w trakcie rozmowy). I on sam, i Goldberg, obydwaj byli zaskoczeni oryginalnością tych obliczeń.

— Niechże to diabli, pan mnie oszłomił — odezwał się z napy doktor. — Chociaż te liczby mogą być niezbyt pewne...

— A czy pan zna — ciągnął Bobrow z jeszcze większym zapalem — czy zna pan inną tablicę statystyczną, według której może pan z piekielną dokładnością obliczyć, ile istnień ludzkich kosztuje każdy krok naprzód pańskiego diabelnego rydwanu, każdy wynalazek jakiejś plugawej wialni, siewnika czy walcowni?

Nie ma co mówić, ładna jest ta pańska cywilizacja, jeśli jej plody wyrażają się w liczbach, gdzie jedynek symbolizuje żelazna maszyna, a zera — długi rząd istnień ludzkich.

— Niech pan posłucha, kochany mój — wtrącił doktor, zbity z tropu zapalczywością Bobrowa — wynika stąd, według pana, że lepiej jest cofnąć się do pierwotnego bytowania, czy jak? Czemuż pan zwraca uwagę tylko na ciemne strony? A przecież mimo pańskiej matematyki mamy tu przy fabryce i szkołę, i cerkiew, i ładny szpital, i kasę pożyczkową dla robotników...

Bobrow zeskoczył z łóżka i zaczął boso biegać po pokoju.

— I pański szpital, i szkoła — wszystko to zawracanie głowy! Zabawka dziecinna dla takich humanistów jak pan — ustępstwo dla rzecz opinii społecznej... Jeśli pan chce, powiem panu, jak my rzeczywiście traktujemy... wie pan, co to jest finisz?

— Finisz? To, zdaje się, na wyścigach konnych?

— Tak, na wyścigach. Finiszem nazywa się ostatnie sto sążni biegu przed metą. Koń musi tę odległość przebyć z największą szybkością — za metą może choćby paść trupem. Finisz to największe, maksymalne natężenie sił. Żeby zmusić konia do finiszu, smagają go pejcem do krwi... Podobnie i my. A kiedy finisz osiągnięty i klacz pada ze złamanym kręgosłupem i pokaleczonymi nogami — do diabła z nią, nie jest już nikomu potrzebna! I niech pan wtedy spróbuje pocieszyć padłą na finiszu klacz swoimi szkołami i szpitalami... Czy pan widział kiedykolwiek, doktorze, pracę w odlewni i walcowni? Jeśli pan widział, to musi pan zdawać sobie sprawę, że wymaga ona piekielnie silnych nerwów, stalowych muskułów i zręczności akrobaty cyrkowego. Musi pan zdawać sobie sprawę, że jeśli każdy majster zdoła uniknąć kilka razy na dzień śmiertelnego niebezpieczeństwa, to tylko dzięki zadziwiającej przytomności umysłu... A chce pan wiedzieć, ile taką pracę robotnik zarabia?

— Mimo wszystko jednak, dopóki istnieje fabryka, robotnik ten ma zapewnioną pracę — powiedział Goldberg z uporem.

— Doktorze, nie mów pan rzeczy naiwnych! — wykrzyknął Bobrow siadając na oknie. — Robotnik zależny jest teraz więcej niż kiedykolwiek od zapotrzebowania na rynku, od spekulacji gieł-

dowej, od różnych zakulisowych intryg. Zanim puści się w ruch jakieś większe przedsiębiorstwo, wynajduje się na jego głównych udziałowców trzech lub czterech nieboszczyków. Pan chyba wie, jak powstało nasze towarzystwo? Założyła je za gotówkę niewielka grupa kapitalistów. Miało się to ograniczyć początkowo do niewielkich rozmiarów. Lecz cała banda inżynierów, dyrektorów i dostawców polknęła kapitał tak prędko, że przedsiębiorcy nie zdążyli się nawet obejrzeć. Prowadzono olbrzymie budowy, które później do niczego się nie nadawały... Główne gmachy szły, jak u nas mówią, „na mięso“, to znaczy rozsadzano je dynamitem. A gdy akcje przedsiębiorstwa spadły na koniec do 10 kopiejek za rubel, stało się jasne, że zgraja ta działała według z góry obmyślonego systemu i otrzymywała za swoje podle czynności określone wynagrodzenie od innej, bogatszej i sprytniejszej kompanii. Przedsiębiorstwo rozwija się teraz na większą skalę, lecz dobrze mi wiadomo, że ośmiuset robotników nie otrzymało dwumiesięcznego wynagrodzenia na skutek bankructwa jednego z nieboszczyków. Tak oto wygląda to zabezpieczenie pracy! Niech tylko spadną akcje na giełdzie, od razu to się odbije na płacy roboczej. A pan wie, sędze, jak podnoszą się i spadają akcje na giełdzie. Wystarczy, bym pojechał do Petersburga i szepnął maklerowi, że chcę niby sprzedać akcje po trzysta za tysiąc, „ale na miłość boską to między nami, raczej już zapłacę panu dobre faktorne, tylko niech pan milczy...“ Później to samo szepnąć w tajemnicy drugiemu i trzeciemu i akcje momentalnie spadną o kilkadziesiąt rubli. Przy tym, im większy sekret, tym prędzej i pewniej spadną akcje... Dobrze zabezpieczenie!

Bobrow pchnął okno silnym ruchem ręki. Do pokoju wtargnęło chłodne powietrze.

— Niech pan spojrzysz, niech pan tu spojrzysz, doktorze! — krzyknął Andrej Iljicz pokazując palcem w kierunku fabryki.

Goldberg podniósł się na łokciu i popatrzył w ciemność nocy za oknem. Na ogromnej, dalekiej przestrzeni czerwienily się gęsto porozrzucane, niezliczone kopce rozżarzonego wapna, z których wybuchały co chwilę błękitnawe i zielone płomienie siarczanych ogni...

To paliły się wapienne piece¹. Nad fabryką stała wielka czerwona luna. Na jej tle wyraziście i malowniczo rysowały się wierzchołki wysokich kominów. U dołu zasłaniała je szara, ciągnąca od ziemi mgła. Otwarte paszcze tych olbrzymów nieustannie wyrzucały gęste kłęby dymu, które łączyły się w górze w jedną nieprzerwaną, chaotyczną chmurę, wolno pełznącą na wschód, miejscami białą jak wata albo brudnoszarą, miejscami koloru żelaznej rdzy. Nad otworami długich i cienkich kominów chybały się świecące snopy rozpalonego gazu, nadając im wygląd gigantycznych pochodni. Zawieszona nad fabryką chmura, w migotliwym blasku, to zapalała się, to gasła, przybierając dziwaczne i groźne kształty. Od czasu do czasu, kiedy na przenikliwy dźwięk sygnałowego młotka chyliła się w dół czapa wielkiego pieca, z jego czeluści wybuchał pod samo niebo, z rykiem podobnym do dalekiego gromu, cały huragan płomieni i sadzy. Na kilka mgnień występowały wtedy z mroku, wyraźnie i złowieszczo, kontury fabryki, a wąski szereg czarnych, okrągłych aparatów Cowpera wyglądał jak baszty legendarnego żelaznego zamku. Ognie koksujących pieców ciągnęły się długimi, regularnymi rzędami. Niekiedy jeden z nich zapalał się i rozżarzał jak ogromne, czerwone oko. Elektryczne ognie dodawały swoje błękitnawe i martwe światło do purpurowego blasku rozpalonego żelaza... Szczęk i łoskot żelaza dochodził stamtąd bez przerwy.

Twarz Bobrowa przybrała w ciemności, od luny fabrycznych światel, złowieszczy, miedziany odcień, w jego oczach jarzyły się czerwone błyski, rozrzucone włosy opadały bezładnie na czoło. Głos jego brzmiał przenikliwie i złowrogo.

— Oto on — Moloch łaknący ciepłej krwi ludzkiej! — krzyczał Bobrow wyciągając w stronę okna swoją wąską dłoń. — O, nie ma co mówić, tu postęp, maszyny, osiągnięcia kulturalne... Lecz niech pan pomyśli, na miłość Boską — dwadzieścia lat! Dwadzieścia

¹ Wapienne piece buduje się w ten sposób: układa się z kamienia wapiennego kopiec mniej więcej na wysokość człowieka i rozpala się drzewem lub węglem kamiennym. Kopiec ten żarzy się przez jakiś tydzień, dopóki z kamienia wapiennego nie wytworzy się niegaszone wapno. (Przyp. aut.)

lat ludzkiego życia na dobę! Przysięgam panu — bywają chwile, gdy czuję się mordercą!...

„Boże! Przecież to wariat“ — pomyślał doktor, któremu dreszcz przebiegł po plecach. Zaczął uspokajać Bobrowa.

— Mój drogi, Andreju Iljczu, niechże pan przestanie, mój miły, co za sens rozdrażniać się byle głupstwem. Proszę spojrzeć, okno otwarte, a na dworze wilgoć... Niech pan się położy, dam panu bromu. „Maniak, kompletny maniak“ — pomyślał doktor, ogarnięty jednocześnie uczuciem żalu i strachu.

Bobrow prawie się nie sprzeciwiał, osłabiony niedawnym wybuchem. W łóżku zaniósł się jednak nagłym, histerycznym szloch. I długo doktor siedział przy nim, gładząc go po głowie jak dziecko i mówiąc mu pierwsze z brzegu, pieszczotliwe, uspokajające słowa.

VI

Nazajutrz na stacji Iwankowo odbyło się uroczyste powitanie Wasyla Terentiewicza Kwasznina. Już o jedenastej godzinie zjechało na stację kierownictwo fabryki w pełnym składzie. Chyba nikt tu się nie czuł całkowicie spokojnym. Dyrektor Siergiej Walerianowicz Szelkownikow pił wodę sodową, szklankę za szklanką, co chwilę wyciągał zegarek i, nie patrząc, machinalnym ruchem wkładał go z powrotem do kieszeni. Tylko ten jeden nerwowy gest zdradzał jego niepokój wewnętrzny. Twarz dyrektora — ładna, wymuskana, pewna siebie twarz światowca — była niewzruszona. Niewielu jednak ludzi wiedziało w ogóle, że Szelkownikow był dyrektorem fabryki tylko oficjalnie, potocznie mówiąc, na papierze. W rzeczywistości rządził wszystkim belgijski inżynier Andrea, z pochodzenia pół-Polak, pół-Szwed, którego roli w fabryce nie mogli w żaden sposób zrozumieć niewtajemniczeni. Gabinety obydwu dyrektorów stykały się z sobą, połączone drzwiami. Szelkownikow nie śmiał podpisać żadnego ważniejszego papierka, jeśli nie było na nim umówionego znaku, postawionego przez Andrea gdzieś w rogu stronicy. W wypadkach

nie cierpiących zwłoki, gdy Szelkownikow nie mógł się z nim porozumieć, udawał zaaferowanie i mówił do petenta niedbałym tonem:

— Proszę mi wybaczyć... naprawdę nie mogę poświęcić panu ani jednej chwili... zawalony jestem po uszy... Może pan przedstawi swoją sprawę panu Andrea, a on mi to już przekaże w specjalnej nocie.

Zasługi Andrea wobec zarządu były niezliczone. Z jego to głowy wyszedł genialny szalbierczy projekt rozbicia pierwszej kompanii przedsiębiorców i jego też twarda, lecz ukryta ręka doprowadziła intrygę do końca. Projekty Andrea były zadziwiająco proste i harmonijne. Uważano je w tym czasie za ostatnie słowo wiedzy hutniczej. Andrea znał wszystkie języki europejskie i poza swoją specjalnością — rzadki wypadek wśród inżynierów — posiadał sporo wiadomości z różnych dziedzin nauki.

Pośród wszystkich zebranych na stacji tylko ten jeden człowiek, o suchotniczej postaci i twarzy starej małpy, zachowywał swój zwykły spokój. Przyjechał później niż inni i teraz wolno przechodził się po peronie, tam i z powrotem, z rękami wepchniętymi po łokcie w kieszenie szerokich obwisłych spodni, z nieodstępnym cygarem w ustach. Jego jasne oczy, z których przebijał intelekt uczonego i żelazna wola awanturnika, patrzyły, jak zwykle, niewzruszenie i obojętnie spod opuchniętych, zmęczonych powiek.

Przyjazd rodziny Zinienko nikogo nie zdziwił. Wszyscy jakoś od dawna przyzwyczaili się uważać ją za nierozdzielnie związaną z życiem fabryki. Do mrocznej poczekalni na stacji, gdzie było i zimno, i nudno, dziewczęta wniosły ze sobą ożywienie i nienaturalny chichot. Otoczyli je co młodsi inżynierowie, zmęczeni długim czekaniem. Dziewczęta przybrały natychmiast swoją zwykłą obronną postawę i zaczęły sypać na prawo i lewo miłymi, naiwnymi słówkami, które już dawno wszystkim obrzydły. Wśród swoich krygujących się córek Anna Afanasjewna, maleńka, żwawa, ruchliwa, wyglądała jak niespokojna kwoka.

Bobrow, zmęczony, prawie chory po wczorajszym wybuchu, siedział samotnie w kącie poczekalni i bez przerwy palił. Gdy

weszły panny Zinienko i rozsiadły się z głośnym szczebiotem wokół okrągłego stołu, opanowały go jednocześnie dwa burzliwe uczucia. Z jednej strony było mu wstyd ich nietaktownego, jak sądził, przyjazdu. Był to pałacy najgorszy wstyd, wstyd za innego. Z drugiej strony — ucieszył się, gdy zobaczył Ninę, zarumienioną od szybkiej jazdy, z ożywionymi, błyszczącymi oczyma, elegancko ubraną i znacznie ładniejszą — jak to zwykle bywa — od tej, którą rysowała mu wyobraźnia. W jego chorej, skolataniej duszy, rozpalilo się nieukożone pragnienie czulej dziewczęcej miłości i prostej, uspokajającej pieśzczoty kobiecej.

Szukał okazji, by zbliżyć się do Niny, lecz ona była przez cały czas zajęta paplaniną z dwoma studentami Instytutu Hutniczego, którzy, wyprzedzając się wzajemnie, usiłowali ją rozśmieszyć. Śmiała się błyskając maleńkimi, białymi zębami, bardziej wesola i zalotna niż kiedykolwiek. Jednakże dwa lub trzy razy oczy Niny spotkały się z oczami Bobrowa. Wydało mu się wówczas, że w jej lekko podniesionych brwiach wyczytał milczące, lecz przyjazne pytanie.

Na peronie rozległ się przeciągły dzwonek, obwieszczający odjazd pociągu z najbliższej stacji. Wśród inżynierów powstało poruszenie. Andrej Iljicz z ironicznym uśmiechem obserwował ze swego kąta, jak jedna i ta sama tchórzliwa myśl opanowała umysły tych przeszło dwudziestu ludzi, jak na twarzach ich zarysowała się powaga i zaniepokojenie, ręce przesunęły się machinalnym ruchem po guzikach surdutów, po krawatach i czapkach, oczy obróciły się w stronę, skąd rozległ się dzwonek. W poczekalni wkrótce zrobiło się pusto.

Andrej Iljicz wyszedł na peron. Panny Zinienko, porzucone przez mężczyzn, którzy zajmowali się nimi poprzednio — cisnęły się beładnie obok drzwi, wokół Anny Afanasjewnej. Nina obróciła się na uporeczywe, natrętne spojrzenie Bobrowa i, jakby odgadując, że chciał z nią pomówić bez świadków, zbliżyła się do niego.

— Dzień dobry. Czemu pan dziś taki blady? Może pan chory? — zapytała, mocno i serdecznie ściskając jego rękę. Spojrzała mu w oczy poważnym, pieśzczotliwym wzrokiem. — Dlaczego pan

wczoraj tak wcześniej wyjechał i nawet nie chciał się pożegnać? Zgniewało coś pana.

— I tak, i nie — odpowiedział Bobrow uśmiechając się. — Nie, dlatego że nie mam przecież żadnego prawa gniewać się.

— Każdy człowiek ma prawo się gniewać. Szczególnie wtedy, gdy wie, że obdarzają go zaufaniem. A dlaczegoż tak?

— Dlatego, że... Widzi pani, Nino Grigoriwno — rzekł Bobrow czując nagły przypływ odwagi. — Wczoraj, gdyśmy siedzieli z panią na balkonie — pamięta pani? — przeżyłem dzięki pani kilka pięknych chwil. I zrozumiałem, że gdyby pani zechciała, mogłaby mnie pani uczynić najszczęśliwszym człowiekiem na świecie... Zresztą, czego ja się boję i plotę tu... Przecież pani wie, pani domyśla się, przecież pani dawno wie, że ja...

Bobrow przerwał. Odwaga, która go przed chwilą ogarnęła, znikła bez śladu.

— Co pan... co takiego? — zagadnęła Nina z udaną obojętnością, lecz głos jej niespodziewanie i mimo woli zadrżał. Przyłknęła oczy.

Czekała wyznania miłości, które zawsze tak silnie i przyjemnie porusza serca młodych dziewcząt, bez względu na to, czy serce ich odpowiada na to wyznanie wzajemnością, czy nie. Policzki jej lekko pobrały.

— Nie teraz... później, kiedy indziej — zmieszał się Bobrow. — Kiedy indziej, w innych okolicznościach to pani powiem... Na miłość Boską, nie teraz — dodał błagalnie.

— Dobrze, zgoda. Lecz niechże pan powie, dlaczego pan się rozgniewał?

— Dlatego, że po tych kilku chwilach wszedłem do jadalni bardzo, jakby to powiedzieć — bardzo wzruszony... A kiedy wszedłem...

— To nieprzyjemnie uderzyła pana rozmowa o dochodach Kwasznina? — domyśliła się Nina z tą niespodziewaną, instynktowną przenikliwością, która olśniewa czasem najbardziej ograniczone kobiety. — Tak? Domyśliłam się? — Obróciła się do niego i znów ogarnęła go głębokim, czułym spojrzeniem. — No niech pan powie otwarcie. Pan nie powinien niczego ukrywać przed swoim przyjacielem.

Pewnego razu, przed trzema lub czterema miesiącami, podczas przejażdżki po rzece w dużym towarzystwie, Nina, ożywiona i przejęta pięknem nocy letniej, ofiarowała Bobrowowi swoją przyjaźń po wieczne czasy. Bobrow potraktował to bardzo poważnie i w ciągu całego tygodnia nazywał ją swoim przyjacielem. Nina robiła to również. A gdy mówiła do niego wolno i znacząco, ze swoim zwykłym rozmarzeniem w oczach: „mój przyjacielu“, to te dwa proste słowa powodowały słodkie bicie jego serca. Teraz przypomniał mu się ten żart i odpowiedział z westchnieniem:

— Dobrze, „mój przyjacielu“, powiem pani prawdę, chociaż mi trochę ciężko. W stosunku do pani wiecznie przeżywam jakąś męczącą rozterkę. Bywają chwile w naszych rozmowach, gdy pani jednym słowem, jednym gestem, nawet jednym spojrzeniem, czyni mnie takim szczęśliwym... Ach, czyż można oddać takie uczucia słowami? Niech pani powie tylko, czy zauważyła to pani?

— Zauważyłam — odpowiedziała prawie szeptem i nisko spuściła oczy, z figlarnym drżeniem rzęs.

— A potem... potem od razu zmieniała się pani w moich oczach w prowincjonalną pannę, używającą szablonowych zwrotów i pełną jakiegoś wyuczonego zmanierowania, które występowało na każdym kroku... Proszę się na mnie nie gniewać za otwartość... Gdyby to nie męczyło mnie tak strasznie, nie mówiłbym tego...

— I to także zauważyłam...

— No, widzi pani... Zawsze przecież wiedziałem, że pani ma pełną zrozumienia, czułą i subtelną duszę. Dlaczegoż nie chce pani być zawsze taka sama jak teraz?

Nina znów obróciła się do Bobrowa, nawet zrobiła ręką taki ruch, jakby chciała dotknąć jego dłoni. Przez cały czas tej rozmowy spacerowali przy samym końcu peronu.

— Pan mnie nigdy nie chciał zrozumieć, Andreju Iljiczu — powiedziała z wyrzutem. — Pan jest nerwowy i niecierpliwy. Pan przecenia to wszystko, co jest we mnie dobrego, lecz jednocześnie nie potrafi pan zrozumieć, że nie mogę być inną w tym środowisku, w którym żyję. Byłoby to śmieszne, wniosłoby

do naszej rodziny niezgodę. Jestem zbyt słaba i, mówiąc prawdę, nie bardzo się nadaje do walki i samodzielności... Idę tam, gdzie idą wszyscy, patrzę na rzeczy i sądzę o nich, jak wszyscy. I niech pan nie myśli, że nie odczuwam swojej pospolitości... Ale z innymi nie czuję jej ciężaru, a z panem, z panem tracę wszelką miarę, bo... zacięła się — no, wszystko jedno... bo pan jest zupełnie inny, bo takiego człowieka jak pan nigdy jeszcze w życiu nie spotkałam.

Wydawało jej się, że mówi szczerze. Ożywcza świeżość jesiennego powietrza, gorączkowy ruch na dworcu, świadomość własnej urody, przyjemność, jaką jej sprawiały utkwione w niej, zakochane oczy Bobrowa — wszystko to naelektryzowało ją i doprowadziło do stanu, w którym historyczni ludzie kłamią z takim natchnieniem, tak ujmująco i tak niepostrzeżenie dla samych siebie. Lubując się swoją nową rolą dziewczęcia spragnionego duchowego wsparcia, czuła potrzebę mówienia Bobrowowi przyjemnych słów.

— Wiem, że uważa mnie pan za kokietkę... Proszę bardzo, niech pan nie zaprzecza... Zgadza się z tym, że daję podstawy do takiego sądu... Na przykład śmieję się często i plotę byle co z Millerem. Lecz żeby pan wiedział, jaki jest dla mnie wstrętny ten cherubinek! Albo ci dwaj studenci... Ładny mężczyzna jest już dlatego tylko nieprzyjemny, że kocha się ciągle w samym sobie... Czy pan uwierzy, chociaż to może wydać się dziwne, że przystojni mężczyźni nigdy mi się specjalnie nie podobali.

Przy tym przyjemnym zdaniu, wypowiedzianym najczulszym tonem, Bobrow ciężko westchnął. Nieraz już słyszał z kobiecych ust te twarde słowa pocieszenia, których kobiety nie odmawiają nigdy swoim brzydkim wielbicielom.

— To znaczy, mogę mieć nadzieję, że kiedyś zasłużę na pani sympatię? — zapytał żartobliwym tonem, w którym zadźwięczała jednakże gorycz drwiny.

Nina szybko opamiętała się.

— No, co z pana za człowiek, naprawdę. Nie można z panem mówić... Po co pan prowokuje komplementy, szanowny panie? To nieładnie...

Była trochę zakłopotana swoją niezręcznością. Żeby zmienić temat rozmowy, zapytała z filuternym rozkazem w głosie:

— No więc, coś mi pan chciał powiedzieć przy innej okazji? Proszę, niech pan natychmiast opowie!

— Nie wiem... Nie pamiętam — zaciął się Bobrow, którego podniecenie już minęło.

— Przypomnę to panu, mój skryty przyjacielu... Zaczął pan mówić o wczorajszym dniu, potem o jakichś pięknych chwilach, potem pan powiedział, że ja z pewnością już to dawno zauważyłam... ale co? Nie dokończył pan... Niechże pan opowie teraz, proszę. Ja żądam tego, słyszy pan?

Patrzyła na niego oczyma, w których błyszczał uśmiech — figlarny, obiecujący i jednocześnie czuły... Serce Bobrowa słodko zamarło w piersiach. Poczul znów przypływ poprzedniej odwagi. „Ona już wie, chce sama, żebym mówił“ — pomyślał nabierając oddechu.

Zatrzymali się przy samym końcu peronu. Ludzi nie było tu zupełnie. Nina czekała na odpowiedź, pochłonięta dowcipną zabawą, którą sobie przypadkowo wymyśliła, Bobrow szukał słów i ciężko dyszał. Oboje byli wzburzeni. W tym momencie dały się nagle słyszeć przenikliwe dźwięki trąbek sygnałowych i na stacji powstało zamieszanie.

— Więc niechże pan pamięta... Czekam — szepnęła Nina, szybko odchodząc. — Dla mnie to znacznie ważniejsze, niż pan przypuszcza...

— Spoza zakrętu kolei wyskoczył pośpieszny pociąg, otoczony kłębami czarnego dymu. Zaturkotał na zwrotnicach, szybko i płynnie zwolnił biegu i po chwili zatrzymał się na peronie... Na samym końcu pociągu przyczepiony był długi służbowy wagon, błyszczący świeżą niebieską farbą. Pośpieszyli tam wszyscy zebrani. Konduktorzy rzucili się uniżenie, aby otworzyć drzwi wagonu; za chwilę wypadły na peron i otworzyły się z trzaskiem składane schody. Naczelnik stacji, zdyszany i czerwony ze zdenerwowania, z przestraszonym wyrazem twarzy przynaglił robotników, by szybciej odczepili służbowy wagon. Kwasznin był jednym z głównych akcjonariuszy N-skiej kolei. Gdy jeździł jej liniami,

przyjmowano go z honorami, jakie nie zawsze okazywano najwyższym urzędnikom kolejowym.

Do wagonu weszli tylko Szelkownikow, Andrea i dwaj wpływowi inżynierowie belgijscy. Kwasznin siedział w fotelu, z wypiętym brzuchem i szeroko rozstawionymi potężnymi nogami. Na głowie miał okrągły filcowy kapelusz, spod którego świeciły płomienne włosy; wygolona jak u aktora twarz, o obwisłych policzkach i potrójnym podbródku, upstrzona przy tym dużymi piegami, wyrażała senność i niezadowolenie; wargi składały się w kwaśny, pogardliwy grymas.

Na widok inżynierów Kwasznin podniósł się z wysiłkiem.

— Dzień dobry, panowie — powiedział zachrypłym basem, wyciągając do nich po kolei swoją ogromną mięsistą dłoń, którą z szacunkiem ściskali.

— No, panowie, co słyszeć w fabryce?

Szelkownikow zaczął składać raport tonem urzędowego pisma. Fabryka idzie doskonale. Czekają tylko na przyjazd Wasyla Terentiewicza, by w jego obecności puścić w ruch wielki piec i położyć kamień węgielny pod nowe budynki... Robotnicy i majstrowie zaangażowani zostali na dobrych warunkach. Napływ zamówień jest tak wielki, że trzeba co prędzej zabrać się do roboty.

Kwasznin słuchał, obrócony twarzą do okna, i z roztargnieniem spoglądał na tłum zebrany koło służbowego wagonu. Rysy jego twarzy nie wyrażały nic prócz pogardliwego znużenia.

Po chwili przerwał dyrektorowi nieoczekiwanym pytaniem:

— Ee... posłuchaj pan... Co to za panienczka?

Szelkownikow zaglądnął w okno.

— No, ta tutaj... z żółtym piórem na kapeluszu — niecierpliwie pokazał palcem Kwasznin.

— Ach, ta? — dyrektor zatrzepotał rękami i, nachylając się do ucha Kwasznina, szepnął intymnie po francusku: — To córka naszego kierownika magazynu. Nazywa się Zinienko.

Kwasznin skinął ociężałe głową. Szelkownikow ciągnął dalej swój raport, ale pryncypał przerwał mu ponownie:

— Zinienko... Zinienko... — ciągnął, dalej zamyślony, nie odry-

wając się od okna. — Zinienko... Któż to taki ten Zinienko? Gdzie ja słyszałem to nazwisko? Zinienko?

— To kierownik naszego magazynu — powtórzył Szelkownikow uniżenie i z udaną obojętnością.

— Ach, już wiem! — przypomniał sobie w tej chwili Wasyl Terentiewicz. — Mówiono mi o nim w Petersburgu... No więc, niech pan mówi dalej, proszę.

Nina nieomylnym kobiecym instynktem wyczuła, że na nią właśnie spogląda Kwasznin i o niej teraz mówi. Odwróciła się nieco, lecz mimo to Wasyl Terentiewicz widział jej zalotnie zarumienioną twarz, pokrytą ładniutkimi pieprzykami.

Wreszcie Szelkownikow skończył swój raport i Kwasznin wyszedł na pomost z tyłu wagonu, wyglądający jak obszerny szklany pawilon.

Bobrow pomyślał sobie, że przydałby mu się teraz dobry aparat fotograficzny, by uwiecznić ten moment. Kwasznin zwlekał jakoś z wyjściem na peron. Przystanął na pomoście, górując swoją olbrzymią postacią nad grupą ludzi tłoczących się koło wagonu. Rozstawił szeroko nogi i patrzył z pogardliwą miną, podobny do japońskiego bożka, ciosanego niewprawną dłonią. Ta niewzruszoność szefa wywołała wyraźny niepokój wśród zebranych: wargi ich zastygły, wykrzywione w uprzednio przygotowanym uśmiechu, a oczy, zwrócone do góry, patrzyły na Kwasznina służalczo, prawie ze strachem. Po obu stronach drzwiczek stanęli sztywno, w żołnierskich pozach, dziarscy konduktorzy. Bobrow spojrzał przypadkowo na Ninę, która wysunęła się naprzód, i z goryczą spostrzegł na jej twarzy ten sam uśmiech i ten sam lęk dzikusa, patrzącego na swego bożka.

„Czyżby to miał być tylko bezinteresowny, czolobitny podziw dla trzystu tysięcy rocznego dochodu? — pomyślał Andrej Iljicz. — Co każe tym wszystkim ludziom tak służalczo merdać ogonkiem przed tym człowiekiem, który nigdy nawet nie spojrzy na nich z uwagą? Czy jest w tym jakieś psychologiczne prawo służalczości, niedostępne zwykłemu rozumowaniu?!“

Kwasznin zdecydował się wreszcie poruszyć. Wyprzedzany

przez swój brzuch, zszedł po stopniach na peron, podtrzymywany ostrożnie pod ręce przez obsługę kolejową.

Tłum, w uniżonych ukłonach, szybko rozstąpił się przed nim w prawo i lewo. Kiwnął im niedbale głową, wydymając grubą dolną wargę, i powiedział nosowym głosem:

— Panowie, jesteście wolni do dnia jutrzejszego.

Podchodząc do powozu skinął na dyrektora.

— Niech mi go pan przedstawi, Sjergieju Walerianowiczu — rzekł półgłosem.

— Zinienkę? — uprzedzająco domyślił się Szelkownikow.

— No tak, do diabła! — burknął Kwasznin, niespodziewanie rozdrażniony. — Tylko nie tu, nie tu — przytrzymał za rękaw dyrektora, który poderwał się już, by biec po Zinienkę. — Gdy będę w zakładach.

VII

Rozpoczęcie robót murarskich i otwarcie kampanii nowego wielkiego pieca odbyło się w cztery dni po przyjeździe Kwasznina. Obchód tych dwóch wydarzeń miał być wyjątkowo uroczysty. Ze względu na to rozesłano zaproszenia do sąsiednich zakładów metalurgicznych: krutogorskich, woronińskich i lwowskich...

Po przyjeździe Wasyla Terentiewicza przybyli z Petersburga jeszcze dwaj członkowie zarządu, czterej belgijscy inżynierowie i kilku większych akcjonariuszy. Wśród pracowników zakładów chodziły słuchy, jakoby zarząd miał wyasygnować dwa tysiące rubli na koszty galowego obiadu, dotychczas jednak nic jeszcze nie potwierdziło tych pogłosek, a cały ciężar zakupu win i różnorodnych zapasów spadł na dostawców, jak haracz.

Dzień był odpowiedni na uroczystość — jeden z tych jasnych, przejrzystych dni wczesnej jesieni, gdy niebo wydaje się sine i głębokie, a chłodne powietrze pachnie dobrym, mocnym winem. Kwadratowe jamy, wykopane pod fundamenty nowej maszyny pneumatycznej i pieca Bessemera, otaczał zbity tłum robotni-

ków, ustawionych w kształcie podkowy. Pośrodku tego żywego ogrodzenia, nad samym skrajem jamy, znajdował się prosty, nie malowany stół, okryty białym obrusem. Leżał na nim krzyż, ewangelia, miska do wody święconej i kropidło. Pop, już ubrany w zielony ornat haftowany w złote krzyże, trzymał się na uboczu, stojąc przed piętnastoma robotnikami, którzy podjęli się zastąpić śpiewaków. Otwartą stronę „podkowy“ zajmowali inżynierowie, dostawcy, starsi dziesiętnicy, biuraliści — była to barwna grupa, złożona z dwustu przeszło ludzi. Na nasypie ulokował się fotograf. Głowę i aparat przykrył czarną chustą i kręcił się, szukając odpowiedniego punktu na zdjęcie.

Po dziesięciu minutach na placyk wjechał szybko Kwasznin trójką wspaniałych siwków. Siedział w powozie sam, bo nawet przy najlepszych chęciach nikt by się nie mógł z nim pomieścić. Tuż za Kwaszninem nadjechało jeszcze pięć czy sześć powozów. Gdy robotnicy ujrzeli Kwasznina, instynktownie wyczuli w nim „grubą rybę“ i zaraz wszyscy jak jeden mąż zdjęli czapki. Kwasznin majestatycznie wysunął się naprzód i kiwnął głową popowi.

— Niech będzie Bóg błogosławiony, teraz i zawsze, i na wieki wieków — rozległ się w naglej ciszy drżący, urywany, nosowy tenorek popa.

— Amen — podchwycił dość dokładnie zaimprovizowany chór.

Robotnicy — było ich około trzy tysiące ludzi — tak samo zgodnie jak przedtem przywitali Kwasznina, przeżegnali się teraz szerokimi znakami krzyża, skłonili głowy, po czym podnieśli je wstrząsając włosami. Bobrow zaczął się im mimo woli przyglądać. Na przedzie stali w dwu rzędach poważni Rusini — murarze o lnianych włosach i rudych brodach, wszyscy w białych fartuchach. Za nimi — gisierzy i kowale w szerokich ciemnych bluzach, które robotnicy rosyjscy przejęli od Francuzów i Anglików. Twarze ich były czarne od nigdy nie odmywanej sadzy. Wśród nich widziało się cudzoziemskie profile o garbatych nosach, a z tyłu, spoza gisierów, wyglądali robotnicy pracujący przy wapiennych piecach. Można ich było z daleka poznać po twarzach

jakby obsypanych mąką i po błyszczących, opuchłych, czerwonych oczach...

Za każdym razem, gdy chór gromko i melodyjnie, chociaż trochę przez nos, śpiewał „Od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać, Święta Boża Rodzicielko“, całe te trzy tysiące ludzi żegnało się znakami krzyża, z jednakowym cichym szelestem, i biło niskie pokłony. Bobrowowi wydawało się, że w tej wspólnej modlitwie szarej ogromnej masy jest jakaś żywiołowość i potęga, a jednocześnie coś dziecięcego, wzruszającego. Jutro wszyscy robotnicy przystąpią do swojej ciężkiej, uporczywej, dwunastogodzinnej pracy. Jak poznać, któremu z nich los każe życiem przypłacić tę pracę; który z nich spadnie z wysokiego rusztowania, oparzy się roztopionym metalem, zostanie zasypany żwirem czy cegłą? I czyż nie o tych właśnie niezmiennych wyrokach losu myślą oni teraz, bijąc pokłony i potrząsając rudymi kudłami, podczas gdy chór prosi Matkę Bożą, by wybawiła od wszelakich złych przygód. I na kogoż mogą oni liczyć, jeśli nie na Matkę Bożą, te wielkie dzieci o prostych i odważnych sercach, ci pokorni bojownicy, wychodzący codziennie z zimnych, wilgotnych lepiarek do swojej powszedniej pracy, pełnej cierpienia i męstwa?

W ten sposób lub prawie w ten sposób myślał Bobrow, skłonny zawsze do tworzenia szerokich, poetyckich obrazów, i chociaż dawno już odzwyczaił się od modlitwy, to jednak za każdym razem, gdy drżący, daleki głos popa przechodził w zgodny odzew chóru, czuł na plecach i karku drażniącą, chłodną falę podniecenia nerwowego. Dziwna moc, pokora i poświęcenie były w tej naiwnej modlitwie szarych ludzi pracy, zebranych tu z dalekich guberni, Bóg wie skąd, i oderwanych od rodzinnego kąta na trud i poniewierkę...

Modły się skończyły. Kwasznin niedbale rzucił do jamy dukata, lecz nie mógł się schylić nad łopatą — zrobił to za niego Szelkownikow. Potem cała grupa ruszyła w stronę wielkich pieców, których okrągłe, czarne, masywne baszty wznosiły się na kamiennych fundamentach.

Piąty, nowowyprowadzony, wielki piec, był już, jak to się mówi

w żargonie technicznym — „w pełnym ruchu“. U spodu pieca, na wysokości arszyna, zrobiono otwór, z którego bił szerokim, ognistobiałym, bulgocącym potokiem roztopiony żużel. Pryskaly z niego na wszystkie strony błękitne siarczane płomyki. Żużel ściekał pochyłym rynsztokiem do kotłów stojących przy pionowym brzegu fundamentu i zastygł w nich na zielonawą, gęstą masę, podobną do masy karmelkowej. Robotnicy, pracujący na samym wierzchołku pieca, bez przerwy wrzucali do wnętrza rudę i węgiel kamienny, dostarczany nieustannie do góry w żelaznych wózkach.

Pop pokropił wielki piec ze wszystkich stron wodą święconą i, śpiesząc się, bojaźliwie odszedł na bok utykającym, starczym krokiem. Majster hutniczy, żyłasty, ciemnoskóry starzec, przeżegnał się i popluł w ręce. To samo zrobili czterej jego pomocnicy. Potem podnieśli z ziemi długi stalowy łom, rozkołysali go wolno i, stęknawszy, jednocześnie uderzyli nim w dół pieca. Łom dźwięcznie stuknął o gliniany czop. Widzowie w nerwowym, bojaźliwym oczekiwaniu zmrużyli oczy; niektórzy cofnęli się w tył. Robotnicy uderzyli po raz drugi, potem trzeci, czwarty... i nagle spod ostrza łomu bryznęła osłepiająca fontanna płynnego metalu. Majster rozszerzył otwór okrągłymi poruszeniami łomu. Surówka wolno pociekła po piaszczystej bruździe, przybierając odcień ognistej ochry. Całe snopy błyszczących wielkich iskier z trzaskiem leciały z otworu pieca na wszystkie strony i ginęły w powietrzu. Od metalu, płynącego cicho i jakby leniwie, szedł taki straszny żar, że nie przyzwyczajeni goście ustawicznie cofali się i zakrywali rękoma policzki.

Od wielkich pieców przeszli inżynierowie do oddziału maszyn pneumatycznych. Tak zarządził Kwasznin, który chciał pokazać akcjonariuszom zakłady w całym ich ogromie. Przewidywał całkiem słusznie, że panowie ci, pod wpływem wielu silnych i nowych dla nich wrażeń, będą później opowiadali cuda na walnym zebraniu, które upoważniło ich do przeprowadzenia kontroli w zakładach. Dotychczas walne zebranie nie zgadzało się na nową emisję akcji. Kwaszninowi bardzo na tej emisji zależało. Znając psychologię ludzi interesu Wasyl Terentiewicz był przekonany,

że akcjonariusze zmieniają swoje stanowisko po obejrzeniu zakładów.

I akcjonariusze byli rzeczywiście przejęci aż do bólu głowy i dreszczu w nogach... W hali pneumatycznych maszyn, pobladli z wrażenia, przysłuchiwali się, jak powietrze, wtłaczane do rur za pomocą czterech pionowych tłoków o długości dwóch sążni, pędziło po nich z rykiem, od którego drżały mury gmachu. W tych masywnych rurach z lanego żelaza, szerokich na dwie długości ramion, powietrze przechodziło przez aparaty Cowpera, nagrzewało się w nich od płonących gazów do sześciuset stopni, a stąd już wprowadzano je do wnętrza wielkiego pieca, gdzie roztopiało rudę i węgiel swoim gorącym tchnieniem. Inżynier, kierujący oddziałem maszyn pneumatycznych, udzielał wyjaśnień. Mimo to jednak, że po kolei nachylał się do akcjonariuszy i krzyczał im w same ucho na cały głos, zrywając sobie płuca, jego słów nikt nie słyszał w potwornym huku maszyn. Wydawało się tylko, że bezdźwięcznie i z wysiłkiem porusza wargami.

Później Szekownikow poprowadził gości do hali pudlarskich pieców. Był to wysoki żelazny budynek o takiej długości, że z jednego jego końca z trudem można było dojrzeć drugi. Przy jednej ze ścian ciągnął się wzdłuż hali kamienny pomost, na którym mieściło się dwadzieścia pudlarskich pieców, przypominających kształtem zdjęte z kół wagony. W piecach tych płynna surówka, zmieszana z rudą, zamieniała się w stal. Gotowa już stal, ściekając rurami w dół, napelniała wysokie żelazne formy — coś w rodzaju futerałów bez dna, ale z rączkami u góry — i zastygła w nich jednolitymi bryłami o wadze czterdziestu pudłów. Po nie zajętej stronie hali ciągnęły się szyny. Pełzały po nich, sycząc, sapiąc i postukując, parowe dźwigi, wyglądające jak posłuszne i zręczne zwierzęta o długich, giętkich ryjach. Pierwszy dźwig chwycił formę haczykiem za rączkę i podnosił ją do góry. Wtedy ciężko wypadała z niej bryła stali w kształcie długiej, prawidłowej sztaby oślepiająco czerwonego koloru. Lecz wcześniej jeszcze, nim bryła upadła na ziemię, robotnik z niezwykłą zręcznością owijał ją liną grubości ręki. Drugi dźwig chwycił tę linę haczykiem, gładko przenosił bryłę w powietrzu i układał ją razem z in-

nyimi na pomoście, przymocowanym do trzeciego dźwigu. Trzeci włókł ten ładunek na drugi koniec hali, gdzie czwarty dźwig, zaopatrzony zamiast haczyka w szczypce, zdejmował stalowe bryły z wagonu i wpuszczał je w otwarte luki gazowych pieców, które znajdowały się pod podłogą. Wreszcie piąty dźwig wyjmował je z tych pieców, gdy stawały się białe od gorąca, i kładł je po kolei pod okrągłe koło o ostrych zębach, obracające się niezwykle szybko na poziomej osi. W ciągu pięciu sekund koło to rozcinało stalową bryłę na dwie połowy, jak kawałek miękkiego piernika. Każda połowa bryły przychodziła dalej pod siedmusetpudową prasę młota parowego, który ją ugniatał z taką siłą i przy tym tak lekko, jak gdyby była z wosku. Robotnicy podchwytywali ją później na ręczne wózki i odjeżdżali biegiem, obsypując wszystko dookoła siebie blaskiem i żarem rozpalonego żelaza.

Potem Szelkownikow pokazał swoim gościom walcownię szyn. Ogromna sztaba rozpalonego metalu przechodziła tu przez cały rząd obrabiarek, jeżdżąc od jednej do drugiej na walcach umieszczonych pod podłogą. Nad powierzchnią podłogi wystawała tylko ich górna część. Sztaba wsuwała się w otwór utworzony przez dwa stalowe cylindry, obracające się w przeciwnie strony, i przeciskała się pomiędzy nimi, aż cylindry rozstępowały się, drżąc z napięcia. Następnie szła do obrabiarki z jeszcze mniejszym otworem między cylindrami. Po przejściu przez każdą obrabiarkę sztaba stawała się coraz cieńsza i dłuższa, a gdy przebiegła walcownię kilkakrotnie tam i z powrotem, nabierała powoli kształtu dziewięciosążniowej, czerwonej szyny. Skomplikowanym ruchem piętnastu obrabiarek kierował tylko jeden człowiek, znajdujący się pod parową maszyną, na podwyższeniu w rodzaju kapitańskiego mostka. Gdy przesuwiał uchwyt w przód, wszystkie cylindry i walki zaczynały się kręcić w jedną stronę; gdy przesuwiał go w tył — cylindry i walki kręciły się w odwrotną stronę. Kiedy szyna była już ostatecznie wyciągnięta, okrągła pila cięła ją z ogłuszającym zgrzytem na trzy części, sypiąc fontanną z otych iskier.

Potem przeszli wszyscy do tokarni, gdzie wyrabiano głównie koła do parowozów i wagonów. Z sufitu zwieszały się tu skórzane pasy, zaczepione o gruby stalowy świerzeń, przecignięty przez

całą halę. Pasy te wprawiały w ruch dwie lub trzy setki obrabiarek, różnorodnej wielkości i kształtów. Pasów było tak dużo, krzyżowały się w tylu kierunkach, że robiły wrażenie jednolitej, splecionej i drżącej sieci. Koła niektórych obrabiarek kręciły się z szybkością dwudziestu obrotów na sekundę, a ruch innych był tak powolny, że prawie nie można go było dostrzec okiem. Stalowe, żelazne i miedziane wióry, w kształcie ładnych, długich spirali, gęsto pokrywały podłogę. W powietrzu rozbrzmiewał nieznośny, cienki i przenikliwy pisk wiertarek. Pokazano tam gościom także maszynę wyrabiającą mutry — coś w rodzaju dwóch ogromnych, regularnie kłapiących stalowych szczęk. Dwaj robotnicy wsuwali w tę paszczę koniec rozżarzonego długiego pręta, a maszyna, równomiernie odcinając po kawałku metalu, wypływała na ziemię już całkowicie gotowe mutry.

Gdy wyszli z tokarni, Szelkownikow zaproponował akcjonariuszom (przez cały czas wyłącznie do nich zwracał się z wyjaśnieniami) obejrzenie największej dumy zakładów, maszyny *Compound* o sile dziewięćset koni mechanicznych. Petersburscy panowie byli już i tak w dostatecznym stopniu ogłuszeni i otumanieni tym wszystkim, co zobaczyli i usłyszeli. Nowe wrażenia nie budziły już w nich żadnego zainteresowania, stały się jedynie męczące. Twarze ich płonęły od gorąca walcowni szyn, na rękach i ubraniach osiadła brudna sadza węglowa. Propozycję dyrektora przyjęli z widocznym samozaparciem, by nie poderwać autorytetu walnego zebrania, którego byli pełnomocnikami.

Compound o sile dziewięćset koni mechanicznych mieścił się w oddzielnym budynku, bardzo czystym i eleganckim, o jasnych oknach i mozaikowej posadzce. Mimo swego ogromu maszyna prawie nie wydawała stuku... Dwa tłoki, długie na cztery sążnie, chodziły szybko i miękko w cylindrach, obitych drewnianymi listwami. Bezdźwięcznie i szybko kręciło się również koło o średnicy dwudziestu stóp, po którym ślizgało się dwaście lin; od jego szerokich ruchów suche, gorące powietrze maszynowni drgało silnymi, równomiernymi falami. Olbrzym ten poruszał i maszyny pneumatyczne, i obrabiarki w walcowni, i wszystkie maszyny w tokarni.

Po obejrzeniu *Compounda* akcjonariusze byli już całkowicie przekonani, że cierpienia ich się skończyły, lecz niezmordowany Szelkownikow zwrócił się do nich z nową przyjemną propozycją:

— A teraz, panowie, pokażę wam serce naszych zakładów, miejsce, w którym się rodzi ich życie.

Nie poprowadził, lecz prawie powlókł ich do hali kotłów parowych. Jednakże po wszystkim, co oglądali poprzednio, „serce zakładów“ — dwanaście kotłów cylindrowych, z których każdy miał pięć sążni długości i półtora sążnia wysokości — nie wywarło na znużonych akcjonariuszach szczególnie imponującego wrażenia. Myśli ich dawno krążyły wokół oczekującego ich obiadu i o nie już nie pytali, reagując na wszystkie wyjaśnienia Szelkownikowa obojętnym kiwaniem głowy. Kiedy dyrektor skończył, akcjonariusze odetchnęli z ulgą i, pełni zapału, z nieukrywaniem zadowoleniem zaczęli mu ścisnąć rękę.

Teraz tylko Andrej Iljicz został koło parowych kotłów. Stojąc na skraju głębokiej, pogrążonej w półmroku kamiennej jamy, w której mieściły się paleniska, długo spoglądał w dół, obserwując ciężką pracę sześciu obnażonych do pasa ludzi. Bez przerwy, przez cały dzień i noc, sypali węgiel kamienny w otwory palenisk. Raz po raz z brzękiem otwierały się okragłe, żeliwne drzwiczki i wtedy widać było, jak w paleniskach z hukiem i rykiem szaleją jaskrawobiałe, gwałtowne płomienie. Nagie ciała robotników, wysuszone od ognia, szerniały od węglowego pyłu, raz po raz pochylały się w dół, aż na ich plecach występowały napięte mięśnie i wszystkie kręgi kręgosłupa. Chude, zwinne ręce raz po raz nabierały pełną łopatę węgla i szybkim, zręcznym ruchem wsuwały go w otwartą, gorejącą otchłań. Dwaj inni robotnicy, stojąc na górze, zrzucali w dół, tak jak i tamci, bez chwili wytchnienia, wciąż nowe i nowe kupy węgla, z których wyrastały dookoła kotłowni ogromne czarne kopce. Bobrowowi zdawało się, że jest coś niemiłosiernego, coś nieludzkiego w tym nie kończącym się trudzie palaczy. Można by przypuścić, że jakaś nadprzyrodzona siła przykuła ich na całe życie do tych rozwartych paszczy, a oni, w lęku przed straszliwą śmiercią, muszą bezustannie karmić nienasyconego, żarłocznego potwora...

— Cóż to, kolego, patrzy pan, jak tuczą pańskiego Molocha? — usłyszał Bobrow za plecami wesoly, dobroduszny głos.

Andrej Iljicz zadrżał i omal nie wpadł do jamy. Zaskoczyło go, prawie nim wstrząsnęło to nieoczekiwane skojarzenie żartobliwej wypowiedzi doktora z jego własnymi myślami. Nawet kiedy już zapanował nad sobą, dręczyła go niezwykłość tego zbiegu okoliczności. Interesowały go zawsze i wydawały mu się zagadkowymi wypadki, gdy swoje przeżycia wewnętrzne lub myśli odnajdował w nagle zasłyszanej rozmowie.

— Zdaje się, przestraszyłem pana, mój drogi? — zapytał doktor, uważnie zaglądając w twarz Bobrowa. — Proszę mi wybaczyć.

— Tak, trochę... pan tak cicho podszedł... zupełnie nie spodziewałem się.

— Ej, braciszku, Andreju Iljiczu, trzeba podleczyć nerwy. Są już zupełnie do niczego... Proszę posłuchać mojej rady: bierz pan urlop i machnij się gdzieś za granicę. Po lichu pan tu się będzie dręczyć? Pożyje pan z pół roku dla własnej przyjemności; niech pan pije dobre wino, dużo jeździ konno, zakrzătnie się koło jakiejś kobiety...

Doktor stanął nad brzegiem kotłowni.

— Co za piekło! — wykrzyknął spoglądając w dół. — Ile taki samowarek waży? Jakieś osiemset pudów chyba, co?

— Nie, więcej. Półtora tysiąca.

— Oj, oj, oj... A jeśli taka bestia zechce sobie, tego... pęknąć? Będzie efektowny widok? Co?

— Bardzo efektowny, doktorze. Z pewnością po tych wszystkich budynkach nie zostałby kamień na kamieniu.

Goldberg pokręcił głową i znacząco gwizdnął:

— Jakże to może się wydarzyć?

— Bywają różne przyczyny... ale najczęściej zdarza się to w ten sposób: gdy w kotle zostaje bardzo mało wody, jego ścianki rozgrzewają się coraz więcej i więcej, prawie do czerwoności. Jeżeli w tym czasie wpuści się do kotła wodę, powstaje od razu ogromna ilość pary, ścianki nie wytrzymują ciśnienia i kocioł pęka.

— Więc można to zrobić umyślnie?

— Oczywiście... Chciałby pan spróbować? Gdy woda zupełnie spadnie w wodomierzu, trzeba tylko przekreślić klapę... widzi pan, maleńki, okrągły lewarek... I to wszystko.

Bobrow żartował, lecz głos jego był dziwnie poważny, a oczy patrzyły surowo i posepnie. „Diabli go wiedzą — pomyślał doktor — miły człowiek, a jednak... psychopata...” — Czemuz to pan nie poszedł na obiad, Andreju Iljczu? — zapytał Goldberg oddalając się od kotłowni. — Niechby pan chociaż spojrzal, co tam przygotowano w laboratorium. Zastawa — wprost palce lizać!

— A lichy ich bierz! Nie znoszę tych inżynierskich obiadów — zmarszczył się Bobrow. — Chępią się, wrzeszczą, jeden drugiemu szkaradnie schlebia, a potem zawsze te same pijane toasty, w czasie których mówcy oblewają winem siebie i swoich sąsiadów... Obrzydliwość!...

— Tak, tak, to prawda — zaśmiał się doktor. — Byłem tam na początku. Kwasznin prezentował się w całej swej okazałości: „Szanowni panowie, godność inżyniera jest wysoką i odpowiedzialną godnością. Wraz z koleją, wraz z wielkim piecem i kopalnią inżynier niesie w głąb kraju ziarna kultury, kwiaty cywilizacji...” i jeszcze jakieś tam plody, już dobrze nie pamiętam... Ależ to oberkanciarz! „Zespólmmy szeregi, panowie, i wzniesmy wysoko święty sztandar naszej dobroczynnej sztuki!” No, oczywiście, szalone oklaski.

Przeszli parę kroków milcząc. Twarz doktora okryła się nagle cieniem. Powiedział ze złością w głosie:

— Tak! Dobroczynna sztuka! A baraki dla robotników pobudowano z wiórów. Z chorymi nie nadążysz, dzieci mrą jak muchy. Masz ci i ziarna kultury! Zaśpiewają oni dopiero, gdy w Iwanowie rozhula się tyfus brzuszny.

— Co pan mówi, doktorze? Czy są już jakieś wypadki? Byłoby to straszne przy tej ciasnocie.

Doktor przystanął, ciężko wdychając powietrze.

— A jak może być inaczej? — odrzekł z goryczą. — Wczoraj przywieźli dwóch ludzi. Jeden z nich skończył dziś rano, a drugi, jeśli jeszcze nie umarł, to umrze na pewno wieczorem... A my

nie mamy ani lekarstw, ani pomieszczeń, ani doświadczonych felczerów... Niech pan poczeka, doigrają się oni! — gniewnie dodał Goldberg i pięścią pogroził komuś w przestrzeń.

VIII

Złe języki zaczęły trajkotać. Jeszcze przed wyjazdem Kwasznina krążyło o nim tyle pikantnych anegdotek, że teraz nikt nie wątpił, jaki jest rzeczywisty powód jego zbliżenia z rodziną Zinienko. Kobiety mówiły o tym z dwuznacznym uśmiechem, mężczyźni, w swoim kółku, z cyniczną otwartością nazywali rzecz po imieniu. Jednakże dokładnie nikt niczego nie wiedział. Wszyscy z przyjemnością czekali na frapujący skandal.

W plotce była część prawdy. Kwasznin złożył wizytę rodzinie Zinienko i zaczął tam codziennie spędzać wieczory. Z rana, koło godziny jedenastej, zajeżdżała do Szepietówki jego wspaniała trójka siwków, a stangret niezmiennie meldował, że „pan prosi panią i panienki, by raczyły przybyć do niego na śniadanie“. Postronne osoby nie były na te śniadania proszone. Potrawy sporządzał kucharz Francuz, którego Wasyl Terentiewicz wszędzie woził ze sobą w swoich częstych podróżach, nawet i za granicę.

Względy, jakie okazywał Kwasznin swoim nowym znajomym, wyrażały się dość oryginalnie. W stosunku do wszystkich pięciu dziewcząt przeszedł od razu na swobodną stopę beżennego, wesołego wujaszka. Już po trzech dniach zwracał się do nich po imieniu, dodając „otczestwo“ — Szura Grigoriwna, Ninoczka Grigoriwna, a najmłodszą Kasię brał często za pulchny podbródek z dołkiem i drażnił nazywając ją „niemowlę“ lub „kurczę“. Kasia czerwieniła się, omal nie płacząc, ale nie okazywała sprzeciwu.

Anna Afanasjewna, drocząc się filuternie, wyrzucała mu, że zupełnie rozpieści jej dziewczęta! I rzeczywiście, wystarczyło, że któraś z nich wyraziła jakiekolwiek życzenie, by spełniało się ono natychmiast. Gdy tylko Maka bąknęła, bez żadnej zresztą ubocznej myśli, że chciałaby mieć rower, zaraz na drugi dzień

umyślny posłaniec przywiózł z Charkowa przepiękną maszynę, która musiała kosztować co najmniej trzysta rubli... Z Betą założył się Kwasznin o jakieś głupstwo i przegrał do niej pud cukierków, do Kasi broszkę, w której początkowe litery nazw kolejno ułożonych drogich kamieni tworzyły jej imię. Kiedyś posłyszał, że Nina lubi konie i jazdę konną. Po dwóch dniach przyprowadzono jej angielską klacz czystej krwi, doskonale ujeżdżoną pod damskie siodło. Panny były oczarowane. W ich domu osiedlił się dobry duch z bajki, który odgadywał i natychmiast wypełniał ich drobne kaprysy. Anna Afanasjewna mgliście zdawała sobie sprawę, że szczodroblliwość ta przynosi jednak ujmę dobrej rodzinie, ale brakło jej i odwagi, i taktu, by nieznacznie okazać to Kwaszninowi. Na jej przyميلne wymówki machał tylko ręką i odpowiadał swoim szorstkim, stanowczym basem:

— Jeszcze co, moja droga... głupstwa pani wymyśla...

Jednakże Kwasznin żadnej z jej córek nie okazywał jawnie specjalnych względów, wszystkim jednakowo dogadzał i ze wszystkich bezceremonialnie kpil. Młodzi ludzie, odwiedzający poprzednio dom państwa Zinienko, z uprzedzającą grzecznością zniknęli bez śladu. Stałym gościem za to stał się Świeżewski, który był tu dotychczas tylko ze dwa lub trzy razy. Nikt go tu nie zapraszał: zjawiał się sam jakby na czyjeś tajemnicze zaproszenie i od razu potrafił stać się niezbędny dla wszystkich członków rodziny.

Przed jego pojawieniem się u Zinienków opowiadano o nim taką anegdotę:

Któregoś dnia, mniej więcej przed pięcioma miesiącami, Świeżewski wygadał się w kręgu swoich kolegów, że marzeniem jego życia jest zostać kiedyś milionerem i że z pewnością zostanie nim koło czterdziestki.

— Jakże pan tego dopnie, Stanisławie Ksaweriewiczu? — spytano go. Świeżewski zachichotał i pocierając zagadkowo wilgotne dłonie odpowiedział:

— Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

Czuł instynktownie, że zbliżenie się Kwasznina z rodziną Zinienko stwarza okoliczność sprzyjającą jego przyszłej karierze. Tak czy inaczej, mógł przydać się wszechmogącemu pryncypałowi.

Stawiając więc wszystko na jedną kartę Świeżewski śmiało laził na oczy Kwaszninowi ze swoim służalczym chichotem. Umizgał się do niego jak wesóły szczeniak podwórzowy do złego brytania, i twarzą, i głosem wyrażając natychmiastową gotowość do popełnienia każdego świństwa na jedno tylko skinienie Wasyla Terentiewicza.

Pryncypał nie oponował. Ten sam Kwasznin, który bez żadnych wyjaśnień wyrzucał z pracy dyrektorów i kierowników zakładów, ten sam Kwasznin milcząco znosił obecność jakiegoś tam Świeżewskiego... Czuło się w tym okazję do ważnej usługi. Przyszły milioner niecierpliwie czekał na swój moment.

Wszystko to podawano z ust do ust, aż dowiedział się o tym Bobrow. Nie dziwił się: miał swój niewzruszony, dobrze ugruntowany pogląd na rodzinę Zinienko. Zdenerwowało go tylko to, że plotka z pewnością zaczepi swoim brudnym rozgłosem i Ninę... Po rozmowie na dworcu dziewczyna ta stała mu się jeszcze miłsza i droższa. Jemu jednemu z ufnością odkryła swoją duszę, w której piękne były nawet jej załamania i słabości. „Wszyscy inni — myślał sobie — znają tylko jej ubiór i powierzchowność“. A subtelnej i ufnej naturze Bobrowa obca była wszelka zazdrość i wiążące się z nią wieczne podrażnienie miłości własnej, drobnostkowość i gruboskórność.

Piękna i szczerza miłość kobieca nigdy jeszcze nie uśmiechnęła się do Andreja Iljicza. Był zbyt nieśmiały i pozbawiony pewności siebie, by brać z życia to, co słusznie mu się, być może, należało. Nic też dziwnego, że dusza jego z radością przyjmowała teraz nowe i silne uczucie.

Przez wszystkie te dni Bobrow był pod urokiem rozmowy na dworcu. Setki razy przypominał ją sobie w najdrobniejszych szczegółach i za każdym razem odnajdował w słowach Niny jeszcze głębsze znaczenie. Rano budził się z mglistą świadomością, że coś wielkiego i jasnego kryje się w jego duszy i obiecuje mu na przyszłość wiele szczęścia.

Nieprzewyciężone pragnienie ciągnęło go do Zinienków: chciał jeszcze raz upewnić się o swoim szczęściu, jeszcze raz usłyszeć od Niny wstydlive i naiwnie-śmiałe, prawie nie zamasko-

wane wyznanie. Zenowała go jednak obecność Kwasznina, ale pocieszał się tym, że pryncypał w żadnym wypadku nie może przebywać w Iwankowie dłużej niż dwa tygodnie.

Jednakże przypadek pomógł mu zobaczyć Ninę jeszcze przed odjazdem Kwasznina. Było to w niedzielę, w cztery dni po uroczystym otwarciu kampanii wielkiego pieca. O drugiej godzinie po południu Bobrow jechał konno na Farwaterze szeroką, dobrze ubitą drogą, prowadzącą z fabryki na stację. Dzień był chłodny, bezchmurny. Farwater szedł szybkim biegiem, strzygąc uszami i kręcąc kosmatą głową. Na zakręcie koło składu Bobrow zobaczył panią w amazonce, która zjeżdżała z góry na dużym gniadym koniu, a z tyłu za nią jeźdźca na malutkim, białym kirgizie. Wkrótce przekonał się, że to Nina. Ubrana była w długą ciemnozieloną, rozwiewającą się spódnicę, żółte rękawiczki i kamasze, na głowie miała maleńki, błyszczący cylinder. Nina pewnie i ładnie siedziała w siodle. Zgrabna, angielska klacz szła pod nią szerokim, elastycznym klusem, ostro ściągając szyję i wysoko podnosząc cienkie chude nogi. Towarzyszący Ninie Świeżewski został daleko w tyle i starał się noskiem buta pochwycić zgubione strzemię. Garbił się przy tym i podskakiwał w siodle, szeroko odstawiając łokcie.

Gdy Nina ujrzała Bobrowa, puściła konia galopem. Wiał przeciwny wiatr, musiała więc pochylić głowę i przytrzymywać ręką przód kapelusza. Zrównawszy się z Andrejem Iljczem, w miejscu osadziła konia, który zaczął przestępować niecierpliwie z nogi na nogę, rozdymał szerokie rasowe chrapy i dźwięcznie przebierał zębami wędzidło, z którego kłębami sphywała piana. Twarz Niny zarumieniła się od jazdy, włosy, wysuwające się na skroniach spod kapelusza, odrzucone były do tyłu w długich jedwabistych lokach.

— Skąd pani ma takie cudo? — spytał Bobrow, gdy udało mu się wreszcie osadzić tańczącego Farwatera. Przechylił się w siodle i ścisnął koniuszki palców Niny.

— A prawda, że ładna? To podarunek Kwasznina.

— A ja bym nie przyjął takiego podarunku — szorstko odrzekł Andrej Iljcz, rozszłoszczony nagle beztroską odpowiedzią Niny.

Nina uniosła się.

— Na jakiej podstawie?

— Na takiej, że... kimże jest dla pani właściwie ten Kwasznin? Krewniak? Narzeczony?

— Ach, mój Boże, jaki pan jest troskliwy o innych! — wykrzyknęła zjadliwie Nina.

Zmiękła jednak natychmiast, gdy ujrzała jego cierpiącą twarz.

— Przecież to nic go nie kosztuje... On jest taki bogaty.

Świeżewski zbliżył się już na dziesięć kroków. Nina nachyliła się nagle do Bobrowa, pieszczotliwie muskając końcem szpicruty jego rękę, i powiedziała półgłosem, tonem małej dziewczynki, która zrozumiała swoją winę:

— No, wystarczy... wystarczy, proszę się nie gniewać... Oddam mu konia z powrotem, złośniku jeden! Widzi pan, ile dla mnie znaczy pańska opinia?

Oczy Andreja Iljicza rozbłysły szczęściem, a ręce podświadomie wyciągnęły się do Niny. Nic jednak nie powiedział, odetchnął tylko głęboko, całą piersią. Świeżewski podjeżdżał do niego w ukłonach, starając się przybrać niedbałą postawę.

— Pan wie już, oczywiście, o naszym pikniku? — krzyknął jeszcze z daleka do Bobrowa.

— Pierwszy raz słyszę — odpowiedział Andrej Iljicz.

— Piknik z inicjatywy Wasyla Terentiewicza! W Czarcim Jarze!

— Nie słyszałem o tym.

— Tak, tak. Prosimy, niech pan przyjedzie, Andreju Iljczu — wtrąciła Nina. — We środę o piątej wieczorem... punkt zborny — stacja...

— Czy to ma być piknik składkowy?

— Zdaje się. Na pewno nie wiem.

Nina z milczącą prośbą i zmieszaniem spojrzała na Świeżewskiego.

— Składkowy — stwierdził Świeżewski. — Wasyl Terentiewicz powierzył mi wypełnienie niektórych jego poleceń. Więc mówię panu, piknik będzie pierwszorzędny. Coś *extra*... Tylko na razie wszystko to sekret. Pan będzie wstrząśnięty nieoczekiwanym...

Nina nie wytrzymała i dodała zalotnie:

— Wszystko to zaczęło się właśnie przeze mnie. Przed trzema dniami mówiłam, że dobrze by było pojechać gdzieś w towarzystwie do lasu, a Wasyl Terentiewicz...

— Ja nie pojadę — ostro powiedział Bobrow.

— Owszem, pojedzie pan! — błysnęła oczami Nina. — Panowie, jazda, jazda! — zawołała, z miejsca podnosząc konia galopem. — Andreju Iljiczu! Niech pan posłucha, co panu powiem.

Świeżewski został w tyle. Nina i Bobrow jechali obok siebie, ona — uśmiechała się i zaglądała mu w oczy, on — był niezadowolony i ponury.

— Przecież to dla pana wymyśliłam ten piknik, mój niedobry, podejrzliwy przyjacielu — powiedziała z głęboką czułością w głosie. — Koniecznie chcę usłyszeć od pana to, czego pan nie dopowiedział na dworcu... Na pikniku nam nikt nie przeszkodzi...

W duszy Bobrowa zaszła znów błyskawiczna zmiana. Ze łzami rozrzewnienia w oczach, namiętnie wykrzyknął:

— Tak bardzo kocham panią, Nino!

Lecz Nina jakby nie usłyszała tego nagłego wyznania. Ściągnęła cugle zmuszając konia do powolnego stępu i spytała:

— Więc będzie pan? Tak?

— Z pewnością. Z pewnością będę!

— Niechże pan pamięta... A teraz poczekamy na mego kawalera i — do widzenia. Spieszę się do domu...

Żegnając się z nią Bobrow poczuł przez rękawicę ciepło jej ręki, która odpowiedziała mu długim i mocnym uściskiem. Ciemne oczy Niny patrzyły z miłością.

IX

We środę już o czwartej godzinie uczestnicy pikniku ciasno zapelnili stację. Wszyscy byli w swobodnym i niewymuszonym nastroju. Przyjazd Wasyla Terentiewicza zakończył się tym razem tak pomyślnie, jak nikt tego nawet nie oczekiwał. Nie było ani gro-

mów, ani błyskawic, nikomu nie wypowiedziano pracy, a nawet, odwrotnie, chodziły słuchy o niedalekiej podwyżce uposażeń większości pracowników. Równocześnie wszystko wskazywało na to, że piknik będzie bardzo zajmujący. Czarczi Jar, do którego całe towarzystwo postanowiło się wybrać, odległy był o niecałe 10 wiorst. Droga konna była przy tym bardzo dobrze utrzymana. W ciągu ostatniego tygodnia ustaliła się słoneczna, dobra pogoda, więc można było przypuszczać, że nic nie przeszkodzi w wycieczce.

Zaproszonych było około dziewięćdziesięciu ludzi: tłoczyli się teraz z ożywieniem na peronie, śmiejąc się i pokrzykując na siebie z daleka. Rozmowy w języku rosyjskim mieszały się ze zdaniami wypowiadanymi po francusku, po niemiecku i po polsku. Trzej Belgowie wzięli ze sobą aparaty fotograficzne, zamierzając robić migawkowe zdjęcia przy świetle magnezji. Wszystkich frapowała bezwzględna tajemnica, jaką otaczano szczegóły pikniku. Świeżewski przebąkiwał wprawdzie z zagadkowym wyrazem twarzy o jakichś tam „niespodziankach“, lecz uchylał się wszelkimi sposobami od bliższych wyjaśnień.

Pierwszą niespodzianką okazał się pociąg specjalny. Punktualnie o piątej godzinie wyjechała z parowozowni nowiutka amerykańska lokomotywa o dziesięciu kołach. Panie nie mogły powstrzymać się od okrzyków podziwu i zachwytu: ogromną maszynę pokrywały dookoła chorągiewki i żywe kwiaty. Zielone girlandy dębowych liści, zmieszane z bukietami astrów, georginij, lewkonij i goździków, owijały w spiralach stalowe cielsko lokomotywy, pięły się w górę, po kominie, stamtąd zwieszały się w dół aż do gwizdka, i znów podnosiły się, pokrywając budkę maszynisty kwitnącą ścianą. W promieniach jesiennego zachodu efektownie błyszczala stal i miedź, wyglądająca spod zieleni kwiatów. Podstawiono także sześć wagonów pierwszej klasy, którymi uczestnicy wycieczki mieli jechać do trzysta trzeciej wiorsty, skąd do Czarciego Jaru było już tylko pięćset kroków.

— Panowie, Wasyl Terentiewicz prosił mnie, bym powiadomił panów, że bierze na siebie wszystkie wydatki związane z piknikiem — mówił Świeżewski, pośpiesznie przechodząc od

jednej grupy do drugiej. — Panowie, Wasyl Terentiewicz prosił mnie, bym powiadomił wszystkich uczestników...

Zebrała się wkrótce koło niego większa grupa ludzi. Świeżewski wyjaśniał:

— Wasyl Terentiewicz jest bardzo zadowolony z przyjęcia, jakie go tutaj spotkało, i jest mu bardzo miło odplacić uprzejmością za uprzejmość. Bierze wszystkie wydatki na siebie.

I nie mogąc opanować uczucia, które zmusza lokaja do chępienia się szczodropliwością swojego pana, dodał dobitnie:

— Wydaliśmy na ten piknik trzy tysiące pięćset dziewięćdziesiąt rubli!

— Wspólnie z panem Kwaszninem? — rozległ się z tyłu ironiczny głos. Świeżewski szybko obrócił się i spostrzegł, że to jadowite pytanie wyszło z ust Andreja, który patrzył na niego ze zwykłym niezmaconym spokojem, z rękoma głęboko wepchniętymi w kieszenie spodni.

— Co pan raczył powiedzieć? — spytał Świeżewski mocno się czerwieniąc.

— To nie ja, to pan raczył powiedzieć: „wydaliśmy trzy tysiące“ i mam wszelką podstawę sądzić, że przez to „wydaliśmy“ rozumiał pan siebie i pana Kwasznina... Jeśli tak jest, uważam za swój miły obowiązek poinformować pana, że przyjmuję tę uprzejmość od pana Kwasznina, ale od pana Świeżewskiego mogę jej i nie przyjąć...

— Ach, nie, nie... Pan mnie źle zrozumiał — wyjąkał zbity z tropu Świeżewski. — To wszystko Wasyl Terentiewicz. Ja po prostu tylko... jako zaufana osoba... Coś jakby w rodzaju zarządcy — dodał z kwaśnym uśmiechem.

Prawie w tej samej chwili, kiedy podstawiono pociąg specjalny, nadjechały panny Zinienko w towarzystwie Kwasznina i Szełkownikowa. Lecz Wasyl Terentiewicz nie zdążył jeszcze wysiąść z powozu, gdy zaszedł nieprzewidziany, tragikomiczny wypadek. Żony, siostry i matki robotników fabrycznych dowiedziały się gdzieś o mającej się odbyć wycieczce i już od rana gromadziły się na stacji: niektóre z nich przyszły nawet z dziećmi przy piersi. Siedziały tu już od wielu godzin na stopniach ganku i na ziemi,

długim szeregiem w cieniu ścian, z wyrazem niewzruszonej cierpliwości na ogorzałych od słońca i znużonych twarzach. Było ich ponad dwieście. Nagabywane przez naczelnika stacji, odpowiadały, że czekają na „ryżego i grubego dyrektora“. Dozorca próbował je usunąć, ale podniosły tak ogłuszający wrzask, że machnął tylko ręką i zostawił baby w spokoju.

Każdy podjeżdżający powóz wywoływał wśród nich chwilowy popłoch, ale uspokajały się szybko nie widząc „ryżego i grubego dyrektora“.

Gdy tylko Kwasznin zdążył z wysiłkiem postawić nogę na stopniu, przechylając cały powóz, kobiety otoczyły go prędko ze wszystkich stron i padły na kolana. Młode niespokojne konie, wystraszone krzykiem, zaczęły chrapać i wyrwać się: stangret ściągnął lejce i całym ciężarem ciała przechylił się do tyłu, lecz mimo to z trudem zdołał utrzymać konie w miejscu. Z początku Kwasznin nic nie mógł zrozumieć: baby krzyczały wszystkie na raz i wyciągały do niego niemowlęta. Po ich brązowych twarzach ciekły obfite łzy...

Kwasznin spostrzegł, że nie wyrwie się w żaden sposób z tego żywego koła, które obstąpiło go ze wszystkich stron.

— Cicho, baby! Nie wrzeszczeć! — jego bas zapanował od razu nad ich głowami. — Robicie taki harmider jak na targu. Nic nie słyszę. Niech mówi jedna z was: o co chodzi?

Lecz każda chciała być tą jedną i mówić. Wrzask podniósł się jeszcze większy i łzy popłynęły jeszcze obficie po policzkach.

— Żywicielu... rodzony... popatrz ty na nas... Nijak nie można strzymać... z sił opadamy! Mrzeć nam przyjdzie... z małymi dziećmi... Ludzie padają od zimna jak muchy!

— Czegoż chcecie? Czemuż macie mrzeć? — krzyknął znów Kwasznin. — Nie wrzeszczcie wszystkie na raz! Gadaj ty, molo-dica — pokazał palcem roslą i ładną, mimo bladej, zmęczonej twarzy, katuską babę. Pozostałe milczeć!

Większość zamilkła, chlifały tylko i od czasu do czasu zanosiły się skowyczącym szlochem, ocierając oczy i nosy brzegiem brudnych spódnic.

Jednakże mówiło na raz nie mniej niż dwadzieścia kobiet.

— Od zimna padamy, żywicielu... łaski prosimy, pamiętaj ty o nas... Nie ma dla nas innego poratowania... Wpędzili na zimę do baraków, a czy to można w nich żyć, dobrodziej? Niby to pożytek, że baraki, a ze szczapek pobudowali... A teraz to po nocach od chłodu nie wytrzymasz... aż zęby dzwonią... A co w zimie robić? Ulituj się ty choć nad dziatkami naszymi, dopomóż, dobrodziej, przykaż choć piece postawić... Jadła gotować nie ma gdzie... Trzeba gotować na dworze... Chłopy cały dzień na robocie... Zziębną... namokną się... Przyjdą do domu — osuszyć się nie ma gdzie.

Kwasznin wpadł w potrzask. W którąkolwiek by się strone obrócił, wszędzie zagradzały mu drogę baby leżące na ziemi i kłęczące. Gdy próbował przecisnąć się między nimi, chwyciły go za nogi i za długie poły szarego płaszcza. Widząc swoją bezsilność Kwasznin skinieniem ręki zawezwał do siebie Szelkownikowa, a gdy ten przedostał się przez zbity tłum bab, Wasyl Terentiewicz spytał go gniewnym głosem po francusku:

— Słyszał pan? Co to wszystko znaczy?

Szelkownikow bezradnie rozłożył ręce i wymamrotał:

— Pisałem do zarządu, raportowałem... Bardzo ograniczona liczba rąk roboczych... letni sezon... sianokosy... wysokie ceny... zarząd nie wydał decyzji... nic nie poradzę.

— Kiedyż pan zacznie przerabiać baraki dla robotników? — surowo zapytał Kwasznin.

— Dokładnie nie wiadomo... Niech przecierpią to jakoś... Musimy zatroszczyć się wpierw o mieszkania dla urzędników.

— Diabli wiedzą, co za skandale dzieją się pod pana kierownictwem — warknął Kwasznin. I obracając się znowu do bab, powiedział głośno:

— Słuchajcie, baby! Od jutrzejszego dnia będą wam stawiać piece i pokryją wasze baraki tarcicą. Zrozumiano?

— Zrozumiano, dobrodziej... Dzięki ci... Jakże nie zrozumieć — rozległy się uradowane głosy. — To i lepiej, niechybnie, że sam dyrektor przykazał... dzięki ci... to już i pozwól nam szczapy z budowy zbierać.

— Dobrze, dobrze, pozwalam i szczapy zbierać.

— A bo to postawili wszędzie Czerkiesów, tylko po szczapy przyjdiesz, a on już nahaja mierzy...

— Dobrze, załatwione... Możecie śmiało przychodzić po szczapy, nikt was nie ruszy — uspokajał je Kwasznin. — A teraz, marsz do domu, babstwo, kapuśniak warzyć! Ale żywo, ze mną nie ma żartów! — krzyknął zachęcającym, dziarskim głosem.

— Niech pan zarządzi — powiedział półgłosem do Szelkownikowa — by jutro zrzucono koło baraków ze dwa wozy cegły. To je na długo uspokoi. Niech się cieszą.

Uradowane kobiety zaczęły się rozchodzić.

— Uważaj, niech nam tylko nie postawią pieców, to twoich jeźniów weźmiemy za łeb, żeby nas przychodzili ogrzewać — zawołała ta sama kałuska baba, na którą Kwasznin zwrócił poprzednio uwagę.

— Wielkie mi mecyje — rzekła zuchwale inna — niech nas wtedy sam generał grzeje. Widzisz go, jaki tłusty i delikatny... Z nim będzie cieplej niż na piecu.

Ten nieoczekiwany epizod, zakończony tak pomyślnie, wprowadził wszystkich w dobry humor. Nawet Kwasznin, który z początku gniewnie ofuknął dyrektora, roześmiał się, gdy baby zaczęły mówić o ogrzewaniu, i pojednawczo wziął Szelkownikowa pod ramię.

— Widzi pan, mój drogi — mówił do dyrektora, ciężko wspinając się po schodach prowadzących na dworzec — trzeba umieć obchodzić się z tym ludem. Pan może im obiecywać wszystko, co tylko się panu podoba — aluminiowe mieszkania, ośmiodzinny dzień pracy i befsztyki na śniadanie — lecz trzeba to robić z całą pewnością siebie. Ręczę panu: w ciągu piętnastu minut gotów jestem uśmierzyć najbardziej burzliwe ekscesy tego ludu, operując jedynie obietnicami...

Wspominając ze śmiechem szczegóły zażegnane przed chwilą babskiego buntu Kwasznin wtoczył się do wagonu. Po kilku minutach pociąg opuścił stację. Woźnicom wydano polecenie, by również jechali do Czarciego Jaru, gdyż drogę powrotną postanowiono odbyć w powozach, przy świetle pochodni.

Zachowanie się Niny wytrąciło Bobrowa z równowagi. Cekał

jej przyjazdu na dworcu z niecierpliwym wzburzeniem, które odczuwał jeszcze od wczorajszego wieczoru. Nie miał już poprzednich wątpliwości: wierzył w swoje bliskie szczęście i nigdy jeszcze świat nie wydawał mu się tak pięknym, ludzie tak do brymi, a życie tak lekkim i pełnym radości. Myśląc o niedalekim spotkaniu z Niną wyobrażał sobie dokładnie jego przebieg i mimo woli przygotowywał serdeczne, czułe, ładnie brzmiące zdania, a potem sam śmiał się z siebie. Po co układać słowa miłości? Przyjdą same w odpowiednim momencie, jeszcze piękniejsze, jeszcze gorętsze. Przypomniały mu się wiersze czytane w jakimś tygodniku, w których poeta zwraca się do swojej ukochanej: nie będziemy sobie wzajemnie składali przysięg, bo przysięgi ubliżałyby naszej wiernej i gorącej miłości.

Bobrow zauważył, jak zaraz za trójką Kwasznina nadjechały dwa powozy z pannami Zinienko. W pierwszym z nich spostrzegł Ninę. Ubrana była w lekką suknię koloru słomy, ozdobioną wdzięcznie przy półokrągłym dekolcie szerokimi jasnymi koronkami w tym samym tonie. Na głowie miała duży włoski kapelusz, przybrany bukietem herbacianych róż. Wydała mu się bledszą i poważniejszą niż zwykle. Nina z daleka zauważyła Bobrowa stojącego na ganku, lecz nie powitała go długim, znaczącym spojrzeniem, na które czekał. Przeciwnie, wydało mu się nawet, że umyślnie odwróciła się od niego. Gdy Andrej Iljicz podbiegł do powozu, by podać jej rękę, Nina szybko i lekko zeskokczyła na drugą stronę, jak gdyby chciała uniknąć spotkania z nim. Niedobre, złowrogie uczucie ukuło go w serce, lecz zaraz poszukał sobie uspokajających słów: „Biedna dziewczyna, wstydzi się swojego postanowienia i swojej miłości. Wydaje się jej, że wszyscy mogą teraz swobodnie wyczytać z jej oczu najbardziej utajone myśli... O święta, uroczą naiwności!”

Andrej Iljicz był pewien, że Nina, jak i poprzednim razem, sama znajdzie okazję, by podejść do niego i zamienić z nim parę słów w cztery oczy. Nic na to jednak dotychczas nie wskazywało, Nina była na pozór całkowicie pochłonięta pertraktacjami Kwasznina z babami i ani razu nie obróciła się, nawet ukradkiem, żeby spojrzeć na Bobrowa. Serce Andreja Iljicza za-

biło znów trwożnie i dojmująco. Postanowił podejść do panien Zinienko, trzymających się razem w ciasnym kółku — pozostałe panie wyraźnie od nich stroniły — i w rozgardiaszu, który przyciągał ogólną uwagę, zapytać Ninę, chociaż tylko spojrzeniem, dlaczego go unika.

Kłaniając się Annie Afanasjewnie i całując ją w rękę Bobrow starał się wyczytać z rysów jej twarzy, czy wie już coś o nim i o Ninie. Tak, z pewnością wiedziała: jej ostro załamane brwi — oznaka fałszywego charakteru, jak często myślał Bobrow — ściągnęły się z niezadowoleniem, a usta były wyniosłe wydęte. Na pewno Nina opowiedziała o wszystkim matce, a ta ją porządnie zbesztala — osądził Bobrow i podszedł do Niny.

Lecz Nina nawet nie spojrzała na niego. Gdy się witali, jej dłoń nieruchomo i chłodno spoczęła w jego drżącej ręce. Nie odpowiedziała również na jego pozdrowienie, odwracając szybko głowę do Bety, z którą wymieniała jakieś puste uwagi... Bobrowowi wydało się, że ten nagły manewr musi wynikać z jakiegoś poczucia własnej winy, z tchórzostwa, z lęku przed otwartym postawieniem sprawy... Poczuł suchość w gardle i nagle drżenie nóg. Nie wiedział, co o tym myśleć. Gdyby nawet Nina wygadała się przed matką, mogła mu przecież powiedzieć jednym z tych szybkich i pełnych treści spojrzeń, których instynktownie używają zawsze kobiety: „Tak, zgadłeś, o naszej rozmowie dowiedziano się, ale we mnie nic się nie zmieniło, mój kochany, ani trochę, nie lękaj się.“ Jednakże Nina wolala się odwrócić. „Mimo wszystko, bez względu na to, co by się stało, musi mi dać na pikniku odpowiedź — pomyślał Bobrow, z nieokreślonym smutkiem przeczuwając, że jest w tym wszystkim coś przykrego i brudnego. — Tak czy inaczej, nie może mnie pozostawić bez odpowiedzi...”

X

Przy trzysta trzeciej wiorście towarzystwo wysiadło z wagonów i długim, barwnym szeregiem przeciągnęło koło budki dróżnika, kierując się na wąską ścieżkę prowadzącą do Czarciemu Jaru.

Już z daleka na rozpalone twarze powiało świeżością i zapachem, jaki las ma tylko jesienią...

Ścieżka stawiała się coraz bardziej kręta, aż zginęła w gęstych krzakach leszczyny i dzikich pnączy, które splatały się nad nią gęstym i ciemnym sklepieniem. Pod nogami szeleściły już żółtkłe i suche liście. W dali, przez zbity gąszcz zieleni przebiegała czerwień wieczornej zorzy.

Krzaki skończyły się. Przed oczyma gości nieoczekiwanie wyłoniła się szeroka polanka, ze wszystkich stron otoczona lasem, ubita i posypana piaskiem. Na jednym jej końcu stał ośmiokątny pawilon, udekorowany flagami i zielenią, na drugim — kryta estrada dla orkiestry. Gdy tylko pierwsze pary ukazały się z gąszczu, wojskowa orkiestra zagrzmiała z estrady wesołym marszem. Skoczne, melodyjne tony swobodnie popłynęły po lesie, głośno odbijając się od drzew i tworząc daleko gdzieś drugą taką samą orkiestrę, która to wyprzedzała tę pierwszą, to nie mogła za nią nadążyć. W ośmiokątnym pawilonie, dokoła stołów ustawionych w podkowę i nakrytych nowymi białymi obrusami, kręciła się obsługa pobrzękując zastawą. Gdy umilkły ostatnie dźwięki marsza, na polance zerwała się burza oklasków. Zdumienie było powszechne. Jeszcze przed dwoma tygodniami polanka ta wyglądała zupełnie inaczej: było to nieregularne zbocze, usiane rzadkimi krzakami...

Orkiestra zagrała walca.

Bobrow wyraźnie widział, jak stojący obok Niny Świeżewski bez uprzedzenia objął jej talię i pociągnął Ninę do tańca. Zakręcili się szybko po polance.

Gdy tylko Nina została sama, podbiegł do niej jakiś student, a potem jeszcze ktoś. Bobrow tańczył źle i w ogóle nie lubił tańczyć. Mimo to postanowił zaprosić Ninę do kadryla... „Może uda mi się — pomyślał — znaleźć odpowiednią chwilę do rozmowy.“ Nina przestała właśnie tańczyć i pośpiesznie wachlowała palającą twarz, gdy podszedł do niej Bobrow.

— Mam nadzieję, Nino Grigoriwno, że znajdzie się dla mnie jeden kadryl?

— Ach, mój Boże... Jaka szkoda! Wszystkie kadryle mam zajęte — odpowiedziała nie patrząc na niego.

— Czyżby? Tak prędko? — zapytał głuchym głosem Bobrow.

— Cóż robić — Nina ironicznie i niecierpliwie wzruszyła ramionami. — Czemu pan się spóźnił? Jeszcze w pociągu obiecałam wszystkie kadryle...

— Więc pani zupełnie o mnie zapomniała! — powiedział smutno.

Dźwięk jego głosu poruszył Ninę. Nerwowo składała i otwierała wachlarz, nie podnosząc oczu.

— Pan sam jest sobie winien. Dlaczego pan nie podszedł?

— Przecież ja po to tylko przyjechałem na piknik, żeby zobaczyć panią... Czyżby pani kpila ze mnie, Nino Grigoriewno?

Milczała skubiąc w zmieszaniu wachlarz. Wyręczył ją młody inżynier zapraszając ją do tańca. Wstała szybko i nie patrząc na Bobrowa położyła na ramieniu inżyniera swoją wąską rękę w długiej, białej rękawiczce. Andrej Iljicz śledził ją wzrokiem... Przetńczyła dookoła i usiadła — rzecz jasna, umyślnie, osądził Andrej Iljicz — na przeciwległym końcu polanki. Nina odczuwała przed nim jakiś lęk — może był to wstyd.

Bobrowa opanowała znów dawna, dobrze znana, tępa nuda. Wszystkie twarze wydawały mu się bezbarwne, nędzne, komiczne. Rytmiczne dźwięki muzyki wywoływały drażniący, głuchy ból głowy. Bobrow nie tracił jednak jeszcze nadziei i usiłował pocieszyć się różnorodnymi przypuszczeniami: „Może gniewa się na mnie za to, że nie posłałem jej kwiatów? A może nie chce się jej tańczyć z takim słoniem jak ja? — domyślał się. — Cóż robić, ma chyba rację. Przecież te głupstwa tak dużo dla dziewcząt znaczą. One to właśnie składają się na każdą chwilę radości i gorczy, na całą poezję dziewczęcego życia...”

Gdy zaczęło się zmierzchać, koło pawilonu zapłonęły różnokolorowe chińskie latarnie, tworząc długi łańcuch. Było ich trochę za mało i prawie nie oświetlały polanki. Pomyślano jednak i o tym. Dwa elektryczne reflektory, ukryte dotychczas starannie w zieleni drzew, rozbłysły nagle oślepiającym, niebieskawym światłem. Brzozy i graby otaczające polankę wysunęły się od razu na pierwszy plan. Ich nieruchome, liściaste gałęzie, oświetlone jaskrawo i nienaturalnie, były podobne do dekoracji w teatrze. Za nimi blado rysowały się na zupełnie czar-

nym niebie wystające z gąszczu okrągłe i kanciaste sylwetki drzew, okryte szarozieloną mgłą. Koniki polne, których nie mogła zagłuszyć muzyka, grały w stepie tak głośno i zgodnie, że wydawało się, jakby to ćwierkał jeden konik polny ze wszystkich stron: i z prawej, i z lewej, i z góry.

Bal przeciągał się i stawał się coraz weselszy. Jeden taniec następował po drugim. Orkiestra prawie nie odpoczywała. Kobiety upiły się muzyką i bajkowym kolorytem wieczoru, jak winem.

Woń perfum i potu dziwacznie mieszała się z wonią stepowego piołunu, wędnących liści, wilgoci leśnej i z dalekim, subtelnym zapachem skoszonego siana. Wszędzie kołysały się wachlarze, niektóre wolno, a inne szybkim ruchem, jak skrzydła pięknych, różnokolorowych ptaków, gotujących się do lotu... Głośny gwar, śmiech, szuranie nóg o piasek splatały się w jeden monotony i wesół zgiełk, który wybuchał ze zdwojoną siłą, gdy muzyka przestawała grać.

Przez cały czas Bobrow nieodstępnie śledził oczyma Ninę. Ze dwa razy omal nie dotknęła go krajem swojej sukni, a raz, kiedy blisko przesuwiała się w tańcu, poczuł lekkie muśnięcie poruszonego powietrza. Tańcząc opierała lewą rękę miłym i nieco bezradnym gestem na ramieniu swojego partnera i tak pochylała głowę, jakby ją chciała do tego ramienia przycisnąć... Niekiedy migał rąbek jej białej koronkowej halki, rozwiewanej w szybkich obrotach tańca, i mała nóżka o cienkiej kostce i kształtnym zarysie łydki, okryta czarną pończochą. Bobrow odczuwał wtedy jakiś wstyd i odnajdował w sobie złość do wszystkich, którzy mogli widzieć Ninę w tej chwili.

Zaczął się mazur. Było już koło dziewiątej. Nina tańczyła ze Świeżewskim. Partner jej był wodzirejem i aranżował właśnie jakąś skomplikowaną figurę taneczną. Nina wykorzystwała to i pobiegła do toalety, lekko i szybko ślizgając się nogami w takt muzyki i podtrzymując obiema rękami rozpuszczone włosy. Bobrow zauważył to z drugiego końca polanki i szybko pobiegł za nią. Stanął niedaleko drzwi. Było tu prawie ciemno: toaleta leżąca na tyłach pawilonu znajdowała się w gęstym cieniu. Bobrow

postanowił zaczekać na Ninę i za wszelką cenę zmusić ją do wyjaśnień. Serce biło mu prędko i boleśnie, palce, konwulsyjnie zaciśnięte, stały się wilgotne i chłodne.

Nina ukazała się po pięciu minutach. Bobrow wyszedł z cienia i zagroził jej drogę. Krzyknęła lekko i cofnęła się w tył.

— Nino Grigoriewno, dlaczego pani mnie tak dręczy? — powiedział Andrej Iljicz, nieświadomie składając ręce błagalnym gestem. — Czyż pani nie widzi, jak cierpię... O, pani bawi się moją rozpaczą... Pani drwi ze mnie...

— Nie rozumiem wprost, czego pan chce. Nie miałam nawet zamiaru drwić z pana — odpowiedziała Nina wyniośle i z uporem.

Opanował ją duch jej rodziny.

— Naprawdę? — zapytał smutno Bobrow. — Jak mam więc tłumaczyć sobie dzisiejsze zachowanie się pani wobec mnie?

— Jakie zachowanie się?

— Pani jest chłodna dla mnie, prawie wroga. Pani mnie unika... Nawet moja obecność na tym wieczorze jest dla pani nieprzyjemna...

— Jest mi to najzupełniej obojętne...

— To jeszcze gorzej. Odczuwam w pani jakąś niezrozumiałą dla mnie i straszną zmianę. Niechże pani będzie szczerą, Nino, niech pani będzie tak naturalna, jak to jeszcze dziś sobie wyobrażałem... Bez względu na to, co zawierałaby prawda, niech pani jej nie ukrywa. Lepiej i dla pani, i dla mnie od razu to skończyć...

— Co skończyć? Nie rozumiem pana...

Bobrow ścisnął rękami skronie, w których gorączkowo pulsowała krew.

— Nieprawda, pani to dobrze rozumie. Niech pani nie udaje. My mamy co kończyć. Mówiliśmy sobie serdeczne słowa, graniczące prawie z wyznaniem, przeżywaliśmy piękne chwile, które zadzierzgnęły między nami jakieś intymne, subtelne więzy... Wiem — pani chce powiedzieć, że nie mam racji. Być może, być może... Ale to pani przecież kazała mi przyjechać na piknik, by mieć okazję do pomówienia w cztery oczy...

Ninie zrobiło się nagle żal Bobrowa.

— Tak... Prosiłam, by pan przyjechał... — odezwała się, nisko spuszczać głowę. — Chciałam panu powiedzieć... Chciałam... że musimy rozstać się na zawsze.

Bobrow zachwiał się, jakby go ktoś uderzył w pierś. Nawet w ciemności można było zauważyć nagle bladłość jego twarzy.

— Rozstać się... — powiedział tracąc oddech. — Nino Grigorjewno! Tak ciężkie i gorzkie są słowa pożegnania... Niech pani ich nie wymawia.

— Muszę.

— Musi pani?

— Tak, muszę. To nie moja wola.

— Czyja więc?

Ktoś zbliżał się do nich. Nina wpatrzyła się w ciemność i szepnęła:

— Oto czyja.

Była to Anna Afanasjewna. Podejrzliwie spojrzała na Ninę i Bobrowa i wzięła córkę za rękę.

— Nino, czemu nie tańczysz? — powiedziała tonem wymówki — stanęłaś gdzieś w ciemności i paplesz... Ładne zajęcie, nie ma co mówić... A ja cię szukam po wszystkich zakamarkach. Jeśli pan, łaskawy panie — zwróciła się nagle głośno i wzgardliwie do Bobrowa — jeśli pan sam nie umie albo nie lubi tańczyć, to niech pan chociaż pannom nie przeszkadza i nie kompromituje ich rozmowami *tête à tête*... po ciemnych kątach...

Odeszła pociągając za sobą Ninę.

— O! Może się pani nie obawiać, łaskawa pani; tej panny nie nie skompromituje! — krzyknął za nią Bobrow i nagle zachichotał takim dziwnym, gorzkim śmiechem, że matka i córka mimo woli się obejrzały.

— A widzisz! Nie mówiłam ci, że to impertynent i dureń? — Anna Afanasjewna szarpnęła Ninę za rękę. — Jemu choć w oczy pluj, a on sobie śmieje się... zadowolony... Teraz panie wybierać będą panów — dodała już innym, spokojniejszym tonem. — Idź i poproś Kwasznina. Przed chwilą skończył grać w karty. Widzisz, stoi we drzwiach altanki.

— Mamo! Gdzież mu tam do tańca! On przecież ledwo, ledwo się rusza.

— Mówię ci: idź. Kwasznina uważano kiedyś za jednego z lepszych tancerzy w Moskwie... W każdym razie będzie mu przyjemnie.

Bobrow widział Ninę jakby w dalekiej, szarej, falującej mgle. Patrzył, jak szybko przebiegła przez całą długość polanki, i, uśmiechnięta, zalotna, lekka, zatrzymała się przed Kwaszninem, pochylając nieco głowę proszącym i pełnym gracji gestem. Wasyl Terentiewicz trochę się pochylił i słuchał; nagle roześmiał się, aż zatrzęsała się cała jego ogromna postać, i przecząco pokręcił głową. Nina przekonywała go długo, a później zrobiła obrażoną minę i odwróciła się kapryśnie, zamierzając odejść. Lecz Kwasznin dopędził ją z niezwykłą dla niego zręcznością i pochwycił jej rękę, wzruszając ramionami w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Trudno, nie ma rady... trzeba bawić dzieci“. Wszyscy tańczący zatrzymali się i ciekawie zaczęli patrzeć na nową parę. Widok Kwasznina tańczącego mazura musiał być niezwykle komiczny.

Wasyl Terentiewicz uchwycił takt i, zwracając się do swojej damy ruchem nie pozbawionym swoistej, majestatycznej gracji — tak pewnie i zręcznie wykonał pierwsze *pas*, że wszyscy poznali w nim świetnego tancerza, jakim musiał być dawniej. Patrząc na Ninę z góry, wesoło i wyzywająco pochylił głowę w bok i z początku nie tańczył, lecz szedł w takt muzyki elastycznym, lekko kołyszącym się krokiem. Wydawało się, że ogromny wzrost i tusza nie tylko mu nie przeszkadzają, ale, przeciwnie, podnoszą ociężały wdzięk jego postaci. Gdy trzeba było wykonać obrót, Kwasznin przystanął na sekundę, stuknął obcasem o obcas, szybko zakręcił Niną i płynnie przebiegł środkiem polanki na grubych sprężystych nogach, z uśmiechem nie schodzącym mu z twarzy. W miejscu, gdzie rozpoczęli taniec, Kwasznin znów okręcił swoją damę szybkim, zgrabnym ruchem i nieoczekiwanie posadził ją na krześle, a sam stanął przed nią z nisko opuszczoną głową.

Natychmiast ze wszystkich stron okrzykiły go panie prosząc o jeszcze jeden taniec. Lecz Kwasznin, zmęczony niecodziennym wysiłkiem, dyszał ciężko i wachlował sobie twarz chusteczką.

— Wystarczy, *mesdames*... miejcie litość nad starym — mówił śmiejąc się i z trudem wciągając w płuca powietrze. — Tańce już nie na moje lata. Chodźmy lepiej na kolację...

Towarzystwo zaczęło sadować się za stołem, głośno przesuwając krzesła. Bobrow stał wciąż w tym samym miejscu, gdzie pozostawiła go Nina. Targaly nim na zmianę uczucia poniżenia, krzywdy i beznadziejnego, rozpaczliwego smutku. Nie było łez na jego twarzy, lecz coś ostro szczypało w oczy, a w gardle tkwił jakiś suchy kłujący kłębek... Muzyka nadal boleśnie i jednostajnie dudniła w mózgu.

— Braciszku! A ja pana szukam i szukam i w żaden sposób znaleźć nie mogę. Cóż to, gdzie się pan zapodział? — usłyszał Andrej Iljicz obok siebie wesoły głos doktora. — Gdy tylko przyjechałem, od razu zasadzono mnie do winta, z trudem się wyrwałem... Chodźmy na kolację. Umyslnie zarezerwowałem dwa miejsca, żeby razem...

— Idź pan sam, doktorze. Ja nie pójdę, nie chce mi się jeść — z trudem odrzekł Bobrow.

— Nie pójdzie pan? Masz ci los! — Doktor uważnie spojrzał w twarz Bobrowa. — Co z panem, kochasiu? Oklapł pan zupełnie — powiedział poważnie i ze współczuciem. — Niech pan robi co chce, ale samego pana tu nie zostawię. Chodźmy, chodźmy, nie ma gadania.

— Ciężko mi, doktorze. Czuję wstręt do tego wszystkiego — rzekł Bobrow cichym głosem, machinalnie postępując za Goldbergem, który ciągnął go za ramię.

— Głupstwo, wszystko to głupstwo, chodźmy! Niech pan będzie mężczyzną i plunie... „Czyż wierzyć mam w rozterkę duszy i serca gorzki ból?“ — nieoczekiwanie wyrecytował Goldberg i mocno, lecz łagodnie objął Bobrowa w pól, patrząc mu serdecznie w oczy.

— Zapiszę panu zaraz uniwersalne lekarstwo: „Wypijemy, Wania, z zimna, z biedy, co tam!“ Mówiąc prawdę, nieźle już podpiłszy sobie z tym Andrea... Ależ on i pije, ten łapserdak! Leje jak w pustą beczkę. Wie pan, Andrea bardzo interesuje się panem. Chodźmy, chodźmy!...

Mówiąc to doktor włókł Bobrowa do pawilonu. Usiedli razem. Andrej Iljicz ulokował się obok Andrea.

Andrea, który już z daleka uśmiechał się do Bobrowa, przysunął się z krzesłem, żeby mu zrobić miejsce, i pogładził go przyjaźnie po ramieniu.

— Bardzo się cieszę, bardzo się cieszę, niech pan przysunie się do nas — powiedział przyjaźnie. — Sympatyczny z pana człowiek... lubię takich... miły z pana człowiek. Pije pan koniak?

Andrea był pijany. Jego szklane oczy dziwnie się ożywiły i błyszczały w pobladłej twarzy (zaledwie przed pół rokiem dowiedziano się, że ten wyjątkowo opanowany, pracowity i zdolny człowiek upijał się samotnie każdego wieczoru aż do utraty przytomności).

„A może naprawdę będzie mi lżej, gdy wypiję — pomyślał Bobrow — trzeba spróbować, niech to diabli!“

Andrea czekał z przechyloną butelką w ręku. Bobrow podstawił szklankę.

— Ta-ak? — przeciągnął Andrea wysoko podnosząc brwi.

— Tak — odpowiedział Bobrow ze smutnym, słabym uśmiechem.

— Dobrze! Ile nalać?

— To zależy od szklanki.

— Ślicznie. Można by pomyśleć, że służył pan w marynarce szwedzkiej. Wystarczy?

— Niech pan leje.

— Pan zapomina widocznie, przyjacielu, że to jest Martel marki W.S.O.P. — prawdziwy, mocny, stary koniak.

— Niech pan leje, proszę się nie obawiać...

I Bobrow pomyślał szyderczo:

„No i cóż, będę pijany jak szewc. Niech się nacieszy...“

Szklanka była pełna. Andrea postawił butelkę na stole i zaczął ciekawie przyglądać się swojemu sąsiadowi. Bobrow jednym haustem wychylił alkohol i wzdrygnął się.

— Robak gryzie? Co, moje dziecko? — zapytał Andrea patrząc uważnie w oczy Bobrowa.

— Zgadza się, gryzie — ponuro skinął głową Andrej Iljicz.

— W serce?

— Tak.

— Hm! To znaczy, że chce pan jeszcze?

— Niech pan leje — powiedział Bobrow ze smutną pokorą.

Pił koniak ze wstrętem, lecz łapczywie, aby zapomnieć. Ale alkohol dziwnie jakoś na niego nie działał. Bobrow stawał się jeszcze bardziej markotny, a w oczach coraz mocniej paliły łzy.

Kiedy lokaje podali szampan, Kwasznin podniósł się z krzesła. Trzymał swój kielich dwoma palcami i obserwował przez szkło blask wysokiego kandelabra. Wszyscy umilkli. Było tylko słychać, jak syczał węgiel w elektrycznych lampach i głośno grały koniki polne.

Kwasznin odkasznął.

— Szanowne panie i szanowni panowie! — zrobił długą teatralną pauzę. — Sądzę, że nikt z państwa nie wątpi o szczerości tego uczucia wdzięczności, z którym podnoszę ten kielich. Nigdy nie zapomnę serdecznego przyjęcia, jakie spotkało mnie w Iwan-kowie, a dzisiejszy skromny piknik będzie dla mnie zawsze przyjemnym wspomnieniem dzięki czarującej uprzejmości tu obecnych pań. Piję za wasze zdrowie, *mesdames*.

Podniósł do góry swój kielich, zatoczył nim w powietrzu szeroki półokrąg, odpił trochę wina i mówił dalej:

— Do was się zwracam, moi najbliżsi współpracownicy i koledzy. Nie potępiajcie mnie, jeśli to, co powiem, nosić będzie charakter moralnej nauki: w stosunku do większości obecnych jestem już stary, a na starego za nauki moralne można się nie obrażać.

Andrea pochylił się do ucha Bobrowa i szepnął:

— Niech pan spojrzy na tę gębę, jakie miny robi ta kanalia, Świeżewski.

Twarz Świeżewskiego rzeczywiście wyrażała służalczą, przesadną uwagę. Gdy Wasyl Terentiewicz wspomniał o swojej starości, Świeżewski zaczął gwałtownie protestować, machając rękami i głową.

— Mimo wszystko powtórzę stary, wyświechtany zwrot z artykułów wstępnych w gazetach — ciągnął Kwasznin. — Dzierżmy wysoko nasz sztandar. Nie zapominajcie, że my właśnie

jesteśmy solą ziemi, że do nas należy przyszłość... Czyż to nie my opasaliśmy cały glob ziemski siecią kolei żelaznych? Czyż to nie my wdzieramy się do wnętrza ziemi i zamieniamy jej skarby na armaty, szyny, parowozy, mosty i gigantyczne maszyny? Czyż to nie my budujemy siłą naszego geniuszu prawie fantastyczne zakłady przemysłowe i puszczamy w ruch tysięcznomilionowe kapitały? Wiedźcie państwo, że mądra przyroda zużywa swoje twórcze siły na stworzenie całego narodu po to tylko, by powstały z niego dwa albo trzy tuziny wybrańców. Miejcie, panowie, odwagę i siłę należeć do tych wybrańców! Niech żyją!

— Niech żyją! Niech żyją! — krzyknęli goście, a najgłośniejszemu Świeżewskiemu.

Wszyscy wstawali ze swoich miejsc i podchodzili do Wasyla Terentiewicza, by trącić się z nim kieliszkami.

— Nikczemne przemówienie — powiedział półgłosem doktor. Po Kwaszninie podniósł się Szelkownikow i krzyknął:

— Panowie! Za zdrowie naszego szanownego zwierchnika, naszego drogiego nauczyciela i amfitriona dzisiejszego wieczoru: za zdrowie Wasyla Terentiewicza Kwasznina! Niech żyje!

— Niech żyje! — podchwycili jednogłośnie wszyscy obecni i znów zaczęli trącać się kieliszkami z Kwaszninem.

Potem zaczęła się jakaś orgia krasomówstwa. Wznoszono toasty za rozwój przedsiębiorstwa, za przybyłych akcjonariuszy, za panie obecne na pikniku i za wszystkie panie w ogóle. W niektórych toastach były dwuznaczne, płaskie dowcipy.

Płynący strumieniami szampan zaczął działać: w pawilonie panował nieprzerwany hałas, który z trudem uciszali goście wznoszący toasty, długo i daremnie stukając nożem o szklankę. Na uboczu, przy specjalnym, małym stoliku, piękności Miller przygotowywał grzany poncz w wielkiej, srebrnej czaszy... za chwilę znów podniósł się Kwasznin. Na jego twarzy igrał dobrodusznoflarny uśmiech.

— Proszę państwa, bardzo mi przyjemnie, że nasze święto zbiegło się akurat z pewną uroczystością o charakterze rodzinnym — powiedział Kwasznin z czarującą uprzejmością. — Powitajmy z całego serca i życzymy szczęścia młodej zaręczonej

parze: za zdrowie Niny Grigoriewny Zinienko i... — tu zawahał się, bo zapomniał imienia i otczestwa Świeżewskiego... i naszego kolegi pana Świeżewskiego...

Wrzawa, jaką przywitano słowa Kwasznina, była tym głośniejsza, że nowina spadła zupełnie nieoczekiwanie. Andrea usłyszał obok siebie okrzyk, podobny raczej do bolesnego jęku, obrócił się więc i spojrzał w twarz Bobrowa, wykrzywioną wewnętrznym cierpieniem.

— Kolego, pan jeszcze nie wie o wszystkim — szepnął Andrea. — Niech pan posłucha, powiem zaraz kilka ciepłych słów.

Podniósł się całkiem pewnie, ale przewrócił przy tym krzesło i wylał pół kieliszka wina.

— Szanowni panowie! — zawołał. — Nasz czcigodny gospodarz, kierując się całkowicie zrozumiałą skromnością, nie dokończył swojego toastu... Musimy powinszować naszemu drogiemu koledze, Stanisławowi Ksaweriewiczowi Świeżewskiemu, jego nowej nominacji: w przyszłym miesiącu zajmie on odpowiedzialne stanowisko kierownika oddziału administracyjno-gospodarczego w zarządzie towarzystwa. Nominacja ta będzie, że tak powiem, słubnym podarunkiem dla młodych od wielce szanownego Wasyla Terentiewicza... Dostrzegam niezadowolenie w obliczu naszego drogiego zwierzchnika... Przypuszczalnie, niechcący zdradziłem niespodziankę, którą im przygotowałem, i dlatego proszę o przebaczenie. Jednakże, powodując się uczuciem przyjaźni i poważania, nie mogę powstrzymać się od wyrażenia najlepszych życzeń naszemu kochanemu koledze Stanisławowi Ksaweriewiczowi Świeżewskiemu, życzę mu, aby na swoim nowym postęunku w Petersburgu był tak samo czynnym pracownikiem i tak samo lubianym kolegą jak tutaj. Wiem jednak, panowie, że nikt z nas nie zazdrości Stanisławowi Ksaweriewiczowi (zatrzymał się i ze zjadliwą ironią spojrzał na Świeżewskiego)... bo wszyscy tak zgodnie życzymy mu wszystkiego najlepszego...

Przemówienie Andrea przerwał nagle głośny tętent. Z gąszczu zieleni wynurzył się jakiś człowiek jadący na spienionym koniu. Był bez czapki, na jego twarzy zastygło przerażenie, nienaturalnie wykrzywiające rysy. Był to dziesiętnik, zatrudniony u do-

stawcy Diechtierewa. Na środku polany zostawił konia, który drżał ze zmęczenia, i podbiegł do Wasyla Terentiewicza. Nachylił mu się familiarnie do ucha, zaczął coś szeptać... W pawilonie zapanała nagle dziwna cisza i, jak poprzednio, słychać było tylko syk węgla i natrętny świergot koników polnych.

Zaczerwieniona od wina, twarz Kwasznina pobladła. Nerwowym ruchem postawił na stole kielich, który trzymał w ręku, aż wino rozlało się po serwecie.

— A Belgowie? — zapytał urywanym, ochryłym głosem.

Dziesiątnik przecząco pokręcił głową i znowu szepnął coś Kwaszninowi do ucha.

— Diabli nadali! — zawołał nagle Kwasznin podnosząc się z miejsca i mnąc w palcach serwetkę. — Trzeba było... Poczekaj, zawieziesz zaraz na stację depeszę do gubernatora. Proszę państwa — głośno i z wyraźnym wzburzeniem zwrócił się do obecnych — na fabryce — nieporządki... Trzeba wydać zarządzenia i... i wydaje się, że zrobimy najlepiej, jeśli stąd natychmiast wyjedziemy...

— Tak i przypuszczałem — powiedział Andrea pogardliwie i ze spokojną złością.

I w tym samym czasie, gdy wszyscy poruszyli się, powoli wyciągnął nowe cygaro, odnalazł w kieszeni zapalnik i nalał sobie szklankę koniaku.

XI

Zaczął się bezładny, nedorzeczny popłoch. Wszyscy zerwali się z miejsc, biegnąc po pawilonie, tłocząc się, krzycząc i potykając się o przewrócone krzesła. Panie w pośpiechu, drżącymi rękoma nakładały kapelusze. Ktoś kazał w dodatku pogasić elektryczne lampy i to jeszcze bardziej powiększyło ogólny zamęt... W ciemności rozległy się histeryczne kobiece krzyki.

Zbliżała się piąta godzina. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz niebo zaczęło się już przejaśniać zupełnie wyraźnie. Jego szary, jednostajny kolor zapowiadał, że dzień będzie pochmurny i dżdżysty. Błady, zamglony przedświt, który tak szybko i niespodziewanie

zastąpił jaskrawe światło elektrycznych lamp, nadawał ogólnemu zamieszaniu charakter strasznego, przygnębiającego, prawie fantastycznego obrazu. Wydawało się, że postacie ludzkie są tworem powstałym w jakimś sennym majaczeniu. Wzburzone i wymięte bezsenną nocą, twarze były straszne. Zalany winem i zarzucony bezładnie naczyniami, stół przypominał jakąś dziwaczną, nagle przerwana ucztę.

Koło powozów popłoch był jeszcze większy: wystraszone konie chrapały stając dęba i nie pozwalając się zaprząć; koła szepiały się z kołami i słychać było trzask pękających osi; inżynierowie przywoływali po imieniu swoich woźniców, a ci z kolei sykali ze złością dookoła siebie grad wyzwisk. Wszystko to sprawiało wrażenie chaotycznej wrzawy, jaka powstaje tylko w czasie wielkich pożarów nocą. Kogoś przejechano, a może przygnieciono. Słychać było jęki. Bobrow nie mógł w żaden sposób odszukać Mitrofana. Kilka razy wydawało mu się, że jego stangret odpowiada na wołanie gdzieś z samego środka splątanych ze sobą powozów. Możliwość przedostania się tam była jednak znikoma, gdyż tłok stawał się z każdą chwilą coraz większy.

W ciemności wybuchł nagle wysoko nad tłumem czerwony płomień ogromnej pochodni. Dały się słyszeć wołania: „Z drogi! Z drogi! usuńcie się, panowie! Z drogi!“ Wzburzona fala ludzi, silnie popchnięta, porwała Andreja Iljicza, poniosła go ze sobą, omal nie zwała z nóg i szczerlnie przyparla go do dwóch stojących obok siebie bryczek. Bobrow zobaczył stamtąd, jak między powozami pośpiesznie torowano szeroką ścieżkę, a potem ujrzał Kwasznina, który przejechał trójką swoich siwków. Kolysząca się nad powozem pochodnia oblewała masywną postać Wasyla Terentiewicza złowieszczym i drżącym, jakby krwawym światłem.

Dokola jego powozu wyl z bólu, ze strachu i złości, ściśnięty ze wszystkich stron, oszalały tłum... Bobrow poczuł nagle ukłucie w skroniach. Przez chwilę wydawało mu się, że to nie Kwasznin przejeżdża tędy, ale jakieś okrwawione, potworne i groźne bóstwo, podobne do wschodniego bożyszcza na rydwanie, pod którego koła rzucają się w czasie procesji religijnych pijani ekstazą fanatycy. I Bobrow zadrżał z bezsilnej wściekłości.

Gdy przejechał Kwasznin, zrobiło się od razu trochę luźniej. Bobrow odwrócił się do tyłu i spostrzegł, że dyszel, który wciskał mu się w plecy, należał do jego własnej bryczki. Mitrofan stał tuż obok i zapalał pochodnię.

— Prędko do fabryki, Mitrofan! — krzyknął Andrej Iljicz siadając. — Żebyśmy w ciągu dziesięciu minut byli na miejscu, słyszysz!

— Tak jest — odpowiedział posępnie Mitrofan.

Obszedł bryczkę dookoła, by wleźć na kozioł z prawej strony, jak na dobrego woźnicę przystało, rozplątał lejce i, obracając się nieznacznie do tyłu, dodał:

— Tylko jeżeli zagnamy konie, niech pan wtedy nie krzyczy, panie...

— Wszystko jedno, jedź...

Mitrofan ostrożnie, z wielkim trudem wy dostał się z tej ciżby zbitych w jedną masę powozów i koni, a gdy wyjechał na wąską, leśną drogę, puścił lejce. Podniecone i wypoczęte konie zerwały się i ruszyły szalonym pędem. Bryczka podskakiwała na długich korzeniach rosnących w poprzek drogi, huśtała się na wybojach i niebezpiecznie przechylała to w jedną, to w drugą stronę, zmuszając i woźnicę, i pasażera do ciągłego balansowania.

Czerwony płomień pochodni miotał się na wszystkie strony z gwałtownym szumem. Razem z nim podskakiwały dookoła bryczki długie, dziwaczne cienie drzew. Wydawało się, że obok bryczki płynię w jakimś dziwnym tańcu cała chmara wysokich, cienkich, nieuchwytnych widm. Widma to wyprzedzały konie, olbrzymiejąc do gigantycznych rozmiarów, to sunęły nagle po ziemi i, kurcząc się szybko, przepadały za plecami Bobrowa, to gubiły się na kilka chwil w gąszczu leśnym, by za chwilę znów nie spodzianie podbiec do bryczki, albo skupiały się rzędem, kołysząc się i drgając, jakby coś między sobą szeptały. Gałęzie gęstej wikliny rosnącej nad drogą, jak czyjeś chwytliwe i cienkie, wyciągnięte przed siebie ręce, chłostały kilkakrotnie Mitrofana i Bobrowa po twarzy.

Las się skończył. Pod kopytami koni zachlupotała jakaś kałuża, w której zatańczył i załamał się blask pochodni. Za chwilę konie

wbiegły na kręty pagórek. Przed nim rozpościerało się czarne, jednostajne pole.

— Poganiajże, Mitrofan, jak będziesz tak się włókł, to nigdy nie dojedziemy! — krzyknął niecierpliwie Bobrow, chociaż bryczka i tak pędziła, aż zapierało dech. Mitrofan zamruczał coś basem, wyrażającym niezadowolenie, i uderzył biczem Farwatera, który biegł na przyprzążce, wygięty w łuk. Woźnica nie mógł pojąć, co się stało z jego panem, który dotychczas zawsze otaczał opieką i lubił swoje konie.

Na horyzoncie, w pełnących po niebie chmurach — drżała migotliwie ogromna luna. Bobrow patrzył na rozplamione niebo i ogarnęło go triumfujące, niedobre uczucie szyderczej radości. Zuchwały, nielitościwy toast Andrea otworzył mu oczy na wszystko: i na chłodną powściągliwość Niny w ciągu dzisiejszego wieczora, i na oburzenie jej matki w czasie mazura, i na zbliżenie Świeżewskiego do Wasyla Terentiewicza, i na wszystkie pogłoski i plotki, obiegające fabrykę na temat zalotów samego Kwasznina do Niny... „Dobrze mu tak, dobrze, temu ryżemu potworowi — szeptał Bobrow czując tak wielki przypływ złości i tak głęboką świadomość swojego poniżenia, że aż w gardle mu wyschło. — O, gdybym się spotkał z nim teraz twarzą w twarz, na długo bym zmaścił zarozumiały spokój tego handlarza żywym towarem, tego brudnego, tłustego worka, nabitego po czubek złotem. Dobrą bym mu pieczęć zostawił na jego miedzianym łbie!“

Andrej Iljicz, mimo że wypił nadmierną ilość wina, nie był pijany. Działanie alkoholu dało się jednak odczuć w niezwykle wzmożeniu energii, w niecierpliwej i bolesnej żądzy ruchu... Wstrząsały nim silne dreszcze, zęby tak mocno uderzały o siebie, że trzeba było twardo zaciskać szczęki, myśl pracowała szybko, wyraźnie i bezładnie, jak w gorączce. Andrej Iljicz nieświadomie mówił głośno lub jęczał, wybuchał nagłym i urywanym śmiechem, mimo woli zaciskał pięści.

— Panie, czy pan przypadkiem nie chory? Nam by do domu jechać — powiedział Mitrofan.

Słowa te wprawiły Bobrowa w nagłą wściekłość; krzyknął ochryplym głosem:

— Nie gadaj, idioto! Jazda!...

Za chwilę ujrzeni z góry całą fabrykę, otoczoną mlecznoszarym dymem. Poza nią, jak jakiś gigantyczny stos, płonął skład drzewa. Na jasnym tle ognia ruchliwie jak mrówki krzątały się maleńkie, czarne postacie ludzkie. Już z daleka słychać było, jak trzeszczało w płomieniach wysuszone drzewo. Okrągłe baszty aparatów Cowpera i wielkich pieców ostro i wyraźnie występowały w mroku, by za chwilę znów się pograżyć w ciemności. Czerwona łuna pożaru jaskrawym i groźnym blaskiem odbijała się w brunatnej wodzie wielkiego kwadratowego stawu. Wysoka grobla na stawie pokryta była całkowicie zwartą, ogromną, czerniejącą masą ludzką, która powoli posuwała się naprzód. Robiło to wrażenie, jak gdyby w niej kipiało. Od tego potwornego tłumy, ściśniętego na wąskiej przestrzeni, szedł niezwykle, burzliwy i złowieszczy huk, podobny do ryku dalekiego morza.

— Gdzie ciebie niesie, diable! Nie widzisz, że na ludzi jedziesz, draniu! — usłyszał Bobrow z przodu grubiański okrzyk. Na drodze wyrósł, jakby spod koni, brodaty chłop bez czapki, z głową obandażowaną białymi szmatami.

— Jazda, Mitrofan! — krzyknął Bobrow.

— Panie! Podpalili... — usłyszał drżący głos Mitrofana.

W tej samej chwili dał się słyszeć świst ciśnietego z tyłu kamienia i Bobrow poczuł piekący ból trochę powyżej prawej skroni. Na rękę, którą przytknął do skaleczonego miejsca, ukazała się ciepła, lepka krew.

Bryczka popędziła znów z taką samą szybkością. Łuna stała się coraz bardziej jaskrawa. Długie cienie koni przebiegały z jednej strony na drugą. Czasem wydawało się Bobrowowi, że pędzi po jakiejś stromej pochyłości i już-już razem z powozem i końmi poleci z pionowego urwiska w głęboką przepaść. Stracił zupełnie orientację i nie mógł zupełnie poznać miejsc, przez które przejeżdżali. Wkrótce konie stanęły.

— Czemu stanąłeś, Mitrofan? — krzyknął rozdrażniony Bobrow.

— A gdzież ja pojadę, kiedy na przedzie ludzie — odrzekł Mitrofan z ponurą złością.

Bobrow uważnie wpatrzył się w szary półmrok, ale nie widział nic prócz jakiejś czarnej nierównej ściany, nad którą płonęło niebo.

— Jakich ty tam ludzi widzisz, niechże to diabli! — zaklął, złącząc z bryczki i obchodząc konie pokryte białymi kłębami pary.

Gdy odszedł jednak parę kroków od koni, przekonał się, że ta czarna ściana, którą poprzednio spostrzegł, była wielkim, zwartym tłumem robotników. Zagrodzili drogę i szli ławą przed siebie, powoli i w milczeniu. Andrej Iljicz machinalnie przeszedł za robotnikami z pięćdziesiąt kroków i wrócił, by odnaleźć Mitrofana i objechać fabrykę z drugiej strony. Lecz ani Mitrofana, ani koni na drodze nie było. Bobrow nie mógł zrozumieć, czy zblądził, czy też Mitrofan pojechał szukać go w inną stronę. Zaczął wołać na woźnicę — nikt mu nie odpowiadał. Wobec tego Bobrow postanowił ponownie dopędzić robotników i pobiegł, jak mu się wydawało, w poprzednim kierunku. Lecz, ku jego zdziwieniu, robotnicy zapadli się jakby pod ziemię, a zamiast nich Bobrow trafił z rozbiegu na niski drewniany płot.

Ani na prawo, ani na lewo nie widać było jego końca. Bobrow przelazł przez płot i zaczął wspinać się po jakiejś długiej, spadzistej skarpie, gęsto zarośniętej chwastami. Zimny pot ciekł mu po twarzy, język stał się suchy i nieruchomy jak kolek; przy każdym oddechu odczuwał ostry ból w piersi; krew biła silnymi uderzeniami w ciemię; nieznosnie doskwierała rozbita skroń.

Wydawało mu się, że skarpa nie ma końca. Ogarnęła go tępa rozpacz. Lecz piął się dalej pod górę, chociaż co chwilę padał, kaleczył sobie kolana i chwycił rękoma za długie krzaki. Czasem wyobrażał sobie, że to sen, że widzi jedno ze swoich bolesnych majaczeń. Paniczny popłoch po pikniku i długie błądzenie na drodze, i nie kończąca się wspinaczka po nasypie — wszystko to było tak samo ciężkie, bezsensowne, nieoczekiwane, straszne, jak te koszmary.

Wreszcie skarpa skończyła się i Bobrow poznał od razu nasyp kolejowy. W przeddzień, w czasie nabożeństwa, fotograf zdejmował w tym miejscu grupę inżynierów i robotników. Bobrow

poczuł osłabienie. Usiadł na podkładzie i w tej samej chwili stało się z nim coś dziwnego: nogi mu nagle boleśnie osłabły, w piersi i w jamie brzusznej odczuł przeciągłe, dławiące, nieprzyjemne podrażnienie, czoło i policzki stały się zimne. A potem wszystko zakręciło mu się przed oczami i poleciało gdzieś w szalonym pędzie, w jakąś głębię bez końca.

Andrej Iljicz ocknął się z omdlenia mniej więcej po pół godziny. W dole, u podnóża nasypu, tam gdzie panował zwykle nie milnący dniem i nocą huk fabryki, leżała pełna grozy cisza. Bobrow z wysiłkiem podniósł się na nogi i poszedł w kierunku wielkich pieców. Głowę miał tak ociężałą, że z trudem trzymała się w prostej pozycji; każdy ruch powodował ból w zranionej skroni. Dotknął rany i znów poczuł na palcach ciepłą, lepłą krew. Miał także krew w ustach i na wargach; czuł jej słony, metaliczny smak. Nie wróciła mu jeszcze w pełni świadomość. Próbował przypomnieć sobie i zrozumieć to, co się zdarzyło, lecz wysiłki te wywołały tylko silny ból głowy. Przepełniał go gryzący smutek i rozpaczliwa, bezprzedmiotowa złość...

Dniało już. Wszystko było szare, chłodne i mokre; i ziemia, i niebo, i mizerna żółta trawa, i bezkształtne kupy kamieni, zwalonych po obu stronach drogi. Bobrow błądził bez celu pomiędzy opuszczonymi budynkami fabrycznymi i, jak to się zdarza przy wyjątkowo silnych wstrząsach psychicznych, mówił głośno sam do siebie. Usiłował przytrzymać i uporządkować rozbiegające się myśli.

— No, powiedzże, powiedz, co mam robić? Powiedz, na miłość boską — szeptał rozpaczliwie, zwracając się do kogoś innego, do jakiegoś obcego człowieka, który tkwił jakby w jego wnętrzu. — Ach, jak mi ciężko! Jak cierpię! Niemiłosiernie cierpię! Chyba zabije się... Nie wytrzymam takiej męki...

A ten inny, obcy, odpowiadał z głębi jego duszy, też głośno, ale z gruboskórną kpiną:

— Nie, nie zabijesz się. Po co udajesz przed samym sobą? Zbyt mocno kochasz życie, abyś mógł się zabić. Zbyt słabą masz wolę na to. Zbyt boisz się bólu fizycznego. Zbyt dużo rozmyślasz.

— Cóż mam robić? Co mam robić? — szepnęła znów Andrej

Iljicz załamując ręce. — Ona taka tkliwa, taka czysta, moja — moja Nina! Była dla mnie całym światem. I nagle, co za obrzydliwość! — sprzedać swoją młodość, swoje dziewicze ciało!

— Nie udawaj, nie udawaj; po co te górne słowa ze starych melodramatów — ironicznie mówił ten inny. — Jeśli tak nienawidzisz Kwaznina, pójdź i zabij go.

— I zabiję! — krzyknął Bobrow zatrzymując się i z furią wyciągając pięści do góry. — I zabiję. Niech nie zaraża więcej uczciwych ludzi swoim plugawym oddechem. I zabiję!

Ale ten inny z jadowitą ironią powiedział:

— I nie zabijesz... Doskonale wiesz o tym. Nie masz na to ani siły, ani zdecydowania... Jutro będziesz znów rozważny i słaby...

W tym straszliwym stanie wewnętrznego rozdwojenia następowały chwilowe przeblyski, w których Bobrow niepewnie zadawał sobie pytanie: co się z nim dzieje, jak dostał się tutaj i co ma robić? A trzeba było coś zrobić koniecznie, coś wielkiego i ważnego, lecz co — Bobrow nie wiedział i krzywił się z bólu, usiłując to sobie przypomnieć. W jednej z takich chwil spostrzegł, że stoi nad jamą kotłowni. Przypomnił sobie natychmiast z niezwykłą ostrością niedawną rozmowę z doktorem, prowadzoną w tym samym miejscu.

Palaczy w dole nie było; wszyscy rozbiegli się. Kotły już dawno ostygły. Tylko w dwóch paleniskach jeszcze ledwo-ledwo czerwienił się kamienny węgiel... Nagle szalona myśl, jak błyskawica, błysnęła w mózgu Andreja Iljicza. Pochylił się szybko, spuścił w dół nogi, potem zawisł na rękach i wskoczył do kotłowni.

W kupie węgla zostawiono łopatę. Bobrow schwycił ją i szybkimi ruchami zaczął sypać węgiel do obu palenisk. Po dwóch minutach huczał już w paleniskach biały gwałtowny płomień, a w kotle zabulgotała woda. Bobrow sypał i sypał węgiel, łopatę za łopatą; jednocześnie uśmiechał się chytrze, dawał głową znaki komuś niewidzialnemu i rzucał urywane, bezmyślne okrzyki. Chorobliwa, straszna, mściwa myśl, która nadeszła jeszcze tam, na drodze, ogarniała go coraz bardziej. Przyglądał się, jak ogromne cielsko kotła zaczęło czerwienić się w blasku ognia i huczeć; wydawało mu się coraz bardziej żywe i nienawistne.

Nikt mu nie przeszkadzał. W wodomierzu woda szła szybko do góry. Groźnie rósł bulgot w kotle, potężniał huk w paleniskach.

Lecz praca, do której Bobrow nie był przyzwyczajony, zmęczyła go szybko. W skroniach puls walił gorączkowo, krew ciepłą strugą pocięła po policzku. Szalony wybuch energii skończył się, a ten inny, wewnętrzny głos zakpił:

— No cóż, więc trzeba zrobić jeszcze jeden ruch! Ale ty go nie zrobisz... i basta... Przecież to wszystko śmieszne. Jutro nie będziesz śmiał przyznać się nawet, że chciałeś w nocy wysadzić kotły parowe.

Słońce już stało na widnokręgu, jak wielka, zamglona plama, gdy Andrej Iljicz wszedł do fabrycznego szpitala.

Doktor przed chwilą przerwał bandażowanie pokaleczonych ludzi i mył ręce nad miedzianą umywalnią. Obok niego stał felczer z ręcznikiem w ręku. Gdy doktor zobaczył wchodzącego Bobrowa, cofnął się do tyłu ze zdumienia.

— Co z panem, Andreju Iljicu, co z pańską twarzą? — zapytał z przestachem.

Wygląd Bobrowa był rzeczywiście potworny. Na jego bladej twarzy, wybrudzonej pyłem węglowym, zapiekła się czarnymi skrzepami krew. Mokre ubranie wisiało na nim jak worek; włosy spadały bezładnymi kosmykami na czoło.

— Niechże pan mówi, Andreju Iljicu, co się z panem stało, na miłość Boską? — powtarzał Goldberg, szybko wycierając ręce i podchodząc do Bobrowa.

— Ach, to wszystko głupstwo... — wykrztusił Bobrow — daj pan morfiny, doktorze... Prędzej morfiny, bo oszaleję! Straszliwie cierpię!

Goldberg wziął Andreja Iljicza pod rękę, wprowadził go prędko do innego pokoju i starannie zamykając drzwi powiedział:

— Niech pan posłucha — domyślam się, co pana dręczy... Niech pan mi wierzy, jest mi pana prawdziwie żal i gotów jestem panu pomóc... Ale... kochanie moje... — w głosie doktora dało się odczuć drżenie — mój miły Andreju Iljicu, nie może pan tego jakoś przecierpieć? Niech pan tylko sobie przypomni, ile

trudu kosztowało nas pokonanie tego obrzydliwego nawyku! Bieda będzie, jeśli teraz zrobię panu zastrzyk... pan już więcej nigdy... rozumie pan, nigdy pan nie przestanie.

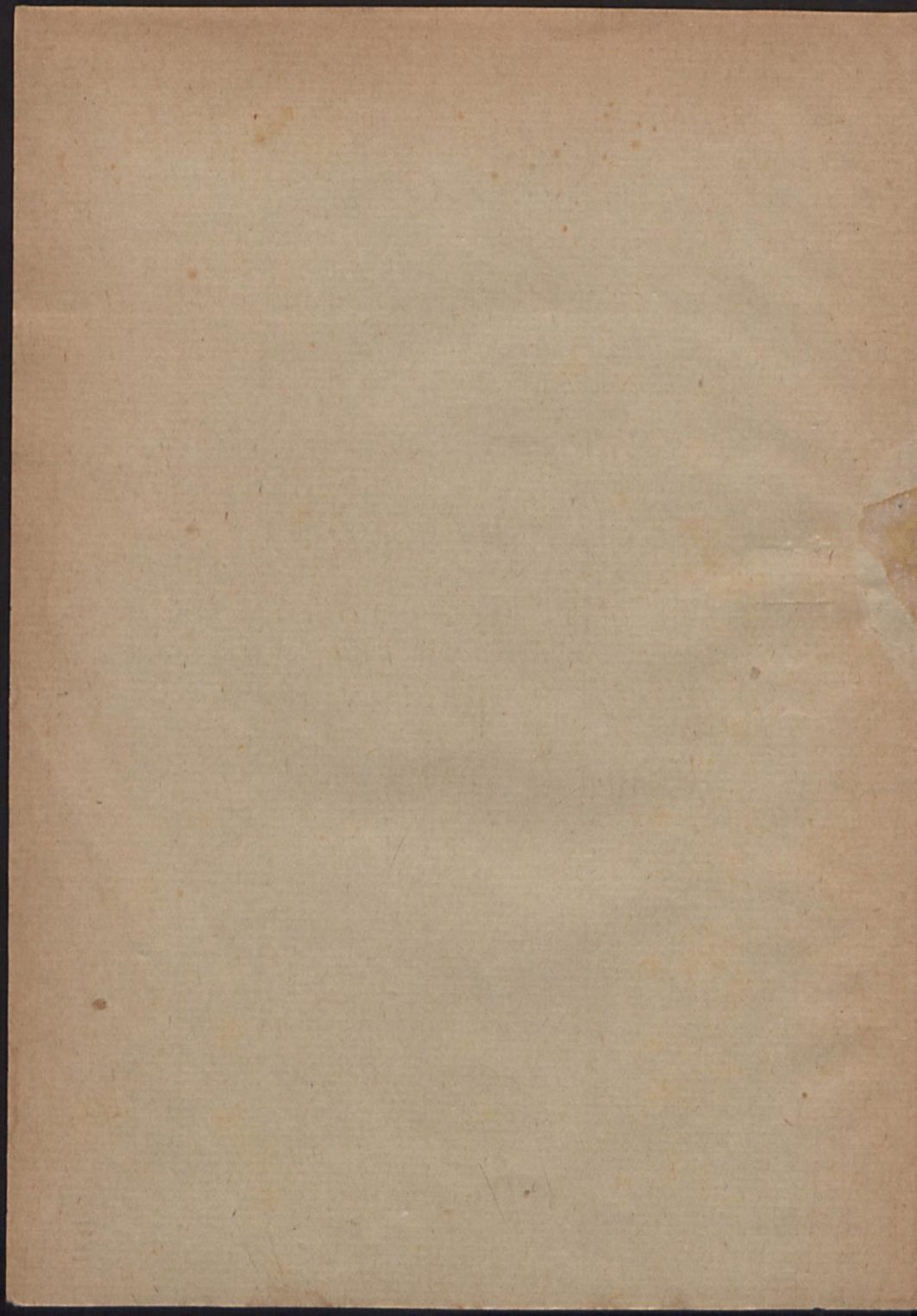
Bobrow rzucił się twarzą w dół na szeroką, ceratową kanapę i wymamrotał przez ściśnięte zęby, drżąc na całym ciele:

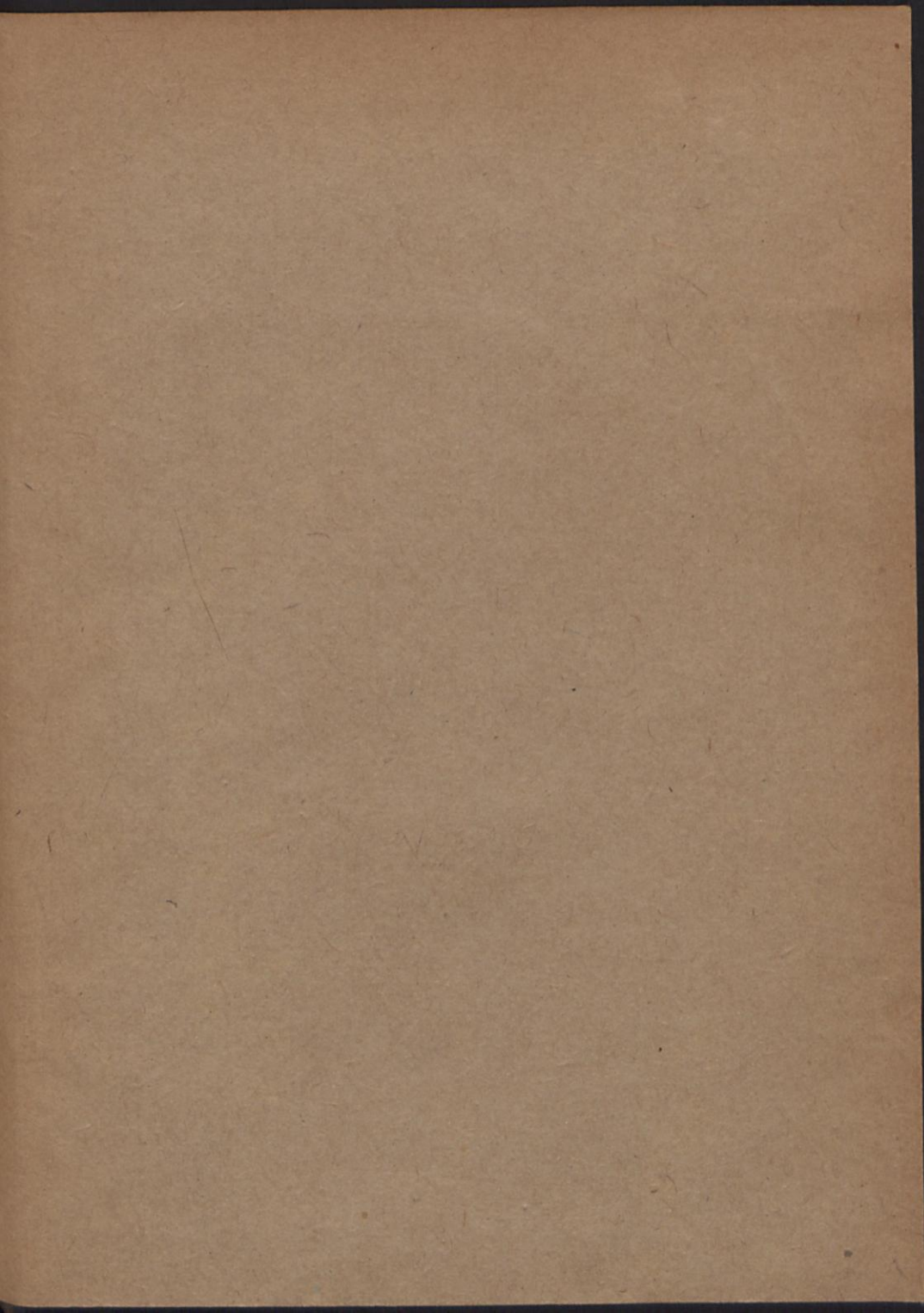
— Wszystko jedno... wszystko mi jedno, doktorze... Nie mogę dłużej wytrzymać.

Doktor westchnął, wzruszył ramionami i wyjął z szafy aptecznej futerał ze szprycą. Po pięciu minutach Bobrow leżał już na ceratowej kanapie w głębokim śnie. Na jego bladej twarzy, wychudłej w ciągu nocy, błąkał się błogi uśmiech. Doktor ostrożnie obmywał mu głowę.

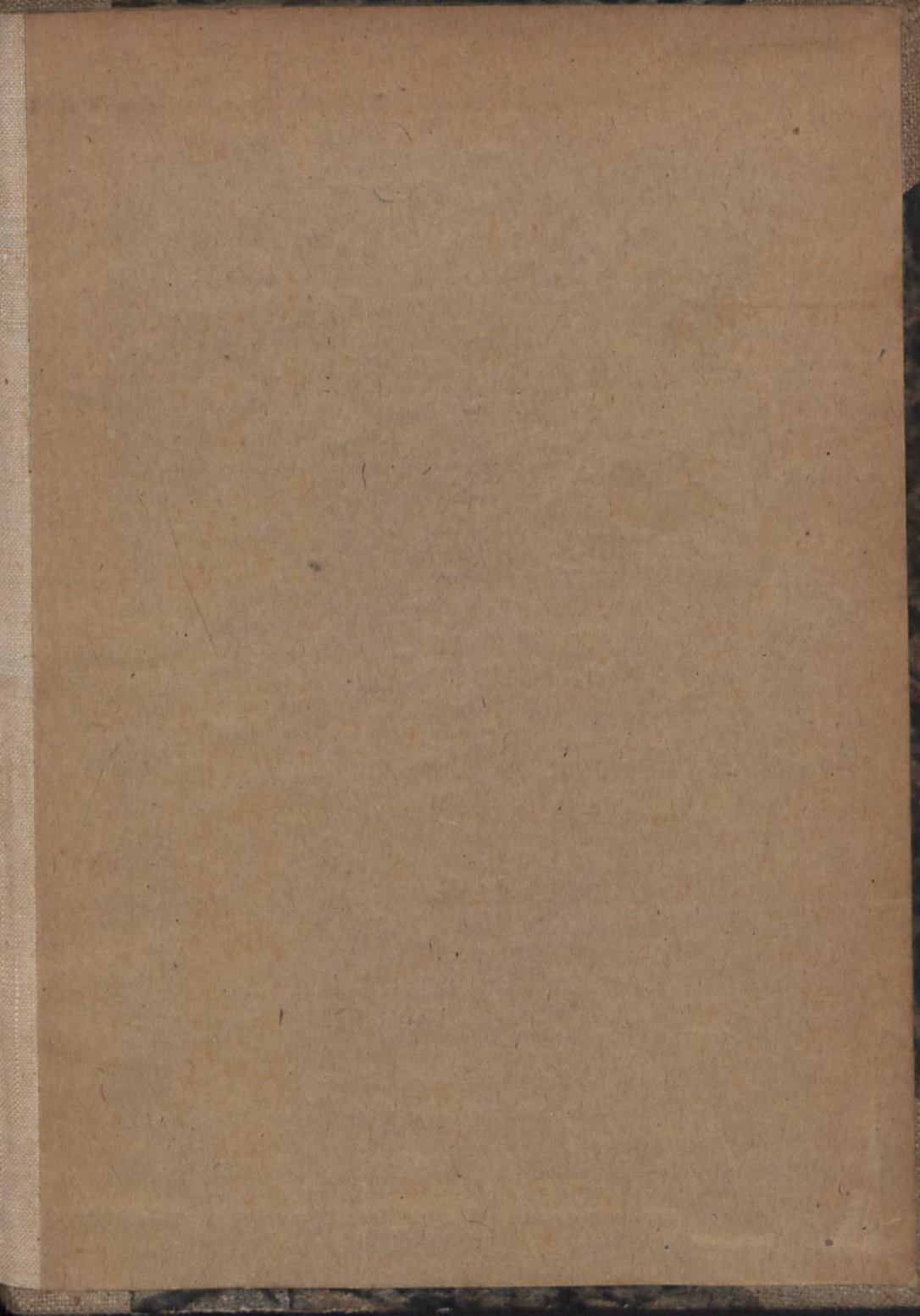
SPIS RZECZY

<i>ALEKSANDER KUPRIN</i> (1870—1938)	5
<i>OLESIA</i> — tłum. <i>Ziemowit Fedecki</i>	15
<i>SPOKOJNE ŻYCIE</i> — tłum. <i>Jan Mietkowski</i>	97
<i>SZMARAGD</i> — tłum. <i>Halina Olszewska</i>	115
<i>GAMBRINUS</i> — tłum. <i>Halina Olszewska</i>	135
<i>W CYRKU</i> — tłum. <i>Halina Olszewska</i>	165
<i>NOCLEG</i> — tłum. <i>Jan Mietkowski</i>	197
<i>MOŁOCH</i> — tłum. <i>Jan Mietkowski</i>	215





157



Księgozbiór BP



10017140

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna